

DeMarco Kathleen

Nie jesteś mi potrzebna

Josie, młoda absolwentka prawa, postanawia przenieść się do Hollywood i rozpocząć karierę producenta filmowego. Pomaga jej w tym bogaty i bezgranicznie zapatrzony w nią ojciec. Josie po trupach dąży do celu, kłamiąc oraz ignorując męża i przyjaciół. Carla wegetuje w Nowym Jorku. Mimo licznych tytułów naukowych straciła pracę i nie ma z czego żyć. Niespodziewanie bogata ciotka zaprasza ją do Hollywood. Tu, w agencji filmowej, Carla i Josie spotykają się i zaczynają rywalizować ze sobą w pogoni za sukcesem. Czy Carla wyzbędzie się kompleksów? Czy Josie, opancerzona, arogancka i skoncentrowana na sobie zmieni się i zacznie dostrzegać innych. Do czego doprowadzi ta konfrontacja?

Josephine

Lat dwadzieścia osiem. Córka Paula i Isobel Hibberdów z Portland w stanie Oregon. Wnuczka Paula Hibberda Pierwszego zwanego również Pierwszym Dentystą w Rodzinie. Najlepsza przyjaciółka Rebecki Mosely z Beverly Hills, matki dwojga dzieci. Żona Mike'a O'Leary, chodziła z nim na studiach i zdradziła go czterokrotnie, w tym raz z Derekiem Huttonem, aktorem, późniejszym ulubieńcem widzów, którym stal się jako jeden z bohaterów opery mydlanej *Guiding Light*. Chciała zostać Prezesem Studia Filmowego, więc zmusiła Mike'a do przeniesienia się do Los Angeles, ponieważ jej ojciec, dr Paul Hibberd o wielkich zębach i mięsistych wargach, zapewnił ją, że jej się to uda.

Carla

Lat czterdzieści jeden. Córka Candace (żyjącej) i Johna (nieżyjącego) Trousse'ow z Wilmington w stanie Delaware. Siostrzenica Paulette Giberson, kobiety o wąskiej, ładnej twarzy, o której pisano w „Vanity Fair” i „National Geographic”, ponieważ pomagała ofiarom głodu w Etiopii, jednocześnie finansując szczepienia dzieci w Akrze, stolicy Ghany. Siostra cioteczna Phillipa Gibersona, znanego hollywoodzkiego prawnika, syna Paulette z krótkiego okresu sielanki małżeńskiej z angielskim naukowcem, E. Rupertem Giber -sonem. Niezamężna, zadłużona i cztery miesiące temu zwolniona z ostatniej pracy. Posiada tytuł licencjata z Uniwersytetu Lehigh, magisterium z New York University, a doktorat z Uniwersytetu Columbia otrzyma, gdy tylko przedłoży pracę doktorską. Zakochana w Davidzie Stegnerze, który mieszka w Pasadenie i przespał się z nią chyba z raz na weselu kuzyna Phillipa dziewięć lat temu. Nie

pamięta ojca, Johna Trousse'a, zmarłego na atak serca, kiedy miała trzy lata. Jest pewna, że gdyby go pamiętała, potrafiłaby rozwiązać nawet to najbardziej zawikłane z równań: mając dane x (wiedzę intelektualną) oraz y (łatwość wypowiedzenia się), chce się znaleźć niewiadomą z - jeszcze ciągle niejasną kombinację cech charakteru; znalezienie niewiadomej z w końcu pozwoliłoby Carli wydobyć się z zagrzybionego mieszkania w Greenwich Village i znaleźć się na scenach świata, w oślepiającym blasku reflektorów, bo tam właśnie było jej miejsce.

Część pierwsza

Rozdział pierwszy

Tego wiosennego poranka w Los Angeles uwagi Josephine nie rozpraszał rozkład jej małżeństwa, lecz fakt, że nie została zaproszona na trzydzieste urodziny (byłej) przyjaciółki, Juliet Eckhardt.

W silnych promieniach porannego słońca jechała na zachód bulwarem Wilshire od strony La Cienega. Przejeżdżała skrzyżowania z migającymi światłami, mijając salony sprzedaży samochodów, modne restauracje, kosztowne sklepy z czerwonymi markizami i nowoczesne budynki o śmiałej architekturze, w których tworzący lub niszczący trendy ludzie wyduszali, wyciskali i wydobywali pieniądze oraz pomysły z „talentów”, tak jak dawniej chłopcy wydobywali plony z pól.

Teraz stała się jedną z nich. Takie było jej przeznaczenie, przepowiedziane przez ojca, doktora Paula Hibberda, najbardziej szanowanego dentystę w Portland. „Jesteś moją królową! - mówił. - Wyglądałabyś w fotelu prezesa studia filmowego dużo lepiej niż ci palanci, którzy teraz w nich siedzą”. Studia prawnicze dodały jej wiarygodności - rodzice popierali decyzję przeniesienia się do Hollywood, lecz jednocześnie głęboko wierzyli w dodatkowe korzyści, które przynosi tytuł prawnika. „Nie mówimy, że musisz być prawnikiem, kotku - powiedziała Isobel Hibberd, której face-lift goił się szybko i bez śladu - sugerujemy tylko, sugerujemy, kochanie, że dobrze jest mieć coś w zapasie. Z twoją inteligencją, urodą i tytułem prawnika będziesz miała nieograniczone możliwości!”.

Brat najlepszego przyjaciela Paula Hibberda z country club był członkiem rady nadzorczej w Szkole Studiów Prawniczych Uniwersytetu Berkeley i Josie została przyjęta - z wynikiem 92% na egzaminie kwalifikacyjnym, osiągniętym po zaledwie czterech próbach, pięciokrotnym studiowaniu materiałów przygotowujących do testu i zaledwie dwa lata po otrzymaniu tytułu licencjata na Uniwersytecie Oregon.

Przez wszystkie lata spędzone w szkołach Josie z oddali pilnie studiowała materiały o ludziach Hollywoodu. Czytała biografie i autobiografie tych, którzy odnieśli ogromne sukcesy albo ponieśli druzgocące porażki; dowiedziała się, kim byli Sam Cohn, Darryl Zanuck, Sherry Lansing i Dawn Steel; zaczytywała się tygodnikami „People”, „Us Weekly” i „InStyle”. Bacznie obserwowała, jak sławni ludzie mówią, w co się ubierają i z kim zawierają małżeństwa. Po długich i przemyślanych studiach zrozumiała, że choć osiągnięcie celów z listy (udana kariera, bardzo atrakcyjny i bogaty mąż, nieczekanie na stolik w modnych restauracjach i nie-stanie w kolejkach pod żadnym pozorem) będzie podstawą jej dobrego samopoczucia, naprawdę wyróżniłaby ją z tłumu umiejętność sprawiania wrażenia, że jej nie zależy. Umiejętność ta stała się w istocie jej osobistym Mount Everestem, który musiała zdobyć. To, że przestałoby jej zależeć - albo sprawianie wrażenia, że jej nie zależy - oznaczałoby, że (tak jak jej idole) wyzbyła się kłopotliwych kompleksów (wywołanych na przykład nieotrzymaniem zaproszenia na głupie przyjęcie), aby móc się skoncentrować na szlachetnych, bardziej godnych podziwu dążeniach, jak - powiedzmy - pokój na świecie i reforma zasad finansowania kampanii wyborczych.

I właśnie to nie zależy mi znów przywiodło jej na myśl (była) przyjaciółkę Juliet Eckhardt, kobietę, która umiejętności nieprzeciętnej wiary w siebie zawdzięczała stanowisko redaktor naczelnej pewnego magazynu, nie wspo-

minając o wzmiankach tłustym drukiem w plotkarskich rubrykach o życiu sławnych ludzi.

Josie nawet nie przyszło do głowy, że może nie zostać zaproszona na doroczną imprezę urodzinową Juliet. Kiedy więc nie otrzymała zaproszenia, założyła, że Juliet musiała zrezygnować z urządzania wystawnych urodzin w obawie, że terroryści mogą wybrać restaurację Spago na cel swego kolejnego ataku.

Jednak dziś rano na siódmej stronie „People” zobaczyła zdjęcie. Juliet nie tylko wyprawiała sobie przyjęcie w stylu Nerona, ale skróciła listę gości, jakby przycięła ją sekatorem, chcąc zrobić miejsce dla nowych, szybko rosnących pędów.

Josie wiedziała, że denerwowanie się tym było niemądre - głupio zaufała Juliet, tak jak dziecko ufa koledze, który rzuca kamykami. Nie powinna się obrażać, kiedy jeden z nich w nią trafił. Jej mąż, Mike O'Leary, zawsze był w takim samym kłopotliwym położeniu - zdziwiony i zraniony, że jego niegrzeczni, źli koledzy z banku przedstawili go w fałszywym świetle, mieli do niego pretensje albo nie doceniali, „bo nie chciał grać według ich reguł”. W pierwszych latach małżeństwa Josie zadawała sobie trud pocieszania Mike'a, zapewniania go, że inni są „źli”, a on „dobry”. Po pewnym czasie wezwała na pomoc swą bardziej pragmatyczną naturę. „A czego się spodziewałeś? - łajęła go. - Przestań się zachowywać jak dziecko”.

Ale Josie różniła się od Mike'a i nie pozwoli się już nigdy wykiwać. Co więcej, nie musi się przejmować, ponieważ krzywda wyrządzona jej przez Juliet wkrótce zostanie naprawiona. Tak jak Adam Smith wierzył w niewidzialną rękę kierującą gospodarką państwa, Josie wierzyła w niewidzialną rękę kierującą hierarchią społeczną.

Na przykład w tej chwili Ręka postanowiła zepchnąć Josie z cokołu błęgiego spokoju i wiary w otchłań niepewności i odrzucenia. Zadaniem Josie było teraz wydobyć się z niej

i rozpoczęcie wszystkiego od nowa. Lecz Ręka była sprawiedliwa - niewątpliwie wysadzi też z siodła Juliet. I właśnie wtedy Josie uda się ją prześcignąć w wyścigu o osiągnięcie pozycji w towarzystwie.

Wyobrażała sobie scenę z przyszłości: Juliet zadzwoni, być może po tym, jak Josie wyprodukuje jakiś wybitny, uznany przez krytyków film z nieznaną obsadą i reżyserem z prawdziwego zdarzenia, który informowałby wszystkich, że lata wyłącznie klasą turystyczną. Josie spojrzy na wyświetlony na telefonie numer, rozpozna prywatną komórkę Juliet i gestem pokaże Nadine, swojej asystentce o słodkiej buzi i grubych nogach, że ma odebrać.

„Chwileczkę - powie Nadine, bez nadmiernej życzliwości. Przerwie i uśmiechnie się do Josie, przyglądającej się temu ze swego gabinetu, a potem oświadczy: - Przykro mi, ale Josephine nie może podejść do telefonu. Może ja mogłabym w czymś pomóc?”.

Juliet oczywiście nie da się podpuścić. Zbyt dobrze zna się na układach, żeby postąpić nierozważnie. Odziedziczony majątek - suma mieszcząca się gdzieś pomiędzy pięćdziesięcioma a pięciuset milionami - stanowił psychiczną zbroję, chroniącą nawet przed najostrzejszymi atakami. Juliet kierowała się instynktem samozachowawczym, który nakazywał jej stosowanie specjalnej mieszanki hamowanych emocji i trafnych ocen społecznych. A więc kiedy Nadine grzecznie ją spławi, Juliet wykrzyknie coś w rodzaju: „Tak? No to powiedz jej, że nie widziałyśmy się całe wieki i nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę!” - Josie wiedziała, że potem Juliet odłoży słuchawkę i natychmiast przesunie Josie na początek listy ludzi, którym będzie musiała utrzcęć nosa.

Ale to nastąpi w dalekiej przyszłości. Nawet fantazje Josie przesiąknięte były jej wrodzonym realizmem. Rewanż Juliet nastąpi po rewanżu Josie, a fantazjowanie na temat dwóch przyszłych wydarzeń jednocześnie było przejawem nieostroż-

ności. Postanowiła więc rozkoszować się pokrzepiającym triumfem wizji numer jeden.

Wjechała na parking przy swoim biurowcu i skrzywiła się.

- Niech to szlag... - Mała, kremowa toyota corolla zajmowała jej miejsce. Był to pozbawiony osobowości samochód, dowodzący, że kierowca nie ma pojęcia o zasadach rządzących Hollywood. Josie załatwi odnotowanie tej toyoty. Nagle jednak przyszło jej do głowy, że samochód może być przejawem szczególnej hollywoodzkiej przypadłości, którą Josie nazywała Pozorowaniem Przeciwiństwa. Polegała ona na tym, że ktoś odnoszący sukcesy udawał bezpretensjonalność w celu zdobycia tego samego szacunku co ludzie ostentacyjne obnoszący się ze swoim powodzeniem. Zrobienie awantury wcale jej nie pomoże. Do tego w ciągu kilku sekund Josie udało się przekształcić dojmujące poczucie krzywdy wyrządzonej przez Juliet w zadowolenie z powodu skuteczności systemu hollywoodzkiego. Postanowiła zawiadomić Nadine o blokującym jej miejsce samochodzie i polecić, żeby został jak najszybciej przesunięty, lecz nie odholowany. Wjeżdżając na miejsce zarezerwowane dla gości, pogratulowała sobie zimnej krwi.

Wysiadła z ciemnozielonego kabrioletu marki Saab. Ubrała się dziś starannie. Umówiona była na lunch z Sethem Levinem, który był jej mentorem podczas pierwszych miesięcy pobytu w Hollywood, kiedy pracowała w Y & W, jednej z największych kancelarii prawniczych obsługujących przemysł rozrywkowy w Los Angeles.

Było to jedno z jej największych potknięć - przyjechała do L.A. pełna wigoru i optymizmu, ale natychmiast zorientowała się, że konieczna jest strategia robienia kariery. Miała zostać Prezesem Studia Filmowego. Dobrze, ale jak? Miała ochotę zadzwonić do ojca i powiedzieć: „Jestem na miejscu. Co dalej?”. Zamiast tego zatelefonowała do znajomych z Berkeley, którym, podobnie jak jej, przeznaczony był podbój Hollywoodu.

Neil McRnight, chuda jak szczapa reporterka jednej ze stacji rozrywkowych, powiedziała, że Josie powinna zostać producentem. - To bardzo proste. Jeżeli nie jesteś talentem - talentem przez duże „t”, Talentem, a nie osobą utalentowaną - musisz pracować z talentami. Jak to zrobić? Trzeba zostać agentem, menedżerem, producentem. Prawdę mówiąc, menedżerowie ostatnio zostają producentami i całe miasto się wścieka, ale to inna sprawa. Być agentem to dobra fucha, choć wymaga czasu i jak wszyscy mówią, jest to wyczerpujące. Znam ludzi, którzy tygodniami bali się wyjść z biura, bali się, że coś przegapią. Nauczyłyby się tego bez trudu, ale myślę, że może... nie gniewaj się, ale to nie dla ciebie. Ciężka, nudna praca jest dość demoralizująca, szczególnie dla kogoś w twoim wieku. Nie. Powinnaś produkować. Każdy może. Po prostu mówisz: „Jestem producentem”.

- Dobrze - powiedziała Josie. Milczała przez chwilę. - Ale to nie może być takie proste.

- Oczywiście, że nie. Zależy, czego chcesz. Mogłabyś być twórczym producentem, zwykłym producentem albo producentem-pijawką. Najłatwiej być pijawką, ale nie znasz wystarczająco dobrze żadnego talentu, więc musisz mieć scenariusz. Znajdź dobry materiał - książkę albo artykuł, wszystko jedno co, kup i powiedz, że to produkujesz. I załatwione.

Catherine Von Hauptman, specjalistka od reklamy o brązowych lokach, powiedziała, że Josie powinna zostać menedżerem. - Słuchaj, będę z tobą szczerą. Musisz być kimś, inaczej wszyscy mają cię w nosie. Pewna jesteś, że nie umiesz pisać? Ani trochę? Powiem ci coś, ale w razie czego zaklnę się, że nigdy ci tego nie mówiłam. Musisz znać jedno słowo - pijawka - i odmieniać je: jestem pijawką, jesteś pijawką, wszyscy są pijawkami. Znajdź talent: aktora, scenarzystę, jak będziesz miała szczęście, to reżysera, i przyssij się. Mówię „przyssij”, tak jak przysysa się pijawka. Nie wypuść go. Zostań jego menedżerem. Wtedy dostajesz procent od jego zarobków i do-

magasz się umieszczenia swojego nazwiska jako producenta w napisach początkowych oraz pieniędzy. To najlepsza fucha w mieście. Nic się temu nie równa.

Jonathan Sachs, niski i pękaty mężczyzna w wykrochmalonej białej koszuli, powiedział Josie, że jest producentem, który właśnie w tej chwili pracuje nad „kilkoma projektami”. Przyjrzał jej się z zastanowieniem i powiedział: - Słuchaj, ja zawsze kieruję się węchem. Potrzebuję, nazwijmy to, zaufanej osoby, bo lepsze określenie nie przychodzi mi do głowy. Powinniśmy razem popracować. - Nie mógł jej zaproponować pieniędzy, ale był w stanie załatwić zaproszenie na następne przyjęcie w siedzibie „Playboya” i powiedział, że chętnie umieści ją w napisach jako asystentkę producenta, jeżeli coś wyjdzie z ich współpracy.

Dopiero Seth Levin udzielił jej właściwej rady. Był przyjacielem jej ulubionego profesora ze studiów prawniczych i jedną z pierwszych osób, do których Josie zadzwoniła po przyjeździe do L.A. Był także jedyną osobą z jej listy doradców w sprawie kariery, która zdobyła pieniądze i szacunek. - Będę z tobą szczery, Josie. Nie wiem, czy rzuciłbym się bez namysłu w produkcję. Użyłbym trochę tej przebojowości w dziedzinie, którą znasz. Dałoby ci to czas na zorientowanie się w środowisku, nauczenie się tego i owego, tego typu sprawy. Jeżeli potem ciągle będziesz chciała produkować, to nic nie będzie stało na przeszkodzie. Wiem, że jest wielka, poruszająca się ciągle po tych samych torach grupa tak zwanych producentów i agentów, którzy twierdzą, że są najpopularniejsi w całym mieście, ale moje doświadczenie pokazuje, że ludzie odnoszący prawdziwe sukcesy nie mają czasu na takie zawracanie dupy. Muszą być na planach, układać budżety i załatwiać finansowanie, zapewnić odpowiednią dystrybucję, a przede wszystkim muszą mieć tu. - Seth postukał się w głowę. - Najlepsi producenci są jak inteligentni faceci - i kobiety, wybac mi - w wojsku: przygotowani na każdą możliwą katastrofę, dużą czy małą.

Wbrew powszechnemu przekonaniu istnieją prawdziwi producenci, którzy naprawdę ciężko pracują. Trzeba poznać obie strony. Na razie popracuj u nas.

Josie była właściwie pewna, że nie jest Talentem przez duże „t”, a do tego nie znalazła nikogo, do kogo mogłaby się przyssać, toteż podjęcie decyzji było proste. Jako menedżer, agent czy producent nie miałyby na początek przyzwoitej pensji, a potrzeba noszenia butów Prądy była bardzo silna. Matka miała rację: posiadanie czegoś w zapasie to podstawa. A co jeszcze ważniejsze, możliwość pracy w zawodzie prawnika, podczas gdy jej rówieśnicy ciągle musieli koloryzować na temat nieistniejących przyjaźni z gwiazdami filmowymi, pomoże jej zachować poczucie wyższości nad resztą próbujących zrobić karierę.

To oznaczało przyjęcie oferty pracy w Y&W. Seth przekonał pozostałych partnerów, że Josie przejdą aspiracje zostania producentem i stanie się jednym z ich firmowych rekinów. Jednakże przed końcem roku oczywiste było, że jest wręcz przeciwnie. Wszystko, czego Josie się dowiedziała w ciągu pierwszych sześciu miesięcy, potwierdzało słuszność rad Neli, Catherine i Jonathana. Była przekonana, że ma duszę producenta.

- Czy na pewno wiesz, co robisz? - zapytał Seth.

- Tak.

- Znasz to powiedzenie, że kiedy film robi klapę, to wina producenta, ale jeśli odnosi sukces, to dzięki wszystkim pozostałym.

- Tak, słyszałam. Nie przejmuję się tym.

- Posłuchaj, Josie. Rozmawiamy o twojej przyszłej karierze, nie o jakiejś dorywczej pracy. Powinnaś poczekać, aż wyrobisz sobie nazwisko, żeby użyć twojego określenia. To wymaga czasu, kontaktów, układów. Na razie twoim celem powinno być to, żeby wszyscy polubili Josephine O'Leary. Potem przyjdą bilety pierwszej klasy.

- Nie. Z całym szacunkiem, nie masz racji - odparła.

- Nie mam racji?

- Ludzie nie muszą mnie lubić, nie przejmuję się tym. Będę nikim, dopóki nie będę miała wrogów. Ludzie mnie nie lubią, to świetnie. Cudownie. Dzięki temu zaczną o mnie mówić, zrobi się szum. Nie umiem pisać ani grać, ale chcę, żeby moje nazwisko ukazywało się w napisach dużymi literami. Produkcja filmowa to moja jedyna szansa.

- Dobrzy producenci ciężko pracują.

- Ja nie będę tego typu producentem. Przecież do tego zatrudnia się ludzi. Ja będę producentem „twórczym”, to zupełnie co innego.

- Nie, to nie jest co innego. - Seth urwał. - Och, zresztą rób, co chcesz. Wiesz wszystko najlepiej, prawda? Nie chcę cię przekonywać, że tak nie jest. Ale powiem ci jedno: mogłabyś być bardzo dobrym prawnikiem.

- Wiem, ale kiedy ostatni raz widziałeś, jak prawnik dostaje Oscara?

Seth poddał się i szybko załatwił jej pracę w Unforgettable Films Inc. (beznadziejnie staroświeckiej) firmie produkcyjnej swego starego kolegi, Wallace'a Pickeringa.

Zatrudniając Josie, Wallace Pickering postawił sprawę jasno, mówiąc, że potrzebuje kogoś do czytania scenariuszy oraz spotykania się z pisarzami i że pod żadnym pozorem - „chcę, żeby to było zupełnie jasne” - nie będą jej się należały ani nie powinna oczekiwać żadnych dodatkowych świadczeń ani awansów należących się osobie na stanowisku Dyrektora Rozwoju Scenariuszy, będącej jej bezpośrednim zwierzchnikiem. To stanowisko obecnie zajmowała Priscilla, ukochana bratanica Wallace'a, która ostatnio przeprowadziła się do Kalifornii z Nowego Jorku, ponieważ zdecydowała, że (niekoniecznie w tej kolejności): nie cierpi pracować w redakcji magazynu, nie cierpi swego chłopaka, z którym jest od siedmiu lat, nie cierpi mieszkania, które kupili na Upper West Side,

nie cierpi całego instynktownie liberalnego, pełnego hipokryzji i pretensjonalnie intelektualnego Północnego Wschodu. Postanowiła, że musi zatrzymać powódź złych filmów zalewającą kina i pomóc przemysłowi filmowemu dzięki swej wybitnej inteligencji i unikalnemu rozumieniu życzeń przeciętnego Amerykanina dotyczących rozrywki. Ta zmiana miejsca zamieszkania i zawodu okazała się bardzo łatwa dzięki temu, że wuj Wallace, dawniej wpływowego człowieka Hollywoodu, z miejsca ją zatrudnił. Dlatego też czytając żałosne historie

o ludziach, którzy nie mogli znaleźć pracy w przemyśle filmowym, zakładała, że pewnie nie są wystarczająco utalentowani, nie dość zdyscyplinowani albo nie dość agresywni na to, żeby ich gdzieś przyjęto.

Priscilla Pickering była szefową Josie. Młodsza, ładniejsza

i w dodatku bratanica szefa; okazywała Josie protekcyjną łaskawość. Priscilla czuła, że żaden prawnik z prawdziwego zdarzenia nie odszedłby z takiej firmy jak Y & W. Była pewna, że coś jest nie tak z młodą kobietą, która rzuciła stałą, dobrze płatną pracę dla niskiego i słabo opłacanego stanowiska gdzie indziej. Skłonna była okazywać jej troskę - w rozsądnym wymiarze - oczywiście do czasu, gdy Josie zacznie się stawiać w sposób zupełnie nieuzasadniony kwalifikacjami oraz/tub doświadczeniem. Wtedy Priscilla będzie miała okazję do przećwiczenia swych umiejętności zwalniania ludzi z pracy. (Priscilla wyobrażała sobie nawet fragment swej przyszłej biografii: „twarda szefowa, która radziła sobie z trudnymi sprawami elegancko i stanowczo”).

Tego dnia siedząca koło recepcji Priscilla widziała, jak Josie wjeżdża na parking. Spojrzała na zegarek.

- Dzień dobry - powiedziała Josie, otwierając szklane drzwi. Priscilla znów spojrzała na zegarek, podnosząc rękę do oczu teatralnym gestem.

- Jest pół do dziesiątej - stwierdziła, opuszczając ją na kolana.

- Zgadza się.

Priscilla starannie złożyła „Daily Variety”. - Nie chcę być surowa, naprawdę nie chcę, ale nie możesz się spóźniać do pracy. To niedopuszczalne.

- Słucham?

Chuda jak szkielet Priscilla skrzywiła się. - Proszę cię

- powiedziała, jakby Josie zamierzała zacząć recytację bezsensownych wymówek.

- Nie wiedziałam...

Zatrudniając ją, Wallace powiedział, że biuro pracuje od dziewiątej do szóstej, lecz Josie nigdy nie przestrzegała ustalonych godzin. Nie była sprzedawczynią.

- Posłuchaj, Josie - podjęła Priscilla. - To ważne. Punktualne przychodzenie na czas jest ważne. To miasto cię wykończy, jeżeli odpuścisz choć na sekundę. Obiecałam mu, że ci tego nie powiem, ale wuj Wally to zauważa. Nie powiedział tego dosłownie, ale po prostu zgodził się z moją opinią, że musimy być bardzo profesjonalni, ponieważ to taka mała firma. Wiedząc, że jesteś prawnikiem i tak dalej, chyba po prostu oczekiwał, że punktualność nie sprawi ci trudności, ale jeżeli tak nie jest, to pewnie powinnaś znaleźć jakiś sposób na wcześniejsze wstawanie. Może nastaw budzik o pół godziny wcześniej?

Kiedy Priscilla mówiła, trzęsła jej się głowa - może dlatego, że była nieproporcjonalnie duża w stosunku do ciała

- i taka długa przemowa kosztowała ją wiele energii. Josie gapiała się na podskakującą głowę Priscilli, jakby potakującą co trzecie słowo: tak nie jeść (skinienie głową), pół godziny *wcześniej* (skinienie głową).

- Mogę tu być o... - Priscilla czuje się zagrożona, pomyślała Josie i łaskawie ustąpiła. - Będę przychodzić o dziewiątej - powiedziała.

- Oczywiście jeżeli są jakieś okoliczności łagodzące...

- Priscilla wróciła do czytania „Variety”.

- Czy wiesz, kto zaparkował na moim miejscu? - zapytała Josie.

- Przepraszam? - Priscilla gwałtownie podniosła głowę, blond włosy opadły do tyłu. - Na twoim miejscu?

- Tak.

Jeżeli nie może mieć swojego miejsca na parkingu, równie dobrze może od razu rzucić pracę i wrócić do Portland.

Priscilla zrezygnowała z walki. - Nie wiem. Jestem tu od pół do dziesiątej i nikogo prócz ciebie nie widziałam.

- Wallace?

- W corolli? Za nic w świecie. Poza tym on nigdy nie przychodzi przed pół do dziesiątej.

W tym momencie otworzyły się drzwi do gabinetu Wallace[^]. Najpierw pojawił się w nich on sam, wysoki i przygarbiony jak słonecznik, który za chwilę się złamie. Krążyły plotki, że choruje na jakiś rodzaj raka, lecz jego zachowanie w biurze wcale się nie zmieniło - był łaskawy, chociaż surowy - więc z wyjątkiem takich chwil jak ta, kiedy Josie widziała go z daleka i oczywiście było, że samo poruszanie się sprawia mu trudność, zakładała, że plotki są nieprawdziwe.

- Cześć, dziewczyny - powiedział. - Jesteście tak wcześnie?

- Nie tak wcześnie jak ty - odparła Priscilla. - To ty jesteś dziś rannym ptaszkiem.

- Cześć, Wallace - rzuciła szybko Josie, chcąc zatuszować głupie powiedzenie Priscilli, która, choć lodowata i wyniosła, plotła czasem, co jej ślina na język przyniesie.

Ktoś wyszedł z biura za Wallacem. Josie odwróciła się. Stał przed nią Henry Antonelli.

Henry Antonelli. Odruchowo zrobiła krok do tyłu, gdy poraziła ją świadomość i blask jego publicznego wizerunku. Trener koni wyścigowych, który stał się gwiazdą filmową. Gwiazdą filmów akcji i filmów przygodowych. Gwiazdą romansów. Legendarne niebieskie oczy. Przystojny w wieku sześćdziesięciu dwóch czy siedemdziesięciu pięciu, czy ile

tam miał lat. Skromny. Czarujący. Człowiek, który zdawał się unikać zachowania typowego dla wszystkich próbujących się przebić w Hollywood. Człowiek, który triumfalnie wspiął się na szczyt góry *nieprzejmowania się*, a jednocześnie udał mu się wyczyn sprawiania wrażenia kogoś skromnego.

Kochała go cała Ameryka: starzy, młodzi, biali, czarni, mężczyźni i kobiety. Był jak dobrze znany, lecz imponujący nam krewny - zawsze chętnie przyjmowany i zawsze żegnany z żalem.

Josie spojrzała mu w oczy. Zapominając, że właściwie jest najniższym postawionym pracownikiem Unforgettable Films Inc. Wallace'a Pickeringa, ruszyła w stronę gwiazdy.

- Josephine O'Leary - oświadczyła, wyciągając rękę. - Jestem pana wielką wielbicielką.

Priscilla Pickering trwała w bezruchu. Zdawała się przy-murowana do skórzanej kanapy w recepcji.

- Priscilla - powiedział Wallace - chodź, poznaj Hen-ry'ego.

Priscilla wstała, a „Variety” spadło z jej kolan na podłogę. Josie widziała, że jest wzburzona, ponieważ się nie schyliła, żeby podnieść gazetę, choć na pierwszy rzut oka zdawała się równie nieprzenikniona jak zwykle.

- Witaj, Henry - powiedziała. Obserwująca ją Josie wyczuła, że Priscilla zachowuje się tak również ze względu na nią. Toczyła z Josie jedną z tych prywatnych, wewnętrznych wojen o zdobycie przewagi w bardzo ważnych milisekundach pierwszych spotkań. Grała rolę „nieustępliwego dyrektora w firmie produkcji filmowej”, podczas gdy Josie przypadła partia „przesadnie entuzjastycznej, przesadnie pełnej szacunku nowicjuszek”. Josie kusiło, żeby zwrócić uwagę wszystkich obecnych na ten cichy pojedynek, lecz wtedy Henry zwrócił się do niej.

- Powiedziałaś „Josephine”? - zapytał. - Moja babcia miała na imię Josephine.

- Nazwano mnie tak po dziewczynie ojca - odparła Josie.

Henry uśmiechnął się. - Wyrozumiała mama - powiedział. Uśmiechał się, nie otwierając ust, sposobem, który oczarował tysiące kinowych widzów.

Gaża Antonellego za film przekraczała dwadzieścia pięć milionów dolarów, ale środki masowego przekazu nie zwracały na to uwagi, portretując człowieka, którego talent aktorski dorównywał jego legendarnej życzliwości. Od dawna był najświetniejszą i najbardziej szanowaną gwiazdą, a po jedenastym wrześniu, kiedy chętnie schodził ze sceny do widzów na masowych imprezach na rzecz rodzin ofiar, mówiąc: „My jesteśmy jedynie komediantami, to oni są bohaterami” - umocnił tylko powszechną wiarę w swą skromność.

- To ty zaparkowałaś na miejscu Josie - powiedziała Priscilla do Henry'ego.

Josie wzdrygnęła się. Priscilla wbiła jej w bok niewidzialną szpadę.

- Nie sądzę... - zaczęła Josie.

- Brudna corolla? - zapytał Henry. Uśmiechnął się i Josie wiedziała, że ma przewagę.

- Nie taka brudna i jest to idealny samochód kamuflujący. - Miała rację. Pozorowanie Przeciwiństwa.

- Taak, ale nie przeceniaj mnie. Mercedes jest w warsztacie.

- Mój też - powiedziała Josie. Roześmieli się i Josie zastanowiła się, jak to by było pójść do łóżka z Henrym Antonellim.

- Nowiutki kabriolet saab Josie jest dokładnie taki jak twoja corolla, dokładnie taki sam. - Priscilla uśmiechnęła się, pokazując drobne ząbki, którymi zgrzytała w nocy, mimo specjalnej nakładki ochronnej. - Corolla i saab niczym się od siebie nie różnią.

- O czym ty mówisz? - Josie starała się mówić jak najgrzeczniej. - Oczywiście, że te samochody się różnią... Och, rozumiem, Priscilla chce, żebyś powiedziała prawdę. Nie mam mercedesa, mam saaba.

Priscilla rzuciła jej mordercze spojrzenie.

- Ja też mam saaba - powiedział Henry. - Świetny samochód.

Josie poczuła radosne podniecenie wywołane idealnym kobiecym triumfem - nie dlatego, że Henry kochał saaby, ale dlatego, że widziała, jak wodzi wzrokiem po jej wytrenowanym dzięki pilates, pozbawionym tłuszczu ciele, idealny rozmiar sześć.

- No dobrze. - Henry podszedł do Wallace'a i uściśnął mu rękę na pożegnanie. - Dziękuję ci. Jak zawsze.

- Nie ma za co - odpowiedział Wallace. - Cieszę się, że właśnie do mnie przyszedłeś.

Henry skinął głową Priscilli i Josie i wyszedł. Ośmielona tym spotkaniem i rozgniewana próbą cichego upokorzenia jej przez Priscillę, Josie odezwała się: - Jeśli masz do mnie o coś pretensję, wołałabym, żebyś to powiedziała wprost. Sądzę, że twój złośliwy komentarz o samochodach nie zrobił dobrego wrażenia.

- Słucham? - powiedziała Priscilla. - Słucham? - powtórzyła głośniejszym głosem. Wallace przechylił głowę.

- Czy coś nie w porządku? - zapytał.

- Właśnie próbuję się dowiedzieć - odpowiedziała Josie.

- Wszystko w porządku - odrzekła Priscilla, lecz spojrzała na Josie i widać było, że w środku aż się gotuje. Josie, tymczasowo ułagodzona, wybrała godne zejście ze sceny.

- Przystawię samochód - powiedziała, biorąc kluczyki.

Kiedy szła po schodach, pogratulowała sobie, że nie zniżyła się do poziomu Priscilli. Priscilla jest skazana na przeciętność, na granie ogonów, myślała Josie. Nie warto się na nią gniewać.

Josie znów poczuła, że osiąga nowy szczyt emocjonalnej dojrzałości. Stosunkowo łatwo było jej zachować spokój w obliczu Priscilli, pomimo małostkowych docinków. Przypisywała ten spokój jakiemuś silnemu, wewnętrznemu

przekonaniu, że w przyszłości czeka ją kariera, może nawet światowa.

Podeszła do samochodu i zamierzała wsiąść, gdy zauważyła wciśnięty pod wycieraczkę kawałek papieru. Wyciągnęła go. Zadrżała, czytając napisane wiecznym piórem litery. Ta cienka biała karteczka, tak lekka, tak delikatna, była motorem radykalnej i ogromnej zmiany jej położenia. Josie zamknęła na chwilę oczy i nabrała w płuca wiosennego powietrza Południowej Kalifornii, zapominając, że zajmuje niskie stanowisko w przeciętnej firmie i właśnie stoi na nijakim parkingu na tyłach bulwaru Wilshire.

Otworzyła oczy w jasnym przedpołudniowym słońcu i znów ujrzała nadzwyczajne słowa. Jej ciało zadrżało w poczuciu uskrzydłającego, wspaniałego triumfu.

*310-655-2341. Zadzwoń. H.
PS Świetny samochód.*

Rozdział drugi

Carla Trousse dzieliła nowojorczyków na dwie kategorie: tych, którzy po wycieczce samochodowej odwozili cię do domu (ludzie „drzwiowi”), oraz tych, odwożących na stację metra najbliższą ich mieszkania (ludzie „metrowi”). Człowiek, który właśnie przeprowadzał z nią rozmowę kwalifikacyjną w sprawie pracy - pierwszej po czterech miesiącach bezrobocia - niewątpliwie należał do gatunku metrowych. Niedobrze to o nim świadczyło, ale nie rezygnowała - potrzebowała pracy.

- Widzę ciągle przykłady, że uniwersytety nie uczą studentów pisać, a to jest dla mnie ustawicznie źródłem zdenerwowania. Wydaje mi się odrażające, naprawdę, nieomal złowieszcze. Wszystkie wielkie społeczeństwa powstają dzięki możliwości porozumiewania się. A jak mają się porozumieć, jeżeli nie umieją pisać? Jak? - Poczerwieniała, słowa płynęły z jej ust niefiltrowane. - Naprawdę. To odrażające. Absolutny brak szacunku dla pisania nawet na naszych najbardziej prestiżowych uczelniach. Jestem tego pewna. Chodzi mi o to, że zostałam przyjęta na Harvard, ale moja matka nie... ale to inna sprawa. Ja piszę całe życie. Zaczęłam w wieku lat trzech.

- Trzech?

- Trzech. Moja matka była... była bardzo oddana swoim dążeniom i ja nie zawsze się do nich zaliczałam, ale z każdego doświadczenia człowiek może się czegoś nauczyć i jeżeli tylko ujdzie z życiem, wychodzi mu to na dobre, prawda?

Moja matka jest pielęgniarką, pielęgniarką z magisterium uniwersytetu w Pensylwanii, aktywistką. Zabierała mnie i mojego brata ciotecznego Phillipa na różne demonstracje: o równe prawa dla wszystkich obywateli, przeciw aborcji, chodziła dosłownie na wszystkie i zabierała nas, i naprawdę nie ma lepszego sposobu zachęcenia dzieci do zwrócenia uwagi na to, co się dzieje dookoła. I naprawdę, właśnie to jest najważniejsze. Zwracanie uwagi. To i umiejętność p o -rozumienia. Porozumienia za pomocą słowa pisanego, tak jak to robiono przed e-mailem, przed internetem, przed komputerem, nawet przed maszyną do pisania. Czy to zbieg okoliczności, że jakoś pisanie spadła na łeb na szyję wraz z rozwojem technologii? Nie sędzę. Często myślę, że bylibyśmy o wiele lepszym społeczeństwem, gdybyśmy po prostu przestali używać klawiatur i chwycili za pióra.

Carla Trousse przerwała porażona strachem, że za dużo mówi, ale zadowolona, że udało jej się zebrać rozbiegane myśli i wrócić znów do kwestii pisania. Przecież tego dotyczyła rozmowa.

- No tak - powiedział mężczyzna siedzący po drugiej stronie biurka. - Tak.

Carla gapiła się na niego. Był w średnim wieku, chudy, łysiał i nosił okulary. Miał zaczerwienioną skórę i uprasowane ubranie - zarówno koszulę, jak i džinsy. Nosił mokasyny firmy Gucci. I biadolił. Biadolił jak szczur Templeton z *Pajęczyny Charlotte*.

- Czy sądzi pani, że z tej przyczyny pisanie tekstów marketingowych dla firmy zajmującej się rozwojem technologii może stanowić dla pani problem? - uśmiechnął się ów mężczyzna, George Schmidt.

- Och, nie - przerwała zaniepokojona. - Nie, wcale nie. Nie zamierzałam wyszydzać rozwoju technologii, skądże znowu, technologia jest bajeczna, wyprowadziła Amerykę na pierwsze miejsce wśród krajów świata, co nie znaczy, że

wcześniej tam już nie byliśmy, oczywiście, zakładając nawet, że ktoś, tak jak ja, ma pewne pretensje do rządów republikańskich. Bo proszę pomyśleć: czy naprawdę powinniśmy zmuszać inne kraje na kuli ziemskiej do przestrzegania wszystkich naszych zasad, kiedy każdy wie, że to nie jest dla dobra świata, tylko dla dobra niektórych ludzi, i wszyscy ci ludzie są niestety białymi mężczyznami, chociaż kobiety są niewiele lepsze, to znaczy: niektóre kobiety, ale chcę powiedzieć, że mogę pisać wszystko, co mi każecie, krótko mówiąc. Choć nie mówiłam zbyt krótko.

Zakryła ręką usta, milcząco ganiąc się za gadulstwo. Zawsze tyle gadała, kiedy czuła się niepewnie. George Schmidt milczał i to milczenie się przeciągało.

- Chodzi o to, że potrzebuję pracy - oświadczyła Carla tak ulegle, jak tylko mogła.

- Tak - powiedział George Schmidt. - Dziękuję, że się pani fatygowała. Będziemy w kontakcie.

Wyszła zaniepokojona z wyłożonego boazerią biura. Od czterech miesięcy była bezrobotna. Została wyrzucona z pracy, w której zajmowała się pisanem instrukcji obsługi, ponieważ pokłóciła się z szefem, broniąc swojej decyzji o zmianie tekstu. - Czy jesteśmy małpami? Czy dlatego musimy ciągle drukować nieprzystępnie napisane broszurki, których nie umiałby rozszyfrować absolwent MIT, podczas gdy użytkownik chce po prostu skopiować DVD? Dlaczego nie możemy tego zmienić, dlaczego nie możemy zasłynąć jako jedyna firma, która ma zrozumiałe instrukcje obsługi?

Szef pokręcił głową i powiedział: - Pakuj się i wynoś. W tej chwili.

W tydzień później redaktor magazynu literackiego „AEIOU” z Greenwich Village, do którego pisywała recenzje książek po pięćdziesiąt dolarów za sztukę, powiedział, że powinna poszukać odpowiedniejszej pracy. Kolegium redakcyjne doszło do wniosku, że jej recenzje są zbyt złośliwe. Carla zaprotestowała.

Ta książka była zła. ZŁA. Oczywiście, że powiedziałam, że jest nie warta, bo jest NIC NIEWARTA. Nie po to studiowałam przez dziesięć lat Prousta i Flauberta, żeby pisać słodkiutkie recenzje niezrozumiałych powieści autorstwa ludzi, którzy są wydawani tylko dlatego, że ich jedynym talentem jest fotogeniczność. Chcę, żeby im było przykro! Może przestaną pisać i zrobią miejsce dla innych, naprawdę utalentowanych!

Redaktor wysłuchał jej uprzejmie i spokojnie powiedział: - Najwyraźniej będzie pani szczęśliwsza w innej pracy. Nikt nie ma pretensji. Jest na świecie miejsce dla ludzi, którzy kochają książki.

Od tego czasu nie miała pracy ani dochodu. Jej kuzyn, Phillip, pomógł jak zwykle - płacił jej czynsz i dawał pewną sumę, pozwalającą przeżyć na zasiłku dla bezrobotnych. Ale zasiłek się kończył i w chwilach takich jak ta, kiedy wychodziła z biura George'a Schmidta z uczuciem mdłości w żołądku, czuła się bezwartościowa.

Postanowiła pójść popisać do parku Riverside na Upper West Side. Pączki kwiatów, matki z dziećmi, ludzie na rowerach, młodzi zakochani - to wszystko mogło dodać jej animuszu. Może wielka rzeka Hudson dostarczy inspiracji. Chciała skończyć trzydzieste trzecie opowiadanie o „salonie artystycznym” w Tribeca, gdzie pisarki-neofitki o długich włosach i wąskich biodrach paliły papierosy i cedząc słowa, opowiadały o dawnym życiu w luksusie, przez cały czas kombinując, jak wyjść za mąż za faceta najbogatszego z obecnych. Nie były pisarkami, lecz koloryzatorkami.

Po kwadransie jazdy metrem w górę Manhattanu, stanął przed nią mężczyzna w czapce nowojorskiej drużyny baseballowej Jets. Miał czarny wypchany plecak. Przysiadła niezręcznie na brzegu siedzenia, wiedząc, że nie może się cofnąć i wtłoczyć pomiędzy władczo wyglądającą Murzynkę i równie władczo wyglądającego mężczyznę w garniturze, ponieważ ma za szerokie biodra i nie zmieściłaby się. Uznała, że ponieważ oni pierwsi

wsiedli do pociągu, to ona musi siedzieć przycupnięta na krawędzi pomarańczowego, plastikowego siedzenia.

Metro postukiwało i wiło się po szynach, aż stanęło gwałtownie przy Dziewięćdziesiątej Szóstej Ulicy. Carla trzymała się poręczy przed sobą, wyciągnawszy rękę pomiędzy stojącymi pasażerami. Pociąg właśnie się zatrzymał, gdy człowiek z plecakiem odwrócił się szybko, a plecak uderzył Carlę w twarz.

- Proszę pana! - zaskomlała. - Przepraszam!

- Hej? - powiedział olbrzym.

- Pana torba jest niebezpieczna.

- Co? - zapytał, wysiadając. Długość jego kroków była proporcjonalna do olbrzymiego wzrostu. Wyprzedził Carlę, lecz ją bolał policzek i była rozdrażniona, więc szybko za nim podreptała.

- Hej! - uderzyła go w ramię.

- Co pani odbiło? - Zatrzymał się przed nią. Jakiś biegnący chłopczyk zderzył się z jego kolanem.

- Mamo! - krzyknął, a matka chwyciła synka za rękę, rzucając wściekłe spojrzenie Carli i mężczyźnie, którzy stali naprzeciwko siebie.

- Przepraszam - powiedział mężczyzna do matki i chłopca.

- To ta jego torba - wyjaśniła Carla.

- Jego torba? - zapytała matka.

- Moja torba? - powtórzył mężczyzna.

- To! - Carla wskazała plecak-winowajcę. - Dwa razy uderzył mnie w policzek, dwa razy! W pociągu. Powinien pan uważać. Może pan komuś zrobić krzywdę.

- Żartuje pani. Już komuś zrobił krzywdę. - Matka pociągnęła chłopca za rękę, a Carla pomyślała, że gdyby miała syna, nigdy nie ciągnęłaby go za kończyny, jakby był szmacianą lalką.

- Chce pani powiedzieć, że nie mogę mieć w pociągu plecaka? - Olbrzym skrzywił się, jakby ta kłótnia wydzielala nieprzyjemny zapach.

- Niech pan spojrzy na mój policzek! - nalegała Carla.

- Ja nic na nim nie widzę - powiedziała matka, odwracając się ku schodom i szarpiąc syna za rękę.

- Nic pani nie jest. Powinna pani patrzeć, dokąd pani idzie. To zatłoczony pociąg, Nowy Jork, prawda? Nie ma pani nic lepszego do roboty? - Mężczyzna potarł ręką policzek. Carla zauważyła, że jego dłoń była dziwnie mała jak na tak wielkiego mężczyznę. Spojrzał na nią jeszcze raz, niewątpliwie zauważając czerwone okulary, pomarańczowy sweter zsuwający się z ramienia jakby na pamiątkę filmu *Flashdance*, dzinsy spłowiałe nie specjalnie, ale od znoszenia, i figurę rozmiar czternaście (tak jak większość kobiet amerykańskich -przypomniwała sobie).

- Musi pani mieć coś lepszego do roboty niż czepianie się mnie - wymamrotał, potem odwrócił się i ruszył w górę szarymi betonowymi schodami, zostawiając Carlę samą w wilgotnym korytarzu metra.

Nie miała nic lepszego do roboty. Taka była prawda. Czar parku Riverside nagle zbladł i Carla przesiedziała kolejnych sześć godzin na drewnianej ławce na stacji metra przy Dziewięćdziesiątej Szóstej Ulicy.

Patrząc na ludzi wysiadających i wsiadających do pociągów, wyobrażała sobie ich życie, oceniała ubrania, sposób, w jaki stali, pochylali się i spacerowali po peronie. Widziała ich ruch i desperację. Nieświadoma niczego przyglądała się nowojorczykom, spieszącym się, myślącym, zapominającym.

Kiedy w końcu się podniosła i postanowiwszy wrócić do domu, wsiadła do pociągu jadącego do centrum, zauważyła, że znajduje się w jednym z tych nowoczesnych wagonów, które powoli miały zastępować stare. Był jaśniejszy, czystszy i Carla uznała, że ten przypadkowy wybór wagonu był znakiem, że czeka ją w przyszłości coś lepszego.

Być może ten dzień spędzony w metrze był jej potrzebny, żeby zebrać myśli i przebudować swoje życie.

Wysiadła przy Czternastej Ulicy. Mieszkała w sercu West Village, przy zadrzewionej alei z wysokimi kamienicami i budynkami z czerwonej cegły o grubych murach. Jej dom był jedynym wyjątkiem - odrapany biały tynk, fioletowo-szare schodki z połamanymi krawędziami. Kiedy wchodziła przez frontowe drzwi, odpadł górny zawias, drzwi się otworzyły i tak już zostały. Carla nie zadała sobie trudu, żeby je za sobą zamknąć - ucieszyłby ją dramatyzm jakiegoś włamania i wcale się nie przejmowała, że inni lokatorzy mogli się z nią nie zgodzić.

Zdaniem Carli jej umiejętność znoszenia dziwacznych aspektów nielegalnego podnajmowania mieszkań w Nowym Jorku dowodziła, że posiada nieoceniony dar powściągliwości i opanowania. Płaciła Tommy'emu Quickly wyśrubowany czynsz za mieszkanie na trzecim piętrze bez windy, w domu podlegającym ograniczeniu wysokości czynszów, lecz nawet ta wyśrubowana opłata była niższa niż cena rynkowa - tysiąc sześćset dolarów miesięcznie to prawie darmo. Nie dawało jej spokoju, że nie ma dochodu, że kończy się jej zasiłek dla bezrobotnych i że kuzyn Phillip zapłacił za nią rachunki za kartę kredytową w wysokości siedemnastu tysięcy dolarów. Udawało jej się uniknąć ataków wyrzutów sumienia tylko dzięki ciągłym psychicznym przechyłom, unikom i zapewnianiu siebie samej, że jej inteligencja i wielkie serce zjedną sobie w końcu przychylność nietaktownych warunków ekonomicznych współczesnego Manhattanu.

Otworzyła drzwi do mieszkania. Zmierzch wlewał się do dwóch pokoi i gromadził pod parapetami nowych okien, niepasujących do wnętrza o bielonych ścianach i nierównych podłogach. Carla doszła do wniosku, że ostatni remont budynku musiał zostać przeprowadzony około tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego roku, kiedy to niewątpliwie „przedwojenne”, wbudowane w ścianę regały i chwiejne przeszklone drzwi były na pewno nieskazitelnie nowe i urokliwe.

Jedyną zaletą mieszkania był dostęp do pochylego, pomalowanego na srebrno, niebezpiecznego dachu. Większość lokatorów z niego nie korzystała, ale mieszkająca na ostatnim piętrze Carla podczas letnich miesięcy przebywała na dachu, kiedy tylko mogła. Opalała się nago i czuła się bardzo nowocześnie, nawet wtedy, gdy grafik i ilustrator w jednej osobie mieszkający pod nią wpakował się także na dach i na widok nagiej Carli zawrócił i uciekł, kręcąc głową.

Najgorsze było to, że mieszkanie miało tylko jeden zlew - służył więc do zmywania i mycia zębów. Paul Zeig, ostatni mężczyzna, z którym się całowała, rozejrzał się raz dookoła i powiedział: „to musi być przygnębiające”. Te słowa były dowodem tak wyjątkowego braku wrażliwości, że kiedy Paul zaczął spotykać się z kobietą, która właśnie została partnerem w firmie Goldman Sachs, Carla uznała, że spotyka go zasłużona kara. Paul zostawił jej swój zegarek Timex Ironman. Carla nosiła go codziennie, mimo że bateria się wyczerpała.

W mieszkaniu było jedno lustro, mniej więcej kwadratowe, wielkości typowego albumu ze zdjęciami ślubnymi, przyklejone do drzwiczek szafki w łazience. Codziennie rano Carla spędzała pierwsze pół godziny na przyglądaniu się sobie. Każdego dnia odprawiała ten sam rytuał: staranne skubanie brwi, wnikliwe badanie włosów rosnących na brodzie i nad górną wargą, szukanie zmarszczek głębszych niż przedtem, a po ich znalezieniu - skupione, leczące spojrzenie. Tak długo wpatrywała się w każdą problematyczną część twarzy, że wkrótce zaczynała jej się wydawać nieszkodliwa i nijaka. Ta umiejętność przyglądania się sobie była wypraktykowana i miała naprawdę szeroki zakres. Carla wiedziała z doświadczenia, że rozmyślanie nad niezbyt kształtnymi wargami i głęboko osadzonymi, niewielkimi niebieskimi oczami, nic nie daje. Ale teraz, stojąc przed lustrem, poczuła, że sama doznaje wstrząsu na widok włas-

nego odbicia. Kim jest ta kobieta w okularach, o szerokiej twarzy i okazałym podbródkiem?

Odwróciła się gwałtownie, wyszła z łazienki i podeszła do drewnianego biurka stojącego między dwoma regałami. Po prawej stronie leżała otwarta powieść, którą właśnie czytała: *Grotesques* jej ulubionego autora, E.R. Robina. Laptop, zeszłoroczny prezent gwiazdkowy od Phillipa, drzemał. Wcisnęła spację i ekran rozjaśnił się. Doszła do wniosku, że na pewno nie dostanie pracy, o której rozmawiała z George'em Schmidtem, i ujrzała sumę topniejącą na koncie równie systematycznie jak szpitalna kroplówka. Połączyła się z internetem, chcąc przeczytać e-mail.

Miała trzy wiadomości:

30-LETNIA POŻYCZKA MIESZKANIOWA NA STAŁY PROCENT 5.25%! ZDECYDUJ SIĘ TERAZ! POWIĘKSZANIE PENISA-TANIO! i OD PAULETTE.

Carla zawahała się przed otwarciem wiadomości od ciotki Paulette. Nie pamiętała, za pomocą jakiej organizacji Paulette ratuje obecnie świat, ale była pewna, że jest to coś odpowiednio szlachetnego i odpowiednio samolubnego. Przekonanie o słuszności własnych racji tych kobiet, które używały wybranego powołania jako narzędzia do wywoływania wyrzutów sumienia u innych, których altruizm nie był równie widoczny, zawsze wprawiało Carlę w zakłopotanie. Podczas ostatniego spotkania, w czasie Święta Dziękczynienia dwa lata temu, pokłóciły się.

Carla pracowała kiedyś dla producenta reklam telewizyjnych i opowiadała rodzinie o kimś, kogo właśnie zatrudnił. Była to pozbawiona inteligencji, długonoga kobieta imieniem Dawn.

- To kompletna idiotka, ale Linusowi to nie przeszkadza. - Carla zdenerwowała się na samą myśl o Dawn.

- Wiesz, Carla - wtrąciła ciotka Paulette - niektóre kobiety jednocześnie umieją być i atrakcyjne, i inteligentne.

- Oczywiście, ale nie w tym przypadku.

- Może i nie.
- Nie „może i nie”, tylko niewątpliwie tak. Pracuję tam, rozmawiałam z nią. Naprawdę nie jestem pewna, czy umie czytać.
- Na pewno umie czytać.
- Przesadzam, ale zapewniam cię, że mądra to ona nie jest i że zatrudnił ją z powodu urody.
- Może i tak. - Tym razem Paulette uśmiechnęła się z wyższością, a przynajmniej tak się Carli wydawało. To ją zdenerwowało. Dlaczego Paulette nie może się z nią po prostu zgodzić? Dlaczego to dla niej takie trudne?
- Nie masz racji.
- Może i nie.
- Dlaczego to powtarzasz? Jak mam ci udowodnić? Na podstawie ocen z matury? Wypracowania? - Twarz Carli pokryła się potem, czuła się atakowana.
- To nie jest kwestia tego, czy mam rację, czy nie.
- Jest.
- Carla, kochanie, o co jesteś naprawdę zła?
- Na te słowa Carla wstała, zirytowana i urażona. - To nie jest sesja psychoterapii. Jestem zła, ponieważ specjalnie masz ambiwalentny stosunek do czegoś, co nie pozostawia żadnych wątpliwości.
- No cóż, mam inne zdanie. To chyba dozwolone?
- Nie uważasz, że niektórzy mężczyźni zatrudniają kobiety ze względu na wygląd?
- Uważam, że bardzo chcesz, żebym się z tobą zgodziła, ale w świetle dowodów, które przedstawiasz, nie mogę.
- Dlaczego nie możesz?! - krzyknęła Carla.
- Carla, uspokój się - wtrącił się Phillip.
- Nie uspokoję się! Dlaczego nie może się ze mną zgodzić? Nawet jeżeli nie mam racji, jeżeli Dawn jest geniuszem, dlaczego nie może choć raz powiedzieć, że twoja siostrzenica Carla Trousse ma w jakiejś kwestii rację? Dlaczego

to jest takie cholernie trudne? Dlaczego nie może po prostu skłamać?

Paulette siedziała naprzeciwko Carli i próbowała bezskutecznie powstrzymać uśmiech. Miała siwe włosy - długie, proste i wspaniałe, w uszach wiszące kolczyki z małutkimi topazami. Ubrana była w idealnie udrapowany kaszmirowy sweter i tweedowe spodnie. Złość przyśpieszyła oddech Carli, wzburzyła krew. Zdawało się, że dostanie piany na ustach. Nienawidziła, kiedy ktoś był tak ograniczony, że nie pozwalał własnym poglądom nawet poplirtować z poglądami innych. Była to cecha ludzi prawdziwie samolubnych, którzy pod pretekstem uczciwości nie przyznawali, że w istocie się wywyższają. - Jestem po prostu uczciwa - mawiała Paulette. - Nie muszę się z nią zgadzać tylko dlatego, że ona tego chce, prawda?

Carla uciekła z pokoju. Nie mogła stłumić płaczu, ale przynajmniej nikt jej nie widział. Słyszała, jak Paulette mówi: - Jest taka drażliwa. Dlaczego się zrobiła taka drażliwa?

Urażona i zawstydzona Carla zamknęła się w łazience.

Od tego czasu ani razu nie rozmawiały. A teraz Carla dostała od ciotki wiadomość.

Kliknęła „Otwórz” i usiadła wygodnie.

Cześć, Carla. Na pewno zdziwi Cię ten list. Nie będę udawała, że nie wiem, iż przeżywasz trudne chwile na nowojorskim bruku - rozmawiam z Phillipem przynajmniej raz w miesiącu. Piszę, bo chcę cię prosić, żebyś przyjechała do Los Angeles. Phillip i Samantha proponują, żebyś u nich zamieszkała, a co więcej, muszę z Tobą o czymś porozmawiać osobiście. To ważne, inaczej nie prosiłabym Cię o przyjazd. Proszę, zastanów się nad tym i nie odmawiaj tylko po to, żeby dowieść swej niezrównanej bezkompromisowości.

Często o Tobie myślę i żałuję, że nie jesteśmy w lepszych stosunkach. Pozdrowienia.

Paulette

Carla odwróciła wzrok od komputera i spojrzała w okno. Wychodziło na północ i czasami mogła zajrzeć do sypialni ludzi mieszkających po drugiej stronie ulicy. Dziś kobieta szła przy kuchennym stole. Retro maszyna do szycia przymocowana do deski, ciemnowłosa głowa pochylona pod kuchenną jarzeniówką. Obrus pod deską był w biało-czerwoną kratkę. W sąsiednim oknie łysy mężczyzna w czarnych okularach siedział na białej kanapie i gapił się na ścianę naprzeciwko - Carla widziała przez okno światło rzucone przez ekran telewizora.

Nie interesowało ją, co Paulette chce jej powiedzieć. Była tylko lekko wkurzona docinkiem na temat swojej „bezkompromisowości”. Przede wszystkim czuła się... nijaka. Nijaka i rozlazła, puc mięsa z oczami i grubymi palcami. Patrzyła na szyjącą kobietę i mężczyznę przed telewizorem i pomyślała, że gdyby tylko mogła obserwować, jak żyją ci ludzie i uczyć się od nich, nawet nie musiałaby wychodzić z mieszkania. Nie musiała słuchać Paulette ani dowiadywać się, co ciotka chce jej powiedzieć. Było jej dobrze w Nowym Jorku, w mieszkaniu w Village, gdy obserwowała sąsiadów. Los Angeles było strasznym, strasznym miejscem pełnym płytkich analfabetów i beznadziejnych głupców bez żadnych prawdziwych myśli i przekonań.

Z wyjątkiem, oczywiście, kuzyna Phillipa.

I Nadine Dillenberger, jej dawnej asystentki z firmy producenta reklam. Nadine bywała męcząca, ale nie była płytka. I uwielbiała czytać.

Był też Jimmy Stigwood, kolega z New York University z płomiennoczerwonymi włosami, który został znanym reporterem dla jednej z gazet przemysłu rozrywkowego. Carla czytała niektóre z jego artykułów i nawet wysłała mu kartkę, że bardzo jej się podobały. Nie odpisał, ale pamiętała, że zawsze był zajęty (golfem, cygarami i kupowaniem muszek), nawet zanim został słynnym dziennikarzem.

W Kalifornii był ktoś jeszcze - nie w Los Angeles, a w Pasadenie - mężczyzna nazwiskiem David Thomas Stegner, lobbysta w Komisji Energetycznej stanu Kalifornia. Skończył uniwersytet Dartmouth razem z Phillipem. Miał około 180 cm wzrostu, stracił większość włosów i oceniał świat uważnymi brązowymi oczami i niezwykle ścisłym umysłem. Był ekspertem we wszystkich kwestiach naukowych, ale miał także talent pisarski i łatwo się irytował, kiedy ludzie zakładali, że nie może być twórczy, ponieważ zna się na naukach ścisłych.

Przespał się z Carlą w wieczór wesela Phillipa i Samantha Seilers, córki jednego z najbardziej pozbawionych skrupułów agentów Los Angeles. Carla i David dogadali się na temat inteligencji Samantha: - Umówmy się, nie jest to najbystrzejszy strumyk w okolicy - powiedział David, kiedy patrzyli na Phillipa i Sannthę kiwających się na parkiecie, a Carla przytaknęła. - Niektórzy mężczyźni nie potrzebują ciągłych wyzwania - wyraziła swoje zdanie. I po sporej ilości wina, muzyki i odkryciu, że zgadzają się praktycznie w każdej kwestii: że studenci amerykańscy powinni studiować za granicą, że radio publiczne NPR jest doskonale oraz że uwielbiają wszystkie filmy z napisami - wskoczyli do łóżka.

Tej nocy Carla czuła się nadspodziewanie spokojna, spokojna i zadowolona. David próbował zrobić na niej wrażenie, cytując poezję i opowiadania, a jej wydawało się to słodkie, jak jedzenie dżemu palcami. To poczucie spokoju w świetle jego zabiegów spowodowało, że David Stegner stał się ważniejszy od tej całej reszty mężczyzn w jej życiu (łącznie z Paulem Zeigiem), którzy zrobili z niej straszliwy, znerwicowany wrak.

Poza tym to spotkanie w czasie wesela dowodziło prawdziwości twierdzenia, że bratnie dusze pojawiają się w życiu, kiedy człowiek tego nie oczekuje. Poszła na wesele Phillipa

sama i pozbawiona nadziei na jakikolwiek romans. Recepcjonistka - niedorozwinięta Dawn - powiedziała, że Carla ma prawo być zazdrosna o szczęście Phillipa i Samantha, lecz Carla zaprzeczyła. Nie była zazdrosna, bardzo się cieszyła.

Dawn powiedziała jej, że się sama oszukuje - każda kobieta byłaby zazdrosna, więc i ona musi być. Carla milczała. Dawn zakładała, że wszystkie kobiety koncentrują się na współzawodnictwie w usidlaniu mężczyzn. Powszechnie uważano, że niezamężne kobiety są zazdrosne o pary małżeńskie, dopóki same nie wyjdą za mąż, więc czekała, aż sztylet zazdrości przebije jej serce, aż zapragnie zerwać Samancie welon. Ale nigdy do tego nie doszło. Najwyżej rozbawiło ją, że niektóre druhnny-idiotki (koleżanki Samantha, oczywiście) przejmowały się tak makijażem i mężczyznami. Jednak nie powiedziała nikomu o tym, że nie jest zazdrosna, pewna była, że wszyscy zareagują tak ja Dawn. - Och, daj spokój, Carla - powiedziała. - Możesz się do tego przyznać. To normalne. Poza tym nie wierzę ci. Niczym się nie różnisz od innych kobiet.

Carla miała ochotę powiedzieć: „różnię się, jestem inna”. Po prostu nie czuła zazdrości, bo umiała bezinteresownie cieszyć się prawdziwą miłością innych.

Później, kiedy leżeli objęci, David chrapał, a Carla nie spała i rozmyślała o tym, że Bóg zesłał jej Davida jako prezent za szczerść, wiarę w prawdziwą miłość. Była pewna, że taki był wyrok losu i jej też uda się wypełnić lukę na stanowisku „chłopaka” równie łatwo, jak udawało się to innym kobietom.

Jednak David nigdy do niej nie zadzwonił. Ona telefonowała do niego cztery razy, ale przestała, kiedy wspomniał o jakiejś Eve w sposób wykluczający, że może chodzić o jego matkę. Wierzyła, że udało jej się kompletnie wyrzucić go z pamięci, zdeptać i zdusić wszystko, cokolwiek przypominało, jak idealnie do siebie pasowali.

A tu znowu pojawiła się nadzieja, wcale nie martwa, ale bardzo żywa, wykwitła przed jej oczami i woła: „David w Pasadenie, David w Pasadenie”.

Zamknęła komputer i wróciła do okna. Noc była ciemna, a jasnozielone liście tworzyły w dole barierę tak gęstą, że wyglądała jak kołdra rzucona kapryśnie na gałęzie.

Trudne chwile na nowojorskim bruku. Czy tak widzieli jej życie ukochany kuzyn Phillip i Paulette, najmniej lubiana osoba w rodzinie?

Zamknęła oczy i ujrzała siebie samotną na warstwie lodu otoczoną gęstymi drzewami, jak te w dole. Jej stopy ślizgają się jak mokre opony, rzuca ją to tu, to tam, jest załamana pośród zieleni obiecującej nowe i emocjonujące życia na Manhattanie.

A potem zobaczyła, jak lód topnieje, ocean błękitnej spienionej wody uderza o wybrzeże Los Angeles oddalone o cały kontynent, a ona stoi wyprostowana i pełna oczekiwania.

Pojechałaby, gdyby nie to, że tak strasznie nie cierpi Paulette.

Rozdział trzeci

Podczas lunchu z Sethem w restauracji Balboa przy bulwarze Sunset Josie zauważyła przy sąsiednim stoliku ludzi, którzy pracowali z Henrym Antonellim, a ściślej mówiąc, zauważyła trzech mężczyzn i kobietę, którzy z nim pracowali. Dwaj mężczyźni byli jego agentami, trzeci prawnikiem, a kobieta partnerem w firmie produkcyjnej New Jersey Thoroughbred Films, popularnie zwanej NJTF. Josie słyszała o tej kobiecie, kiedy pracowała w Y & W. Nazywała się Ester Rodriguez-Rabinowitz i w zależności od tego, kto o niej mówił, była prawdziwym, twórczym producentem, zmienną, wyniosłą babą, która nigdy nie oddzwaniała i/lub kochanką Henry'ego, bez względu na fakt, że Henry był od wielu lat żonaty z Cecilią Rosenberg, psychiatrą, a Esther od wielu lat zamężna z Aramem Rabinowiczem, kardiochirurgiem w klinice Cedars-Sinai.

Przechodząc koło ich stolika, Josie przyjrzała się Esther. Była to drobna, ciemnooka i ciemnowłosa kobieta o pełnych wargach. Miała zadarty nos, gęste brwi i oczy w kształcie łez. Ubierała się na luzie, ale w wyszukanym stylu - typ kobiety, która kupuje najdroższą torebkę w Barneys pod warunkiem, że nie ma żadnej firmowej naszywki. Josie doszła do wniosku, że choć Esther w pełni wykorzystuje urodę daną jej przez naturę, nie może mieć romansu z Henrym, ponieważ on jest przecież wybitnie przystojnym gwiazdorem filmowym, a Esther, choć atrakcyjna, jest właściwie zwyczajna.

Lecz Josie nie wątpiła, że Esther ma wielkie możliwości. Była partnerem w firmie Henry'ego, co znaczyło, że nie musi nic robić, a i tak ma pochlebców skłonnych powtarzać jej, jaka jest mądra, po to tylko, aby Henry zagrał w ich filmach. Josie nie wierzyła w opowieści, że Esther jest najlepszym twórczym producentem w mieście - co to w ogóle znaczy? Po prostu miała szczęście. Dawno temu przyssała się do Henry'ego i trzymała się go mocno. Jej „sukces” był nierozzerwalnie powiązany z jego sukcesem i gdyby Henry kiedyś się od niej odciął, zostałaby zapomniana w jednej chwili.

Nie dotyczyło to agentów i prawnika, którzy siedzieli z nią przy stoliku. Mieli innych klientów prócz Henry'ego, choć to z niego czerpali większość swoich dochodów; prawdopodobnie z tego powodu jego sprawy zajmowały im codziennie większość czasu.

Josie wiedziała, że ludzie pracujący dla Henry'ego przypominają firmę reklamową koncentrującą się na jednym kliencie. Ich wysiłki zmierzające do załatwienia jednemu człowiekowi roli w filmie nie różniły się niczym od pracy legionu prawników, biznesmenów, polityków i lobbystów działających w interesie jakiejś firmy farmaceutycznej albo, dajmy na to, General Electric. Jeden Henry mógł w ciągu roku zarobić minimum pięćdziesiąt milionów za same role w filmach.

Tym, co naprawdę różniło Hollywood od przemysłu, było to, że czar ceniono tu na równi z intelektem. I ludzie przy stoliku Henry'ego należeli do najbardziej czarujących wśród wszystkich obdarzonych czarem. Henry'ego oczywiście między nimi nie było. Procent od jego dochodów, który każde z nich zarabiał (i stawki produkcyjne Esther) dawały Henry'emu pewność, że pracują dla niego bardzo sumiennie i on nie musi już być przy tym obecny. Byli najlepsi i najinteligentniejsi w Hollywood. Przechodząc obok nich, Josie powstrzymała się od pomachania im kartką z telefonem Henry'ego.

- Josie - powiedział Seth. - Kiedy zapraszam cię na lunch, oczekuję, że to mojemu urokowi nie będziesz mogła się oprzeć.

Seth Levin był wysoki i chudy, z kanciastą twarzą i głęboko osadzonymi szarymi oczami. Nosił okulary w drucianej oprawie, miał ciemne falujące włosy gęsto przyprószone siwizną. Chodził odchylony do tyłu krokiem mistrza tenisowego, którym w rzeczywistości bywał w weekendy w swoim klubie.

- Nie mogę się oprzeć - odpowiedziała Josie. - Oczywiście, że nie.

Seth, od dziesięciu lat szczęśliwie żonaty z Nancy, nauczycielką uczącą w liceum był jednym z niewielu ludzi w Hollywood, którzy żyli nie tylko dla spotkań. Był jednym z „prawdziwie pewnych siebie” i przekształcał tę zrelaksowaną pewność w czar, który gwarantował mu wstęp na każdą ważniejszą imprezę w mieście. Fakt, że nigdy nigdzie nie bywał, tylko podnosił jego renomę i zwiększał liczbę zaproszeń. To odrzucanie hollywoodzkich gierek mogłoby zakłopotać Josie, ale udało jej się szczęśliwie zakwalifikować zachowanie Setha jako styl Genialnego Ekscentryka. Szedł własnym rytmem (a przynajmniej tak twierdził) i był tak zblazowany, że nie chwalił się żadnymi osiągnięciami. Josie nie miała wątpliwości, że postępuje tak specjalnie, aby ludzie dwa razy bardziej go podziwiali, gdy się o nich dowiedzą.

- Czy sądzisz, że Esther Rodriguez-Rabinowitz i Henry Antonelli są kochankami? - zapytała Josie.

Seth parsknął śmiechem. - O Jezu. Nie. NIE. Mąż Esther jest moim kardiologiem. Gdzie to usłyszałaś?

- No wiesz... - Josie urwała, ponieważ nie chciała powiedzieć: „Od Neli, mojej rozplotkowanej koleżanki”.

- Pracują razem.

- Rozumiem. - Wzruszyła ramionami. - Po prostu zapytałam. Jest tam jedyną kobietą.

- Wiem - przerwał Seth. - Słuchaj, kotku, zrób coś dla mnie.

- Co?

- Przeczytaj to. - Seth rzucił na stolik dużą kopertę. - To dzieciak, którego Marcus wynajął do wyprowadzania psów.

- Nie zrozum mnie źle, ale dlaczego czytasz scenariusze?

- Marcus poprosił go do telefonu i on mnie ubłagał. Miły dzieciak z Florydy. Powiedziałem mu, że sam jestem za bardzo zajęty, ale ma szczęście, bo znam najbardziej wpływową kobietę w Hollywood.

- Kpisz sobie. Ale poczekaj tylko.

- Nie wątpię - odparł Seth. - Lecz obiecałem Marcusowi, że dam to komuś do przeczytania.

Josie obejrzała kopertę.

- Jeżeli zdobędzie Oscara, proszę tylko, żebyś mi podziękowała w przemówieniu - mówił dalej Seth. - Poza tym jest twój, bez zobowiązań, rób z nim, co chcesz.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Oczywiście, jeżeli coś będzie z tego chłopaka, możesz mi go podesłać jako klienta...

- Dobrze, zrobię to dla ciebie.

- Zrób to dla Marcusa, nie dla mnie - odpowiedział Seth. Marcus Hernandez był jednym z najlepiej prosperujących klientów Seta. Z pracownika Kentucky Fried Chicken w Miami stał się aktorem zwanym latynoskim Woodym Allenem. Mike, mąż Josie, był jednym z jego największych fanów. Mówił, że patrzenie na Marcusa w akcji było niczym koncert Bruce'a Springsteena na żywo albo obserwowanie Tigera Woodsa podczas gry w golfa.

- Uwielbiam Marcusa - powiedziała Josie.

- Tak jak wszyscy. Możesz się ustawić w kolejce. Podszedł kelner. - Poprosimy dwie sałatki Cezar, bez sera dla pani, dla mnie jej ser plus jej zwykła porcja i dwie wody Pellegrino. Dziękuję – zwrócił się znów do Josie. - To chciałaś, prawda, kotku?

- Czy on ma agenta? – zapytała.

- Kotku, on mieszka na Florydzie. Flo-ry-dzie. Czy sądzisz, że ma agenta?

Josie włożyła scenariusz do torebki. - Seth. - Podniosła głowę. - Muszę cię o coś zapytać.

- Uhm. O co chodzi?

- Musisz obiecać, że nie będziesz mnie źle osądzał.

- O co chodzi?

- O to... nie powinnam nic mówić, nie powinnam...

- Daj spokój, Josie, wal prosto z mostu.

- Chodzi o Mike'a.

- Co się dzieje z Mikiem?

- O Mike'a i mnie.

- Co z tobą i Mikiem?

- Nie układa się między nami. Już od pewnego czasu.

- Och, Josie, nie bądź dzieckiem. Takie jest życie. Małżeństwo to trudna sprawa.

- Dlatego właśnie ci o tym mówię. Nie chcę już być zameżna. Chcę się rozwieść.

Przyniesiono jedzenie i Seth wskazał talerz Josie. - Uwielbiam grzanki. Próbowałem tej diety Zone, bez węglowodanów i tak dalej, może to prawda, może nie, ale tak czy inaczej, uwielbiam grzanki.

- Ja nie żartuję.

- Ja też nie. Uwielbiam grzanki. Frytki też, chociaż mnie zabijają. - Seth nabił na widelec kilka liści sałaty.

- Ciebie pierwszego pytam.

- Pytasz o co? - Seth wepchnął do ust sałatę. - Pytasz o pozwolenie na odejście od męża? Nic z tego, Josie. To poważna sprawa.

- Wiem - rzuciła szorstko. - Nie sądzisz, że wiem?

- Nie. - Zjadł trochę więcej sałaty. - Gdybyś wiedziała, nie gadałabyś najpierw o scenariuszach, a w chwilę później o stanie swego małżeństwa. Uważam, że nie rozumiesz wagi rozwodu.

- Właśnie, że rozumiem. - Josie odłożyła widelec. - Rozumiem, przemyślałam wszystko i to jest dla mnie i dla niego najwłaściwsze rozwiązanie. Dla nas obojga.

- Naprawdę?

- Tak.

- To w takim razie odpowiedz mi na jedno pytanie.

- Jakie?

- Co Mike na to?

- Co Mike na co?

- Wasz rozwód.

Josie przyjęła bezpośrednie wyzwanie Setha. - Nie wie.

- Trafiony. Trafiony i zatopiony.

- Pomożesz mi?

- Pomogę ci w wielu sprawach, ale rozwód do nich nie należy. Zwłaszcza że jeszcze z nim nie rozmawiałaś. - Seth odchylił się na krześle, żując i w zakłopotaniu wycierając ręce serwetką.

- Nie przejmie się tym. Nie obchodzi go to.

Seth potrząsnął głową. - Nie nabierzesz mnie, Josie. Znam Mike'a. Nic z tego. To porządny facet.

- Jest ktoś inny - wyrzuciła z siebie Josie, zaszokowana wizją siebie nagiej przy Antonellim. Nie kłamała. Był ktoś inny.

Seth zaczerwienił się, a potem parsknął śmiechem. - Oczywiście, kotku. Ty jesteś.

- Nie o to mi chodziło. Chodzi mi o to...

- Nie, nie, nie! - Potrząsnął głową. - Nie. Ani słowa więcej. Nie chcę tego słuchać. Nie będę ci w tym pomagał. Przyjdź dopiero po tym, jak omówisz to z Mikiem, zwrócisz się o pomoc do psychologa czy jakiegoś innego terapeuty. Wtedy porozmawiamy. Ale nie będę z tobą poważnie mówił o kaprysie. Zaufaj mi, ja to przeżyłem. Rozwód nie jest łatwy.

- Nie słuchasz mnie. Ja to przemyślałam. Nie rozmawiałam jeszcze z Mikiem, ponieważ wiem, jak bardzo go to zaboli...

- O Boże! Nawet nie zaczynaj. - Seth odsunął krzesło.

- Posłuchaj, Josie. Ja nie chcę nic wiedzieć o tym drugim facecie, nie chcę nic wiedzieć o waszych kłopotach, chcę tylko, żebyś się uczciwie postarała uratować swoje małżeństwo. Potem będziesz mi mogła o wszystkim opowiedzieć, obiecuję.

- A jeśli tego nie przeczytam? - przyciągnęła do siebie torebkę, ale zdała sobie sprawę, że to dziecinada, więc ją odsunęła.

- Przeczytasz, nie denerwuj mnie - odpowiedział Seth. W tej samej chwili do stolika podeszło dwóch członków zespołu Antonellego.

- Seth - powiedział zabójczo przystojny mężczyzna, który w odróżnieniu od większości postaci Hollywoodu wychował się w Missisipi bez żadnych związków z przemysłem rozrywkowym. Przeniósł się do Los Angeles i awansując stopniowo z etatu gońca, osiągnął swoją obecną pozycję: agenta najprzystojniejszego i najmniej pretensjonalnego gwiazdora hollywoodzkiego. - Jestem Eddie Cleveland, pamiętasz mnie?

- Tak, cześć, Eddie, bardzo śmieszne. - Seth uściskał mu rękę. - To jest Josephine O'Leary.

Josie spojrzała Eddiemu Clevelandowi prosto w oczy.

- Dzień dobry - powiedziała.

- Chyba się znamy? - zapytał Eddie. - Pracowałeś z nim jako prawnik, prawda?

- Mówię ci, Josie, ten facet nie marnuje żadnej okazji, absolutnie żadnej - powiedział Seth, kiedy Eddie ścisnął rękę Josephine. Był blondynem, krótko ostrzyżonym z najeżonymi (zelem) włosami i mówił nieco chrapliwie, jakby piłował własne słowa. Miał dołeczki, szerokie bary i białe lśniące zęby. Mówił do Josie, jakby zamierzał jej się oświadczyć, a ona uświadomiła sobie, że właśnie dzięki temu Eddie Cleveland jest jednym z najlepszych agentów w mieście.

- A ja jestem Gordon Kelly - odezwał się drugi mężczyzna ze skromnością, której nie uzasadniała długa lista jego klientów: najlepszych komików w całym kraju, w tym jednego, który właśnie podpisał kontrakt na milion dolarów za jeden odcinek serialu. Gordon łyślał i należał do typu ludzi, którzy klepią się po lekko wystającym brzuchu, chcąc udowodnić, że są odpowiednio skromni, ale Josie wiedziała, że gdyby ktoś zranił jego ego, wybuchnąłby jak wulkan.

- Zobaczymy się na meczu? - zapytał Seth.

- Idziemy na mecz Lakersów - wyjaśnił Josie Gordon.

- Niech zgadnę, miejsca zaraz przy parkiecie, prawda?

- No... - uśmiechnął się Gordon. - A czego się pani spodziewała?

- Oczywiście, że najlepsze, kotku, tego wymaga praca - powiedział Seth.

- No to miło było panią poznać - rzekł Gordon.

- Na razie, Seth - rzucił Eddie. - Miło było cię znowu zobaczyć, Josie.

- Woli, jak się ją nazywa Josephine - zawołał Seth za odchodzącymi. Josie odprowadzała ich wzrokiem. - Nawet o tym nie myśl. Gordon jest szczęśliwy w małżeństwie, a u Eddiego nie masz szans. Zapomnij o nich.

Josie z niechęcią myślała o końcu lunchu, głównie dlatego, że musiała przestrzegać godzin pracy wyznaczonych przez Priscillę. Nie było jej już czterdzieści siedem minut, a jeszcze musiała poprosić pracownika parkingu o przyprowadzenie samochodu.

- Więc nie mogę ci opowiedzieć, kogo spotkałam? - zapytała.

- Ani słowa. Ani sylaby. Nic - odparł Seth. - No idź, wiem, że musisz być na czas.

- Skąd wiesz?

- Myślisz, że Wallace jest taki roztargniony, jak na to wygląda? Chodź, kochanie. - Josie pochyliła się i pocałowała

go w policzek. - Cholera - powiedział. - Gdybyś mnie pocałowała w usta, cudownie wpłynęłoby to na moją reputację. Obiecuję ci, że Nancy się tym nie przejmie.

- Na razie, Seth.

- Na razie. I daj mi znać w sprawie tego scenariusza, dobrze?

Josie powoli wyszła z restauracji. Była zła, że wraca do biura. Nawet Seth wie, że musi przestrzegać godzin pracy. Włożyła okulary przeciwsłoneczne, wyciągnęła portmonetkę i jeszcze raz spojrzała na kartkę od Henry'ego.

Papierek pokrywały ślady jej palców. Numer i słowa były jeszcze czytelne, ale przyszło jej do głowy, że jeżeli natychmiast nie zapisze gdzieś indziej tego numeru, będzie kusiła los i może zgubić kartkę. Ogarnął ją strach. Zatrzymała się, znalazła palmtopa i starannie wprowadziła do niego numer. Uspokoila się i włożyła kartkę wraz z palmtopem z powrotem do torebki. Sprawdziła zegarek. Była niewątpliwie spóźniona, niewybaczalnie spóźniona.

Mimo to weszła do firmy powoli i leniwie, jakby szła spacerem przez ogród pełen kwiatów. Wkrótce będzie w kontakcie z Henrym Antonellim na jego prośbę, poznała Gordona Kelly i Eddiego Clevelanda. Priscilla Pickering, jej całkowicie pozbawiona talentu szefowa, pewnie nawet nie wyszła z biura.

- Witaj - powiedziała Priscilla, kiedy Josie mijala otwarte drzwi jej gabinetu w drodze do swojego.

- Dzień dobry - odrzekła Josie.

- Hm... Josie - zawołała Priscilla. - Mogłabyś wstąpić na chwileczkę?

Josie zatrzymała się i z wystudowanym roztargnieniem wyciągnęła scenariusz od Setha.

- Co? - zapytała, stając w drzwiach.

- Co to jest?

- Jaką masz do mnie sprawę? - ponowiła pytanie Josie.

- Czy to jest scenariusz?

- Czy masz do mnie sprawę? - zapytała Josie po raz trzeci.

Żadna z nich nie chciała odpowiedzieć i Josie poczuła, że znalazły się w impasie, jak ciężarówka, która jest za wysoka, żeby przejechać przez tunel. Czuła się brawurowo i spojrzała Priscilli w oczy, co było błędem. Priscilla wyglądała jak lalka z eleganckiego sklepu z zabawkami: okrągłe niebieskie oczy, długie rzęsy, stulone różowe wargi. Była chuda jak patyk i miała długie, kręcone blond włosy. Josie zazdrościłaby jej, gdyby nie zachowywała się tak niezręcznie przy ludziach.

- Gdzie byłaś? - wydusiła Priscilla.

- Na lunchu.

- Z?

- Z Sethem Levinem. Z mojej poprzedniej pracy. I z Eddiem Clevelandem i Gordonem Kelly. Poprosiłam, żeby przesłali nam scenariusze, które ich zdaniem mogą spodobać się Wallace'owi. Chyba słusznie zrobiłam, prawda?

- Byłaś na lunchu z Eddiem Clevelandem i Gordonem Kelly? - Priscilla zachowywała się na pozór obojętnie, ale było jasne, że dostaje drgawek na myśl, że Josie zna takie ważne osoby.

- Lunch był z Sethem - odparła Josie. - Jeszcze coś? Priscilla wzięła do ręki ołówek. - Pokaż mi to.

Josie przycisnęła do siebie kopertę. - Co? - zapytała nerwowo. Jeżeli Priscilla uprze się i będzie chciała przeczytać scenariusz, być może Josie będzie musiała zrezygnować ze swego Oscara. Tak łatwo mogło do tego dojść.

- Chcę go przeczytać.

- Nie.

- Nie? - powtórzyła Priscilla. - „Nie” nie wchodzi w rachubę.

- Ja chcę go pierwsza przeczytać. To przysługa dla Seta.

- Sethowi to obojętne.

- Nie jest mu obojętne.

- Josie.

- Mam na imię Josephine - odparła Josie.

- Josephine, nie każ mi się zachowywać jak szefowa.

- Nie każę ci. Sama to robisz. Prawda jest taka, i sama o tym dobrze wiesz, bo recytowałeś mi to z siedemnaście razy, że moja praca polega na czytaniu scenariuszy i spotykaniu się z autorami. Ty mi przynosisz scenariusze do rozważenia. Ja nie muszę ci ich przynosić. - Josie urwała.

- Chyba że oboje z Wallace'em chcecie dać mi awans? Priscilla zmieniła się na twarzy. Josie miała rację.

- Tak czy inaczej, nie czytaj tego w pracy! - warknęła na koniec.

- Nie ma sprawy. - Josie odwróciła się i wyszła z pokoju.

Koperta w jej rękach nabrała wagi i Josie wyobrażała sobie, że jakiś krasnoludek alchemik zmienił białe kartki w złoto. Niewątpliwie to właśnie było „złotem” w Hollywood

- dobry materiał albo raczej wrażenie, że coś jest dobre. Kiedy się to znalazło, wszystko stawało się możliwe. Pomyślała, że powinna skontaktować się z autorem i natychmiast zarezerwować sobie prawa do tego scenariusza. Gdyby stała się jego właścicielką albo przynajmniej miała prawo go komuś sprzedać, panowałyby nad całym przedsięwzięciem i nikt nie mógłby jej niczego nakazywać.

Podeszła do swego biurka, zamknęła drzwi i spojrzała na pakiet. Zwykła, żółtobrazowa koperta. Otworzyła ją i wyciągnęła maszynopis w okładce, spojony złotymi nitami. Nie umknął jej uwadze fakt, że wszystko było w odcieniu złotawym. Wierzyła w omeny, więc w sekundę uwierzyła i w to, że znalazła przysłowiową żyłę złota.

Tytuł brzmiał: *Miś, który uratował Boże Narodzenie*. Autor: Joshua King. Josie usiadła wygodnie na krześle. *Miś, który uratował Boże Narodzenie?* Od razu wiedziała, że scenariusz jej się nie spodoba. Przywołała obraz trzech misiów z filmu,

który wszedł na ekrany latem i właśnie zrobił klapę. Misie i Boże Narodzenie. Może udałoby jej się sprzedać to telewizji?

Podniosła scenariusz i spojrzała na pierwszą stronę. Musi to przeczytać, zanim Priscilla będzie miała okazję wślizgnąć się do jej pokoju i ukraść scenariusz. Zabrała się do lektury.

W godzinę później zadzwoniła Nadine, asystentka Josie.

- Mike na linii numer cztery - powiedziała przez interkom. Josie podniosła głowę i odłożyła scenariusz. - Słucham?

- zapytała.

- Mike na linii numer cztery - powiedziała Nadine.

- Zadzwoń do niego potem. Niech zostawi wiadomość.

- Ale on powiedział... - nie ustępowała Nadine.

- Nie.

Josie wyłączyła interkom i właśnie miała znowu wziąć do ręki scenariusz, kiedy usłyszała, że ktoś podchodzi do drzwi. Szybko chwyciła jakiś scenariusz należący do firmy Wallace'a.

- Josie? - Priscilla weszła do pokoju. - Josie?

- Co? - wymruczała Josie i demonstracyjnie przewróciła kartkę.

- Rozmawiałam z Nicole Jexson - warknęła Priscilla

- która powiedziała, że nie jadłaś dziś lunchu z Eddiem Clevelandem.

- Ta Nicole jest taka przenikliwa.

- Nie czytasz tamtego scenariusza, prawda?

- Nie. Czytam ten o sitarach - powiedziała Josie, machając tekstem.

Miś leżał bezpiecznie odwrócony na biurku.

Priscilla stała przez chwilę w drzwiach, gotując się ze złości, a potem wymaszerowała, trzaskając drzwiami. Josie poczekała, aż usłyszy jej oddalające się kroki, a potem cicho odłożyła scenariusz na biurko. Pogrzebała w torebce i wyjęła komórkę. Wybrała numer.

- Joshua? - zapytała. - Joshua King?

Rozdział czwarty

Carla wyszła na dwór, wierząc, że wieczorny spacer wzdłuż rzeki Hudson pomoże jej w myśleniu. Ulice w Village były wypełnione ludźmi - wiosna pozwoliła nieśpiesznym spacerowiczom i kochankom wyjść z przegrzanych mieszkań i pooddychać świeżym powietrzem. Idąc o pół do dziewiątej wieczorem ulicą Hudson na północ, czuła, że należy do pełnej witalności społeczności Nowego Jorku, i to dodało jej otuchy.

Skreśliła w lewo, w Dwunastą Ulicę. Widziała przed sobą rzekę - błyszczącą poziomą linię przecinającą wysokie pionowe powierzchnie wieżowców Manhattanu i New Jersey. Władze miejskie zbudowały trasę spacerową wzdłuż zachodniego brzegu wyspy i któregoś dnia Carla na pewno przejdzie nią od początku do końca: od parku Battery do Upper West Side. Posuwała się wzdłuż rzeki na tle niebieskiego zmierzchu nasyconego blaskiem księżyca i była pewna, że pomoże jej to w podjęciu decyzji na temat wyjazdu do Kalifornii, ale wtedy zauważyła światła dzielnicy dawnych zakładów mięsnych i skierowała się w tamtą stronę.

Ludzie wyglądali tu inaczej: wśród wiekowych magazynów, w których kiedyś z sufitu zwisały połacie wołowiny, widać było kobiety na szpilkach w różowych kaszkietach sprzedawców gazet. Mężczyźni mieli włosy sterczące i posmarowane żelem, większość nosiła obcisłe swetry w serek. Carla pomyślała przez chwilę o swoich czarnych, zbyt obszernych spodniach i czarnej, zbyt obszernej koszuli i ucie-

szyla się, że ma przynajmniej srebrny łańcuszek w kształcie sznura, który kupiła sobie na dwudzieste piąte urodziny.

Weszła do jednej z nowych restauracji - wariacji na tematy azjatycko-włoskie serwującej cielecinę *osso buco* z tajskim makaronem *pad thai*. Ponad obficie zaopatrzonym barem wystawały ze ściany ogromne kły jakiegoś włochatego zwierzęcia. Carla usiadła na stołku i czekała, aż podejdzie do niej barman.

- Hej - odezwał się ktoś.

- Szkocką - rzuciła Carla, nie mając ochoty podnosić głowy.

- Tak? Dobra, może ci postawię - powiedział mężczyzna. Carla podniosła wzrok. Mężczyzna usiadł obok niej. Był grubawy, miał gęste ciemne włosy i okulary w czarnych oprawkach. Skóra pod brodą rumianej i okrągłej twarzy tworzyła idealne półkole. Biała koszula miała rozpięte trzy górne guziki, lecz Carla nie potrafiła ocenić, gdzie kończy się broda, a zaczyna szyja. Do tego spadziste ramiona i przepecona pod pachami koszula.

- Jestem Carla - powiedziała.

- A ja Clive - odrzekł. Carla czekała, aż ponownie zaproponuje jej postawienie drinka, ale nie zrobił tego.

- Cześć.

- Cześć.

Carla ukryła ręce pod barem. Obdarta skórka na serdecznym palcu lewej ręki krwawiła i Carla nie chciała, żeby Clive to zauważył.

- Nie znam zbyt wielu Clive'ów.

- Uhm, pewnie nie. To dość oryginalne imię. Moi rodzice są oryginalni. - Odwrócił się w stronę Carli. - No, jak ci się podoba?

- Co?

- To miejsce.

Odwróciła się na stołku i rozejrzała. - Może trochę pretensjonalne, ale w porządku.

- Aha.

- Nie bardzo pretensjonalne.

- Nie, nie, ja właśnie chcę mieć pretensjonalną knajpę. Dzięki temu więcej ludzi będzie chciało tu przyjść.

- Jesteś właścicielem? - zapytała Carla. Spojrzała na swój palec. Przycisnęła skórę palcami drugiej ręki i krwawienie chyba ustało. - Nie wyglądasz na właściciela.

- Co mówisz?

Prawie nie otwierał wąskich warg, więc słowa wydobywały się z nich jakby z trudem. - Jesteś sama?

- Nie - odparła Carla natychmiast. - Czekam na kogoś.

- To nie szkodzi, jeśli jesteś. To znaczy, jeśli jesteś sama.

- Nie jestem sama - powiedziała rozdrażniona.

- Chodzi mi tylko o to, że niektóre kobiety boją się same iść na drinka. Szkoda, że nie wszystkie są takie odważne jak ty. Założę się, że z tysiąc dziewczyn w Nowym Jorku siedzi dziś wieczorem w domu, a ty jesteś tu.

- Clive oparł plecy o bar i rozejrzał się. Carla też się odwróciła i zobaczyła, jak macha do wchodzącego klienta i uśmiecha się do pary przy stoliku po lewej.

- Jesteś jedynym właścicielem?

- Mam oczywiście inwestorów. Ale ja jestem za wszystko odpowiedzialny. Tak to jest w tym biznesie.

- Byłeś już kiedyś właścicielem restauracji?

- Nie.

Wskazał mozaikę po drugiej stronie kłów. - To jest sprzed Chrystusa.

Carla zawahała się. Czy „Sprzed Chrystusa” to jakiś artysta, którego powinna znać?

- Jest warta siedemset tysięcy dolarów. Nie mieści się w głowie, prawda? Ludzie chcą pokazać swoje zbiory i jeden z inwestorów pożyczył mi to, żeby dodać restauracji szyku. Mnie gównem obchodzi, co tam wisi, tak długo jak przyciąga ludzi. Zawsze chodzi o to, żeby się pokazać. Tylko o to, żeby

się pokazać. Dlatego to, o czym mówiłaś, ta pretensjonalność jest dobra.

- Masy są jak stada owiec - powiedziała Carla, przyglądając się mozaice, która jej zdaniem przypominała dwie kobiety w szarym odcieniu leżące na koralowej ziemi, z kawałkami betonu i czarnego kamienia* osadzonymi w okolicach kolan, czół i łokci. - Ktoś ogłasza, że coś jest arcydziełem, a reszta go słucha. To niszczy wiarę w intelektualne prawdy, nie sądzisz?

Clive zamrugał. - Zamówię ci tę szkocką. Dam ci też dobry stolik, kiedy przyjdzie twój chłopak. - Przywołał gestem barmana. - Macallan, dla tej pani i tym dwojgu na końcu daj to, o co poproszą.

- Dziękuję - powiedziała Carla. Barman podał jej whisky. Clive ciągle stał koło niej. Lekko trąciła go w plecy.

- Nie jestem odważna.

- Co?

- Nie jestem odważna - powtórzyła. - Powiedziałeś, że jestem, ale nie miałeś racji.

- Oczywiście, że jesteś, kotku - zapewnił ją. - Najodważniejsza dziewczyna na świecie. Zupełnie sama tutaj, w największej dżungli. Jesteś tu i dziękuję ci. Naprawdę szkoda, że nie ma więcej takich dziewczyn jak ty.

Carla skinęła głową w zamyśleniu. Może miał rację. Wyobraziła sobie siebie w łóżku z Clive'em, jej ręce ściągające mu koszulę, jego ręce na jej plecach. - Naprawdę tak myślisz?

- Nigdzie indziej na świecie taka kobieta jak ty nie przy-szłaby po prostu i nie usiadłaby przy barze.

- Czekam na kogoś - powtórzyła Carla.

- Tak, tak, oczywiście.

Carla zobaczyła się w lustrze po drugiej stronie baru. Zastanawiała się, czy naprawdę jest odważna, czy też Clive mówi to wszystkim, żeby znów zechcieli przyjść. Dostrzegła

w lustrze, że jego czoło pokrywa pot. Bolał ją palec. - Co myślisz o Kalifornii?

- Co mówisz? - zapytał.

- Kalifornia. Może się tam przeprowadzę.

- Łamiesz mi serce.

- Poważnie, jak uważasz? Czy powinnam się tam przeprowadzić?

- Oj, Nellie czy Daria, czy jak tam ci na imię, dopiero się poznaliśmy - powiedział Clive, lecz uśmiechał się i to spowodowało, że Carla poczuła przyływ brawury. Napiła się whisky.

- Wiem, że dopiero się poznaliśmy, ale potrzebuję rady. To ty powiedziałaś, że jestem odważna.

Clive znów otaksował ją wzrokiem. Carla patrzyła w oczy za okularami, które rzucały cień na twarz.

- No dobrze. Dlaczego chcesz jechać do Kalifornii?

- Nie wiem. Mieszkam tu od dwudziestu lat.

- To długo.

- Wiem. Oboje milczeli.

- Lubisz Nowy Jork? - zapytał Clive.

- Kocham Nowy Jork - odpowiedziała Carla, ale jednocześnie zastanowiła się, czy to prawda. Co właściwie kochała? Siedzenie godzinami na stacji metra?

- Wygląda na to, że już podjęłaś decyzję.

W restauracji przybywało klientów. Carla czuła, że Clive poświęca jej coraz mniej uwagi i chciała tylko wydobyć z niego tę jedną odpowiedź, nagle przeczuwając, że powie jej, co ma zrobić.

- Ale...

Clive stuknął swoją szklaneczką w jej drinka. - Musisz zrobić, co ci serce dyktuje. Co ci mówi instynkt? Kalifornia jest niezła, Nowy Jork jest niezły, ja uważam, że Iowa jest niezła. Jesteś ładna, na pewno ci się uda.

- Ale...

- Kotku, muszę iść. Przyjemnie się z tobą rozmawiało, Marla. Wpadnij znowu, damy ci dobry stolik.

Do restauracji weszła wysoka kobieta po trzydziestce z brązowymi kucykami i strasznie chudymi nogami. Dopijając whisky czterema dużymi łykami, Carla patrzyła, jak Clive się z nią wita. Potem zobaczyła, że ją całuje. Kobieta miała strasznie spiczastą brodę, a Clive obwisłą. Wyglądali jak jakaś dziwna rzeźba - pośrodku restauracji, nad nimi kły i mozaika, wokół krążą ludzie. Carla przyglądała się im wszystkim, a przez głowę przelatywały jej myśli. Czy w Los Angeles byłoby inaczej?

Położyła na ladzie dolara dla barmana i wstała. Od razu poczuła działanie whisky. Poprawiła okulary i złapała równowagę, zanim zrobiła krok. Wieczór był owocny, pomyślała. Porozmawiała z kimś i nie musiała płacić za drinka.

- Darła!

Carla odwróciła się. Wołał ją Clive.

- Nie byłaś z nikim umówiona, prawda? - Otaczał ramieniem olbrzymkę z kucykami. - Wiedziałem.

Carla stała nieporuszona, przekonana, że cały Nowy Jork, cały Północny Wschód usłyszał ten z trudem wydobywający się głos ponad stolikami mięsożernych mężczyzn i kobiet. Wszyscy wiedzieli, że twierdziła, że jest z kimś umówiona, choć nie była. Może co wieczór żerują na takich kozłach ofiarnych? Może znalezienie obiektu pogardy było jednym ze zobowiązań Clive'a w stosunku do inwestorów?

- Nie mam na imię Darła - odpowiedziała głośno. - Ta restauracja jest pretensjonalna, a ty jesteś obleśny - i wskazując stojącą obok kobietę, dodała: - A ty nie powinnaś nosić kucyków. - Odwróciła się i wyszła z restauracji popychana mocą whisky. Ludzie gapili się na nią, lecz ją to nie obchodziło. Na dworze stała para w średnim wieku i przyglądała się menu wywieszonemu w szklanej gablocie.

- Właśnie odkryli salmonellę - wyszeptała do potencjalnych klientów.
- Za chwilę będą wszystkich ewakuować.

Para spojrzała na nią i skierowała się do sąsiedniej restauracji. Carla zauważyła Clive'a, który przyglądał się temu przez szklane drzwi. Wzruszył ramionami i wrócił na salę.

Carla stała sama na ulicy. W świetle lamp oświetlających modną, tworzącą najnowsze trendy dzielnicę szła po kocich łbach i ukośnie nachylonych betonowych rampach, dzięki którym ciężarówkom łatwo było wyładowywać czerwone półcie mięsa krów, świń i byków. Czy była odważna, czy tylko żalosna?

Z restauracji wybiegł niewysoki mężczyzna z plastikową torbką. Spojrzał w prawo, potem w lewo i zauważył Carłę. - Proszę pani, pani torba.

Carla patrzyła na niego przez chwilę, nie widząc go wyraźnie. Potem zauważyła, że trzyma jej torebkę, do której przed wyjściem na spacer wrzuciła szybko portmonetkę i książkę.

- Dzięki - powiedziała. - Dzięki.

Poczuła, że oczy napełniają jej się łzami i była rada, że jest ciemno.

- Niech się pani nim nie przejmuj - powiedział mężczyzna, zapalając papierosa. Uśmiechnął się do niej życzliwie. Carla skinęła tylko głową, bojąc się, że może się rozplakać, jeżeli coś powie.

W kilka minut później w drodze do domu przywołała w myślach obraz spoconego Clive'a mówiącego jej, że ma się kierować instynktem, i zdecydowała, że to omen - spotkała kogoś tak powierzchownego, że równie dobrze mógłby być z Zachodniego Wybrzeża.

Rozdział piąty

Nadine Dillenberger, asystentka Josie, wtargnęła do pokoju.

- Mike znowu dzwonił. Mówił, że to coś ważnego - powiedziała.

- Zadzwoń do niego później - odparła Josie. Przyjęła pozycję jogi i dlatego Nadine niezbyt dokładnie ją słyszała, więc obeszła biurko. Josie stała zgięta w pasie, z nogami w rozkroku i głową między kolanami.

- Dobrze się czujesz?

- Ja... - zaczęła Josie, podnosząc głowę i prostując się. Twarz miała czerwoną, oczy wytrzeszczone, włosy z jasnymi pasemkami sterczały skołtunione. - Nigdy, przenigdy nie czułam się lepiej.

- Wyglądasz jak wariatka.

- To komplement, Nadine. Zwariowałam ze szczęścia, z powodu możliwości, tu właśnie chodzi o wariactwo. Wariactwo to dobra rzecz.

- No tak. Mike też mówił jak wariat, ale nie w tym dobrym sensie. Jak zdenerwowany wariat.

Josie zastanawiała się przez chwilę, o kim Nadine mówi, mimo że ta wymieniła imię jej męża.

- Ten scenariusz - powiedziała, podnosząc maszynopis Joshui - to klucz do moich marzeń.

- Jaki scenariusz?

- Ten - ciągnęła Josie. - Ten scenariusz jest tak dobry... ten scenariusz... to na pewno ten, na który czekałam.

- Kto jest autorem?

- Ktoś nieznany z Miami. Słuchaj! - Josie podeszła do Nadine i położyła dłonie na jej szerokich ramionach. Spoważniała i zadrżała jej głęboko w oczy. - Nie możesz o tym pisać ani słowa. Ani słowa. Obiecujesz?

- Ani słowa o czym?

- Proszę cię, proszę, nie mów Priscilli, że dzwoniłam do Joshui.

- Kto to jest Joshua?

- Ten facet z Miami. Nie może się dostać w chciwe szpony Wallace'a i Priscilli. Jest mój, tylko mój.

- Jesteś tego pewna?

- Priscilla jest sama sobie winna. Powtarzała mi w kółko, że moja praca polega na czytaniu scenariuszy, a nie znajdowaniu ich.

- O czym jest? - zapytała Nadine. - Dlaczego jest taki dobry?

- Po prostu... po prostu czuję, wiem, że pomysł jest bardzo dobry.

- To daj mi przeczytać.

- Nie! - wykrzyknęła Josie. - To znaczy: jeszcze nie.

- Włożyła scenariusz do torebki. - Muszę iść.

- Josie... - Nadine trzymała oparcie krzesła, jakby zamierzała je podnieść i bronić się przed atakiem Lwicy Josie.

- Josie, wiesz, jaka jest Priscilla...

- Powiedz jej, że Mike zachorował. Nie kłamię, może być przecież chory.

- Żartujesz, prawda? - zapytała Nadine.

- Nie. - Josie zarzuciła torebkę na ramię. - Powiedziałaś, że był szalenie zdenerwowany. Muszę iść do męża. Powiedz jej to. - Ruszyła do drzwi pełna determinacji. Musiała komuś, wszystko jedno komu, powiedzieć o tym, jakie szczęście ją spotkało. Za wiele się dziś zdarzyło: Henry, Seth, Eddie Cleveland i Joshua King. Musiała się zastanowić i potrzebowała dobrej rady, a ani jedno, ani drugie nie było możliwe w zdradliwych ścianach firmy produkcyjnej Wallace'a Pickeringa.

- Josie... - zaczęła Nadine.

- Nadine - rzuciła Josie niecierpliwie. - Tak będzie lepiej dla ciebie, dla nas. Naprawdę. Jutro powiem ci więcej. Zaufaj mi. Zaufajmizaufajmizaufajmi - uśmiechnęła się. - Obiecuję, że nie pożałujesz.

- Dobrze - powiedziała Nadine w zamyśleniu.

Josie szła przed nią korytarzem. - Zadzwoń do Mike'a na komórkę - zawołała za nią Nadine. - Nie ma go w pracy.

Josie usłyszała, ale informacja o Mike'u natychmiast poszła w zapomnienie. Biegąc do samochodu i zapalając silnik, myślała o ogromie możliwości, która właśnie jej się trafiła.

Dojechała do następnej przecznicy i zatrzymała się przy bulwarze Wilshire. Siedziała nieruchomo przez pięć minut, a potem spuściła osłonę przeciwsłoneczną, żeby złagodzić intensywne światło.

Czuła się jednocześnie radosna i wyczerpana. Miała wrażenie, że jej życie nareszcie weszło na właściwe tory - dwie ruchome płyty tektoniczne znów się połączyły, kontynenty zrosły na nowo. Możliwość połączyła się ze zdecydowaniem, pomysł z ambicją. Hollywood żywiło się pomysłami. Ten scenariusz był połączeniem dwóch arcydzieł: *Zamiany miejsc* i *Cudownego życia*, doskonały pomysł z główną rolą idealnie nadającą się dla jednej z czołowych hollywoodzkich gwiazd. I był to film bożonarodzeniowy, który przemówi do wszystkich: mężczyzn, kobiet i dzieci. Josie przypomniła sobie radę Neli McKnight: „Znajdź dobry materiał, potem go kup i powiedz, że jesteś producentem. Sprawa załatwiona”.

Wyobrażała sobie, jak na premierze udziela wywiadu programowi Access Hollywood i tłumaczy, dlaczego film zaciekawi widza w każdym wieku, że to moralitet nietrąący jednak kazaniem, ważny film... Tak, scenariusz praktycznie sam wpadł jej w ręce i od razu wiedziała, co z nim zrobić.

Ale niestety nie wiedziała. Jeszcze nie. Wiedziała, czego nie robić: nie mogła go pokazać Priscilli. Nie mogła go pokazać Nadine. Nie mogła powiedzieć Sethowi. Pewnie nie powinna była nawet dzwonić do Joshui, ale postąpiła impulsywnie i było już za późno na żal. Rozmowa potoczyła się śpiewająco i Josie gratulowała sobie zrównoważenia - wyraziła zainteresowanie bez obietnic zapłaty. Ale teraz musiała rozważyć, jakie ma możliwości.

Mogłaby spróbować sprzedać scenariusz, nie mówiąc o tym Joshui. Potem, kiedy pewna już będzie swojego sześciocyfrowego wynagrodzenia, zadzwoni do niego i zaoferuje mu tysiąc dolarów za kupno scenariusza i wszelkich praw. Chłopak prawdopodobnie rzuci się na tę ofertę - większość autorów żądnych aprobaty tak by postąpiła, lecz istniało ryzyko, że Joshua dowie się o wstępnej sprzedaży scenariusza za o wiele większą sumę.

Nagle poczuła, że ogarnia ją paranoja świata filmowego - miała coś, czego inni pragnęli, więc z definicji będą chcieli jej to ukraść, wyrwać spomiędzy jej długich, szczupłych palców i krzyczeć wszem wobec: „Jest mój! Jest mój!”.

A jeśli się myli?

Przez krótką chwilę pomyślała o ludziach, których naprawdę nie interesuje przemysł rozrywkowy: o swoim ojcu, dentyście wiercącym ludziom w zębach i matce starannie ustawiającej na stole karteczki z nazwiskami przed kolacją, którą wydawała na cele charytatywne. Była też jej przyjaciółka, Rebecca, dawniej dyrektor w studiu filmowym, specjalizująca się w marketingu, a obecnie gospodyni domowa i matka w Beverly Hills. Wychowywała dwoje dzieci i była szczęśliwą żoną Johnny'ego, zawodowego tenisisty. Pomyślała też o Mi-ke'u, swoim mężu, maklerze giełdowym kochającym poezję, który na studiach był w uniwersyteckiej drużynie futbolu amerykańskiego i tak bardzo kochał piwo beczkowe, że nalegał, żeby w kuchni zainstalować beczkę i specjalny kurek.

Żadna z tych osób - mimo tego, że były jej bliskie - nie zrozumiałaby burzy emocji, która szalała w jej sercu, gdy trzymała w ręku scenariusz. Symbolizował dla niej wszystko: pieniądze, sukces, władzę, ambicję i dumę.

Spojrzała na zegarek. Była piąta. Przypomniała sobie, że Rebecca chodzi z dziećmi do Roxbury Park. Rebecca, flegmatyczna, praktyczna, niepoddająca się emocjom Rebecca powie jej, w którą stronę zrobić pierwszy krok.

Poza tym - przypomniała sobie Josie - chciała porozmawiać z Rebeccą o Mike'u.

Przekręciła kluczyk w stacyjce i wyjechała na ulicę. Blask słońca osłabł, kwietniowe niebo przecinał strumień fioletów i oranżów. Parkując samochód, usłyszała krzyki dzieci. Wyobraziła sobie przyszłość z własnymi dziećmi o rumianych policzkach, wiercącymi się w fotelikach samochodowych, pragnącymi, by ktoś je wypuścił do tego świata przyjemności na rogu Roxbury i Olympic. To była wizja na przyszłość, po pozbyciu się Mike'a. Wizja posiadania dwojga małych dzieci z innym mężem za pięć lat wdarła się do jej wyobraźni na krótką, denerwującą chwilę, ale Josie ją odepchnęła, ponieważ wołała nie uwzględniać konieczności upływu czasu w planach jej przyszłego idealnego życia.

- Rebecca! - Josie zauważyła przyjaciółkę przy huśtawkach.

- Co? Co? Cześć... och nie, nie, nie, nie! Amelia! Przestań, przestań! Bardzo mi przykro, naprawdę, ona nie wie, że to boli. Amelia! Natychmiast przestań gryźć! - Rebecca ujęła rudowłose dziecko pod pachy, podniosła i mocno przytuliła.

- Daję jej jakieś dwie minuty - powiedziała do Josie. - Dwie minuty, zanim znów zaatakuję. Oczywiście nie rozumie, co mówię. Ma półtora roku. Półtoraroczne dzieci nie rozumieją.

Nagle Rebecca usiadła na piasku. Odgarnęła z czoła grzywkę - bezcelowy gest, ponieważ jej cienkie, równo obcięte

włosy wróciły dokładnie na to samo miejsce, przyłączając się do pasm przyklejonych do spoconego czoła. Rebecca była o rok starsza od Josie, lecz większa, jakby bardziej wyrazista. Tam gdzie Josie była wiotka i drobna, Rebecca zdawała się solidna i nabita. Była wysoka, miała perkaty nos i choć Josie kochała przyjaciółkę, uważała, że Rebecca powinna coś ze sobą zrobić. Na studiach była wysportowana i stylowa. Teraz, ubrana w granatową luźną sukienkę bez określonego kształtu, wyglądała jak była hippiska z San Francisco odżywiająca się naturalnie i ukrywająca swą figurę.

- Gdzie jest Roman? - zapytała Josie.

- Pewnie zaraz skądś spadnie i zabije się, bo matka go nie pilnuje.

- Dlaczego go nie pilnujesz?

Rebecca wskazała brodą miejsce, gdzie Amelia bawiła się grzecznie z młodocianym brunetem. - Uznałam, że Roman jest w zasadzie dorosły.

- Ma sześć lat.

- Sześć. Prawie może głosować. - Rebecca wzruszyła ramionami.

- Dzień dobry, Amelio! - zawołała wylewnie Josie, wyciągając ramiona ku dziewczynce. Amelia natychmiast się rozplakała, machając rączkami w kierunku matki.

- Ona się tak zachowuje w stosunku do wszystkich...

- Rebecca wzięła córkę na ręce.

- Słuchaj - zaczęła Josie.

- Och, kochanie - przerwała Rebecca, klękając i próbując powstrzymać Amelię od wkładania sobie piasku do buzi.

- Mówiłam ci...

- Czy możesz posłuchać chociaż przez pięć sekund? - rzuciła Josie ze złością.

Zaskoczona Rebecca podniosła wzrok, ale po chwili wstała, otrzepawszy córkę. - Przepraszam cię - powiedziała z pełnym rozbawienia uśmiechem. - Co się stało?

Josie uśmiechnęła się w odpowiedzi, choć ciągle miała żal do Rebecki. Nikt nie powiedział, że kobiety z dziećmi nie mogą poświęcać uwagi niezameżnym przyjaciółkom. Był to wybór Rebecki, sposób na pokazanie, że dzieci są ważniejsze niż jakiegokolwiek sprawy Josie.

Potrzebowała jednak rady.

- Dwie rzeczy - zaczęła Josie. - Jedna zawodowa, druga osobista.

- Słucham - powiedziała Rebecca, bardzo starając się nie patrzeć na Amelię, która wsypywała sobie piasek do pampersa.

- Przeczytałam dzisiaj pewien scenariusz, który jest niesamowicie, totalnie fantastyczny.

- Amelia, proszę cię... - Rebecca zerknęła na Josie. - Super. Znalazłaś Świętego Graala. Gratulacje.

- Nie chcę popełnić żadnych błędów. Na szczęście nie muszę go dać Wallace'owi. Ale pomyślałam, że mogłabym go najpierw sprzedać...

- Nie - oświadczyła Rebecca. - Nie.

- Ale posłuchaj...

- Nie - ciągnęła Rebecca. - Amelia! Proszę cię, zostaw ten piasek!... Josie, nie sprzedawaj autora. Co będzie, jeżeli w tym czasie ktoś inny go sprzeda?

- Niemożliwe. Ten facet wyprowadza psy w Miami. Jes-lem pewna, że nikt poza mną nie ma tego scenariusza.

- Nie masz takiej pewności. Na tym polega urok tego biznesu. Nikt nic nie wie, pamiętasz? Ten wyprowadzacz psów mógł to rozprowadzić po całym mieście.

- Nie ma mowy - powiedziała Josie, ale zastanowiła się nad tym. Joshua King wydawał się tryskać radością przez telefon, ale może udawał? Słowa Rebecki dały jej do myślenia.

- Jeżeli studio dowie się, że nie jesteś właścicielką scenariusza, choć twierdziłaś, że jesteś, spędzisz resztę życia, próbując to naprawić. A do tego to nie fair w stosunku do autora.

- Tym się nie przejmuję. Powinien być wdzięczny, że ktoś to w ogóle czyta.

- No, nie wiem - powiedziała Rebecca. Amelia wstała, zachwiała się i znowu upadła na piasek.

- Mówię ci, że tak jest. Nie martwię się o niego. Martwię się o siebie.

- Nie do wiary! - powiedziała Rebecca. Josie zignorowała jej sarkastyczny ton.

- Pytanie jest następujące: czy powinnam zapłacić z własnej kieszeni za prawa do scenariusza, żebym nie musiała się martwić, że pan Floryda sprzeda go komuś innemu, czy powinnam wybrać bardziej ryzykowną, ale także potencjalnie bardziej lukratywną drogę sprzedania go najpierw jakiemuś studiu?

- To proste - powiedziała Rebecca, rozglądając się po placu zabaw. - O Boże, nie widzę nigdzie Romana. Amelia, nie rzucaj piaskiem w tę dziewczynkę. Nie rób tego! - Odwróciła się do Josie. - Kup scenariusz. Nie dlatego, że się boisz i nie dlatego, że to jest uczciwa droga, chociaż tak jest, ale, jak mówiłaś, to cię nie obchodzi. Powinnaś to zrobić po to, żeby samą siebie uznać za poważnego producenta. Tak właśnie postępują producenci. Zmniejszysz ryzyko utraty scenariusza i będziesz mogła go sprzedać, komu chcesz, o nic się nie martwiąc. Tak będzie dla ciebie lepiej. Roman! - wrzasnęła nagle Rebecca, aż Josie się wzdrygnęła. Amelia znowu wstała cała w piasku. Podeszła do Josie.

- No popatrz - powiedziała Rebecca. - Poszła prosto do ciebie. Może zmieniła zdanie.

Josie instynktownie wyciągnęła ramiona i chwyciła dziewczynkę. Pobrudziła sobie białą bluzkę, ale ważniejsze było uczucie, którego doznawała, trzymając w rękach to drogie, małe ciało. Josie poczuła nagły przypływ wzruszenia, jakby wiatr zachwiał budynkiem, który uważała za niezniszczalny. Podniosła Amelię.

- Wiesz, że lubię dzieci - powiedziała do Rebecki, odwracając Amelię ku sobie i to podnosząc ją, to opuszczając.

- Musi się oswoić. Po prostu musiała się trochę do mnie przyzwyczaić. Lubię to w Amelii: nie uznaje od razu każdego, trzeba jej udowodnić swoją wartość.

Josie zaczęła lekko podrzucać Amelię, trzymając ją pod paszkami. Dziewczynka zachichotała i Josie podzuciła ją wyżej. Tym razem Amelia szeroko otworzyła buzię z radości. Josie spojrzała na nią i jeszcze raz podzuciła wysoko nad głową. Amelia była ślicznym dzieckiem, delikatne rude włoski sterczały prosto do góry, wielkie brązowe oczy w kształcie migdałów i - w tej chwili - szeroki uśmiech. Uśmiechnęła się do dziewczynki. To jest cel, pomyślała, lecz wtedy dostrzegła zmianę wyrazu twarzy na małej buzi.

- Oooo! - Amelia właśnie spadała i Josie chwyciła dziecko w chwili, gdy strumień wymiocin wytrysnął na jej bluzkę.

- Niech to cholera! - Josie oddała dziecko matce. Ulubiona koszula firmy Marc Jacobs została opryskana wymiocinami od góry do dołu.

- Trzeba unikać tych salw - uśmiechnęła się Rebecca, rzucając Josie jakąś ściereczkę. Josie zacisnęła zęby i odpowiedziała przyjaciółce uśmiechem, przysięgając sobie jednocześnie, że jej dziecko nigdy nie zwymiotuje.

- Amelia, kotku, przeproś ciocię Josie.

Amelia przesypywała łyżeczką piasek. Potem podniosła ją i wsadziła do buzi. Spojrzała na kobiety i uśmiechnęła się.

- Nie możesz się doczekać własnych dzieci, prawda? - Rebecca wyciągnęła łyżeczkę z buzi dziecka, wytarła ją z piasku brzegiem sukienki i oddała Amelii. - Mike od dawna chce mieć dzieci, prawda?

Josie miała zapytać: „Jaki Mike?”, ale potem sobie przypomniała. Jej mąż, Mike. Mężczyzna, któremu przyrzekła miłość i wierność aż do śmierci, przysięgła, że będzie ojcem

jej dzieci. Ale co ona wtedy wiedziała? Miała dwadzieścia pięć lat, sama była dzieckiem.

Wyobraziła sobie dużego kojca z niemowlęciem i swego niezdarnego męża w wymiętej marynarce wśród wypchanych zabawek. Ta wizja przeraziła ją i choć wiedziała, że to politycznie niepoprawne, musiała się sama przed sobą przyznać, że nie chce męża, który chodziłby na czworakach i zmieniał pieluchy. Pragnęła takiego, który chętnie zatrudniłby nianię, parsknąłby śmiechem na myśl o budzeniu się razem z żoną, kiedy trzeba nakarmić dziecko. Jej mąż, jej przyszły mąż, mężczyzna taki jak na przykład Henry Antonelli, rozumiałby, że jego misja życiowa jest wielostronna, że to makromisja, a nie mikromisja. Mike O'Leary miał wiele zalet: był życzliwy, miał wielkie serce, był zabawny i wysportowany, ale nie potrafiłby być bezwzględny. Wychodząc za mąż, nie wiedziała, że tego pragnie. Teraz wiedziała.

- Ja... chciałam z tobą o tym porozmawiać - powiedziała Josie.

- O czym?

- O... spójrz na to. - Josie otworzyła torebkę, wyciągnęła karteczkę i pomachała nią w stronę Rebecki. - Znalazłam to za wycieraczką. No, zgadnij. Po prostu zgadnij.

- Co mam zgadnąć? Naprawdę masz świetny samochód.

- Zgadnij, kim jest H.

- Nie.

- Jak to nie?

- Nie. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

- Z czym? Z niczym? Z dowiedzeniem się, że ten kawałek papieru może się okazać najwspanialszą rzeczą, jaka mnie spotkała od przyjazdu tutaj? Kawałek papieru, za który taki brukowiec jak „Enquirer” zapłaciłby każdą cenę... Dlaczego nie chcesz mieć z tym nic wspólnego?

- Kto to jest?

- Zgadnij.

- Josie, proszę cię, ja mam męża i dwoje dzieci. Nie mam czasu na zagadki.

- Henry - powiedziała Josie. - To ci powinno ułatwić.

- Henry - powtórzyła Rebecca. - Nie znam żadnego Henry'ego.

- Pomyśl na większą skalę.

- Na większą skalę.

- Na największą.

- Henry Higgins? Henry Antonelli? Książę Henry? - recytowała Rebecca, rozglądając się po placu zabaw. - Widzisz gdzieś Romana?

- Tak! Tak!

- Gdzie?

- Co gdzie?

- Gdzie jest Roman?

- Dlaczego mnie nie słuchasz?

- Słucham, tylko po prostu mam teraz dzieci.

- Nie da się ukryć.

Rebecca przestała się rozglądać i po raz pierwszy skupiła uwagę na Josie, tak jak to robiła w dawnych czasach, przed dziećmi, kiedy jadały razem w szkolnej stołówce. Josie wolno powiedziała: - H. to Henry Antonelli.

- Żartujesz.

- To prawda.

- Dlaczego Henry Antonelli zostawia ci za wycieraczką numer telefonu?

- Nie wiem.

- Zadzwoń do niego. - Rebecca wyciągnęła z kieszeni komórkę. - Zadzwoń w tej chwili. - Jej twarz z oblicza uśmiechniętej matki przerodziła się w twarz zaintrygowanego voyeura. - Chcę to zobaczyć.

- Nie zadzwonię do niego teraz. Może nigdy nie zadzwonię. Po prostu upajam się chwilą.

- Ta ja zadzwonię...

- Mamusiu! Mamusiu!

Rebecca odwróciła się. Chłopiec z gęstymi jasnymi włosami i ciemnoniebieskimi oczami biegł ku niej z piłką w rękach. - Mamusiu! Łap! - Nagle zatrzymał się i rzucił piłkę najmocniej jak mógł w stronę dwóch siedzących kobiet. - Łap!

Josie zobaczyła nadlatującą piłkę i zamarła. Rebecca wyciągnęła rękę przed siebie i chwyciła ją. - Roman, wiesz, że nie powinieneś tak rzucać piłką!

- To morderca.

- Wiem. Czasami zastanawiamy się z Johnnym nad popełnieniem razem samobójstwa, żebyście oboje z Mikiem wiedzieli, co was czeka.

Imię Mike'a jakoś nie pasowało do tego placu zabaw. Josie zamierzała powiedzieć: „chyba chcę się rozwieść”, ale Rebecca nie uważała. Roman ciągnął ją, żeby go bujała na huśtawce.

- Becky - zaczęła Josie. - Becky, muszę ci coś powiedzieć...

- Nie teraz, Roman. Nie teraz! - Rebecca spojrzała gniewnie na syna. - Powiedz mi; masz trzy sekundy, zanim ta zacznie. - Wskazała Amelię.

- Myślę, że my z Mikiem, to znaczy ja z Mikiem, zastanawiam się...

- Mamo! Proszę, ja muszę iść na huśtawki. Ja muszę. Rebecca spojrzała na Josie, potem na syna i znów na Josie.

- Idź - powiedziała Josie.

- Naprawdę?

- Tak.

- Niedługo uda nam się skończyć rozmowę. Nie odchodź od Mike'a, zanim nie porozmawiamy - wyszeptała Rebecca do ucha Josie, potem ujęła Romana za rękę. - Musisz się z tym przespać. Możesz chyba poczekać jeszcze ze dwa dni, zanim się zadasz z najseksowniejszym facetem na świecie?

Jej głos cichł, gdy odchodziła, choć w powietrzu nadal unosiły się okrzyki: „Roman, zostaw siostrzyczkę w spokoju!” i „Amelia, proszę cię, nie gryź, proszę cię, dziecinko, proszę!”. Josie nie ruszała się z miejsca i powąchała bluzkę.

Zostawiła w parku Rebeccę z jej diablątkami i poszła powoli do samochodu. Zapaliła silnik i przejrzała się we wstecznym lusterku. Rzeczywistość, znów rzeczywistość. Musi się skoncentrować. Musiała wiele dokonać w Los Angeles, wiele dokonać we własnym życiu. Dziecko na nią zwymiotowało. Co z tego? Miała zadać Mike'owi ból. No cóż, takie jest życie. Będzie bolesne, ale na dłuższą metę to dobre rozwiązanie. Miała scenariusz Joshui i telefon Henry'ego. Wielu ludzi jakoś przeżywało rozwody, zdarzały się każdego dnia. Na szczęście nie mieli dzieci. Świetnie sobie poradzi.

Rozdział szósty

Carla spała na plecach okryta po szyję puchową pierzyną. Zniknęło słodkie powietrze wiosennego wieczoru, o północy nad Manhattanem zebrały się chmury i Carla usnęła przy dźwięku deszczu bębniącego o dach.

Śniła o swojej pierwszej miłości, Martym Malone. Był jej pierwszym chłopakiem. We śnie prosił, żeby przeprowadziła się z nim na Alaskę, a potem nagle wziął do ręki słomkę, dmuchnął i wypuścił z niej diamenty.

Później Carla przypominała sobie, że obudziła się przed zawaleniem się dachu. Zaspana pomyślała, że diamenty ze snu skryształizowały się na suficie. Otwierała oczy, gdy usłyszała jakieś pęknięcie. Pomyślała: „pada bardzo silny deszcz”. Coś się rozrywało. Na ten dźwięk usiadła, wstrząśnięta i w pełni świadoma, że być może ktoś włamuje się do jej mieszkania i że niedługo może zostać zamordowana. Wsunęła rękę pod materac i wyciągnęła swój najlepszy nóż do mięsa, który trzymała tam na takie właśnie krytyczne sytuacje. Gdyby ktoś do niej podszedł, najpierw by go pchnęła nożem, a potem zadawała pytania.

Drugie pęknięcie było głośniejsze. Trzecie jak grzmot. Czwarte, piąte i szóste połączyły się w huk przypominający młot pneumatyczny, wrzask demonstrantów.

Dach się walił.

Z sypialni patrzyła, jak zapada się sufit w dużym pokoju; na pokrytą wykładziną podłogę spadały kawały mokrego drewna, gwoździe, gips i białe malowane deski. Deszcz wle-

wał się przez dziurę w suficie, gruz z dachu przesuwał się i przechylał, wydając głośnie dźwięki. Brzmiało to, jakby coś się rozrywało, jakby ktoś próbował przepiłować żebro albo zapalić silnik motorówki. Carla owinęła się ciaśniej pierzyną. Spojrzała na zegarek Paula Zeiga, który zatrzymał się dawno na 10:42, a potem na budzik przy łóżku. Była 4:43 nad ranem.

Carla roześmiała się jakoś dziwnie, obco. Ten śmiech ją zdziwił. Patrzyła, jak mokre ręczniki plażowe spadają na ziemię pośród gruzu, i śmiała się. Śmiała się i śmiała, wkładając okulary, wciągając bluzę od dresu, wtlaczając niewysportowane ciało w nowe dżinsy. Weszła do dużego pokoju i przesunęła skórzany fotel ze sklepu Restoration Hardware, który stał dokładnie pod dziurą w suficie. Na krótką chwilę przestała się śmiać i spojrzała w górę. Deszcz moczył jej głowę i pryskał na okulary.

Znalazła w kuchni torby na śmieci i pokryła nimi dywan, niski stolik, setki długopisów, spłowiałą kanapę, wszystko, co do pewnego stopnia pokryte już było ociekającym wodą gruzem z dachu. Wzięła laptopa, zdjęcie rodziców, a także kamień z wygrawerowanym słowem „Otwórz”. Pracowała systematycznie, lecz niezbyt długo.

Po dwudziestu minutach skończyła. Wyszła do korytarzyka prowadzącego z dużego pokoju do drzwi wejściowych. Patrzyła na deszcz padający w mieszkaniu. A potem, chwyciwszy parasolkę, czapkę baseballową bostońskiej drużyny Red Sox, torebkę oraz portmonetkę, wyszła.

Zbiegła po schodach najszybciej, jak mogła, wyobrażając sobie, jak woda przecieka przez podłogę jej pokoju i sufit sąsiada na dole. Dawno temu ukradł jej ze skrzynki „New Yorkera” i od tego czasu się do niego nie odzywała. Nie miała ochoty teraz z nim rozmawiać.

Wybiegła na ulicę, pustą o tej porze. Deszcz bębnił o chodnik. Podbiegła do automatu telefonicznego po drugiej stronie.

Od frontu nie było widać, że dach się zapadł, ale oczami wyobraźni widziała dziurę w suficie jakby z lotu ptaka. Wykręciła numer i poprosiła o połączenie na koszt rozmówcy, mówiąc, że dzwoni Carla.

- Chwileczkę - powiedziała telefonistka.

- Carla? Co jest? Coś się stało? - Kuzyn Phillip zdawał się zmęczony, lecz pełen niepokoju.

- Zdecydowałam się.

- Na co?

- Na przyjazd do L.A.

- Jestem śpiący, Carla, nie rozumiem.

- Paulette przysłała mi e-mail. Przyjeżdżam.

- Nic mi o tym nie mówiła.

- Wszystko jedno.

- Na pewno nic ci się nie stało? Masz dziwny głos.

- Nie, wszystko dobrze, nawet świetnie. - Carla cofnęła się o krok i zamknęła parasolkę. Podobało jej się, jak deszcz odbija się od jej włosów, ciała. - Czekałam na znak i właśnie nadszedł.

- Poczekaj chwilę, co się dzieje?

- Dach mi się zawalił - powiedziała. - Ale nie martw się. Zadzwoń do ciebie jutro.

Rozłączyła się, przemoczona do suchej nitki, uśmiechnięta, żywa.

Nie miała mieszkania. To było jasne. Był to wyraźny sygnał od Tych Na Górze, że czas się stąd wydostać, iść naprzód, zacząć żyć! E-mail od Paulette był jedynie katalizatorem.

Ważne było to, że dziś Carla zerknęła w przyszłość przez dziurę w dachu, a jednocześnie na jej suficie ukazały się diamenty ze snu. Świat otworzył się przed nią w apokaliptyczny sposób i nie przepuści tej okazji; tak samo jak nie przepuści innych okazji w przyszłości. Uchwyci ją radosnymi palcami, a los przerzuci ją na drugą stronę kraju. Wylą-

duje na brzegu morza, sięgając ziemi niecierpliwymi stopami, i stamtąd wyruszy na swoją własną wyprawę.

Zatrzymała taksówkę. - Na lotnisko Newark? - zapytała.

- Nie ma sprawy - odparł kierowca.

Carla wsiadła. Na zegarze w taksówce była 5:32. Może w południe będzie już w Los Angeles.

Rozdział siódmy

O 7:35 Josie wjechała na podjazd swego domu w Beverly Hills. Stał tam samochód Mike'a, ford pick-up, który Josie pozwoliła mu kupić zgodnie z zasadą Pozorowania Przeciwieństwa. Mimo planowanego rozwodu Josie chciała powiedzieć mężowi o Joshui i scenariuszu, chciała, żeby się z nią cieszył.

Weszła do domu i znalazła Mike'a w salonie. Siedział na krześle i czytał gazetę.

- Cześć - powiedziała Josie. Położyła torebkę na barku i zrzuciła buty. Mike nie odpowiedział. Spojrzała na niego. Rzedniejące czarne włosy były nieco za długie na karku. Zauważyła, że ma na sobie niebieską koszulę DKNY, którą mu podarowała na Gwiazdkę.

- Hej - powiedziała jeszcze raz. Mike podniósł wzrok. Siedział z nogą założoną na nogę. Jak na byłego futbolistę wydawał się dziwnie pełen gracji. Wyglądał majestatycznie. - Co się stało? - zapytała. Podeszła do krzesła, na którym siedział i zapaliła światło. - Nie możesz czytać w ciemnościach.

Zaniepokoiła się, zupełnie jakby Mike wiedział, o czym myślała cały dzień. Była zbyt świadoma chwili obecnej, żeby się zastanowić, jak opanować strach albo przynajmniej złagodzić obawy, przypominając sobie, że to ona podejmuje tu decyzje.

- Dzwoniłem dziś do ciebie - odezwał się Mike.

- Przepraszam - powiedziała natychmiast. - Cały dzień miałam spotkania. Byłam na lunchu z Sethem, pozdrawia

cię, a potem pojechałam zobaczyć się z Rebeccą. Dziecko zwymiotowało mi na bluzkę...

- Zgadza się.

- Wiesz, że dziecko na mnie zwymiotowało?

- Wiem, że musiałaś być zajęta - odpowiedział. Wstał. Zauważyła koło fotela torbę. - Musiałaś być zajęta, bo dzwoniłem do ciebie pięć razy. Dzwoniłem do biura i na komórkę.

- Nie rób tego, Michael - powiedziała Josie. - Nie mogę być na każde twoje zawołanie. Mam własne życie.

- Będą sprawdzać, czy nie mam raka jąder. Byłem dziś umówiony z lekarzem. Dlatego dzwoniłem.

Josie odwróciła się tyłem, choć wiedziała, że jest to nieodpowiednia reakcja. Założyła ręce. - Chcesz, żebym się poczuła winna.

Mike roześmiał się za jej plecami ze spokojną rezygnacją. Była jego żoną i on też był winien tego, że nie zauważył jej wyjątkowego zaabsorbowania samą sobą.

- Nie, Josie - odpowiedział spokojnie. - Nie chcę, żebyś się czuła winna. Tu jest opinia lekarza. - Wręczył jej kopertę. - Doktor da mi znać w przyszłym tygodniu.

Podniósł torbę.

- Co?... Och, nie udawaj męczennika, nie rób tego. Zawaliłam sprawę. Przykro mi.

- Jest ci przykro, bo zawaliłaś sprawę, bo mogę być chory czy dlatego, że chcesz, żeby wszystko było w porządku?

Mike nie wydawał się rozgniewany. W jego głosie było zaniepokojenie.

- Mike... Jezu, czy ty naprawdę tak myślisz? - Zwykle nie miewała takiego zamętu w głowie i naprawdę chciała, żeby wszystko było w porządku.

- Zatrzymam się dziś w hotelu - powiedział. Josie zagroziła mu drogę do drzwi. - Dlaczego?

- Zadzwoń do ciebie i zostawię wiadomość, gdzie jestem. - Spojrzał na nią. Zamrugnął powiekami, lecz oczy miał

suche. - Muszę pomyśleć, Josie. Muszę pomyśleć. - Pochylił się i pocałował ją w policzek. - Wiem, że byłaś zajęta, ale dziś po prostu nie mogę słuchać twoich wymówek.

- Mike... - Josie usłyszała we własnym głosie desperację, gniew i strach. Chciała, żeby nogi się pod nią ugięły, chciała zemdleć, zrobić coś, co by odwróciło ich uwagę od niego i tej strasznej wiadomości. Chciała się uwolnić od poczucia winy, które spadało na nią jak ciężka kurtyna, jeszcze raz odegrać scenę powrotu do domu i pragnęła, żeby Mike udał zainteresowanie jej opowiadaniem o wydarzeniach dnia.

- Mike, nie odchodź.

- To nie jest... to nie jest... ja nie chcę być męczennikiem. Wiesz, że nie jestem, a może jestem, sam nie wiem. Po prostu teraz muszę stąd wyjść. Siedziałem tu dwie godziny i czekałem i to mnie bardziej dobiło niż rak. A może nie. Może tak mówię z powodu raka. To obłąd, prawda, Josie? Może mam raka. Mam trzydzieści trzy lata! - Jego twarz wykrzywił grymas, podniósł ramiona i zakrył twarz. Josie instynktownie podeszła do niego i otoczyła go w pasie ramionami.

- Błąd, Josie - powiedział, odsuwając się od niej. Podeszedł do drzwi.

Josie spojrzała na niego, swego męża, metr osiemdziesiąt pięć, ciemne proste włosy, przystojny i udręczony. Czowała siłę popychającą ją ku niemu, zmuszającą do okazania wszystkich uczuć, które by go do niej przywiązały, żeby zobaczyć, że mu na niej zależy, że się nim zaopiekuje, jeżeli podejrzenia się sprawdzą, żeby go zapewnić, że go nigdy nie opuści.

Ale nie poruszyła się. Mike też nie. Po prostu stali i patrzyli na siebie.

A potem Mike oderwał od niej wzrok i wyszedł. Josie tkwiła znieruchomiła, aż usłyszała, jak zapala samochód i odjeżdża. Stała w ich salonie, wśród ich wspólnego życia, wzywając na pomoc konieczny hart ducha i nie znajdując w sobie nic, jakby ktoś lub coś wypompował z niej bez jej wiedzy

wszystkie emocje. Chciała współczuć mężowi i współczuła, musiała, lecz na razie była pusta.

Następnie usiadła tam, gdzie siedział Mike, pod jasną lampą. Na stoliku obok stał telefon. Była sama, zupełnie sama ze swoimi myślami i wiedziała, że gdyby miała inny charakter, dzwoniłaby teraz w zdenerwowaniu do rodziny. Gdyby była inna, nie pozwoliłaby mu odejść, gdyby była inna, poszłaby z nim dziś do lekarza.

Ale nie była inna i miała dość przepraszania męża i wszystkich pozostałych. Uczciwość wobec siebie nie była okrucieństwem. Być może Mike nie ma raka, a jeżeli ma, Josie zrobi wszystko, żeby mu pomóc, nawet gdyby to oznaczało rozwiedzenie się z nim, żeby mógł podjąć życie na nowo. Nie była pozbawiona serca, nie była pozbawiona uczuć.

Lecz nie będzie się czuła winna.

I nie będzie już sobie niczego odmawiała. Wzięła do ręki słuchawkę. Nauczyła się na pamięć telefonu Henry'ego. Drżała ze słuchawką w ręku. Znow doznała tego dziwnego uczucia, że życie w końcu nabiera sensu, przestaje oceniać, czy Josie postępuje słusznie.

- Halo - powiedziała do telefonu. - Czy zastałam Henry'ego?

Część druga

Rozdział ósmy

Dawno temu Henry Antonelli zrozumiał wartość kultywowania nawyku. Ludzie lekceważyli nawyki, twierdząc, że niszczą wolną myśl i spontaniczność, lecz Henry wiedział, że nie mają racji. Trik polegał na tym, żeby rozwinąć nawyk, który się przyda, a nie taki, który przeszkadza.

Dla Henry'ego takim nawykiem były konie.

Jako dziecko pracował w stadninach w całym New Jersey. Gdy tylko miał czas, biegał na okoliczne tory wyścigowe i do stadnin koni pełnej krwi. Urodził się w 1940 w małym miasteczku Vineland na południu New Jersey i - tak jak wszyscy jego rówieśnicy - aż do pójścia na studia pracował u jednego z okolicznych hodowców. Ale w odróżnieniu od rówieśników Henry miał doradcę w osobie wuja, Angelo Falcinello, sędziego stanowego sądu najwyższego, szanowanego za umysł uczonego i złośliwy dowcip. Angelo kochał konie i kiedy odszedł ze swej lukratywnej prywatnej kancelarii prawnej, żeby zostać sędzią, zaczął kupować rasowe. Pociągała go w nich nie tyle możliwość grania, ile same konie, majestatyczne zwierzęta, które potrafiły biegać z rozwianymi grzywami, pełne światła i mocy. Trzymał swoje konie w stajniach w pobliżu rodzinnego miasteczka, w których pracowały podczas letnich wakacji wszystkie jego dzieci i dzieci jego siostry, Antoinetty.

Kiedy Angelo zauważył, że siostrzeniec, Henry, zawsze ociąga się z wyjściem ze stajni, czesząc konie gęstą szczotką i rozmawiając z nimi, jakby były jego powiernikami,

przedstawił chłopca Denisowi Novakowi, trenerowi koni wyścigowych, który nauczył Henry'ego wszystkiego, co sam umiał.

Po skończeniu uniwersytetu Rutgers w 1962 Henry, znów za radą wuja, złożył podanie na studia prawnicze. Został przyjęty i jego matka, Antoinetta, płakała, ponieważ najstarszy syn miał zostać prawnikiem jak jej brat.

Jednak Henry, pracowity, lecz pozbawiony wyobraźni student prawa, nie mógł się oderwać od swej pierwszej miłości - koni. Kiedyś miał okazję pojechać do Santa Anita w Południowej Kalifornii z grupą koni czystej krwi, które wychowywał od czasu, gdy były roczniakami. Bogaci właściciele - rodzina hodowców z New Jersey - uprosili go, żeby przyjechał na sezon wyścigowy. Znaczyło to, że Henry musiał opóźnić rozpoczęcie studiów prawniczych i Antoinetta znów zapłakała - tym razem głośniej - z rozczarowania.

Nawet teraz, gdy dostał dwa Oscary, założył sławną na całym świecie firmę produkcji filmowej, którą z szacunkiem nazwał New Jersey Thoroughbred Films (Rasowe Filmy z New Jersey), a jego dobroć, humanitaryzm i wielki talent były opiewane w każdym zakątku na ziemi, osiemdziesięcioletnia Antoinetta Antonelli ciągle lamentowała, że nigdy nie wrócił do Vineland w New Jersey, żeby zostać prawnikiem. *To wszystko jest na niby. Żyjesz w świecie na niby, a ja w rzeczywistości. Hokus-pokus, filmy, nie mów mi o tym, wiem, co to jest, to biznes wariatów!*

Żona Henry'ego, psychiatra dziecięcy, Cecilia Rosenberg tolerowała pasję Henry'ego, tak samo jak on tolerował jej antyczne kołdry patchworkowe. Próbowali mieć dzieci, ale po siedmiu poronieniach i latach prób sztucznego zapłodnienia poddali się, akceptując ograniczone możliwości swoich ciał. Pięcioro rodzeństwa Henry'ego miało łącznie dwadzieścia ośmioro dzieci, a dwoje rodzeństwa Cecilii i trzy przyjaciółki - ośmioro, więc dni Henry'ego i jego żony wy-

pełniały dzieci, choć nie miały one w sobie ich DNA. Antoinetta mieszkała z nimi w Malibu, oddając się swojej własnej pasji: pokerowi. Wszyscy w Hollywood wiedzieli, że najlepszy poker w Los Angeles odbywał się w pełnym słońca atrium Henry'ego pod okiem Antoinetty. O miejsca przy jej stolikach ubiegało się najwięcej sław. Palenie było wzbronione.

Henry został aktorem w bardzo prosty sposób. Postanowił zrezygnować ze studiów prawniczych, został w Kalifornii i zajął się trenowaniem koni pełnej krwi. Jednym z jego klientów był producent hollywoodzki, którego córka wierzyła, że jest zakochana w chłopaku z New Jersey, i starała się o niego uparcie za pomocą telefonów, kwiatów i wołowego chili z restauracji Chasen's. Henry - mile połączony, lecz niezainteresowany - zniechęcał ją elegancko, ale i stanowczo. Nocami śmiał się ze swoją dziewczyną - świetnie jeżdżącą na koniu - z nieustępliwej arogancji młodej dziedziczki.

Ojciec młodej kobiety (świadom jej wad) podziwiał opanowanie i inteligencję młodego trenera, mimo że ten odrzucił jego córkę. Szukał obsady do filmu, którego akcja toczyła się pod koniec dziewiętnastego wieku. Zaangażował Henry'ego do roli Gangstera numer trzy trafionego kulą przeznaczoną dla Gangstera numer jeden i umierającego haniebnie na pustyni w Nowym Meksyku w niewoli Gangstera numer dwa.

Z Gangstera numer trzy zrobił się Policjant numer dwa, później Taksówkarz numer jeden, aż w końcu Henry zaczął dostawać główne role. Stał się rozchwytywanym aktorem, lojalnym w stosunku do pracodawców, uprzejmym dla fanów. Zależało mu na zachowaniu godności w filmach. Nie dbał o blichtr świata filmowego, tak samo jak przedtem pogardzał galowymi przyjęciami po wyścigach, uważając je jedynie za miejsca, gdzie mógł rozmawiać o tym, co naprawdę kochał - o koniach. Wiedział, że inni w Hollywood także okazywali podobną pogardę dla przyjęć i blichtru, ale,

w odróżnieniu od Henry'ego, udawali i nawet najlepsi z nich nie umieli wytrwać w postanowieniu ignorowania knowań żadnego władcy specjalisty od reklamy albo żadnego pieniędzy agenta. Henry'emu się to udawało, ponieważ naprawdę było mu wszystko jedno.

Zależało mu natomiast na kobietach Hollywoodu, które za wszelką cenę pragnęły mieć tyle władzy co mężczyźni - intrygowały go i nie mógł nic na to poradzić. Nigdy prawdziwie nie pociągały go aktorki. W odróżnieniu od swoich rówieśników, rzadko brał energię i intelekt „złościc” za coś innego niż przejaw samolubstwa. Lecz kiedy myślał o kobietach (innych niż żona), zawsze czuł pociąg do tych, dla których zdobycie bogactwa i władzy było celem życia. Jak Sammy Glick Schulberga* pragnęły władzy, pieniędzy i uwielbienia idiotów.

Wiedział, że kobiety mają prawo być równie krótkowzroczne jak mężczyźni. Że jeżeli chcą być jak Sammy Glick, to Bóg z nimi. Nie do niego należało mówienie im, że mają wszystko to, co w życiu najważniejsze, ponieważ mogą mieć dzieci, być opiekuńcze, mądre, twórcze, zarabiać i być szanowane - i do tego wszystko jednocześnie. Było mnóstwo takich przykładów w Hollywood - szefowa studia, która domagała się żłobka na terenie studia, chcąc pracować i jednocześnie spędzać czas z dziećmi, wiceprezes będąca mózgiem kierującym rozwojem firmy telewizji kablowej, aż uczyniła ją jedną z najbardziej podziwianych korporacji w Ameryce, była jednocześnie doskonałą żoną, matką i przyjaciółką.

Ale co z kobietami przebojowymi, którym nie zależy na produkcji, a chcą jedynie pieniędzy i sławy? Co na nie działało? Co powodowało, że kobieta typu Josephine O'Leary chciała brać udział w niekończącym się wyścigu, wyczerpującym, szalonym przerażającym wyścigu pełnym ludzi, któ-

Sammy Glick - pozbawiony skrupułów bohater powieści Buda Shulberga pod tytułem *What Makes Sammy Run?*, który po trupach dążąc do celu, z nowojorskiego gońca staje się hollywoodzkim potentatem (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

rzy nieustannie obracali głowy to w lewo, to w prawo, żeby się upewnić, że nikt ich nie wyprzedza. Dlaczego?

Chciał ją zapytać. Chciał usiąść i dowiedzieć się, co doprowadziło do tego, że taka się stała. Chciał poznać historię jej życia, jej dziecięce sny i marzenia.

No i oczywiście chciał się z nią przespać.

Miał w przeszłości romans. Miała na imię Rhonda i była agentką w czasach, gdy większość kobiet pracowała jako sekretarki. Była przekonana, że musi poprowadzić studio filmowe, i potrafiła uzasadnić każde nieprzyzwoite zachowanie, które pomogło jej osiągnąć ten cel. Powiedziała Hen-ry'emu, że studiowała biografie wielkich leaderów i że podobieństwa między nimi polegały na tym, że kiedy dostali się na szczyt, mogli powiedzieć każdemu, kto ich oceniał: „Mów sobie o mnie, co chcesz. Ja jestem tu, a ty nie”.

Ale Rhonda go w końcu znudziła i zakończył ich związek. Lata później zrezygnowała z biznesu i słyszał, że teraz zajmuje się hodowlą zdrowej żywności w Eugene, w stanie Oregon.

Henry wyznał wszystko Cecilii, rozpoczynając tym samym najgorszą fazę ich małżeństwa, ale to było dawno temu i od tego czasu udawało mu się panować nad fascynacją kobietami w stylu Sammy'ego Glicka.

Do chwili obecnej, kiedy pojawienie się Josephine O'Leary nałożyło się na sześćdziesiąte drugie urodziny Henry'ego. Skończenie sześćdziesięciu lat nie było trudne, ale sześćdziesięciu dwóch - owszem. Uchodził ciągle za przystojnego - ciemnoniebieskie oczy były równie czyste i wielkie jak zawsze, sylwetka umięśniona jak u komandosa. Mimo to czuł się niespokojny. Właśnie dowiedział się, że Harrison Ford ma dostać za rolę „coś około trzydziestu paru milionów”. Henry nigdy nie zarobił więcej niż dwadzieścia pięć (choć ta astronomiczna suma znacznie się zmniejszyła po zapłaceniu dziesięciu procent agencji, pięciu prawnikowi, dwóch księgowemu i odjęciu podatku). Ale nie chodziło tu już o pieniądze

jako takie. Powodzenie Harrisona nadeszło właśnie w chwili, kiedy Henry zaczął postrzegać siebie jako starego człowieka. Czy ześlizgiwał się po zboczu swej kariery? Czy nie uświadamiał sobie własnego upadku?

W tym rozdrażnieniu był przekonany, że Cecilia nie współczuje mu w zmartwieniu, oferując pseudopocieszenie zawarte w jednym krótkim zdaniu: „Nie potrzebujemy pieniędzy”. Czuł się, jakby poprosił o ręcznik, a dostał chusteczkę jednorazową.

- Nie mówię o pieniądzach - upierał się. - Mówię o wiarygodności. O zachowaniu pozycji.

- Mówisz o współzawodnictwie między dwoma chłopcami - odpowiedziała z miejsca. - I nie będę tego słuchać.

Henry poszedł więc do starego przyjaciela, Wallace'a, wierząc, że ten zlituje się i zapewni go, że on też wkrótce będzie zbierał oferty na ponad trzydzieści milionów. Zamiast tego Wallace opowiadał jedną po drugiej historie o „dawnych, dobrych czasach” i narzekał, że prezes studia zleca rozmawianie z nim przez telefon podwładnym. Nagle Henry poczuł się jak postać z *Ostatniego obrońcy*, swego najnowszego filmu. Grał popularnego prawnika, który po czterdziestu latach praktyki odkrywa, że jest coraz bardziej archaiczny i klienci odchodzą od niego do młodszych, umiejących szpanować kolegów. Czy możliwe, że po wspaniałej karierze to samo spotykało teraz Antonellego w prawdziwym życiu? Czy ostatni dowiaduje się, że jego kariera dobiegła końca i lada chwila odkryje, że ma raka prostaty i umrze?

Czy to początek końca?

W takim był właśnie nastroju, gdy poznał Josephine O'Leary, kobietę, która nie bała się spojrzeć mu w oczy i która lśniła ostatnim blaskiem gładkiej, zdrowej, nieustraszonej młodości.

W dzień po otrzymaniu jej pierwszej wiadomości zastanowił się nad całą sytuacją. Zostawienie telefonu pod wycie-

raczką było szaleństwem - aktem bezczelności mężczyzny, który regularnie wdawał się w stosunki pozamałżeńskie. Do tego był człowiekiem zajęтым z kalendarzem wypełnionym codziennie godzina po godzinie. Miał wystarczające trudności w planowaniu spotkań, które nie wymagały ukrywania się. Właśnie wczoraj dawna dziewczyna zadzwoniła do niego, proponując wspólną kolację. Musiał przesunąć sześć spotkań i zmusić organizację charytatywną do zmiany daty imprezy dobroczynnej, aż w końcu zaprosił ją na kolację przed premierą *Ostatniego obrońcy*, za sześć tygodni. A była to tylko kolacja z dawną przyjaciółką. Romans wymagał strategicznego planowania, podstępów i tajnych operacji. Czy było warto?

Nie wiedział, czy do niej zadzwoni. Wiedział, że jest nim zainteresowana tylko z powodu jego sławy. Gdyby nadal był trenerem koni, Josie zawołałaby ochronę na widok kartki z numerem za wycieraczką.

Ale to on zostawił numer. I to on bał się pójścia w zapomnienie. I to on jeździł po Los Angeles w stukniętej toyocie corolli, zastanawiając się, czy zadzwonić do młodej kobiety, żeby nawiązać z nią romans - co uczyniłoby go równie typowym i przeciętnym jak wszyscy jego rówieśnicy, uganiający się w pogoni za jakąś ładną dziewczyną i mający nadzieję, że nie popsują wszystkiego.

Rozdział dziewiąty

Phillip Giberson był człowiekiem hojnym. Gdyby nie zarabiał dużo, ta cecha sprawiłaby mu wiele kłopotu, lecz jako szef działu obsługi prawnej w Studiu X był prawnikiem negocjującym największe transakcje, najbardziej dochodowe przedsięwzięcia, nabytki najbardziej warte zaciągania kredytów. To także oznaczało, że jego pensja i premie wystarczały na utrzymanie rodziny w dużym domu w Santa Monica, dość blisko plaży i wystarczająco daleko od Hollywood, żeby mógł dalej wierzyć, że jest ciągle tym samym, dawnym Phillipem z Long Island.

Oczywiście nie był. Sam o tym wiedział. Był człowiekiem świadomym swoich wad i zalet i po porównaniu ich stwierdził, że zalety przewyższają wady, co doprowadziło do decyzji, że nie pozbędzie się swych wad bez względu na ich rodzaj.

Oznaczało to dalszą grę w golfa raz w tygodniu, dawanie zbyt wysokich napiwków, trwonienie pieniędzy i nadmierne palenie. Dochodziło do tego rzucanie ubrania na podłogę przed pójściem spać. Wiedział, że powinien powściągnąć ten nawyk, że mężczyźni lepsi od niego bywali zdyscyplinowani, wrażliwi i umieli składać ubrania w idealną kostkę. Może zmieni się, kiedy będzie starszy, gdy jego syn Christopher pójdzie na studia. Ale na razie - jak powiedział Samancie - jest, jaki jest, i musi sobie z nim radzić.

A teraz Samantha i Christopher musieli sobie radzić z Carłą Trousse, siostrą cioteczną Phillipa. Pojawiła się pewnego

dnia w znoszonym pomarańczowym swetrze i dżinsach. Krótkie rude włosy sterczały w kępkach utwardzone żelam. Nosiła jasnoczerwone okulary ze spiczastymi oprawkami i brązowe chodaki na bosych stopach.

Ośmioletni Christopher jej nie poznał. Phillip był zaskoczony, jak bardzo się zmieniła od zeszłego roku. Carla uśmiechnęła się radośnie i Samantha od razu powiedziała, że świetnie wygląda. Carla przewróciła oczami i spojrzawszy na Phillipa, oświadczyła: - Wyglądam strasznie. Przybrałam tonę na wadze, pokryłam się pryszczami i chyba mam nieświeży oddech.

Chuchnęła na Christophera, chcąc to udowodnić, i chłopiec skinął głową, że ma rację, potem dodał, najgrzeczniej jak umiał, że jej oddech pachnie jak oddech psa.

- Miłego psa? - zapytała Carla.

- Uhm - zgodził się Christopher.

Samantha zaprowadziła Carłę do pokoju gościnnego, w którym stało szerokie łóżko, pralka i suszarka do jej wyłącznego użytku oraz maszyna do ćwiczeń pilates, gdyby przyszła jej na nie ochota.

- Raczej nie będzie mi potrzebna - stwierdziła Carla sucho. - Chyba żebym miała kogoś torturować.

- Jak chcesz - odparła Samantha. - Czuj się jak u siebie w domu.

Carla rozpakowała się, wzięła prysznic, a później zeszła na dół i pokazała Phillipowi i Samancie e-mail od Paulette.

- Nic o tym nie wiem - powiedział Phillip.

- Nie wspomniała nam ani słowa - dodała Samantha.

- No, ja na pewno nic nie wiem - powiedziała Carla. Nie wiedziałam nawet, że u was mieszka.

- Nie mieszka. Mieszka w Santa Barbara - wyjaśnił Phillip.

- Żartujecie. Przyjechałam taki kawał, żeby mi mogła powiedzieć o moich trudnych chwilach na nowojorskim bruku...

- Zdaje się, że nie o tym chce mówić.

- A propos, dziękuję, żeście jej powiedzieli o moim samotnym i pustym życiu w Nowym Jorku.

- Nie mówiłem, że jest samotne i puste. Chyba powiedziałem „nędzne”.

Carla poczerwieniała. Phillip przygotował się na jedną z jej ciętych odpowiedzi, ale ona spojrzała mu prosto w oczy i raczej łagodnie zapytała: - Czy to było takie oczywiste?

- Nie - odparł. Carla uniosła brwi.

- No dobrze, tak. Po prostu powiedziałem jej, że nie masz pracy. To wszystko - przerwał. - Czy ty w ogóle zawiadomiłaś ją, że tu przyjeżdżasz?

- Nie - odparła Carla. - Zawiadomiłam tylko ciebie. Zdecydowałam się raczej nagle.

- Chyba wyjechała na dwa tygodnie. Ale kiedy ostatnio z nią rozmawiałem, powiedziała coś takiego, że mnie zatkało.

- W końcu rozwiązała kryzys na Bliskim Wschodzie?

- Nie - uśmiechnął się Phillip. - Ale kiedyś chodziła z Henrym Antonellim.

Carla i Samantha gapily się na niego. - Niemożliwe - powiedziała Samantha.

- Ale prawdziwe - odparł Phillip.

- Żartujesz. Proszę, powiedz, że żartujesz. - Carla poprawiła okulary.

- Przyjeżdża do Los Angeles, żeby zjeść z nim kolację i on ją zabiera na premierę *Ostatniego obrońcy*.

Carla i Samantha wymieniły długie, zaskoczone spojrzenia.

- Wiem, że należę do mniejszości, ale nigdy go nie lubiłam jako aktora. Czy naprawdę potrzebny jest jeszcze jeden film o sześćdziesięcioletnim facecie, który się wiąże z dwudziestopięciolatką? Założę się, że ma ponad sześćdziesiątkę. Co najmniej sześćdziesiąt pięć. Pewnie nie jest nawet Włochem. Na pewno jego człowiek od reklamy to wymyślił, żeby ludzie go postrzegali jako „zwykłego człowieka” jak

De Niro. To żarty. Przecież to typowy niebieskooki blondyn. - Carla spojrzała na Phillipa i Samanthę, żeby zobaczyć, czy się z nią zgadzają. - Po prostu marny z niego aktor.

- Tylko ty potrafisz nazwać marnym jednego z najpopularniejszych aktorów amerykańskich.

Samantha odwróciła się do Phillipa. - Paulette chodziła z Antonellim?

- Na to wygląda. - Phillip wzruszył ramionami.

- Może właśnie to chciała mi powiedzieć - zastanawiała się Carla.

- Nie jestem pewien, czy ona w ogóle wie, kim on teraz jest - odpowiedział Phillip. - Zdenerwowała się, kiedy próbowałem jej uświadomić, że stał się wielką gwiazdą. „Kiedy go znałam, był trenerem koni i dla mnie ciągle jest trenerem koni”.

- Kiedy jest ta premiera? - zapytała Samantha.

- Chyba mniej więcej za miesiąc. Nie wiem. Jakoś w czerwcu.

Carla rozejrzała się po kuchni: nieskazitelnej, z ciemnoszarymi marmurowymi blatami i lśniącymi srebrnymi urządzeniami kuchennymi.

- Ładnie - powiedziała. - Lodówka Sub-Zero i cała reszta. Phillip wychwycił pogardliwy ton w jej głosie, Samantha

również, toteż odpowiedziała lodowato: - Jeszcze nie widziałas Lamborghini. Phillip parsknął śmiechem.

- Naprawdę masz Lamborghini? - zapytała Carla.

- Oszalałaś? Samantha chce cię po prostu powstrzymać, zanim zaczniesz przemowę o ostentacyjnej konsumpcji.

Phillip wiedział, że kiedy Samantha poznała Carłę, czuła się onieśmielona jej wszechstronnym wykształceniem. Phillip próbował jej wytłumaczyć, że Carla jest najbardziej niepewną osobą na świecie, ale Samantha była przekonana, że jej własny dyplom licencjata z Unimersytetu w Południowej

Kalifornii nie może się równać z licznymi stopniami naukowymi Carli.

Napięcie sięgnęło szczytu na ich weselu. W czasie miodowego miesiąca Samantha powiedziała mu, że słyszała, jak Carla i kolega Phillipa ze studiów, David Stegner, rozmawiali o jej głupocie. Phillip zapewnił ją, że musiała się przesłyszeć, ale w głębi serca dobrze wiedział, że i jego kuzynka, i przyjaciel byli zawsze skłonni oceniać ludzi na podstawie ich wykształcenia.

Lecz teraz, dziewięć lat później, Samantha nabrała pewności siebie. Phillip przyglądał się jej, siedząc na kanapie w dużym pokoju połączonym z kuchnią. Była bystra, dowcipna, pragmatyczna i była dobrą matką.

Carla zaś przyglądała się Phillipowi, próbując znaleźć odpowiedź na jego oskarżenie. - Nie mam żadnej gotowej przemowy o ostentacyjnej konsumpcji - zaczęła. - Po prostu uważam, że kiedy ludziom się trafi mieć dużo pieniędzy, powinni... - przerwała.

Phillip i Samantha wymienili spojrzenia.

- Nieważne - powiedziała Carla i zaczęła się uśmiechać.

- Wiecie, ja myślałam kiedyś, że Sub-Zero oznacza, że jedzenie jest przechowywane w temperaturze poniżej zera.

Nikt się nie odezwał.

- Przepraszam cię, Samantha. Wasz dom jest przepiękny

- powiedziała Carla. Phillip nigdy nie widział jej równie skruszonej. - Całe moje mieszkanie zmieściłoby się w tym pokoju.

Samantha rozpogoczyła się na tę pochwałę. - Dobra strona Los Angeles to przestrzeń.

Carla podeszła do lodówki, której drzwi Samantha pokryła zdjęciami.

- Kto to jest? - zapytała. - Obok Davida?

Samantha stanęła za nią. - Eve. Eve Marvell.

- Słusznie - powiedziała Carla, przypominając sobie ton Davida, kiedy wspomniał o Eve w czasie jednej z ich dawnych rozmów telefonicznych.

- Jest cudowna - powiedziała Samantha. - Bardzo by ci się podobała. Ale nie wiem, co ona w nim widzi.

- Samantha... - rzucił Phillip ostrzegawczo.

- Co masz na myśli? - zapytała Carla.

- Eve jest jedną z najsympatyczniejszych osób, jakie znam, ale coś musi być z nią nie tak. Inaczej nie byłaby z nim.

- Dlaczego? Nie rozumiem. - Carla zdawała się bardzo zdziwiona.

- Bo David... David jest... - Samantha rozejrzała się dookoła, jakby szukając odpowiednich słów, a potem dokończyła - pozbawiony uroku. David jest całkowicie pozbawiony uroku.

- Nie jest taki zły - powiedział Phillip.

- Jest największym chamem, jakiego w życiu spotkałam. A przecież mieszkam w L.A.

Carla odwróciła głowę, co pozwoliło Phillipowi rzucić żonie gniewne spojrzenie. Przestań - powiedział bezgłośnie. Samantha spojrzała na niego pytająco. Pokręcił głową.

Carla wróciła z kuchni do pokoju. Zdjęła okulary i potarła oczy.

- A co słyszać w Nowym Jorku? - zapytał Phillip.

- Spędziłam ostatni dzień, siedząc na stacji metra przy Dziewięćdziesiątej Szóstej Ulicy - Carla była zmęczona i powiedziała pierwszą rzecz, jaka jej przyszła do głowy.

- To na pewno dobra rozrywka... - zaczęła Samantha, ale nie dokończyła.

- Zmęczył mnie - powiedziała Carla cicho i z namysłem.

Wiem, że powinnam go kochać. Jestem kwintesencją nowojorczyka: zgorzkniała, samotna, nadmiernie wykształcona, bardzo krytyczna - przerwała i uśmiechnęła się do Phillipa.

Zdaję sobie z tego sprawę, nie martw się. - W roztargnieniu podrapała się w brodę. - Ale myślę, że już dość. Nowy Jork, centrum wszechświata. Dwadzieścia lat wysilania się,

gryzmolenia i błagania, żeby ludzie zwrócili na mnie uwagę. Jestem tym taka zmęczona. Podnoszę się na duchu, karmiąc fałszywymi nadziejami i głupimi, trywialnymi stwierdzeniami i, oczywiście, moją specjalnością, rozrywaniem na strzępy wszystkiego i wszystkich, którym się udało. - Znów przerwała i potarła twarz dłońmi. - Wiem. Stałam się jakimś gadatliwym potworem. Chyba mogłabym dosłownie zagadać kogoś na śmierć. Nie żartuję, to jest jak jakieś schorzenie. Muszę iść do AG, Anonimowych Gaduł, ale jestem taka tylko dlatego, że rzadko mam okazję z kimś rozmawiać. - Zamknęła oczy.

Złożyła ręce i pochyliła głowę. Phillip przyglądał się jej w milczeniu.

- Na pewno nie jest tak źle - pocieszyła ją Samantha.

- Jest źle - odparła Carla spokojnie. - Nie martw się. Przyznaję się do tego w waszym prywatnym konfesjonale. Wiem, że to prawda.

- Nie jest źle - powiedział Phillip bez przekonania. Carla uśmiechnęła się do niego sceptycznie.

- Rozmawiałaś z Candace? - zapytał.

- Z moją matką? - Carla wybuchnęła śmiechem. - Moja matka jest bardzo, bardzo zajęta i nie ma czasu na moje histerie. „Carla, musisz się uspokoić. Życie nie jest łatwe. Zawsze ci to mówiłam. Przestań myśleć o sobie. Są na świecie ludzie, których wyniszcza choroba, którzy mają maczety przystawione do gardła. Ty masz dużo szczęścia. Ja cię kocham bezwarunkowo, tak jak każe Jezus, ale uważam, że najwyższy czas, żebyś przestała ode mnie oczekiwać tyle wsparcia duchowego. Czy zdajesz sobie sprawę, że jesteś dorosła?”.

- Naprawdę tak powiedziała? „Jak każe Jezus”?! - nie dowierzała Samantha.

- Owszem, tak powiedziała. Ostatnio odbiło jej na punkcie radykalnego katolicyzmu. Jezus umarł za nasze grzechy,

miej wiarę, zaufaj Panu, protestuj przed szpitalami, które przeprowadzają aborcje. Wiecie, jak to jest. Zapytałam ją, co mówi dziewczynom, którym nie pozwala wejść do szpitala. Podobno udziela im rad na temat świętości życia. Powiedziałam, że poszłabym z nią na jeden z tych protestów, gdybym mogła tym dziewczynom powiedzieć, jaką była kochającą, pomocną i wyrozumiałą matką. - Uśmiechnęła się szeroko. - No, to jej nie bardzo przypadło do gustu. Niedługo potem pojechała na jakąś katolicką wycieczkę charytatywną, mówiąc, że zobaczymy się na Boże Narodzenie. - Oczy Carli zabłyśły. - Może zadzwoniła do Paulette i powiedziała, że się o mnie martwi? Może dlatego Paulette się ze mną skontaktowała?

- Musisz przyznać, że „niezrównana bezkompromisowość” to niezłe wyrażenie - wyraził swoje zdanie Phillip.

- Paulette to mądra kobieta. Nie ma dwóch zdań. Praktycznie pozbawiona uczuć, ale niewątpliwie mądra - odpowiedziała Carla.

Phillip natychmiast się zorientował, że dzisiejsza wersja życia Carli była mniej melodramatyczna niż zwykle. To dobry znak.

- Rodziców się nie wybiera. Bóg jeden wie, jakie krzywdy wyrządzamy teraz Christopherowi.

Carla rozejrzała się po pokoju. - Wygląda na to, że próbujecie go zadusić zabawkami.

- To wszystko wina Phillipa - wyjaśniła Samantha. - Próbowałam mu tłumaczyć, ale on nigdy nie słucha. Jedyna zasada jest taka, że nie ma żadnych zasad. Christopher dostaje wszystko, czego chce.

- I nie jest rozpieszczonym gówniarzem?

- Sama zobaczysz - powiedział Phillip. - To chyba nie jest tego typu dzieciak. Inny pewnie by był na jego miejscu. Słuchaj, Paulette jest moją mamą i nie bardzo różni się od Candace. Może nawet jest gorsza - prawie nigdy jej nie było

w domu. Mniejsza o to. Obie są samolubne. Może było coś szkodliwego w wodzie, kiedy dorastały? Kto to może wiedzieć? Człowiek sobie z tym radzi - przerwał. - I robi to, na czym mu zależy, kiedy ma okazję. Jeżeli dawanie Christopherowi za dużo zabawek jest moim zdaniem największym grzechem, to nie jest źle.

- Więc nie wiesz, czego ode mnie chce? - zapytała Carla.

- Nie mam pojęcia.

Carla ponownie podeszła do lodówki. - David i Eve są razem już od dość dawna?

- Nie wiem, chyba od dwóch lat - powiedziała Samantha.

- Chyba już o nim nie myślisz? - zapytał Phillip. - Lepiej się przyznaj.

Carla spojrzała na niego z gniewem. - Zapomniałam, jak nie na miejscu jest mówienie o wspólnym znajomym wśród starych przyjaciół. Wybacz mi.

- Nie łudź się, Carla. On kocha Eve.

- Na tyle, na ile jest w stanie w ogóle kogoś kochać - wymruczała Samantha.

- Nie jest taki zły - powiedziała Carla. - Nie może być.

- Ja nie mogę się odzywać - ustąpiła Samantha. - Uważa mnie za idiotkę.

- Dlaczego nie biorą ślubu? - zapytała Carla.

- Mam nadzieję, że Eve jest na tyle mądra, że nie chce rujnować sobie życia. Słuchaj, co chcesz tutaj robić?

- Robić? - zastanowiła się Carla. - Przypuszczam, że jestem trochę za stara i nie dadzą mi ról młodych pańienek.

- Wiesz co? - uśmiechnął się Phillip. - Powinnaś tu zostać na dłużej. To miejsce dla twórczych ludzi.

- Zgadza się. Tych wszystkich geniuszy, którzy umieszczają amerykańską rozrywkę na froncie wojen kulturalnych.

- No to zmień to.

- Mówiłam ci, że jestem dużo lepsza w krytykowaniu. Tylko to potrafię - odparła Carla.

- Mówię poważnie. Powinnaś o tym pomyśleć. Mogę cię poznać z różnymi ludźmi. Znasz tu kogoś prócz nas?

- Tak. Moja dawna asystentka, Nadine gdzieś tu pracuje. I jeszcze jednego faceta z Uniwersytetu w Nowym Jorku. Jest tu reporterem. Mogę do niego zadzwonić.

- Dobra. Ani się obejrzysz, a staniesz się równie płytka jak my wszyscy.

- Nie należy tracić nadziei. Idę spać, dobrze? Jeszcze ciągle żyję według czasu Wschodniego Wybrzeża.

- Śpij dobrze - powiedział Phillip.

- Czuj się jak u siebie w domu - zawołała za nią Samantha. - Pamiętaj. Carla zniknęła, a Phillip zapalił, wypuszczając idealne kółeczka dymu.

- Jest twarda - powiedziała Samantha. - Twardsza, niż mi się przedtem wydawało.

- Jest zupełnym mięczakiem. Zupełnym, kompletnym mięczakiem.

Samantha usiadła na kanapie naprzeciw męża. Bawiła się oprawionym zdjęciem syna, zrobionym w dzień Bożego Narodzenia.

- Jak to możliwe, że urodziły was te dwie kobiety?

- Poradziliśmy sobie. One nie są złe, są po prostu zimne. Samantha przesunęła się i usiadła na biurku za Phillipem. Zaczęła mu masować kark.

- Mnie się udało z tego wydobyć, a Carla utknęła - ciągnął Phillip.

- Nie jestem pewna. Tak się skupiła na samej sobie, że nie może nawet zrobić kroku na zewnątrz; boi się. I uważa, że coś jej się należy. Nie można ciągle tylko krytykować i nic nie robić, mając szesnaście stopni naukowych. To tak jakby się wystroić, nie mając dokąd pójść. Co ona teraz zrobi?

- Nie mam pojęcia. Słyszałaś, co dziś mówiła. Nie jest w stanie utrzymać się w pracy, nie jest w stanie utrzymać przy sobie mężczyzny, ja ciągle wyciągam ją z tarapatów. Nie wiem, może powinienem przestać? Czy dalej to robić?

Samantha uśmiechnęła się i pocałowała Phillipa w czoło. Potem wstała i zrobiła krok w stronę schodów prowadzących na górę. Phillip przyciągnął ją z powrotem. - Dokąd idziesz? Zadałem ci pytanie.

- Spójrz na te zabawki - powiedziała Samantha, wskazując cały pokój.

- Co to ma znaczyć?

- A to, że nie mógłbyś przestać, nawet gdybyś chciał.

- A ty chcesz, żebym przestał?

Zrobiła krok w kierunku sypialni. - Nie podejdziesz mnie. Wiem, co próbujesz zrobić. Chcesz, żebym ci wydała rozkaz i wtedy będziesz mógł to na mnie zwalić. Nic z tego. Będziesz jej dalej pomagał i właśnie tak powinieneś postępować, bo przecież, bez względu na wszystko inne, to twoja rodzina. I owszem, będzie nas to kosztowało, ale tak to już jest.

Phillip został przy biurku i wyrzwał przez okno. Na pół do ósmej rano zaplanował rozmowę konferencyjną, a o szóstej miał przyjść jego osobisty trener, Simon, żeby go nakłonić do pobiegania po plaży. Z jednego filmu właśnie nic nie wyszło, a inny ponoć kosztował już trzy razy więcej, niż przewidziano w budżecie. Christopher miał w weekend mecz tenisowy, a w niedzielę wydawali z Samanthą kolację na dwanaście osób. Teraz razem z Carłą będzie trzynaście.

Czasami trudno z nią było wytrzymać, ale była też jego najdawniejszą przyjaciółką, która czasami zaskakiwała go oryginalnymi listami i chwilami wielkiej przenikliwości. Była nieprawdopodobnie ufna i lojalna. Jako dziecko opowiadała bardzo oryginalne historie świadczące o bogatej wyobraźni. Potrafiła go rozśmieszać przez parę godzin. Może Los

Angeles dokona cudu? Może Carla teraz wykorzysta w końcu część swych wielkich możliwości, kiedy jest tu, gdzie rodzi się tyle nowych pomysłów. Samantha miała rację. Nie było sensu zastanawiać się nad zmianą postępowania. To prawda, że w niedziele gra w golfa i nie opuszcza deski klozetowej po sikaniu, ale nie wyprze się kuzynki. Jeżeli to wada, niech sobie będzie wadą.

Rozdział dziesiąty

Josie weszła do biura z nową torebką firmy Hermes. Kupiła ją w Barneys za pieniądze, które dostała od Mike'a. Nie chciał z nią rozmawiać, przez co jej coraz bardziej zależało na rozmowie z nim. Zamieszkał ze swym najlepszym przyjacielem, Anthonym w Hancock Park. Anthony był jednym z najbardziej cenionych agentów literackich w mieście i wyglądało na to, że poniżanie Josie należało do jego ulubionych rozrywek. „O, czy to kobieta, która odeszła od chorego na raka męża?”, „Hm, Josie O'Leary... Nie przypominam sobie. Niech się zastanowię. Ta dziwka, która opuściła mojego najlepszego przyjaciela? Mówi ci to coś?”.

W końcu Josie się poddała, co Anthony także przepowiedział. „Ułatwiam ci to. Możesz powiedzieć, że ten skurwysyn, jego przyjaciel, nie pozwolił ci złagodzić poczucia winy. To idealna wymówka”. Rzuciła słuchawkę.

Jej nowa taktyka opierała się na pieniądzach. Mike będzie musiał mieć z nią do czynienia. Tym sposobem go do tego zmusi. Lecz on dawał tyle, ile żądała. Prosiła o pieniądze za pośrednictwem Seta, swojego adwokata, który przekazywał prośbę adwokatowi Mike'a, a potem pieniądze wpływały na konto i nikt o nic nie pytał. Rodzice Mike'a byli multimilionerami i nie lubili Josie, więc domyślała się, że dają mu pieniądze, chcąc się jej pozbyć. A może pochodziły od Mike'a, który uskładał niewielką fortunę przez dziesięć lat pracy jako bankier inwestycyjny. Tak czy inaczej, strumień pieniędzy płynących gładko na konto potwierdzał podejrze-

nia, że Mike i jego rodzina próbują ją zranić. Dlatego czuła się usprawiedliwiona, prosząc o więcej.

Nic nie wiedziała na temat diagnozy ani leczenia. Była zdenerwowana przez co najmniej trzy dni, aż jej koleżanka, specjalistka od reklamy, Catherine Von Hauptman przekonała ją, że zachowanie Mike'a jest pasywno-agresywne. To nie jej wina, że mąż zachowuje się jak dziecko. Josie powiedziała koleżance o swoich podejrzeniach, że Mike specjalnie trzyma ją w niepewności, aby sprawiała wrażenie nieczulej, kiedy ludzie pytają ją o jego stan. „Rak czy nie, mężczyźni to zepsute bachory. Nie byłaś skromną żoneczką. Tragedia. Niektórzy mężczyźni nie mogą znieść ambitnych kobiet. To jego zmartwienie, nie twoje”.

Josie zignorowała fakt, że twierdzenia Catherine o ambitnych kobietach wyjaśniały przyczyny rozpadu jej własnych ostatnich dwudziestu siedmiu związków. Zignorowała również fakt, że Mike cieszył się z przebojowego podejścia żony do życia. Josie potrzebowała interpretacji Catherine, aby uzasadnić swoje zachowanie. A więc naturalnie Catherine miała rację.

Josie postanowiła zdobyć tyle pieniędzy, ile się da, a potem kłamać do upadłego. Pracowała przecież w świecie fikcji; kiedy ktoś zapyta o Mike'a, wymyśli coś. Nie musiała się dowiadywać o jego leczenie. Nie chciała już wiedzieć.

- Fajna torebka - powiedziała Priscilla, która siedziała w recepcji, kiedy Josie się tam pojawiła.

- Dzięki.

- Nie, poważnie mówię. Fajna torebka.

- Dzięki.

- Zeszliście się z mężem?

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Och, znikąd - uśmiechnęła się Priscilla. - Po prostu pomyślałam, że może to od niego.

Josie zatrzymała się. - To nie twoja sprawa - powiedziała. Priscilla podeszła do niej.

- Masz rację - powiedziała słodko. - Przepraszam. Zirytowana do granic możliwości Josie rzuciła torebkę

na fotel. Słodycz Priscilli przypominała malowniczą rzekę, którą płyną azotany. Josie nie znosiła jej. Nie znosiła wszystkiego - swojego nowego mieszkania w niższych partiach Beverly Hills, ciągle nieumeblowanego, bo nie mogła się zdecydować, jaki image powinno mieć - wystudiowany luz czy motywy Zachodu - no i Henry Antonelli nie dzwonił.

- Cześć - powiedziała Nadine, stając w drzwiach.

- Cześć - odparła Josie, siadając i patrząc na nią z przyklejonym uśmiechem.

- Jak leci?

- Świetnie. Naprawdę znakomicie.

Nadine skinęła głową. - Super. Słuchaj, dzieje się coś dziwnego.

- Co?

- Nie wiem, po prostu coś dziwnego. Priscilla wręcz powiedziała mi, że ładnie wyglądam.

- Bo wyglądasz - powiedziała Josie, zastanawiając się, jak nie obrazić Nadine grzeczną wzmianką o liposuction.

- Mówię ci, że coś się dzieje. Wallace przyszedł do pracy wcześniej niż ja.

- Pewnie ktoś odwołał lunch. Teraz będzie musiał udawać, że ma coś zaplanowanego, siedzieć w biurze i palić fajkę.

- Mniejsza o to - powiedziała Nadine. - Po prostu chciałam cię ostrzec.

Wyszła, a Josie usiadła przy nowym komputerze iMac z siedemnastocalowym, płaskim ekranem.

- Nadine, poczekaj chwilę! Nikt nie dzwonił? - zawołała w stronę otwartych drzwi. - Nadine?

Czekała na pojawianie się Nadine, lecz na próżno. Spojrzała na telefon i zastanawiała się, do kogo by mogła za-

dzwonić, lecz nikt nie przychodził jej do głowy. Kartka, na której zwykle zapisywano, kto do niej dzwonił, była zupełnie czysta. Josie usłyszała coś i spojrzała w stronę drzwi.

- Nadine. Nareszcie ... - ale to nie była Nadine, tylko Priscilla. Josie nie zauważyła przedtem, że Priscilla była ubrana jak mała pastereczka Bo-Peep, nie brakowało nawet tandetnego jaskraworóżowego kwiatka we włosach.

- Josephine?

- Co?

- Wallace i ja musimy z tobą porozmawiać.

Josie błysnęła oczami w stronę swojej Nemezis. - Dobrze - powiedziała. Podniosła jakiś scenariusz. - Może być po lunchu? Mam spotkanie...

- Josie, im szybciej, tym lepiej.

- Dobrze - powiedziała Josie do siebie. - Dobrze.

Po chwili weszła do gabinetu Wallace'a. Szef siedział za biurkiem, a Priscilla w fotelu naprzeciw niego. Zdziwiła ją obecność Nadine siedzącej na kanapie. Josie spojrzała na nią, a Nadine wzruszyła ramionami.

- No - powiedziała Josie. - Przyszłam szybciej. Tak jak kazała Priscilla.

- Josephine - odezwał się Wallace, chrząkając. Podniósł na nią wzrok i uśmiechnął się życzliwie. - Mamy złe wiadomości.

Josie zerknęła bacznie na Priscillę, która tak się wdzięczyła, że Josie pomyślała przez chwilę, że jej chuda szyja się złamie i wielka głowa potoczy się po podłodze z różowym kwiatkiem i całą resztą.

- My?

- Chciałem być z tobą szczery.

- Co się dzieje?

- Więc - zaczęła Priscilla - zła wiadomość, zapewniam cię, że to dla nas bardzo zła wiadomość, jest taka, że cię zwalniamy.

Jej słowa zawisły w powietrzu. Josie odwróciła się do Nadine i zmierzyła ją badawczym wzrokiem. - Dlaczego ona tu jest? - zapytała, wskazując Nadine. - Czy ona o tym wiedziała?

- „Ona”? - powtórzyła Nadine urażona.

- Nie ma powodu tego ukrywać - powiedziała Priscilla.

- Nadine cię zastąpi...

- Co? - wykrztusiła Nadine.

- Chociaż bardzo trudno będzie cię zastąpić, moja droga

- odezwał się Wallace.

- Nie rozumiem - powiedziała Josie. Z wściekłością spojrzała na Nadine. - I nie rozumiem, po co ty tu jesteś teraz potrzebna.

- Odczep się. Ja też nic o tym nie wiedziałam - odparła Nadine.

- Tak jak powiedziała Priscilla: zła wiadomość jest taka, że od nas odejdziesz - przerwał Wallace. - Ale poczekaj. Dobra wiadomość jest taka, że już ci napisałem doskonale referencje. - Wyprostował się i uśmiechnął, jakby dawał jej odprawę wartą miliony dolarów zamiast kartki papieru.

- Co takiego? - Josie chwyciła krawędź krzesła. - Co?

- Bardzo mi przykro, moja droga - powtórzył Wallace.

- Po prostu...

Priscilla wstała. - Chodzi o to, że nasz kontrakt ze studiem nie został przedłużony.

Josie zerknęła na Wallace'a. To było znacznie gorsze niż zła wiadomość. Tak jakby wszyscy, którymi kiedyś rządził, wypięli się na niego.

Nikt nigdy nie kwestionował kontraktu Wallace'a. Nawet kiedy większość firm produkcyjnych musiała się zwinąć z powodu strasznej sytuacji ekonomicznej, Wallace utrzymywał się na powierzchni, choćby dlatego, że dawniej zarobił dla studia tak dużo pieniędzy.

- Ale... - zająknęła się Josie. - Naprawdę was likwidują?

- Obawiam się, że tak - powiedział. Wyglądał życzliwie, jak Święty Mikołaj, któremu jest przykro, że musi dać tej młodej kobiecie węgielek zamiast prezentu.

- To straszne - powiedziała Priscilla. - Nielojalne. Czy nie wiedzą, z kim mają do czynienia? - Pokręciła głową i różowa kokarda zachwiała się. - W czwartek zadzwonił do nas ich prawnik, nawet nie prezes, i powiedział, że poniedziałek będzie ostatnim dniem, za który zapłacą. Myślałam, że żartuje. A potem, kiedy Wallace zadzwonił, prezes wykręcał się od bezpośredniej odpowiedzi, ale nie zmienił zdania. Prawie mam ochotę sama do niego zadzwonić.

Josie zastanowiła się przez chwilę nad faktem, że Priscilla prawie ma ochotę.

- Kochanie - powiedział Wallace do bratanicy - nie musisz tego robić. Miałem do tej pory dużo szczęścia. Mógłbym ich podać do sądu, ale szczerze mówiąc, nie mam na to siły. Biznes się zmienia. Ludzie na górze mają teraz inne priorytety. Prezesowi nie zależy na filmach, lecz na pieniądzach. Likwidacja naszej firmy była tylko kwestią czasu.

Przez chwilę Josie myślała, że Wallace jest szczerzy, ale potem przypomniała sobie niedawne wydanie magazynu o biznesie hollywoodzkim, w którym podano, że fortuna Wallace'a sięgała kilkuset milionów dolarów.

- Ale przecież na pewno możesz sam dalej prowadzić firmę? Wallace wyprostował się gwałtownie. Priscilla spojrzała

na nią ze złością. Josie przypomniała sobie hollywoodzką zasadę: nigdy, przenigdy nie wydawaj własnych pieniędzy.

- Nie mogę - powiedział Wallace. - Naprawdę nie mogę sobie pozwolić na zatrudnianie ciebie. Nie jestem nawet pewien, jak długo uda nam się utrzymać.

- Ale przecież masz tyle...

- Naprawdę nam przykro, Josie - przerwała Priscilla. - W dodatku twoje małżeństwo się akurat rozpada...

- Priscilla! - zganił ją Wallace.

- Przepraszam, nie chciałam się wtrącać. Po prostu słyszałam, że Mike jest chory, no i teraz ta wiadomość musi być dla niej ciosem.

- Dziękuję ci za życzliwość - powiedziała Josie.

- Nie musisz być nieprzyjemna - oświadczył Wallace.

- To oczywiste, że jest nieprzyjemna! - powiedziała głośno Nadine. - Wywalasz ją z pracy.

- Nadine! Z tobą później porozmawiamy - pogroziła Priscilla, odwróciła się do Josie i zaczęła mówić łagodnie, jakby pocieszała małe dziecko. - Josie, potraktuj to jako szansę. Całe miasto przed tobą! Spójrz na to w ten sposób: to właściwie wielkie szczęście. Nie masz ochoty się uszczypnąć, żeby upewnić się, że to prawda?

Nie, pomyślała Josie, mam ochotę uszczypnąć ciebie.

Wstała i rozejrzała się po pokoju. Leżały tu stosy scenariuszy z tytułami nabazgranymi na grzbietach. Słowa jak *Imagination*, *The Happy People* i *Demonseed* zlewały się w wir czarnych gryzmołów. Łatwo było zapomnieć, że jakiś prawdziwy człowiek usiadł i przelał swoje najskrytsze myśli w te identycznie wyglądające pliki papieru.

- Kiedy mam odejść? - zapytała.

- Nie spiesz się - odrzekł Wallace.

- Ale - zaczęła Priscilla - jeżeli zostanie zbyt długo, to emocjonujące szukanie nowej pracy tylko się odsunie w czasie...

- Dobrze - warknęła Josie. - Dobrze. Odwróciła się.

- Poczekaj chwilę - zawołała Nadine. - Poczekaj.

Josie zatrzymała się przy drzwiach. Nadine stała z jedną ręką na biodrze, a drugą ją przyzywała. Odwróciła się do Priscilli i Wallace'a. - Nie sądzicie, że powinniście byli mnie najpierw zapytać, czy ja chcę tę nową pracę?

- Nie - odrzekła ostro Priscilla. - Nie. W ogóle nie przyszło mi to do głowy. To dla ciebie wspaniała okazja.

- Doprawdy?

Nadine pokręciła głową. Josie gapiła się na tę dziewczynę z nadwagą, z gęstymi blond włosami, w pomiętym ubraniu i okularach na nosie. - Pewnie powinnam być zadowolona. Chyba jestem naiwna, ale uważam, że tak się ludzi nie traktuje. Josie, poczekaj. Idę z tobą.

- Priscilla - poprosił Wallace. - Zrób coś.

Priscilla gniewnie patrzyła na dwie kobiety. - Nie - odrzekła. - Niech idą. Poradzimy sobie. - Odwróciła się tyłem do Nadine i Josie, która przyglądała się temu, stojąc w drzwiach.

- Dzięki, Wallace - powiedziała Nadine. - Jeśli znajdziesz chwilę czasu, mógłbyś mnie też napisać takie referencje?

Wallace uśmiechnął się szeroko. - Oczywiście. Zrobię to dziś. Priscilla dalej stała odwrócona plecami. Nadine wzięła torebkę i wyszła za Josie do holu. Josie zamknęła za nimi drzwi.

- Dzięki - powiedziała. - Zaskoczyłaś mnie.

- Jesteś głupia.

- Co?

- Słyszałaś, co powiedziałam. Jezu, zachowywałaś się, jakbym cię zdradziła, mimo że ja o niczym nie wiedziałam.

- Nie możesz mieć o to pretensji. Pomyśl, jak to wyglądało.

- No, ale ty powinnaś była pomyśleć o tym, co się dzieje i kto w tym bierze udział.

Nadine ruszyła w stronę wyjścia, potem zatrzymała się i spojrzała na Josie. - Najbardziej nienawidzę ludzi, którzy zakładają, że wszyscy są równie pozbawieni kręgosłupa jak oni.

Znów odwróciła się w stronę wyjścia.

- Poczekaj! Nadine, poczekaj! - zawołała Josie zaskoczona. - Nie zabierasz swoich rzeczy?

- Nie. Mam torebkę. Poza tym i tak wszystko należy do nich, więc to byłoby nie fair.

- Poczekaj... - powiedziała Josie słabym głosem. - Poczekaj.

- Na co?

- Ja...

- Daruj sobie, Josie, daruj sobie. Do zobaczenia. To przecież niewielkie miasto. - Nadine uśmiechnęła się i podeszła do szklanych drzwi na końcu holu, przez które wlewało się niewyraźnymi strumieniami popołudniowe światło.

Josie stała przez chwilę w tym samym miejscu, lecz kiedy usłyszała, że zamykają się drzwi gabinetu Wallace'a, pospieszyła do swego pokoju, chcąc uniknąć jeszcze jednej konfrontacji z Priscillą. Gorączkowo wykonywała różne czynności, jednocześnie przebiegając w myślach listę rzeczy do zrobienia: wysłać do siebie e-mail z listą klientów, a potem usunąć ją z komputera. Wysłać sobie recenzje scenariuszy, skopiować pliki z poprawionymi wersjami, wysłać do siebie numery telefonów. Scenariusz *Misia* jest, dzięki Bogu, w domu. Wrzuciła stosy teczek do reklamówki, którą wyjęła z dolnej szuflady. Kiedy przerzucała na biurku teczki i białe kartki, jak wyrzut sumienia ukazała się spomiędzy nich fotografia zrobiona w górach w Telluride, kiedy byli tam razem, ona i Mike. Dorzuciła do torby spis telefonów, ulubione długopisy, spinacze i bloczki papieru do notatek.

Wychodząc, wsunęła do torby zdjęcie z mężem z Telluride.

Rozdział jedenasty

W dzieciństwie Carla zakładała, że bracia Grimm i Hans Christian Andersen nie tylko nie kłamali, mówiąc, że kiedyś pojawi się przed nią księżę, ale także dosłownie traktowali pojęcie czasu. Jak szybko wydłużył się nos Pinokia? Natychmiast po tym, jak skłamał. Jak długo zajęło Pięknej zmienienie Bestii w księcia? Tak długo, jak trwał pocałunek. A jak długo zajęła Kopciuszkowi przemiana ze służącej w piękność? Jedną noc. Tylko jedną noc.

Kiedy Carla przyjechała do Los Angeles, miała nadzieję, że jedna noc wystarczy, żeby i ją przemienić. Lecz nie wystarczyła.

Przede wszystkim nie widziała się z Davidem. Było to oczywiście spowodowane faktem, że do niego nie zadzwoniła i nie miał pojęcia, że tu jest. Przypomniła sobie komentarze Samantha na temat jego dziewczyny, Eve. „Jest cudowna. Bardzo by ci przypadła do gustu”. Carla wiedziała, że Eve jej się nie spodoba, że ją znienawidzi. Już ją znienawidziła. Ewa-kusicielka, Ewa-niszczycielka mężczyzn, Ewa-zguba ludzkości. Przypuszczała, że Eve jest typową pseudo-perfekcyjną kobietą z Los Angeles z wyprostowanymi przez ortodontę zębami i silikonowo-sztuczną resztą. Gdyby była lalką Barbie, Carla ukreśliłaby jej głowę.

Nie spodziewała się po Davidzie, że zwiąże się z Barbie, lecz minęło już wiele lat, a Los Angeles umiało zdradziecko przesycić etykę człowieka swymi wartościami, nawet etykę istot wyższych.

Coś ją przerażało: nikomu się nie przyznawała, że zakochuje się w tym mieście. Jak na razie wszystko jej się podobało - jeżdżenie samochodem (mimo wypadku w volvie Phillipa), pogoda (mimo że po pierwszej sesji opalania się w ogrodzie jej skóra zrobiła się czerwona i plamista), luzackie zachowanie (w które zwątpiła, kiedy sąsiedzi wezwali policję, ponieważ Carla leżała nago na dworze w czasie rzeczonego smażenia się na słońcu). Coś w jej życiu zaczęło się układać i choć na razie nie było żadnych ważnych zmian, zdawało się, że następują jakieś drobne, stopniowe.

Tak jak wczoraj wieczorem. Podczas skądinąd błażej rozmowy o przemyśle filmowym Samantha nieświadomie skierowała Carle na odpowiedni tor kariery.

- Jeżeli chcesz pisać - powiedziała - to co się powstrzymuje?

- Najwyraźniej myślisz, że to takie proste - rzuciła Carla niecierpliwie.

Samantha się tym nie przejęła. - Mnie wszystko jedno, co będziesz robić. Ale mówiłaś, że lubisz pisać, i Phillip twierdzi, że masz talent.

- To jeszcze nie wszystko - zaprotestowała Carla.

- Dobra. Zapomnij, że w ogóle o tym wspomniałam.

Lecz dziś rano podczas spaceru po plaży odtworzyła w myślach tę rozmowę. Samantha nie była wielką intelektualistką, ale za to zdawała się niezwykle praktyczna. Carla nie wysilała się w życiu. Nie była nawet pewna, co to znaczy.

Szła wzdłuż morza na południe w stronę Venice. Zaczęła chodzić na spacerzy niemal zaraz po przyjeździe. Codziennie dziwiło ją, że nie ma tu więcej ludzi cieszących się wschodami słońca, ptakami, wodą, która zdawała się tak pełna wigoru, że musiała gdzieś w głębi mieć jakieś bijące serce. W Nowym Jorku przekonała sama siebie, że ranne wstawanie i oglądanie wschodów słońca jest burżujskie. Musiała się zmuszać do wstawania przed świtem i pocenia wraz z innymi mrówkami.

Ale tutaj, na tym wybrzeżu, odkryła, że potrafi uciszyć ten krytyczny głos. Ciągłe się odzywał, natrętny, szemrzący, ale nie mógł jej powstrzymać przed robieniem tego, na co miała ochotę. Z domu Phillipa i Samantha (znanego w okolicy z powodu swej architektury) w Santa Monica Gardens mogła pieszo dojść na plażę, do samego morza. Mogła iść na północ lub na południe, w stronę Malibu albo Venice, mogła się położyć na słońcu albo po prostu iść, tam gdzie chciała i kiedy chciała. Było to trywialne i mało oryginalne, ale czuła, że ograniczyła swoją filozofię życiową do reklamy Nike: *Just do it!*

Lecz ta filozofia działała.

Właśnie minął Memorial Day*. Carla poszła z Samantha do gabinetu kosmetycznego w zachodnim Hollywood. Samantha namówiła ją do wejścia na wagę, przekonana, że Carla schudła. I miała rację - ubyło jej prawie cztery kilogramy. Samantha przekonała ją też do ufarbowania włosów na ciemnobrązowo i zabrała na zakupy do butików przy bulwarze North Robertson i do Barneys przy Wilshire. Carla czuła się zdrowa, jakby ciężar Nowego Jorku zsunął się z jej drobnych barków.

Przez ostatnie lata wmówiła sobie, że może na okrągło opowiadać na swój temat tak długo, jak wszystko, co mówi, jest negatywne. Nazywała to swoim antynarcyzmem. Tutaj na plaży zrozumiała, dlaczego psycholog powiedział jej, że to właśnie zaabsorbowanie samą sobą uniemożliwiało jej prawdziwe zaangażowanie się w życie. Nigdy nie pozwalało jej na wyjście z psychicznej klatki i zobaczenie, co się poza nią znajduje.

Doszła do molo w Santa Monica. Dotknęła palcem drewnianego słupka. Wiatr rozwiewał piasek, a u stóp rozciągał się ocean. Zawróciła i ruszyła z powrotem.

* Memorial Day - święto narodowe dla uczczenia poległych na wojnach, obchodzone w ostatni poniedziałek maja i uważane za nieoficjalny początek sezonu letniego.

Z naprzeciwka biegła kobieta. Odróżniała się od innych mniej lub bardziej chudych ludzi na plaży. Była pulchna. Nie miała na sobie króciutkiego podkoszulka i spandexowego stroju ludzi kościstych - ubrana była w długi podkoszulek i luźne spodnie od dresu.

I uśmiechała się.

Biegła powoli w głębokim piasku. Mijając Carłę, podniosła rękę i powiedziała „Cześć”. Carla odwróciła się. Kobieta brnęła dalej i Carla zobaczyła, że pozdrawia wszystkie mijane osoby.

Carla ruszyła dalej na północ i tym razem patrzyła na morze. Była zachwycona tą olbrzymią wodą, próbowała nasycić nią wzrok. Zastanawiała się nad tym, jaka sympatyczna była owa kobieta, i nieświadomie ruszyła szybciej. I szybciej. Wkrótce - może nie biegła, ale - poruszała się żwawiej.

Życie nie było idealne. Nie miała pracy i czuła się straszliwie winna z powodu przyjmowania wsparcia Phillipa. Nadal nie wiedziała, czego chce od niej Paulette. Zdziwiająca liczba ludzi w Los Angeles mówiła wykrzyknikami - „Cześć!”, „Rewelacyjnie!” i „Nie mogę się doczekać!”. Carla jednak nadal była krytyczna i zbyt gadatliwa, z czego zdawała sobie sprawę. I nie zdobyła się na odwagę, żeby zadzwonić do Davida.

Ale straciła prawie cztery kilo, miała trochę nowych ubrań i codziennie spacerowała po plaży, bo lubiła.

Może mogłaby pisać. Może powinna na minutę, na godzinę poważnie potraktować samą siebie jako pisarkę i zobaczyć, co z tego wyniknie.

Wróciła do domu, zdjęła adidas i napiła się soku pomarańczowego, który Samantha zostawiła dla niej na blacie wraz z kartką: „Wrócę na lunch! Mam nadzieję, że przyjemnie spędziłaś przedpołudnie”. Carla poszła do gabinetu Phillipa, z determinacją podniosła słuchawkę i wykrcęła numer.

- Poproszę z Davidem Stegnerem. Tak. Nie szkodzi. Czy może mu pani powtórzyć, że dzwoniła Carla Trousse? Tak, Trousse. T-R-O-U-S-S-E, rymuje się z „house”. Mój numer to trzy jeden zero osiem osiem osiem dwa dziewięć trzy osiem. Dziękuję.

Rozłączyła się i pogratulowała sobie w lustrze, zadowolona, że tak żywo wyglądają jej niebieskie oczy i czerwone policzki. Zdecydowała, że podda się operacji laserowej korygującej krótkowzroczność i znajdzie pracę. I zacznie pisać. Nie wiedziała jeszcze co. Może opowiadanie albo powieść, wiersz albo scenariusz, ale już dzisiaj.

A kiedy w końcu zobaczy się z Paulette, nie zapomni jej podziękować. Bez względu na to, z jakiego powodu namawiała Carlę do przyjazdu do Los Angeles, powód ten bladł w świetle ogromu tego kompletnego, osobistego przeobrażenia, które zdawało się nadchodzić. Za to należały się podziękowania i wcale nie miało znaczenia, czy Paulette przyjmie je uprzejmie (mało prawdopodobne) czy lodowato (bardziej prawdopodobne). Znaczenie miało to, że Carla była już inna niż ta kobieta w Nowym Jorku i że po trochu stawała się tym, kim miała być w Los Angeles.

Rozdział dwunasty

Nadine jechała na rozmowę w sprawie pracy z jedną ręką na kierownicy, ponieważ w drugiej trzymała komórkę. Rozmawiała z Erniem, z którym chodziła od siedmiu miesięcy. Ernie uwielbiał hamburgery i czapki baseballowe i robił filmy dokumentalne o sporcie dla jednego z kanałów telewizji kablowej.

- Po prostu bądź sobą, Nadine - mówił Ernie.

- Ale przed tobą mogę się przyznać do zdenerwowania, prawda?

- Oczywiście.

- No to jestem zdenerwowana.

- Mówią, że to kretyn, ale nie wiem, czy to cię podniesie na duchu.

- Wiem.

- Słyszałem, że podobno na zebraniu użył słowa „po-korność”.

- Żartujesz.

- Nie, to prawda. Reed mi powiedział, że zwołał wielkie zebranie w agencji i zaczął wszystkim opowiadać, jaki czuje w sobie spokój. Reed przysięga, że powiedział: „Teraz, kiedy jestem starszy, uczę się pokorności”.

- Nie do wiary.

- No, to myśl o tym w czasie rozmowy. Pokorność, najnowszy etos Hollywood...

Skończyli rozmowę i Nadine pojechała bulwarem Santa Monica w kierunku studia. Po odejściu z Unforgettable Films

była już na trzech rozmowach z potencjalnymi pracodawcami, ale z żadnej nic nie wyszło. Kończyły jej się pieniądze i postanowiła nie korzystać z kart kredytowych. Emie zawsze proponował, że zapłaci, jakby był jakimś wielkim producentem, a nie facetem, który odwał za wszystkich robotę i zarabiał grosze. Ale to była pięta achillesowa Erniego i za żadne skarby świata Nadine nie miała zamiaru zrezygnować z najlepszego człowieka, jakiego kiedykolwiek spotkała, tylko dlatego, że nie umie się postawić świniom, które mu płacą.

W rzeczy samej była to jeszcze jedna z zalet Erniego: nie był swinią. Był świetny w tym, co robił, kochał sport i koledzy z pracy przepadali za nim. Tylko szef się nad nim znęcał. Przyjaciele dokuczali mu, mówiąc, że szef chodzi mu po głowie jak zły masażysta. Upierał się więc, że jest oferą pierwszej klasy, i Nadine musiała go przekonywać, że nie jest oferą, lecz filmowcem, i to dobrym. Poznała owego szefa i natychmiast go znienawidziła. Był mistrz Ameryki w pływaniu i bankier inwestycyjny, który przeszedł na emeryturę. Z powodu tych dwóch osiągnięć uważał, że powinien być szanowany jako producent. Nadine szanowała go za nieustępliwość i umiejętności dyplomatyczne, ale widziała filmy i wiedziała, że bez wkładu Erniego do niczego by się nie nadawały.

Pewnego dnia szczęście uśmiechnie się i do Erniego. I do niej, może nawet dziś.

Znów zadzwoniła komórka. Na ekranie pojawiło się „Josie”. Nadine otworzyła telefon. Jej ulubioną funkcją komórki był guzik „zignoruj”, po którego naciśnięciu dzwoniący zostawał od razu splawiany do poczty głosowej, tak jakby zignorowała go w jakiejś restauracji. Nadine uwielbiała przyciskać „zignoruj”, szczególnie jeśli dzwonił ktoś tak irytujący jak Josie.

Była szefowa dzwoniła do niej nieomal codziennie od wyrzucenia z pracy. Nadine ani razu z nią nie rozmawiała. Nie

chodziło o to, że nie lubiła Josie - rozumiała ją i zazwyczaj Josie raczej ją bawiła, niż gniewała, ale zasługiwała na to, żeby raz w życiu znaleźć się w dołku. Może nawet zrozumie, że nie powinna być taką suką - że takie zachowanie ma konsekwencje. Lecz nawet naciskając „ignoruj”, wiedziała, że Josie nigdy, ale to nigdy, tego nie zrozumie. Nie przejmowała się, kiedy ktoś zarzucał jej złe zachowanie. Szła beztrąsko dalej, niewzruszona, bez względu na to, jak skandaliczne były jej posunięcia. Nie przejmowała się i podobało jej się to, że się nie przejmuje.

Komórka Nadine ponownie się odezwała. Tym razem były to nazwisko i numer, których nie знаła. Na ekranie zamrugało „P. Giberson”. Nadine miała jeszcze dwadzieścia minut do spotkania, a dojechała już na teren studia. Przed nią stała długa kolejka samochodów, które czekały na przejechanie bramy pilnowanej przez ochroniarza. Ustawiała się za czarnym bmw i odebrała.

- Nadine?

- Tak. Kto mówi?

- Carla. Carla Trousse.

- Carla? - Nadine nieomal wjechała w tył bmw. - Carla z Nowego Jorku?

- Tak, Carla z Nowego Jorku. Ale teraz jestem w L.A. Carla z L.A. Co o tym myślisz?

- Myślę... myślę, że - Nadine rozważała, czy powiedzieć to, co naprawdę myśli, a mianowicie: Myślę, że ty w L.A. to kompletna i totalna katastrofa. - Myślę, że to świetnie. Po prostu świetnie.

- Wiesz, że kocham Nowy Jork. Kocham. Ale, wiem, że to cię zdziwi, ale chyba mi się tu podoba. Tak. Niewątpliwie. Podoba mi się tu.

- Co?

- Podoba mi się. L.A. mi się podoba. Kto by pomyślał, prawda?

- Prawda. - Nadine podjechała do bramy. - Poczekaj chwilę, dobrze?

Podawała ochroniarzowi nazwisko, a on wskazał jej, gdzie ma zaparkować. Skierowała się tam i wróciła do przerwanej rozmowy. - Więc co cię tu sprowadza?

- Kuzyn. Ciotka. Dach. To długa historia. Jestem tu od około dwóch miesięcy. Przepraszam, że wcześniej nie zadzwoniłam. Próbowałam sobie uporządkować wiele rzeczy. Na początku było ciężko, ale mój kuzyn jest słodki, uwielbiam plażę i...

Nadine pamiętała przemowy Carli, wypowiedzi, które ciągnęły się bez końca. Kiedy razem pracowały, Nadine czasem dosłownie zasłaniała twarz książką, żeby dać Carli do zrozumienia, że nie jest zainteresowana.

- Czy powiedziałaś „słodki”? - zapytała Nadine, parkując.

- Tak. Przyznaję się. To chyba efekt tutejszego słońca, słońca albo ludzi, a może kawy, kawy, dzięki Bogu za kawę, gdyby tu nie było kofeiny, chyba musiałabym wyjechać.

Nadine spojrzała na zegarek. - Słuchaj, Carla, mam zaraz spotkanie...

- Tak, oczywiście. Dzwonię do ciebie z pewnego powodu... - zawahała się.

Nadine wiedziała, że mogłaby ułatwić starszej koleżance sytuację, proponując: „Może umówimy się na kolację?”, ale nie odzywała się. Nie widziała Carli od ponad czterech lat i w ciągu tego czasu zrozumiała, jak ważne jest milczenie.

- Może umówiłybyśmy się kiedyś na lunch albo na kolację? Jestem bez pracy, jeszcze próbuję się zorientować, więc zrobiłam listę osób, które tu znam i...

- Dobra - powiedziała Nadine. - Bardzo chętnie. Kiedy masz czas?

- Nie wiem - przerwała Carla. - Raczej nie mam nic do roboty. Nigdy nic nie robię. To znaczy robię różne rzeczy

z Phillipem i Samantha i zaczynam chodzić na jogę, ale zasadniczo...

- Ja mogę w czwartek wieczorem. Może o ósmej w Ivy?

- Dobrze.

- To świetnie.

- A gdzie jest Ivy?

- Przy bulwarze Robertson. Łatwo znaleźć. Poradzisz sobie. Trzeba tam koniecznie pójść, jak się jest po raz pierwszy w L.A. Zadzwoń, jeżeli nie będziesz mogła trafić.

- Dobrze. Dzięki. - Carla ciągle nie odkładała słuchawki.

- Carla?

- Tak?

- Wszystko w porządku?

- Tak.

- Na pewno?

- Tak.

- To dlaczego się nie rozłączasz?

Milczenie. - Zmieniłaś się, Nadine. Wydajesz się o wiele doroślej niż ta dziewczyna, którą pamiętam z Nowego Jorku.

- To było cztery lata temu. Przepraszam cię. Mam teraz to spotkanie.

- Oczywiście, nie ma sprawy. Do zobaczenia w czwartek - powiedziała Carla i tym razem się rozłączyła.

Nadine spojrzała we wsteczne lusterko. Carla Trousse w Los Angeles. W pewnym sensie było to dla niej idealne miejsce - czytała wszystkie książki, jakie dostały się w jej ręce, i dobrze pisała. Była też zupełnie niemożliwa i bardzo wprawna we wchodzeniu sobie samej w drogę. Nadine przypomniła ją sobie z dawnych czasów w biurze - kobieta z dziwnie pomalowanymi włosami i jeszcze dziwniejszymi ręcznie farbowanymi koszulami. Mogłaby być ładna, gdyby przestała się ubierać w stroje, które uważała za „oryginalne”, i zwróciła uwagę na swoje przepiękne niebieskie oczy i jas-

ną cerę. Zawsze opowiadała o matce i ciotce, na przemian to z dumą, to ze wstrętem. Kobiety z tych opowiadań nie podobały się Nadine: były przekonane o własnej słuszności i najwyraźniej dostrzegały samotność Carli, ale nie jej intelekt. Kiedy Nadine była we współczującym nastroju, żałowała Carli niedocenianej nawet przez własną rodzinę.

Rodzina Nadine była zupełnie inna - wspierała ją z całego serca, choć matka nie miała pojęcia, czym Nadine się zajmuje. Ojciec prowadził w Ohio restaurację, w której matka była szefową kuchni. Jasne i proste. Bez dramatów i hysterii. Nadine od dzieciństwa kochała filmy i nigdy nawet nie brała pod uwagę pracy w innej dziedzinie.

Dziś miała na sobie swoją najlepszą czarną spódnicę. Włosy związała w koński ogon. Nie przejmowała się modą i nie była wiotka. Wyglądała na osobę, którą była - zdrowa niemiecka dziewczyna z Ohio.

Ale kino stanowiło jej pasję. I jeżeli pan Pokorność alias Roland Starr przestanie się zajmować sobą choćby na dwie minuty, powinien to dostrzec i zatrudnić ją, zdając sobie sprawę, że przez pewien czas będzie dla niego niestrudzenie pracowała, a on spije śmietankę.

Rozdział trzynasty

Josie wszystkich okłamywała. - Czuję się świetnie - powiedziała do Catherine Von Hauptman. - Bajecznie - do Nell McKnight. - Super - do Rebecki.

Nie lubiła grać roli ofiary. Nie była beksą. I teraz - choć siedziała sama w mieszkaniu w Beverly Hills z kanapą i trzema pustymi torebkami po popcornie rozstawionymi tu i tam na podłodze, bez pracy i bez Mike'a - też nie pozwoli sobie na dziecinadę. Czasami w nocy tak tęskniła za mężem, że przytulała do siebie poduszkę jak mała dziewczynka. Ale rano wymazywała to wspomnienie, przekonana, że było rezultatem jakiejś błędnej skłonności do sentymentalizmu, która czasami idiotycznie dawała o sobie znać. Rebecca przekazała jej aktualne wiadomości o stanie Mike'a. Rokowania były doskonałe. Lekarze usunęli zrakowaciąle jądro i spodziewali się całkowitego powrotu do zdrowia. Jo-sie czekała, aż Rebecca powie jej, że Mike za nią tęskni albo jej nienawidzi, albo że chce z nią porozmawiać. Lecz Rebecca nie mówiła nic takiego i w końcu Josie zapytała: - Co powiedział o mnie?

- Nic.

- Nic?

- Ani słowa - odparła Rebecca. - Tak jest lepiej, prawda? Rozstaje się z tobą bez problemów. Tak jak chciałaś.

- Tęsknię za nim - przyznała się Josie. - Naprawdę tęsknię. Wargi Rebecki ułożyły się w wymuszony uśmiezek. - Nie udawaj. Wiem, że nienawidzisz ludzi, którzy pławią się

w sentymentalizmie. Przykro ci, że o ciebie nie zapytał, ale za nim nie tęsknisz. Nie myl tych dwóch rzeczy.

Rebecca miała rację. Josie nie cierpiała okazywania uczuć. Jej ojciec często żartował, że gdyby oboje z żoną zginęli w wypadku samochodowym, Josie zorganizowałaby wspaniały pogrzeb, ubrałaby się w czarny kostium znanego projektanta i uroniła jedną łzę tak, aby nie popsuć makijażu. Josie żartobliwie (tak przynajmniej sądziła) odpowiedziała ojcu, że użyłaby wodoodpornego tuszu. Lecz ostatnio zastanawiała się, dlaczego nie może opanować strachu. Wszystko naprawi. To tylko kwestia czasu.

Siedziała na kanapie, czytając brukowiec „National Enquirer”, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Josie zerwała się spłoszona. W Los Angeles nikt nie wpadał z niezapowiedzianymi wizytami. Poza tym nikt nie wiedział, że jest w domu. Podeszła do domofonu.

- Tak? - zawołała, snując wizję morderców przebranych za doręczycieli. - Tak?

- Pani Josephine O'Leary?

To pewnie z kwiaciarni, pomyślała. Mówił, jak ktoś z kwiaciarni. Ktoś przysłał jej kwiaty. Henry Antonem w końcu przysłał jej kwiaty, kwiaty z przeproszeniem, że tak długo nie dzwonił! Nareszcie!

- Tak - odpowiedziała pewna, że jej radość jest nieomal widoczna przez domofon. - Proszę zostawić pod drzwiami. Ja zaraz zejść.

- Co zostawić? - zapytał głos. - O czym pani mówi?

- Czy pan jest z kwiaciarni?

- Nie - odpowiedział mężczyzna. - Słuchaj, Josie, otwórz. To ja, Joshua King.

Josie odsunęła palec od guzika domofonu. Joshua King, autor scenariusza *Misia, który uratował Boże Narodzenie*. Wyprowadzacz psów z Miami. Co on robi w Los Angeles?

W czasie rozmowy telefonicznej Josie zaproponowała mu trzy tysiące dolarów za prawa do scenariusza. Nieomal podskoczył z radości. „Nie żartujesz? Mówisz poważnie? Chcesz prawa do tego? Chcesz prawa? Ale mama się zdziwi! A moi znajomi! Nie kpisz ze mnie, prawda?”. Josie poczuła się jak królowa, łaskawa i pełna cnót.

Ale teraz Joshua stał pod drzwiami. Josie nie pracowała już u Wallace'a Pickeringa, o którym wspomniała bez wahania w rozmowie. Wyrzała przez okno na słońce rozświetlające głęboką zieleń liści eukaliptusa. Czy wiedział, że straciła pracę?

Znowu zadzwonił domofonem. Josie wcisnęła guzik odbioru.

- Słyszysz mnie? - krzyczał Joshua. - Słyszysz mnie? Przyleciałem dzisiaj...

- Co zrobiłeś?

- Przyleciałem dzisiaj. Żeby się z tobą spotkać - powiedział dobitnie. - Czekam.

- Nie mogę cię wpuścić.

Joshua King może być zwariowanym szaleńcem. Josie rozejrzała się po mieszkaniu, szukając jakiejś broni, na wypadek gdyby nie ustąpił i musiałyby się bronić. Nie martwiła się specjalnie o bezpieczeństwo - Beverly Hills było bezpieczniejsze niż Fort Knox - ale przerażała ją wizja obcego pojawiającego się na progu mieszkania. Pamiętała *Mechaniczną pomarańczę*.

Domofon ponownie się odezwał.

- Joshua, jeżeli chcesz się ze mną umówić na spotkanie, zadzwoń do...
- urwała, ponieważ przypomniała sobie, że nie ma już biura.

Na szczęście Joshua nie słuchał. - Och, Josie, proszę cię, przyleciałem taki kawał z Miami. Jestem wykończony.

- To nie moje zmartwienie.

- Josie, proszę cię! Słuchaj, poczekam tu na dole. W publicznym miejscu. Jeśli się boisz, zjedź na dół i tu porozmawiamy.

- Nie możesz tak po prostu przychodzić do kogoś do domu - upierała się Josie.

- Mogę, właśnie to zrobiłem.

- Najwyraźniej.

- Przyjechałem, bo chciałem ci pokazać, jakie to dla mnie ważne. Musiałem poczekać do końca roku akademickiego i wsiadłem w pierwszy możliwy samolot. Proszę, chodź ze mną na kawę.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Po prostu nie mogę.

- Przy tej ulicy jest kawiarnia Starbucks. Przed chwilą koło niej przechodziłem.

- Przyszedłeś tu piechotą?

- Nie całą drogę. Wziąłem z lotniska taksówkę, ale chciałem się trochę przejść, żeby się zorientować. Możemy tam pójść.

- Nie możemy.

- Proszę cię - błagał Joshua.

Josie zawahała się. - Chwileczkę - powiedziała. Wyszła z mieszkania i poszła pokrytym wykładziną korytarzem do drzwi jedynej osoby, którą знаła w budynku - scenarzystki, Casey Cortellessy.

- Co? - zapytała Casey, otwierając drzwi. Spojrzała niechętnie na Josie, która jeszcze nie przeczytała jej scenariusza zatytułowanego *Życie to nie pizza*.

- Na dole jest pewien facet i zamierzam go wpuścić, ale chciałam cię prosić, żebyś zwróciła uwagę, co się u mnie dzieje, na wypadek gdyby okazał się kryminalistą.

- To nie wpuszczaj go.

- Muszę. Jest klientem.

- Pisarz?

- Tak.

- Odpieprz się - powiedziała Casey i cofnęła się do mieszkania.

- Casey, poczekaj!

Głos Josie powstrzymał ją od całkowitego zamknięcia drzwi. - Jeszcze nie wszystko ci powiedziałam. Jest za wcześnie i nie chciałam ci robić nadziei, ale przeczytałam w weekend twój scenariusz i teraz leży na biurku Priscilli. Powiedziałam jej i Wallace'owi, że to najlepszy scenariusz, jaki czytałam od lat - przerwała, wzmagając napięcie przed wspaniałym finałem. - Tak świetnie napisany! Jestem pod wielkim wrażeniem.

Casey znów otworzyła drzwi, choć na twarzy ciągle miała kamienno-lodowaty wyraz. Nie udało jej się jednak go utrzymać. Kiedy Josie powiedziała, że jest pod wrażeniem, wargi Casey rozchyliły się w szerokim, pełnym wdzięczności uśmiechu.

- Naprawdę? Josie przytaknęła.

- Dobra. Będę uważała. Kto wie? Może ci się poszczęści? Może jest przystojny?

Wróciwszy do mieszkania, Josie przejrzała się w lustrze w przedpokoju i wpuściła Joshuę do budynku.

Seth Levin mawiał, że „talenty” są jak pionki w grze. „W końcu tylko my się nie zmieniamy. To my zawieramy umowy, organizujemy produkcję filmów. Pomyśl tylko. Ryan O'Neal był taki sławny jak teraz Toby Maguire, a dzisiaj dzieciaki nie wiedzą nawet, kto to taki. Ty sama nie potrafiłabyś wymienić nawet jednego nazwiska scenarzysty z lat siedemdziesiątych lub osiemdziesiątych. Pławią się przez chwilę w blasku sławy, ale to oni nas potrzebują, nie my ich. Oczywiście ja się z nimi zgadzam, pozwalam im myśleć, że to oni są potrzebni. Ja tu jestem od trzydziestu lat. Który z nich może się tym pochwalić?”.

Joshua potrzebował Josie. Nieważne, że straciła pracę. Liczyło się tylko jedno: Joshua myślał, że Josie może doprowadzić do produkcji filmu.

Widziała przez wizjer koniec korytarza i usłyszała, jak winda zatrzymuje się na jej piętrze. Otworzyły się drzwi i ujrzała Joshuę. Korytarze zbiegały się przy windzie pod kątem prostym i zanim Joshua zorientował się, w którą stronę pójść do mieszkania Josie, ona zdążyła go dokładnie obejrzeć, jakby patrzyła przez lunetę.

Był wysoki. Wysoki i niechlujny. Czapka baseballowa i sportowe sandały Teva, szerokie bary i proste włosy sterczące z łysiejącej głowy. Ubrany w wymięte, kremowe szorty i intensywnie niebieski podkoszulek.

Nie odrywała wzroku od wizjera i przyglądała się chłopakowi z takim natężeniem, że nie miała czasu się odsunąć, kiedy schylił się i spojrzał prosto na nią.

- Wiedziałem, że będziesz patrzyła - powiedział przez drzwi. - No i co o mnie sądzisz?

Josie otworzyła drzwi. Stał przed nią Joshua King, metr dziewięćdziesiąt osiem. Zdjął czapkę (drużyny Florida Marlins) i uklonił się przesadnie jakby przed królową.

- Joshua King - powiedział. Kiedy się wyprostował, zaskoczyło ją ciepło jego uśmiechu. Miał głęboko osadzone i szeroko rozstawione oczy koloru podkoszulka - w rodzaju błękitu, jaki widuje się na włoskim fajansie. Pokryta około trzydniowym zarostem twarz była opalona, tylko wokół małych oczu widniała biała skóra. Był młody, miał dwadzieścia parę lat. I silne ramiona.

- Zastanawiałem się, kto powinien grać główną rolę. Na przykład co byś powiedziała na Michaela Douglasa?...

Josie odsunęła się i wpuściła go do środka. Analizowała w myślach jego wygląd, bo natychmiast dostrzegła, że coś jest nie tak. Kiedy się do niej odwrócił, zdała sobie z tego sprawę, że jego głowa jest za mała w stosunku do ciała. Miał delikatną twarz małego chłopca i ciało ogromnego zwierza. Wyglądał jak przystojny brontozaur.

- Co? - zapytał.

- Nic. Po prostu zastanawiam się nad tym, co powiedziałeś.

- Ja się nie wygłupiam.

- Poczekaj chwilę.

Wyszła z mieszkania i poszła do Casey, która stała w drzwiach. Josie widziała szczupłą nogę i pasmo jasnych włosów.

- On jest w porządku - powiedziała.

- Wiem, widziałam jego bary.

- No to dziękuję ci.

- Nieźle mieć takiego prześladowcę - stwierdziła Casey, zamykając drzwi.

Kiedy Josie wchodziła do mieszkania, usłyszała, że Joshua jest w kuchni. - Josie? - zawołał. - Nie wiedziałem, co przynieść - mówił dalej z kuchni. - Ale jestem w Kalifornii, więc przyniosłem jagody, migdały. I brukselkę.

Weszła do kuchni. Joshua wyjmował zakupy z torby, której wcześniej nie zauważyła. - Nie lubię przychodzić z pustymi rękami. Nie znam cię, więc musiałem zgadywać.

- No tak - powiedziała bezradnie. - Czy mógłbyś tu przyjść? - weszła do salonu. Joshua za nią.

- Niedawno się przeprowadziłaś? - zapytał.

- Tak - wskazała mu kanapę. - Usiądź tam.

- To będzie trochę niegrzecznie, bo gdzie ty usiądziesz?

- O mnie się nie martw.

Joshua usiadł i sięgnął po brukowiec, częściowo zasłonięty na podłodze. Spojrzał na nią z uznaniem.

- No, no - powiedział.

Josie wyjęła mu gazetę z ręki. - Czytam to ze względów zawodowych.

- Oczywiście - usiadł i umilkł.

- Więc co ty...

- Ja wiem, że to nie jest przyjęte - zaczął - ale uznałem, że powinienem po prostu przyjechać. Podobał ci się scena-

riusz, mnie się podobało, co mówiłaś, więc przyleciałem, kierując się instynktem.

- Ale...

- Miałem zadzwonić, ale pomyślałem, że pojawienie się bez uprzedzenia będzie bardziej impulsywne, śmiało.

- A gdyby mnie nie było w domu?

- Zaryzykowałem. A poza tym i tak zawsze miałem zamiar tu przyjechać. Mówiłem ci.

- Nie. Nie mówiłeś nic takiego.

- No, musiałem skończyć studia. To był mój ostatni rok.

- Jesteś na studiach?

- Czy ty nie słuchałaś? Wiem, pewnie robisz milion rzeczy na raz. Ostatni rok na studiach prawniczych. Uniwersytet w Miami.

Josie stała przed nim, czując się niezręcznie. - Jestem pewna, że nie wspominałeś nic o studiach prawniczych. Chociaż nie była pewna.

- Wszystko jedno. Po prostu uznałem, że nie ma na co czekać.

- Jak to nie ma na co czekać?

- Nie ma sensu czekać. Najważniejsza jest praca. Lecz przede wszystkim - przerwał - chciałem cię poznać.

- Świetnie. Ja też chciałam cię poznać, ale nie w ten sposób. Nie mamy nawet żadnej umowy.

- Tak, tak, kiedyś będziemy mieli, ale po co tacy twórczy ludzie jak my mieliby czekać, aż roboty uporają się z papierkową robotą? - Pochylił się, jakby gotując się do skoku w ramiona Josie. Energia zdawała się rozsadzać mu głowę, na czole ukazały się żyły przypominające krecie tunele.

- Nie tak szybko. Nie podoba mi się, że się pojawiłeś nieproszony. To nie jest impulsywne, tylko niegrzeczne.

Joshua popatrzył na nią prowokująco. - Przepraszam. Sprawilo jej to satysfakcję, ale spuściła oczy, nie dając mu tego poznać. Ktoś zapukał do drzwi.

- Nikt nigdy nie puka - powiedziała, idąc do drzwi. - Kto tam?
 - To ja, Casey. Josie uchyliła drzwi.
 - Mówiłam ci, że wszystko w porządku.
 - Na pewno?
 - Tak, w porządku.
 - Kto to jest? - zapytał Joshua.
 - Kto to jest? - powtórzyła Josie. - A co cię to... to moja sąsiadka.
- Casey popchnęła drzwi i otworzyła je szerzej.

- Cześć - powiedziała. - Jestem sąsiadką.

Casey miała około metr sześćdziesiąt pięć i idealną figurę w typie Halle Berry. Josie - perfekcjonistka - uważała, że trochę brakuje jej klasy, ale sądząc z reakcji Joshui (a także listonosza, dozorca i lokatora spod 4E), była oszałamiająca.

- A ja jestem prześladowcą - powiedział Joshua.

- Bardzo mi miło - rzuciła Casey, podchodząc do niego. Uścisnęli sobie dłonie. Josie nadal stała przy drzwiach. Casey usiadła obok Joshui na kanapie i Josie doznała uczucia, że to ona jest nieproszonym gościem, piątym kołem u wozu.

- Casey?

- Co?

- Mam teraz spotkanie z Joshuą.

Joshua oparł się wygodnie i położył ramiona na oparciu kanapy. Jego głowa zdawała się teraz jeszcze mniejsza, wyglądał jak mały chłopiec w ubraniu dorosłego mężczyzny.

- Ona kupuje prawa do mojego scenariusza - powiedział Joshua. - Sama do mnie zadzwoniła, wychwalała go pod niebiosa, a teraz go kupi.

- Co takiego?

- Kupuje prawa do mojego scenariusza. Strasznie ci się podoba, prawda Josie?

Josie zauważyła, że Casey zamrugła oczami.

- Tak. Kupuję prawa do jego scenariusza.

- No tak - powiedziała Casey, odwróciła wzrok od Josie i rozejrzała się po pokoju.

Na twarzy Joshui błąkał się cień uśmiechu i Josie natychmiast się zirytowała, jakby zobaczył ją rozebraną.

- Casey, czy mogłabyś wyjść? - zapytała.

- Wyjść?

- Tak. Wolałabym, żebyś nie była przy tym obecna.

Na studiach prawniczych w pewnym momencie zdała sobie sprawę z obezwładniającej mocy mówienia dokładnie tego, co się ma na myśli. Na początku czuła się niezręcznie, wywołując konfrontację, głośno potwierdzając swoje stanowisko, ale to szybko minęło, kiedy zorientowała się, jak skuteczna bywa ta strategia.

- Casey, proszę cię, wyjdź - powtórzyła. Casey wstała. - Dobrze.

Wstając, była świadoma taksującego wzroku Joshui. Odwróciła się do niego. - Zapukaj do mnie, wychodząc - powiedziała. - Ja też piszę.

Joshua skinął głową, a potem znów usiadł wygodnie i wyjął z kieszeni gumę zapakowaną w srebrny papierek. Uśmiechnął się samymi wargami.

Patrząc na Joshuę, Josie nie zauważyła, że Casey rozgląda się po mieszkaniu. Zorientowała się za późno.

- Ty kłamczucho - wymamrotała Casey, podchodząc do stosu scenariuszy. Wyciągnęła jeden z nich. - Czy zrobiłaś kopię, bo to wygląda na ten, który ja ci dałam?

Casey miała na sobie podkoszulek bez rękawów i Josie skoncentrowała się na budowie jej szkieletu. Skóra była tak napięta, że ramiona wyglądały jak łodygi wyrastające wprost ze stawów.

- Nie do wiary - powiedziała Casey. Przycisnęła scenariusz do piersi. - Ty cholerna kłamczucho.

- Casey... - zaczęła Josie.

- Okłamałaś mnie bez zmrużenia oka. Założę się, że Wallace tego nie czytał.

Odwróciła się do Joshui. - Hollywood, lekcja pierwsza. Nikomu nie ufaj. Na twoim miejscu upewniłabym się, że Sąd Najwyższy przejrzy umowę o sprzedaży praw.

Znów spojrzała na Josie. - Że też dałam ci się nabrać!

Potem jeszcze raz zwróciła się do Joshui. - Musisz koniecznie do mnie wstąpić po wyjściu z gniazda tej żmii. Mam ci wiele do opowiedzenia. - Wyszła, trzaskając drzwiami.

- Miła dziewczyna - powiedział Joshua po jej wyjściu.

- Czy jest dobra?

- Dobra w czym?

- Czy jest dobra? Powiedziała, że pisze. Ty jesteś producentem. To dla niej doskonała okazja, jeżeli jest dobra. I jeżeli ty jesteś dobra, oczywiście.

- Nie wiem - przyznała Josie.

- To jak historia z kanału E! Dwie superlaski mieszkają obok siebie w L.A. Jedna pisze, druga produkuje, a resztę można sobie wyobrazić. Obejrzyj *Entertainment Tonight* na żywo o jedenastej.

- Czytałeś za dużo bajek - odparła Josie. - To się tak nie odbywa.

- Och, nie odbieraj mi złudzeń. Ja pragnę wszystkiego, jestem zbyt inteligentny, jak na to, żeby mi się nie udało

- przerwał. - Możesz się ze mną zabrać, jeśli chcesz - położył się na kanapie. - O czym jest jej scenariusz?

- Czyj?

- Twojej sąsiadki obok.

- Nie wiem. Próbujesz zmienić temat. To, że nie wiem, właśnie tego dowodzi. Masz szczęście, że przeczytałam twój. Nie z powodu ciebie, a dla Seta.

- Kto to Seth?

- Adwokat Marcusa.

- Znasz Marcusa?

- Nie.

- Powinnaś go poznać. Świetny facet. Ale musisz wiedzieć, że kariera jest dla niego najważniejsza. Nic mu nie może stanąć na drodze. Dla kariery, dla ambicji sprzeda wszystko i wszystkich.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Jesteśmy przyjaciółmi.

- Wyprowadzasz jego psa.

- Psy. W liczbie mnogiej. Wiesz, jak kopać leżącego, prawda? Na pewno nie chcesz tu usiąść?

- Na pewno - odpowiedziała. Dalej stała.

- To powiedz mi, co mam zrobić?

- Z czym?

- Ze scenariuszem. Jak z niego zrobić film?

- To się tak nie odbywa.

- Josie. Nie trzeba być Einsteinem, żeby to zrozumieć. Bardzo prosta sprawa. Scenariusz zostaje napisany, a potem wprowadzony do produkcji, to się zdarza na okrągło.

- To nie takie proste.

- Oczywiście, że proste. Zaskakujesz mnie. Myślałem, że już to załatwiasz. - Spojrzał w stronę kuchni i zakaszłał. - Czy mógłbym prosić o trochę wody? - Oparł łokcie na kolanach. - Dobra, przyniosę sobie. Ty też chcesz? - Wstał i poszedł do kuchni. - Znajdę szklanki. Świetnie sobie radzę w obcych kuchniach. Szklanki są prawie zawsze nad zlewem, i tak, proszę państwa, oto one! Co myślisz na temat budżetu? Pewnie nie więcej niż dziesięć milionów. - Wrócił do pokoju i podał Josie szklankę.

- I słuchaj, nie przestrasz się; ja myślę, że mógłbym reżyserować.

Josie parsknęła. Do tej chwili Joshua był nietypowy i dlatego interesujący, lecz przez to ostatnie oświadczenie, przypominające zapewnienie małego chłopca, że zostanie prezydentem,

stał się w jednej chwili przeciętny. - Oczywiście, że mógłbyś. Możesz nawet dostać nominację do Oscara za swój pierwszy wyczyn.

- Wiem, że się wyśmiewasz, ale ja nie żartuję.

- Pewnie, że nie.

- Jestem reżyserem.

- Super - odparła Josie. - Bardzo się cieszę.

Joshua odchylił się na oparcie. - Posłuchaj. Chodzi o mój scenariusz - zaczął. - Ja myślę...

Cała irytacja, która zbierała się w Josie przez ostatni miesiąc, wybuchła i trafiła prosto w Joshuę.

- Tak, ten dziesięćmilionowy scenariusz, który ktoś powinien nie tylko kupić, ale także zainwestować w niego tyle pieniędzy, bo ty będziesz u steru. Ten scenariusz.

Josie czuła, jak obracają się ostrza, raniąc dumę Joshui, i nagle poczuła się bardzo z siebie zadowolona. - Ten scenariusz, który przeczytała jedna osoba, bo jesteś przyjacielem, nie, wyprowadzaczem psów sławnego człowieka, i ten scenariusz, który uprawnia cię do kariery w Hollywood w pełnym tego słowa znaczeniu. Idź na skróty, nie inwestuj czasu w harówkę, przeskocz nad głowami wszystkich głupców i wejdź prosto na szczyt. - Josie podeszła do stosów scenariuszy. Wyciągnęła *Misia, który uratował Boże Narodzenie*.

- Masz. Weź to. Życzę szczęścia.

Joshua nie poruszył się. Josie wyciągnęła ku niemu scenariusz. - Naprawdę, weź go. Ja nie mam do niego prawa.

Przypomniała sobie pomysł, na którym opierał się scenariusz i jej pewność siebie lekko się zachwiała, ale jeżeli z tego projektu miało coś wyjść, musiała w tej chwili zniszczyć Joshuę Kinga. Zniszczyć jego fantazje, złudzenia i pewność siebie.

- Dlaczego myślisz, że dopiero zaczynam? - zapytał.

- Dlaczego myślisz, że nic nie wiem?

- Nie wiem, co wiesz, a czego nie wiesz. Wcale się nad tobą nie zastanawiam - powiedziała Josie. Czuła się jak

w jakiejś konkurencji sportowej, którą nie tylko musiała wygrać, ale wygrać spektakularnie, w sposób niepozostawiający żadnych wątpliwości. Nagle potrzeba posiadania tego materiału i dominacji na Joshua stała się dla niej ważniejsza niż własne życie.

- Proszę cię o pomoc. - Oparł brodę na złączonych jak w modlitwie dłoniach i patrzył na nią błagalnie. - Możesz o mnie myśleć, co chcesz. Nie przejmuję się tym. Ale wiem, że podobało ci się, co napisałem, i że chcesz, chciałaś, ze mną pracować. Jestem tu, gotów do pracy. Teraz. W tej sekundzie.

- Mówię ci, że to się tak nie odbywa.

- Jesteś zła, bo nie przejmuję się jakimś arbitralnym zestawem zasad? To Hollywood. To miasto egzystuje dzięki łamaniu zasad.

- Tu się mylisz, bardzo się mylisz. Musisz grać... - przerwała. Ciągle trzymała scenariusz, ponieważ Joshua go od niej nie wziął. Siedząc na kanapie, zamknął oczy. Kiedy się odezwał, mówił innym tonem: głosem zrezygnowanego prawnika, niezadowolonego, że został zmuszony do powiedzenia tego, co myśli.

- Słuchaj, porozmawiajmy o tym później. Powiedzmy, że się nie zgadzamy, co do mojego dzisiejszego przyjazdu.

- Nie możesz mi mówić...

- A potem jeżeli dalej nie będziemy się zgadzać, to nie gniewaj się, ale ja pójdę z tym na całość.

„Pójdzie na całość”? Jest z Miami, skąd zna hollywoodzkie wyrażenia? Joshua wstał i spojrzał na Josie z góry. Był tak wysoki, że musiała odchylić głowę do tyłu, jakby wpatrywała się w chmury. Patrzył na nią, a ona poczuła się mała. Być może źle to wszystko rozegrała.

- Moja matka grała w filmach. Nazywała się Moira Mac-Dougal. Zrobiła ze dwa filmy, a potem wyszła za męża i przeprowadziła się do South Beach. Trochę wiem o tym biznesie - jego głos zmienił się, tak że teraz czar przeistoczył się w siłę.

- Mówię ci, weź to.

- Nie będę musiał, jeżeli zrobisz to, co obiecałaś - odpowiedział. - A poza tym miałem nadzieję... chciałem, żebyśmy razem pracowali. Taka wersja najbardziej by mi odpowiadała.

- Nawet mnie nie znasz.

- No tak, ale zadzwoniłaś. Chcesz kupić prawa. To znaczy, że chcesz scenariusz, bez względu na to, co teraz mówisz. Nie oszukujmy się. To jak z chodzeniem na randki. Widzę dziewczynę, z którą chcę się umówić, dzwonię. Jeżeli mnie nie interesuje, nie dzwonię. Ale jeżeli zadaję sobie trud, jeżeli dzwonię, to znaczy tylko jedno: zainteresowanie. Więc nie udawaj. Tak się ucieszyłem, kiedy zadzwoniłaś. Zróbmy coś z tego. - Otworzył ramiona i rozłożył ręce w zapraszającym geście. - Jestem i czekam na rozkazy.

- Czy zastanowiłeś się, co zrobisz, jeśli nie będę ci rozkazywać?

Joshua parsknął śmiechem. - Droga pani O'Leary, ja też trochę posprawdzałem. I nie zawsze mieszkałem w Miami. Wielu moich kolegów przeprowadziło się tu po studiach. Nicole Jexson? Pracuje dla Disneya. Albo Armond Fellman? Zapomniałem, gdzie pracuje. W każdym razie mogę się z nimi skontaktować.

- Znasz Armonda Fellmana?

- Pewnie. Chodził z moją kuzynką. A Eddie Cleveland jest moim kolegą.

Josie cicho nabrała powietrza. - To dziwne. Skoro znasz Eddiego Clevelanda, nie rozumiem, do czego ja ci jestem potrzebna.

- Podobał ci się mój scenariusz - odpowiedział natychmiast.

- A Eddiemu nie?

Eddie musiał go odrzucić, „spasował” - w języku Hollywoodu. Josie ogarnął strach: a jeżeli się myli co do *Misia*?

- Nigdy go nie czytał. - Joshua czyścił paznokcie. - Nie wysłałem mu, bo uważam, że nie jest cool wykorzystywać w ten sposób przyjaźń. Prawda? Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Dużo bardziej cool jest pojawić się u kogoś bez uprzedzenia? - zapytała, zastanawiając się jednocześnie, czy Joshua mówi prawdę.

- Tak, absolutnie tak - odpowiedział. Spojrzał na nią i nagle poczuła się niezręcznie, jakby to ona była intruzem w jego mieszkaniu. Mówił dalej: - Stanowisz ryzyko, ale przekalkulowane ryzyko. Jeśli dam Eddiemu scenariusz, a jemu się nie spodoba, nasze stosunki się popsują. My dwoje się nie znamy, więc jeżeli coś się nie powiedzie, nic między nami nie zostanie zniszczone. - Klasnął w dłonie. - Na tym koniec, do widzenia, itd., itp. - przerwał i uśmiechnął się. - Poza tym scenariusz strasznie ci się podobał, sama wiesz.

- Pomyślałam, że gdzieś, wśród zdań wymagających wielu poprawek, jest dobry pomysł.

- Wielu poprawek? - powtórzył. - Nie podoba ci się styl?

- Tego nie powiedziałam...

- Więc ci się podoba?

- Tego też nie powiedziałam.

- Moim zdaniem scenariusz jest super, nie trzeba nic zmieniać.

- Wcale mnie to nie dziwi.

Trzymała scenariusz i przyglądała się Joshui. Ruszył w stronę drzwi.

- Dokąd idziesz? - zapytała.

- Nie wiem. Może do Armonda.

- Jak się tam dostaniesz?

- Jak daleko jest do... - spojrzął na kartkę, którą wyjął z kieszeni. -

4375 Skylark?

- Piechotą nie dojdiesz.

- O Boże, nie cierpię tego miasta.

Podniósł torbę. - Włączam komórkę tylko między szóstą a ósmą wieczorem i dziesiątą a dwunastą przed południem, więc zadzwoń w tych godzinach, jeśli będziesz chciała się ze mną skontaktować. Albo możesz zostawić wiadomość.

- Dlaczego tylko w określonych godzinach?

- Nie chcę dostać raka mózgu. - Joshua stał przy drzwiach. Odwrócił się. - Wiesz, myślę, że będzie nam się świetnie razem pracowało.

- Na razie razem nie pracujemy - powiedziała Josie.

- Jeszcze nie.

- To szczegół. Mamy scenariusz, a to już dziewięćdziesiąt dziewięć procent. - Zamknął za sobą drzwi.

Dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Produkt był krwią, owszem, ale bez ciała nic nie znaczył, stanowił bezużyteczną kałużę.

Kiedy drzwi się zamknęły, Josie poczuła przyływ samotności. Joshua wypełnił jej puste mieszkanie energią i po jego wyjściu miała wrażenie, że dryfuje.

Wyrzała przez wizjer na korytarz. Zobaczyła Joshuę przed drzwiami Casey. Drzwi otworzyły się i zauważyła, jak jedna z długich nóg Casey przechodzi przez próg.

Jak długo myślał o spotkaniu z Casey? Podczas całej rozmowy? Czy jest mniej atrakcyjna od Casey? I jeszcze jedna obawa: czy przegapiła okazję, nie przeczytawszy jej scenariusza? Czy Joshua i Casey zaczną romans, pożycie seksualne pod jej nosem i będą jej włązili w oczy, kiedy będzie wychodziła z domu i wracała do niego?

Josie wiedziała, że Casey będzie się uśmiechała, i przypomniała sobie, jak Mike jej powiedział, że każdy mężczyzna najbardziej ceni uśmiech kobiety, bardziej niż piersi, bardziej niż nogi, bardziej niż sex appeal, inteligencję czy humor. Uśmiech

- mówił Mike - może otworzyć drzwi do serca mężczyzny tak szeroko, że zawiasy trzasną jak zapałki, a on zapragnie przyjąć wszystko, co ten uśmiech obiecuje: grację, szczerłość i uczucie.

Patrzyła, jak zamykają się drzwi Casey. Była wzburzona, pocila się pod pachami i między piersiami. Ogarnęła ją nagła desperacja - strach, że trzyma w ręku tylko krawędzie i fragmenty całości, której nie może dostrzec. W Hollywood ludzie działali szybko i Joshua nie będzie czekał, aż Josie stanie na przysłowiowe nogi. Musiała być równie szybka. Przygotuje natychmiast umowę sprzedaży praw i dostarczy Joshui czek. A potem zrobi to, co robią producenci, żeby doprowadzić do powstania filmu.

Stanąła przed lustrem, przyglądając się swojemu odbiciu. Była mądrzejsza niż większość ludzi, niewątpliwie mądrzejsza niż większość ludzi w Hollywood. Pomyślała o ojcu. - Zuch dziewczyna! - wykrzyknął, kiedy mu powiedziała, że Mike odmawia rozmowy z nią. - Pamiętaj o jednym: on przechodzi teraz trudny okres. Ale to jest jego sprawa, nie twoja. Jesteś moim cudem, kochanie, stać cię na wszystko. Słyszysz mnie, Josie?

Josie uśmiechnęła się wtedy. Od dzieciństwa ojciec zawsze tak samo dodawał jej odwagi. - Nikt nie jest lepszy od ciebie, kochanie. Jesteś lepsza od nich wszystkich. Rozumiesz? Nie słyszę cię...

- Rozumiem, tato - odpowiadała. - Rozumiem. Zadzwoił telefon. To na pewno Rebecca, której zostawiła

wiadomość. Josie nie mogła się doczekać, żeby jej opowiedzieć o Joshui. Znalazła w końcu telefon ukryty między jagodami i brukselką.

- Halo? - powiedziała jedynie lekko zdyszana.

- Halo?

Henry Antonelli. Josie natychmiast poznała go po głosie. Oparła się o blat, szczęśliwa, że nie widzi ulgi na jej twarzy.

- No - powiedziała. - Nareszcie...

Rozdział czternasty

Na skrzyżowaniu North Robertson i Alden Carla trafiła na czerwone światło, które za nic nie chciało się zmienić. Chciała przyjść na spotkanie z Nadine przed czasem, ponieważ znalazła Ivy w przewodniku po restauracjach *Zagat* i odkryła, że to jeden z najślynniejszych lokali w Hollywood dzięki jakości deserów i klienteli. Zauważyła, jak pod otoczoną białym płótkiem, przypominającą chatkę restaurację podjeżdża czarny mercedes. Cieszyła się, że tu jest, w samym centrum wydarzeń, wraz ze śmietanką Hollywood.

Przekazała kluczyki jednemu z pracowników Ivy, którzy parkowali samochody gości, i zwolniła kroku. Zaczęła zastanawiać się nad swoim strojem: płomiennoczerwoną bluzką, czarną spódnicą w czerwone pasy, czerwoną torebką Fendi (pożyczoną od Samantha) i czerwonymi conversami. W domu wydawało jej się, że strój jest idealny - pełen pasji, młodzieńczy, z odrobiną fantazji. Teraz, wysiadając z samochodu, poczuła wahanie. Inne kobiety były ubrane w gładkie spodnie o opuszczonej talii, które wisały na kościach biodrowych jak ręczniki na haczykach. Przypuszczalnie jadały tutaj, w Ivy, cieszącym się opinią jednej z najlepszych restauracji w mieście, a w ogóle nie miały na sobie ciała. Czyżby nie jadyły? Może tylko paliły? Nie uważała już, że wygląda odświętnie czy fantazyjnie. Zdawało jej się, że wygląda grubo.

Weszła po ceglanych schodkach i hostessa powiedziała jej, że dostanie stolik dopiero po przybyciu Nadine. Carla zamówiła kieliszek wina i rozejrzała się po restauracji. Było

tu pełno ludzi o lśniących włosach, ubranych na luzie i rozmownych. Słyszała fragmenty dialogów: „Musisz mi dać coś lepszego”, „Z tym nie da się nic zrobić” i „To nie do wiary, że umieścili jej nazwisko nad tytułem”.

Carla pisała dziś rano przez dwie godziny i skończyła opowiadanie o starzejącym się zawiadowcy stacji z Wilmington i nastoletnim pasażerze. Tekstowi było daleko do ideału, ale cieszyła się, że główny bohater nie jest jakąś wersją jej samej. Po południu, kiedy skończyła pisanie, poczuła się pewna siebie. Teraz zastanawiała się, czy opowiadanie w ogóle ma jakąś wartość.

Rozejrzała się po ogródku restauracji i jej wzrok zatrzymał się na długich brązowych lokach bardzo drobnego mężczyzny otoczonego uśmiechniętymi ludźmi i wyglądającego jak męska wersja Shirley Tempie. Wtedy nagle zapanowało poruszenie - poruszenie pełne trącania się łokciami i zerkania. Tak jak wszyscy, Carla spojrzała w stronę wejścia.

Stał tam Henry Antonelli, sam.

Henry Antonelli, gwiazda filmowa. Henry Antonelli, którego nazwała marnym aktorem. I Henry Antonelli, niegdysiejszy amant ciotki Paulette. Bez namysłu rzuciła się w jego stronę.

- Cześć - powiedziała, wyciągając rękę.

- Cześć - odpowiedział Henry.

- Jestem Carla - ciągnęła. - Carla Trousse. Znam cię. To znaczy, wszyscy tu cię znają, ale chodzi mi o to, że moja ciotka cię zna. Paulette. Paulette Giberson. Jest dyplomata.

- Bardzo mi miło - powiedział, wyglądając nieswojo. Henry wierzył z całego serca, że ponieważ swój sukces zawdzięczał publiczności, spoczywał na nim obowiązek traktowania jej z wielkim szacunkiem. Ale był już i tak zdenerwowany tą kolacją i chciał po prostu usiąść. Spojrzał w stronę hostessy, szukając u niej pomocy.

- Nigdy przedtem nie podeszłam do gwiazdy filmowej - ciągnęła Carla
- i rzadko rozmawiam z nieznajomymi

osobami. Chociaż to też nie jest prawda. Niedawno przeprowadziłam się tu z Nowego Jorku. Właśnie z powodu Paulette - mówiła pospiesznie, bo nie chciała, żeby uznał ją za kolekcjonerkę autografów, kogoś, kto przyczepia się do sławnych ludzi.

Henry zmierzył ją wzrokiem, a ona dostrzegła jego zmarszczki, rumieniec pod cienką skórą czerwonych policzków. - Paulette? Naprawdę? - Uwolnił rękę z jej uścisku. - Ma tu przyjechać. Niedawno do mnie dzwoniła, ze dwa tygodnie temu.

- Wiem - rozpromieniła się Carla.

Henry gapił się na nią. - No - zaczął - ja chyba powinienem...

- Znasz mojego kuzyna? Syna Paulette, Phillipa Gibersona? Pewnie znasz. Zdaje się, że tu wszyscy się znają. Jest tutaj od wielu lat, od skończenia Dartmouth.

- Nie. - Henry potrząsnął głową. - Nie wiedziałem nawet, że ma syna.

- Myślę, że ona sama czasem o tym zapomina - odpowiedziała Carla szybko i od razu pożałowała. Nie chciała publicznie uwłaczać ciotce. - Jest bardzo zajęta.

- Pamiętam. Taka była, kiedy ją znałem...

- Pan Antonelli? - zapytała hostessa. - Pana stolik jest gotowy. I prawnicy pana wysłędzili. - Wskazała telefon.

- Obowiązki wzywają - uśmiechnął się Henry i skinął Carli głową. - Miło było cię poznać. - Ruszył za hostessą, ale jeszcze raz odwrócił się do Carli. - Proszę, przekaż Paulette, że oboje z żoną cieszymy się na spotkanie z nią.

- Przekażę. Ale... - nie chciała, żeby odszedł. Mogli rozmawiać o Paulette i dzięki temu miała do niego dostęp. I zachowywał się przyjaźnie. Spodziewała się, że okaże się kabotynem.

Henry zniknął w głębi sali. Carla została przy zwieńczonych łukiem drzwiach. Nagle poczuła na sobie spojrzenia.

Kelnerka uśmiechnęła się do niej słodko, balansując tacą na przedramieniu. Chuda kobieta o długiej twarzy i wystającej brodzie spojrzała na nią ze złością. Męski Shirley Tempie skinął głową. Carla wróciła na swoje poprzednie miejsce, świadoma tego, że ludzie śledzą ją wzrokiem. Żałowała, że włożyła czerwone conversy.

- Carla? - zawołała głośno jakaś kobieta. Carla odwróciła się. - Carla?

Nadine Dillenberger podbiegła i uściśnęła ją. Carla zatoneła w jasnych kolorach i bujnych włosach. - Znasz Antonellego? - zapytała Nadine, całując ją w policzek. - Czy naprawdę jest taki miły, jak ludzie mówią? To niesamowite, że go znasz. Niesamowite. No, no. I jak ty wyglądasz - Nadine cofnęła się o krok. - Świetne włosy.

- Dziękuję. Zapomniałam, że zmieniłam fryzurę.

- Skąd go znasz?

- Podobno chodził z moją ciotką. Pamiętasz Paulette? Tę, która ratuje świat, kiedy nie niszczy emocjonalnie swoich dzieci?

- Pamiętam - powiedziała Nadine, potakując energicznie. - To potwierdza moją opinię. Mężczyźni lubią okrutne kobiety. Zawsze tak było i tak zostanie - uśmiechnęła się. - Ale i tak to jednak Henry Antonelli. Bardzo cool.

- Zamieniłam z nim tylko parę słów.

- Tak, ale rozmawialiście.

- To miasto doprowadza mnie do obłędu. - Carla wskazała pusty kąt w przedsionku. - Poczekajmy tam, aż się zwolni stolik.

Nadine stanęła obok Carli, która jej się przyjrzała. Pamiętała młodszą od siebie Nadine jako nadmiernie entuzjastyczną, ciągle uśmiechniętą młodą dziewczynę, która zrobiła na niej wielkie wrażenie, oznajmiając, że przeprowadza się do Los Angeles, bo zawsze o tym marzyła. Carla uśmiechnęła się wraz z innymi sceptycznymi dorosłymi,

myśląc, że w młodości nadzieja przypomina lody - świeża, jeśli skonsumowana, lecz w przeciwnym wypadku paciajowata i przynosząca rozczarowanie. Ale Nadine najwyraźniej tutaj kwitła.

- Carla! - Nadine oszacowała ją wzrokiem. - O Boże! Świetnie wyglądasz.

- Dzięki. Ty też.

- Poważnie mówię. Wyglądasz znakomicie.

Nadine rozejrzała się po restauracji. - To świetne miejsce. Podają tu prawdziwe jedzenie.

- Ale nikt go nie je.

- Ja jem - powiedziała Nadine i było widać, że mówi prawdę. Do Nadine pasowały dodatkowe kilogramy - jej buzia była równie świeża jak w Nowym Jorku i wyglądała dokładnie tak, jak Carla wyobrażała sobie twarze staroświeckich Szwedów z powieści Sinclaira Lewisa.

- Ten biznes przypomina liceum - skomentowała Nadine. - Liceum, w którym nikt nie zdaje matury. Założę się, że wszyscy tutaj pracują w biznesie filmowym - przerwała i spojrzała na Carłę. - Więc jak? Kalifornia?...

- Kalifornia. Już ogłoszono werdykt. Podoba mi się tutaj.

- Bardziej niż w Nowym Jorku?

- Nie wiem. Może tak. - Carla rozejrzała się po restauracji. - Jak dotąd tak. Jeszcze się przyzwyczajam do czekania na zielone światło i nieprzechodzenia na czerwonym, ale poza tym ta zmiana świetnie mi zrobiła. - Carla wzięła głęboki oddech. - Przeraza mnie to. Znasz to powiedzenie, że im człowiek starszy, tym mniej wie? Tak się właśnie czuję. Pięć lat temu nigdy bym się nie zdobyła na przyjazd tutaj. Ale kto wie? Może za miesiąc znienawidzę to miejsce? Mam bardzo wygodny układ: mój kuzyn płaci za wszystko i mówi, że nie muszę się spieszyć z szukaniem pracy. Nie zostawiłam w Nowym Jorku nic specjalnego prócz zawalonego dachu.

Nadine parsknęła śmiechem. - Mam nadzieję, że przesadzasz?

Carla potrząsnęła głową. - Nie przesadzam. Zawalił się podczas burzy. To byłaby świetna scena filmowa. Kobieta myśli, że ktoś się włamuje, a z sufitu spada wentylator. Zaczyna rechotać jak wariatka i wsiada w następny samolot do Los Angeles.

- To właśnie ciebie spotkało?

- Tak. I teraz mi się tu podoba. Nie wyobrażasz sobie, co to znaczy, kiedy się przekonujesz, że to, co uważałaś za prawdę absolutną, okazuje się fałszem.

- Tutaj, jak na pewno zauważyłaś, jest w modzie pogardzać Los Angeles i mówić o tym, jakie wszystko jest świetne na Manhattanie - odpowiedziała Nadine, opierając się o ścianę. Blask świec rozjaśniał jej policzki. - Wszystko związane z Nowym Jorkiem staje się świetne: zimno robi się oznaką prężności, nieprzyjemni ludzie dowodzą, że posiadają osobowość, wszyscy w Nowym Jorku są bystrzejsi, lepsi, bardziej wyrafinowani. I tak dalej, i tak dalej. Dużo o tym myślałam. I słyszysz to z najlepszego źródła - ja uwielbiam wszystko w Los Angeles.

- Nawet trzęsienia ziemi?

- Hm... - Nadine przygryzała wargę. - Nad tym też myślałam. Po pierwsze, nawet jeżeli umrzesz, to przynajmniej podczas wielkiej klęski żywiołowej. A po drugie, jeżeli nie umrzesz, przeżyjesz klęskę żywiołową. Tak czy inaczej jesteś wygrana.

- W jednym z tych przypadków jesteś nieżywa.

- No tak, oczywiście, to też prawda.

Hostessa powiedziała im, że stół jest gotowy. Posadzono je na zewnątrz, na ceglany patio. Bulwarem Robertson jechały samochody. - Więc - powiedziała Carla.

- Więc - powtórzyła Nadine.

- Więc co robisz? Czy też pracujesz w tym biznesie tak jak wszyscy inni?

- Tak. - Nadine wypła łyk ze szklanki. - Dziś był niezwykle dzień, dostałam pracę. Po południu miałam telefon.

Carla próbowała powstrzymać zazdrość, która od razu zaczęła ją ogarniać. Wmówiła sobie, że się cieszy z pracy Nadine. Cieszy się, cieszy, cieszy.

- Będę znowu pracowała w dziale rozwoju scenariuszy, ale tym razem w firmie na terenie studia. Nie podoba mi się szef, jest pieprzoną pijawką, przyssał się do gwiazdy filmowej i teraz może robić, co chce, ale niektórzy pracownicy są zupełnie na poziomie.

- Co to za gwiazda?

- No wiesz, Mr. Kino Akcji we własnej osobie, Kirk Gordon. Prawdę mówiąc, słyszałam, że facet jest w porządku, tylko po prostu nigdy go nie ma. Pijawka, Roland Starr zawsze tam jest i rozgrywa partie z innymi, którzy rządzą w tym mieście.

- Brzmi to bardzo makiawelicznie.

- Nawet sobie nie wyobrażasz jak bardzo - odparła Nadine. - Jeden ze sposobów patrzenia na ten cały biznes to przekonanie, że każdy cię chce przerobić, dosłownie każdy: kelnerka, tamten gość, ten facet z tym czymś w nosie.

- Cudownie - powiedziała Carla. - Czy ty ich przerabiasz w rewanżu?

Kelnerka podeszła przyjąć zamówienie i usłyszała pytanie Carli. Nadine odpowiedziała dopiero po jej odejściu. - Nie, jeszcze nie. Ale nigdy nie można się zarzekać. W każdym razie obiecali mi, że będę się spotykać z autorami i że jeżeli sama coś znajdę, dostanę premię albo nawet awans.

- Niesamowite - powiedziała Carla. - Ale co właściwie robisz?

- Zajmuję się rozwojem.

- Ja też. Stan ciągłego rozwoju: emocjonalnego, fizycznego i psychicznego.

- Właśnie. „Rozwój” to w samej rzeczy odpowiednie słowo. Dostajemy materiał i jak dobrze pójdzie, ulepszymy go.

Na przykład właśnie się dowiedziałam, że pracujemy nad nową ekranizacją *Siostry Carrie*. Jak wiesz, można to zupełnie schrzanić. Ale jeśli okaże się dobre... i jeżeli uda mi się nad tym popracować... - Twarz Nadine rozjaśniła się.

- *Siostry Carrie*? - Carla przerwała. - Proszę cię, proszę. Nie psujcie tej książki.

Nadine przechyliła głowę na bok. - Dobrze, że mi to mówisz. Muszę powiedzieć tym, którzy postanowili ją popsuć, żeby przestali.

- Nie o to mi chodziło.

- Nikt nie chce zrobić złego filmu, Carla. Zastanów się. Przecież nikt nie siedzi i nie mówi do siebie: chcę zrobić jak najgorszy. Nawet ci, którzy robią najgorsze. Nikt nie ma takiego zamiaru.

- Po prostu nie chcę, żeby popsuli jedną z moich ulubionych książek.

- To też jedna z moich ulubionych. Ale „oni” to „ja” - Nadine wyciągnęła oprawiony scenariusz ze swojej dużej torby. - Masz. Przeczytaj to.

Carla otworzyła na pierwszej stronie. *Siostra Carrie*, na podstawie powieści Theodore'a Dreisera.

- Jestem uzależniona od Dreisera - przyznała Carla. Odłożyła scenariusz. - Tym się zajmujesz? Czytaniem?

- Najlepsza praca na świecie - odparła Nadine. - Ciągłe czytanie scenariusze. Większość jest straszna, ale trafiają się znakomite. To jak czytanie dobrej książki. I możesz wszystko czytać. Weźmy *Siostrę Carrie*, mogę to jeszcze raz przeczytać. Ten facet powiedział mi dzisiaj, że chcą zrobić coś o Wilhelmie Zdobywcy, więc jeśli chcę, mogę poszukać materiałów.

- No tak - mruknęła Carla. - Kto by pomyślał?

- Kto by pomyślał co?

- Kto by pomyślał, że są prace, w których możesz czytać, co chcesz, i za to ci płacą.

- To właśnie sekret - powiedziała Nadine. - Ludzie, którzy tu dorastają, o tym wiedzą, ale inni nie mają szans się dowiedzieć.

- Ty się dowiedziałas.

- Ja jestem bardzo mądra.

Carla uśmiechnęła się. - Tak, jesteś mądra.

Patrzyły na siebie przez dłuższą chwilę. Nadine oczekiwała, że Carla zacznie jeden ze swoich niekończących się monologów i obiecywała sobie, że tym razem będzie dla niej grzeczna podczas tego monotonnego nawijania. Lecz Carla milczała, popijając wino i urywając kawałki chleba z bochenka leżącego w koszyku na stole.

- No. To jakie masz plany? Jak... O mój Boże. O Boże

- powtórzyła Nadine wpatrzona w coś za plecami Carli.

- Co? Co się stało? - Carla odwróciła się.

- Ta kobieta - powiedziała Nadine - ta, która wchodzi przez furtkę.

Carla spojrzała na blondynkę o ostrym profilu i włosach związanych w koński ogon. Miała na sobie obcisłe ciemne džinsy, czarną marynarkę i buty na bardzo wysokich obcasach. Mogłaby być Gwyneth Paltrow.

- Co? Kto to jest?

- Moja była szefowa. Josie! Josie! Tutaj!

Kobieta odwróciła się i Carla widziała, jak patrzy na Nadine dużymi brązowymi oczami pełnymi kontrolowanego, udanego zdziwienia. Nie uśmiechnęła się nawet z czystej grzeczności, w żaden sposób nie odpowiadając na życzliwe powitanie.

- Josie! - zawołała jeszcze raz Nadine. Carla zauważyła, że ramię kobiety drgnęło niecierpliwie na to powtórne wezwanie. Podniosła palec, pokazując Nadine, żeby chwilę poczekała.

- Nie wygląda zbyt życzliwie - powiedziała Carla.

- Nie jest życzliwa, to idiotka, ale interesująca. Nie rozmawiałam z nią od tygodni, a mimo to zobaczysz, jaka będzie dla mnie miła.

Nadine skinęła głową Josie, która w tej chwili ruszyła w stronę ich stolika. - Kiedy tu dotrze, zaczniesz się zachowywać, jakby spotkała księcia Williama.

- Nadine! - odezwała się kobieta jak na zawołanie. - Nadine, Nadine, Nadine, gdzie się ukrywałaś? - Pochyliła się i pocałowała Nadine w oba policzki. - Trudno uwierzyć, że cię dopadłam! - wybuchnęła entuzjastycznie. - Myślisz, że kiedyś do mnie oddzwonisz? Ze wszystkich ludzi w mieście z tobą najtrudniej się skontaktować.

- Dzwoniłaś? - odparła Nadine. - Nie dostałam wiadomości.

- Oczywiście, że nie - powiedziała Josie. - Pamiętasz, Nadine? To ja nauczyłam cię kłamać. - Uśmiechnęła się i Carla ujrzała jej idealnie uformowane, olśniewająco białe i dziwnie małe zęby. - Cześć - odwróciła się do Carli. - Josephine O'Leary.

Carla wyciągnęła do niej rękę. - Carla Trousse.

- Uhm - powiedziała Josie. Potrząsnęła słabo jej ręką. Odwracała głowę, badając wszystkich gości. Carla cofnęła dłoń, świadoma, że już Josie nie interesuje. Spojrzała na jej bladą cerę i wystające kości nadgarstków. Poczowała przygnębienie.

- Z kim jesteś umówiona? - zapytała Nadine.

Carla zauważyła, że oczy Josie pojaśniały, kiedy się uśmiechnęła. - Dlaczego pytasz?

- Z czystej ciekawości - odparła Nadine. Zdawało się, że zaczynają jakąś grę. Nadine potasowała karty i właśnie odwracała pierwszą. - Josie, nie daj się prosić. Czy chodzi o pracę?

- W pewnym sensie - powiedziała Josie. - Może.

- Gdzie?

- Nie gdzie. Z kim. Z Henrym Antonellim.

- Z Henrym Antonellim! - Powiedziała Carla, tryskając entuzjazmem.

- Przed chwilą z nim rozmawiałam. Już tu jest.

Josie zignorowała ją i spojrzała na Nadine. - Pamiętasz, jak przyszedł do Wallace'a? Coś musiało mu się we mnie spodobać. To on zaproponował spotkanie. Nie wiem, o czym chce ze mną rozmawiać.

- Jeżeli dostaniesz pracę w NJTF, umrę z zazdrości - powiedziała Nadine.

- No, nie uprzedzajmy... - zaczęła Josie.

- Co to jest NJTF? - zapytała, Carla. - Co to...

- Nie powiedziałam mu nawet, że jestem bez pracy - ciągnęła Josie do Nadine.

- Mówię do ciebie - powiedziała Carla głośniej. - Nie słyszysz mnie?

Josie przerwała na chwilę, odwróciła się do Carli i skinęła głową. Potem wróciła do rozmowy z Nadine. - Zadzwoił do mnie ni z tego, ni z owego.

- Dlaczego mi nie odpowiadasz? - nie ustępowała Carla. Josie odwróciła się do niej. - Nie znam cię. - Jej wargi

ułożyły się w zimny uśmiech. Carla spojrzała jej w oczy i nie znalazła w nich ciepła, humoru, żadnych wspólnych cech. Uderzenie jej byłoby jak bicie trującego powietrza. Josie znów spojrzała na Nadine.

- Jak powiedziała twoja znajoma - mówiła z uśmiechem przyklejonym do kościstej twarzy - Henry już tu jest. Nie mogę kazać mu na siebie czekać. Miło było cię zobaczyć, Nadine. Zadzwoń do mnie! - Odwróciła się do Carli. - Na razie, Marla.

Goście gapili się na Josie podchodzącą do stolika Henry'ego. Carla zauważyła, jak uśmiecha się radośnie, kiedy aktor wstał, i skrzywiła się, widząc, że wita Josie jak starą znajomą.

- Jest wstrętna - powiedziała Carla. - Zawsze taka jest?

- Tak - odparła Nadine. - Lubi, kiedy ludzie jej nie lubią. Uwielbia to. To element jej strategii.

Carla była zaszokowana. Przyjechała z Nowego Jorku, знаła nieuprzejmych ludzi, lecz oni bywali nieuprzejmi z ja-

kiegoś powodu. Josie była nieuprzejma dlatego, że mogła sobie na to pozwolić, ponieważ Carla się dla niej nie liczyła.

- Tu jest pełno nieprzyjemnych ludzi - ciągnęła Nadine. Pamiętała pierwsze zetknięcie z Josie O'Leary i osobami jej typu. Zdawało się, że wszystkie takie Josie na świecie znają jakiś tajemniczy kod zachowania, który przynosi pieniądze, szczęście i kolacje z Henrym Antonellim. I rzeczywiście przynosił. Lecz kod zachowania Nadine także działał, kiedy dostosowała go do osobliwości systemu społecznego Hollywoodu. Nie spuszczaaj piłki z oczu - powtarzał jej zawsze Ernie. - Pamiętaj, że chodzi o pracę.

- Ja się trzymam od tego najdalej, jak mogę - powiedziała Nadine. - Uważam, że jeżeli dobrze wykonam swoją pracę, reszta sama przyjdzie. Tak samo będzie z tobą. - Nadine wiedziała, że ma rację, i nagle ogarnęło ją współczucie dla Carli.

- Chce, żebyś do niej zadzwoniła.

- Nie. Chce, żebym do niej zadzwoniła po to, żeby mogła nie oddzwonić - uśmiechnęła się Nadine. - Wkrótce się zorientujesz w zasadach gry.

- To nie ma sensu - odpowiedziała Carla cicho. Nadine podniosła kieliszek i odpowiedziała: - Witaj w Hollywood, Carla.

Rozdział piętnasty

Josie była przekonana, że słyszy ciągle szemranie: „Kto siedzi z Henrym Antonellim? Kto siedzi z Henrym Antonellim?... Wiedziała, że jej imię jest przekazywane z ust do ust i ludzie mówią: Jaka Josie? Chyba ją już kiedyś widziałem. Znam ją. Chodziłem z nią. Poznałam ją...”. Ona na ich miejscu robiłaby dokładnie to samo.

- Josie? - Henry trącił ją w ramię, kiedy podniosła głowę i podrzuciła długie włosy z jasnymi pasemkami, jakby ktoś filmował ją w zwolnionym tempie. Każda klatka jej ruchu będzie przepleciona reakcją gości: młodej dziewczyny gapiącej się z kąta, Tess Johnson, jednej z dyrektorów studia filmowego, która zlekceważyła Josie na przyjęciu miesiąc temu. Spojrzała zmrużonymi oczami najpierw na Henry'ego, a potem na jego towarzyszkę.

Josie zajrzała Henry'emu w oczy. Był starszy niż pamiętała, i zwisała mu skóra pod brodą, ale te oczy...

- No, no - powiedziała ze swobodą kogoś, kto obraca się w kręgu sławnych ludzi. - To niewątpliwie publiczne spotkanie, Henry. Czy twoja żona nie będzie się gniewała?

- Tak jak się spodziewałem, przechodzisz prosto do sedna. Nie, Cecilia nie będzie się gniewała. Ufa mi.

I rzeczywiście, Cecilia pocałowała go na pożegnanie, życząc szczęścia w odpieraniu kolejnej pijawki.

- Czy powinna? - W drodze do restauracji Josie postanowiła mówić dokładnie to, co jej przyjdzie do głowy, bez względu na konsekwencje.

Powiedziała też w duchu, że nie pokaże po sobie ani trochę, że sława Henry'ego robi na niej wrażenie. Gdyby zachowywała się tak, jakby wierzyła, że Henry jest od niej lepszy, zasługiwałaby, żeby ją traktować jak osobę na niskim poziomie, z rodzaju tych, które za wiele się uśmiechają, za bardzo podlizują i ogólnie zachowują jak zasmarkane dzieci w obliczu jaśniejszych gwiazd.

Josie nie straciła rezonu, kiedy zadzwonił do niej znenacka, zaraz po wyjściu Joshui. W rzeczywistości Henry nie górował w żaden sposób nad Josie, był po prostu sławny. Mógł jej pomóc. I podobała mu się. Jeżeli nie wykorzysta tych elementów, żeby wspiąć się wyżej w biznesie, może równie dobrze od razu skapitulować i wrócić do Portland.

Zebrała potrzebne informacje. Spędziła wiele godzin w Internecie, gromadząc wiadomości o Henrym i jego żonie, Cecilii Rosenberg, lekarzu psychiatrze. Cecilia była ładną, drobną kobietą, która wyglądała trochę jak Królowna Śnieżka. Stara Królowa Śnieżka. Starość w przypadku kobiet oznaczała po prostu co innego niż w przypadku mężczyzn i feministki mogły się wściekać, ile chciały, a starsze kobiety wskazywać Sophię Loren jako przykład wiecznej atrakcyjności, ale Josie była wyjątkowo pragmatyczna. Młode kobiety stanowiły nagrodę, a Josie była jeszcze młoda. Nie będzie traciła cennych chwil, lamentując nad skutkami powierzchownej kultury. Prawda była taka, że Josie czuła się zachwycona, gdy ludzie taksowali ją wzrokiem jak striptizerkę.

- Czy już zamówiłeś?

- Tylko to - wskazał kieliszek wina.

Złożyli zamówienia i Josie zauważyła, że Tess Johnson ciągle się na nią gapi. Uśmiechnęła się do niej i odwróciła do Henry'ego.

- A więc...

- A więc...

- Na pewno nikt ci jeszcze tego nie mówił, ale mam pewien scenariusz...

- Naprawdę? - roześmiał się Henry. - Masz scenariusz? Jestem zaszokowany.

- No właśnie - uśmiechnęła się do niego. - I wiem... wiem, że wszyscy ci to mówią, ale ten jest dobry. Jest oryginalny. Jest...

- Bardzo dobrze napisany. Doskonałe charaktery. Rola, która przyniesie mi trzeciego Oscara.

- Wszystko się zgadza. I może jeszcze inne rzeczy, które nie przyszły ci na myśl.

- Teraz praktycznie wszystko przychodzi mi na myśl - odpowiedział Henry, a Josie wyobraziła sobie scenę zatknięcia na jego głowie swojej małej flagi.

- I potrzebuję pracy - powiedziała Josie. Zdziwiła się, że to powiedziała. Ten pomysł narodził się, kiedy Nadine wspomniała o NJTF, firmie Henry'ego. I kiedy Henry zaczął z nią flirtować, poczuła, że w głowie konsoliduje jej się plan, który pozwoli zaspokoić ambicje i może zaczepić się przy gwiazdzie filmowej.

- Co? - Henry wydawał się przestraszony.

- Potrzebuję pracy - powtórzyła. - Wallace mnie wylał. Nie odnowiono mu kontraktu.

- Aha.

- Chociaż, prawdę mówiąc, stanowiłam zagrożenie dla jego siostrzenicy. Ale to nieważne, tam i tak nie było możliwości rozwoju. Natomiast twoja firma...

Mówiąc, obliczała korzyści mogące wyniknąć z obecnej strategii. Wybrała taktykę mówienia o pracy i widziała, że to Henry'ego zaskoczyło. Gdyby stanowiła tylko obiekt seksualnego podboju, Henry mógłby o niej zapomnieć. A w ten sposób utrzyma swoją przewagę i być może uda jej się wyprodukować film.

Henry roześmiał się tym samym śmiechem, który był tak prawdziwy w filmie o prezydencie. Był szczery i Josie

jeszcze raz uświadomiła sobie, dlaczego jest tak podziwiany. Przez większość czasu grał samego siebie.

- To dość bezpośrednio z twojej strony.

- Wiem. Ale dlaczego mam nie być bezpośrednia? Mam doświadczenie i potrzebuję pracy. Ja... - Josie urwała i spojrzała na podłogę. Myślała bardzo szybko. Wpadła na pewien pomysł, który pomógłby związać na dobre jej przyszłość z Henrym, jeżeli odważy się zagrać tą kartą.

- Ty co? - zapytał Henry.

- Rozstałam się z mężem.

- Ojej.

- Jest nawet gorzej. - Josie przybrała wyraz smutku. - On ma raka.

- Przykro mi - powiedział Henry po krótkim milczeniu.

- Nie pozwala mi się sobą zaopiekować. Chyba ma kogoś innego. - Josie spojrzała Henry'emu prosto w oczy. - Przestałam już udawać, że się tym nie przejmuję. Matka powiedziała mi, że nie powinnam się nikomu do tego przyznawać. Że to wygląda, jakby mnie odtrącił. Ale taka jest prawda i milczenie do niczego dobrego nie doprowadzi. Straciłam pracę i męża. Ty stanowisz dla mnie szansę zaczęcia wszystkiego od początku.

Zachowywała się, jakby była wytrącona z równowagi i przybrała niepocieszony wyraz twarzy. - Było mi ciężko i robię, co mogę, żeby się z tego wydobyć.

Jej małe przedstawienie odniosło skutek - była wytrawną aktorką. Henry jej uwierzył, widać to było po jego twarzy. W myślach zawołała „cięcie!” i spojrzała na stół, odgrywając emocjonalny finał sceny.

Henry był ogłuszony. Całkowicie pomylił się na temat Josephine O'Leary, choć zwykle doskonale znał się na ludzkich charakterach.

- A twoja rodzina? Przyjaciele? - zapytał.

- Wszyscy są cudowni - odpowiedziała, powoli podnosząc głowę. -
Lecz rodzice mieszkają w Portland. Oczywiście podtrzymują mnie na
duchu, ale muszę żyć dalej.

Kiedy mówiła, Henry zbeształ się w duchu za myślenie, że była
zainteresowana przespaniem się z nim. Prawdopodobnie wcale nie
myślała teraz o seksie. Wyobrażał sobie, jak śpi sama, przyciskając do
piersi poduszkę, prześladowana myślą, że inna kobieta opiekuje się jej
chorym mężem.

- Proszę. - Henry napisał na serwetce numer telefonu.

- Zadzwoń do Esther. Uprzedzę ją. Wszystko będzie dobrze.

- Dzięki. Dzięki. Jutro do niej zadzwonię.

- Przepraszam pana - kelner trzymał w ręce telefon.

- Jest do pana telefon.

- A myślałem, że udało mi się uciec... - powiedział Henry. - Właśnie
dlatego wyłączam komórkę. Zaraz wracam.

- Odszedł od stolika razem z kelnerem.

Josie oparła się na krześle i na jej ustach pojawił się lekki uśmiech.
Powstrzymała chęć wstania, wzięła kawałek chleba i napiła się wina.

- Josephine, prawda?

Josie odwróciła się. Tess Johnson, dyrektor studia, która ją
zlekceważyła.

- Tak - odpowiedziała Josie i nie mogąc się powstrzymać, ciągnęła
dalej. - Przepraszam, nie przypominam sobie pani nazwiska.

W rzeczywistości Josie nie tylko pamiętała jej nazwisko, wiedziała
też, że Tess ostatnio awansowano na wiceprezesa w Studiu X, że była z
Sydney i pozowała nago do zdjęć swojemu ostatniemu chłopakowi,
aktorowi ze Szwecji.

- Tess.

Tess wiedziała, że Josie wszystko o niej wie, ale trzymała się
scenariusza, tak jak miliony innych hollywoodzkich graczy od stu lat. -
Tess Johnson - wyciągnęła rękę. Josie policzyła w myślach do trzech,
zanim wyciągnęła swoją.

Rozdział szesnasty

Pakt, że przed wyjściem do pracy w środę rano Phillip wręczył jej bilety na premierę, musiał być zrzędzeniem losu.

- Wiem, że nie będzie ci się podobała ta cała hollywoodzka atmosfera, ale gdybyś przypadkiem chciała przyłączyć się do mnie, Samantha oraz około miliona innych ludzi i obejrzeć nowy film Antonellego, masz możliwość.

- O czym jest?

- Wyobraź sobie Willy'ego Lomana jako starego prawnika, który traci wszystkich klientów. Widzowie pokazów sondażowych byli zachwyceni. Wszystkie studia w mieście odrzuciły scenariusz, a wtedy firma Antonellego rzuciła się na niego. Podobno film jest niezły. Mama też przyjeżdża w następny piątek na premierę. Dzwoniła do ciebie?

- Nie. Ani słowa od mojej nadmiernie zajętej ciotki. To dość niegrzeczne kazać komuś przejechać cały kraj, a potem czekać sześć tygodni na wyjawienie sekretu. To nie może być nic ważnego.

- Oczywiście, że może. Po prostu nic nie może być ważniejsze od niej. Zaraz wychodził do pracy. - No to z kim pójdziesz?

- Z kim pójdę?

- Na premierę.

- A, faktycznie. - Carla wyjrzała przez okno z ponurą miną.

- Nie będzie żadnego problemu ze znalezieniem chętnego. Wszyscy marzący o zrobieniu kariery chcą iść. Mam kogoś znaleźć?

Carla spojrzała na niego groźnie. - Nie.

- Dobra. Chciałem tylko pomóc.

- Mogę chyba iść sama?

- Jasne, ze możesz, jeśli chcesz.

- Może pójdę sama.

- Chociaż szkoda zmarnować bilet.

- Do widzenia - powiedziała Carla, zamykając za nim drzwi.

Wiedziała, że powinna być podniecona perspektywą premiery - i była - ale podniecenie nieomal przyćmiewał lęk, że nie będzie miała z kim pójść. Skończyła czterdzieści jeden lat. Czy to uczucie kiedykolwiek się zmieni?

Przecież chyba może iść sama? To nic złego.

Zadała Nadine dokładnie to samo pytanie, kiedy spotkały się parę godzin później na lunchu w restauracji o nazwie Urth przy Melrose Avenue.

- Idź sama, jeśli chcesz - powiedziała Nadine. - To się przydaje, szczególnie jeśli pracujesz w biznesie, bo możesz naprawdę spotkać i poznać różnych ludzi, i porozmawiać z nimi. Problem zaczyna się dopiero, kiedy ludzie uznają, że jesteś beznadziejna, bo przyszłaś sama.

Siedziały na dworze, jedząc bułeczki z brukselką i orzechami włoskimi. Carla obserwowała balet opalonych ramion podnoszących i opuszczających kubki z kawą pod parasolami. Nie widziała głów, tylko podkoszulki bez rękawów, koszule, koszulki. Niektóre ramiona były stare, postrzępione, oddzielające się od kości jak ociekający kozuch zdjęty z mleka. Lecz większość była młoda i ich nieobowiązujący strój nie współgrał z tematami rozmów właścicieli. Wszystkie dotyczyły przemysłu filmowego: „Myśleliśmy, że to byłoby dobre, ale nie za siedemdziesiąt milionów” albo „Mamy dobre reakcje, ale przeniosą to do bardziej miejskiego środowiska i zrobią więcej testów”.

- Słuchaj, mam pomysł - powiedziała Nadine. - Podziękujesz mi później. W firmie już się zgodzili. - Popijała latte z miseczki. - Powinnaś pracować dla nas.

Carla roześmiała się. - Co powinnam?

- Powinnaś ze mną pracować. Z nami. Z Rolandem Starrem i Kirkiem Gordonem, Firmą Pijawka.

Carla utkwiała wzrok w twarzy Nadine. Nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Nagle stanęły jej przed oczami wszystkie niezręczne aspekty ich znajomości - to, że to ona była starsza, że była kiedyś szefową Nadine, że to ona powinna oferować jej pracę.

- Zdaje się, że stawka wynosi około stu dolarów za scenariusz. Czytasz i piszesz recenzję. Damy ci tyle, ile dasz radę przeczytać. - Nadine przerwała na chwilę, jakby nieco zaniepokojona. - Masz gotowe CV, prawda?

Carla przytaknęła, ciągle nie wiedząc, co powiedzieć.

- To świetnie. - Nadine odchyliła się na krześle.

- Ale...

- Carla, tu nie ma się co zastanawiać. Wpadłam na ten świetny pomysł, kiedy pisałam kolejną, byle jaką recenzję. Idealnie się do tego nadajesz. Naprawdę.

- Ale...

- Ale co? Jakże tu może być „ale”?

Próbując przekonać Carle, Nadine widziała oczyma wyobraźni stertę scenariuszy, które mogłaby jej przekazać. Była zmęczona pisaniem recenzji. Przyszedł czas, by sama Nadine zaczęła wchodzić po drabinie rozwoju. Przekonała Rolanda Starra, że zasługuje na awans, który on w końcu zatwierdził pod warunkiem, że wszystkie scenariusze zostaną przeczytane. Zastępca szefa, chudy facet o kręconych włosach, Gerry Simpson był wściekły, że Nadine poszła prosto do Rolanda, żeby wyklócić się o asystentkę. Poinformował Nadine, że wszystkie prośby powinny przechodzić przez niego, a potem ostrzegł ją ponurym tonem, że zlekceważyła hierarchię firmy na swoją zgubę. W odpowiedzi Nadine uśmiechnęła się tylko słodko i powiedziała mu, żeby się wyluzował.

- Będę pracowała dla ciebie? - zapytała Carla.

- Tak. Na to wychodzi. Ale nie ma mowy o żadnym „zdawaniu relacji przełożonemu”.

Od przyjazdu Carla czuła nieodparty czar przemysłu rozrywkowego, który kusił ją jak kiść dużych słodkich winogron.

- Masz taką poważną minę - powiedziała Nadine.

- Zgadza się. Bardzo chętnie.

- Miałam nadzieję, że się zgodzisz. - Nadine sięgnęła do torby. Możesz się tym posłużyć jako wzorem.

Wręczyła Carli pokazny plik papierów.

- Sześć scenariuszy, dwa przykłady recenzji i wskazówki, jak pisać sprawozdanie recenzenta. To chyba wszystko, co ci będzie potrzebne. Czy mogłabyś przyjść w piątek?

To było takie proste. Carla spędziła całe życie zawodowe, składając w firmach podania i życiorysy, które nie odzwierciedlały jej umiejętności, i chodząc na rozmowy, podczas których czuła się tak niezręcznie, że ogarniały ją mdłości. A teraz miała pracę - nie da się ukryć, że stanowisko było niskie i że miała pracować ze swoją byłą asystentką - ale będzie mogła czytać i ktoś jej za to zapłaci.

Nadine wytłumaczyła jej, jak dojechać na teren studia, w którym mieści się Firma Pijawka. Załatwi jej przepustkę. Carla obiecała, że przyjedzie w piątek o dziewiątej. Nadine powiedziała, że może przejąć część jej „porcji czytania na weekend”, czyli stosów scenariuszy pokrywających podłogę biura każdego hollywoodzkiego dyrektora, wśród których mógł się sprytnie ukrywać ten jedyny dowcipny i tętniący życiem, mogący zarobić miliony dolarów dla studia.

W godzinę później, wracając do domu Phillipa, Carla żałowała, że nie może jej teraz zobaczyć cała szóstka nowojorskich znajomych. Od dawna już nie miała tylu powodów do radości.

Wjechała na podjazd, nieomal zderzając się z Christopherem, który jechał na rowerze. Zraszacze były włączone i polewały trawnik krótkimi, lśniącymi łukami wody.

- Cześć, przystojniaku! - zawołała. Christopher zahamował. Carla wyskoczyła z samochodu. - Chodź ze mną!

Od czasów dzieciństwa nie przebiegała przez zraszacze. Wbiegła na trawnik i zaczęła zataczać kręgi. Stawała się coraz bardziej mokra.

Christopher przyglądał się z roweru.

- Mamy basen - powiedział.

- Spróbuj - odpowiedziała wesoło. - Tylko spróbuj. Christopher oparł rower o garaż. Stał przez chwilę na

podjeździe, przyglądając się ciotce z przygarbionymi ramionami i nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Wyglupiasz się - powiedział.

- Nie jest ci gorąco? Wzruszył ramionami.

- Proszę cię - nalegała.

Christopher podszedł do Carli. Na głowie miał spiczasto zakończony, niebieski kask, ale kiedy woda uderzyła go w policzki, zamknął oczy i uśmiechnął się.

- Teraz biegnij - poleciała Carla i pobiegli w przeciwnych kierunkach.

- Carla! - krzyknęła Samantha z wnętrza domu. - Telefon!

Podeszła do drzwi wejściowych i zobaczyła, jak jej syn i kuzynka męża przebiegają trawnik pomiędzy zraszczami kompletnie przemoczeni.

- Nagły wybuch niedojrzałości - wyjaśniła Carla, kiedy rozbawiona Samantha podała jej ręcznik. Christopher zapytał, czy mógłby zaprosić kolegów, żeby się z nim pobawili na trawniku. Carla minęła go i weszła do kuchni. Podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Carla? - zapytał męski głos. - Carla? Mówi David. David Stegner.

- David?

- Cześć tak. Dzwoniłaś do mnie. Jesteś w Los Angeles? Cieszę się, że jeszcze cię zastałem.

Carla powiesiła sobie ręcznik na szyi i wyjrzała przez okno na zielone trawniki i idealne kalifornijskie niebo.

- David - powtórzyła.

- Tak?

- Chcesz iść do kina?

Rozdział siedemnasty

Psther Rodriguez Rabinowitz była niewysoka, na tyle niewysoka, że ktoś - pewien producent z Nowego Yorku - przyznał, że uważa ją za „małą osóbkę”. Miała długie, brązowe i bardzo delikatne włosy, ważyła około czterdziestu trzech kilogramów i ubierała się prosto i kosztownie. Pracowała z Henrym Antonellim od dziewięciu lat. Zaczęła jako najniższej rangi recepcjonistka i stopniowo awansowała, aż została jego pełnoprawną partnerką w NJTF.

Ich biuro mieściło się w Santa Monica, w rezydencji w hiszpańskim stylu. Władze miejskie zgodziły się na wykorzystanie jej na siedzibę firmy. W oryginalnym budynku znajdowało się sześć sypialni i pięć łazienek, lecz Henry i Esther utworzyli miejsca do pracy, gdzie tylko się dało, i całość stała się wygodnym, obitym ciemną boazerią i pełnym miękkich poduszek i słońca „wspólnym domem” dla ludzi twórczych. Na ścianach wisiały dziecinne rysunki pomieszane z Lichtensteinami i Pollockami, gdzie indziej przypięto pinezkami kartki z notatkami, a na biurkach i na starym stole jadalnym stały komputery Apple PowerBook. Zachęcano pisarzy, żeby zamiast trzymać się z daleka od NJTF, spędzali w firmie tyle czasu, ile chcą. Jedynym warunkiem było to, że Esther musi ich lubić, a co ważniejsze - ufać im.

Niektórzy konkurenci uważali Esther i Henry'ego za szaleńców, ale w ich szaleństwie była finansowa metoda - przecież spodziewali się czegoś po ludziach, którzy korzystali z ich pomieszczeń. Misja NJTF opierała się na zasadzie „spirali idącej

w górę" wprowadzonej przez Esther, która przekonała Henry'ego, że za stosowaniem tej zasady przemawia pojęcie ekonomiczne, które najłatwiej wyrazić liczbami, a mianowicie: zysk. Cztery lata wcześniej, po otrzymaniu stopnia MBA na kursach wieczorowych Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles i potwierdzeniu swoich podejrzeń, że szkoły biznesu najlepiej uczą, jak posługiwać się tajemniczymi eufemizmami ekonomicznymi do opisanie podstawowych zachowań ludzkich, Esther powiedziała: - Henry, chodzi o to, że interesy muszą przynosić zyski. Przynoszą je, kiedy dostarczają produktu poszukiwanego przez konsumentów. W show-biznesie konsumenci domagają się produktu „rozrywkowego”. Ludzie mają tendencję do tworzenia rozrywkowych produktów, kiedy pracują w przyjemnym otoczeniu. Nie lubią pracować na czas, nie chcą płacić za każdą przesyłkę Federal Expressem do rodziców w Missouri, nie chcą, żeby ktoś nimi na każdym kroku kierował.

- To znaczy, że my będziemy płacić za ich rozmowy telefoniczne i Fedexy? Mój ojciec zawsze wiedział, ile wydaje, co do grosza.

- To dobrze, że wiedział. Może dzięki temu się dorobił. Ale popatrz na to w skali makro - powtórzyła Esther. - I tak, oczywiście „makro” to jeden z terminów ze szkoły biznesu. Zastanów się. Jak dużo może nas kosztować nawet najbardziej bezczelny człowiek, który naprawdę wykorzysta naszą dobrą wolę? Tysiąc dolarów? Dwa? Zastanów się. Potencjalny zysk z filmu na podstawie scenariusza napisanego albo znalezionej przez jednego z nich to liczba co najmniej sześciocyfrowa, jak dobrze pójdzie, nawet większa. Dodatkowa korzyść jest taka, że lubią tu być, chcą codziennie przychodzić do pracy, bo nie wywieramy na nich presji, bo są dobrze traktowani, bo nie są rozliczani z każdego grosza, wręcz przeciwnie: usuwamy wszelkie możliwe przeszkody w ich pracy. Nie mogą narzekać, bo są zadowoleni, mają

uczciwy system premii, pełne ubezpieczenie zdrowotne i jeżeli co pewien czas chcą wysłać Fedexem paczkę do Topeka w Kansas, nam nawet nie drgnie powieka. Mogą być tak twórczy, jak chcą, a my korzystamy - mamy lepszy produkt i możliwość zarobienia setek tysięcy dolarów, bo są zadowoleni i nie uciekają do konkurencji. Spirala idąca w górę. Nie rozumiem, dlaczego więcej firm jej nie stosuje.

Henry uśmiechnął się. - Nie wiem, o czym ty mówisz. Ale ty za to odpowiadasz. Tylko nie szastaj pieniędzmi.

- Ufaj ludziom, a oni zaufają tobie.

- Esther, osoba humanitarna.

- Esther, osoba znająca się na ludziach - odpowiedziała. Spirala idąca w górę sprawdziła się. Tutaj powstały trzy

z czterech filmów, które przyniosły w ciągu ostatnich trzech lat największe zyski w Hollywood i tylko w jednym z nich grał Henry. Pozostałe zostały napisane i wyreżyserowane przez nieznane talenty, które wdarły się pomiędzy filmy z wielkich studiów i zarobiły miliony dolarów. NJTF ostatnio podpisało trzyletni odnawialny kontrakt ze Studiem X. Esther została jednym z najbardziej cenionych producentów w mieście, a Henry mógł dodać do swego nazwiska bardzo popularne myślniki - Henry Antonelli, aktor-reżyser-producent.

Esther nie spoczęła na laurach. Wiedziała, że los ją obdarzył jedną szczególną umiejętnością. Nie była bardzo piękna, bardzo mądra ani bardzo utalentowana, ale instynktownie umiała się poznać na dobrej „fabule”.

„Fabule jako rozciągliwym, plastycznym materiale, jako kolorowym płótnie wielkim jak namiot cyrkowy, albo zwartej i treściwej, jak stalowoszary cienki pasek metalu. Fabule, która przyciągała jak McDonald's, która mogła być wysublimowana jak idealna perła w ostrydże na dnie morza. Fabule mogącej ulec zniszczeniu wskutek jednej, fałszywej nuty nadmiernej pewności siebie lub nieodwracalnemu uszkodzeniu z powodu

zbyt wielu krawców. Esther nie spodziewała się, że będzie tak biegła w ocenie scenariuszy. Zaczęła je czytać wiele lat temu, kiedy jej główna praca polegała na mówieniu: „NTJF, czym mogę służyć?”, i wcale nie była pewna swoich umiejętności.

Ale po przeczytaniu ponad pięciu tysięcy propozycji, po napisaniu tytułu recenzji, że potrafiła stworzyć jedną w ciągu godziny, Esther - skądinąd skromna i miła osoba - ze scenariuszem w ręku była równie pewna siebie jak Michael Jordan z piłką do koszykówki.

Kiedy Esther Rodriguez Rabinowitz nie spędzała czasu z mężem, Aramem, ze swoimi bliźniaczkami, Laura i Lisą, albo w pracy w NJTF, zajmowała się pisaniem. Wydała pod pseudonimem E.R. Robin cztery powieści i wszystkie zostały dobrze przyjęte przez krytyków. Żadna nie dostała się na listę bestsellerów - jej mąż żartował, że jeżeli będzie nadal nadawała swoim powieściom ezoteryczne tytuły jak *Zmierzch Macallistera* czy *Groteski*, trafią jedynie do ciemnych i zatechłych bibliotek - ale szanowane magazyny literackie zachwyciły się „pomysłowością” i „oryginalnym stylem” E.R. Robin.

Nawet Henry nie został dopuszczony do tajemnicy. Pierwszą książkę napisała nieomal dla żartu i dała do przeczytania jednej ze swoich najlepszych przyjaciółek - agentce.

Agentka z przyjaciółką imieniem Lee, kobieta o wielu zainteresowaniach: od prawdziwych historii o życiu z Hugh Hefnerem do komercyjnych powieści o kobietach pogrążonych w żalu, była pod wrażeniem i namawiała ją do dalszego pisania. Esther posłuchała i w rezultacie E.R. Robin stał się jednym z czołowych pisarzy, mimo że nikt nie wiedział, kim jest. Pisała rano, kiedy bliźniaczki były w szkole, i w weekendy, jeśli miała czas.

Wkrótce zaczęły się telefony z Hollywood. Lee powiedziała, że po ukazaniu się najnowszej powieści Esther, *Sekrety moich przyjaciół*, było szesnaście telefonów od agentów i me-

nedżerów hollywoodzkich. Wszyscy błagali o spotkanie z tajemniczym E.R. Robinem, pragnąc pomóc w stworzeniu filmu na podstawie jego powieści.

Lecz Esther odmówiła. Postanowiła, że do czasu napisania czegoś, czemu twórczo posłuży adaptacja filmowa, będzie milczała i czerpała energię z podwójnej roli w przemyśle rozrywkowym. Cieszyło ją, że ma opinię zawsze opanowanej partnerki w firmie Henry'ego i podobało jej się, że zdobyła grono inteligentnych czytelników. Była też dumna z NJTF, nowatorskiego miejsca pracy, które osiągnęło taką ważną pozycję w Hollywood.

Natomiast serdecznie nienawidziła bezwstydnie ambitnych chamów, którzy stanowili tak wielką część tej hollywoodzkiej maszyny. Dała upust swej niechęci nawet na ścianach pomieszczeń NJTF, zamawiając tablicę z listą zasad obowiązujących w firmie:

1. Zachowaj czystość.
2. Szanuj innych.
3. Bądź otwarty.

Zasady te obowiązywały wszystkich: pisarzy, którzy nie mieli zobowiązań kontraktowych w stosunku do NJTF, i pracowników, którzy je mieli. Zazwyczaj Henry i Esther wspólnie ustalali, kto będzie pracował w firmie. Henry uparł się, że NJTF musi zatrudnić przynajmniej kilka rekinów, pod warunkiem, że będą to „humanitarne rekiny” (to, że powiedział to z poważną miną, zrobiło na Esther duże wrażenie, miała ochotę wybuchnąć śmiechem). Lecz w końcu ją przekonał. Przyda się wśród pracowników kilku bezwzględnych ludzi, żeby firma była świadoma machinacji Złego Hollywood, którego oboje chcieli się wystrzeżać.

Heather Kavakos była pierwszą osobą zatrudnioną jako rekin: w oczywisty sposób ambitna, Heather miała stosunki w przemyśle filmowym dzięki rodzinie, a wśród jej bliskich przyjaciół było co najmniej troje najlepiej opłacanych aktorów i aktorek hollywoodzkich.

Esther nie powiedziała tego Henry'emu, ale była przekonana, że „humanitaryzm” Heather krył się gdzieś pomiędzy jej silikonowymi piersiami i przemyślanym zaabsorbowaniem sobą. Musiała jednak przyznać, że układy Heather czasem pomagały im nawiązać bezpośrednie kontakty.

Udało jej się za to przekonać Henry'ego i zatrudnić swego osobistego faworyta, Danny'ego Cohena, byłego agenta, który każdego przegadał i uwielbiał być częścią ścisłego kręgu najlepiej poinformowanych ludzi w Hollywood: Esther, kochanie, nie żartuj, mnie chodzi o gigantyczny film, najgrubsze ryby w mieście mówią o tym scenariuszu. Był przystojny, czarujący i miał wycucie. Esther powtarzała Henry'emu, że kiedy w końcu zda sobie sprawę, że nie musi być pełen szacunku dla przeciętniaków, którzy stanowili większość hollywoodzkiej maszyny, nikt nie będzie w stanie go pobić. Esther powiedziała to też Danny'emu, który zgodził się z nią, do pewnego stopnia. Jego odpowiedź była typową mieszanką pokory, pochlebstwa i uników: Masz rację, wiesz, masz rację. Co taki chłopak z New Rochelle jak ja może wiedzieć? Ty będziesz rządziła tym miastem, Esther. Mówię ci, ty jesteś prawdziwym zawodowcem.

Byli też inni. Znakomita większość pracowników NJTF przestrzegała zasad Esther. Ale kiedy Josie O'Leary pojawiła się w drzwiach z przyklejonym uśmiechem na twarzy, Esther natychmiast zrozumiała, że Henry przyjął do pracy kolejnego rekina.

Powiedział jej, że Josie jest inteligentna, ma nosa do materiału i chorego na raka męża, z którym nie mieszka. Jest ambitna, ale na pewno posiada jakąś ludzką cechę, którą Esther dostrzeże, kiedy pozbędzie się uprzedzeń.

Esther przyjrzała się Josie badawczo zza biurka i zeszywniała. Jeżeli ta kobieta posiadała ludzkie cechy, musiały być zamrożone i ukryte, i wyjdą na światło dzienne dopiero, kiedy będzie staruszką na Rancho Mirage, grającą w tenisa

i dającą napiwki w wysokości dokładnie trzynastu procent. Ale trzeba jej było przyznać, że nie zachowuje się arogancko.

- Kiedy mogę zacząć? - zapytała.

- Przepraszam? - Esther wstała.

- Czy mogę zacząć od poniedziałku? Chcę pracować. Muszę pracować.

Esther zrobiła krok do tyłu, przyglądając się Josie. Jej bluzka była rozpięta aż do mostka i widać było czarny stanik.

- To godne podziwu, ale...

- Nie rozumiesz. Ja umieram z niecierpliwości.

- Henry mówił, że być może zaproponujesz nam scenariusz?

Josie przycisnęła do siebie torebkę. Pomyślała o wszystkich pisarzach świata, którzy nie mieli dostępu do Hollywood, ludziach, którzy nie mogli tak po prostu wręczyć scenariusza wpływowemu producentowi.

A oto ona, Josie O'Leary, za chwilę ma dać Esther Rodriguez Rabinowitz scenariusz *Misia, który uratował Boże Narodzenie*. Joshua King powinien teraz zapalać w domu świece, modląc się przed ołtarzem Josie O'Leary.

- Jesteś właścicielką praw?

- Tak - odpowiedziała Josie.

Skłamała bez trudu, choć poczuła ucisk w żołądku. Joshua „zapomniał” podpisać kontrakt przy trzech różnych okazjach. Zawsze miał jakiś pretekst, ale Josie zaczęła się zastanawiać, czy specjalnie tego nie odwleka.

- Przeczytam w weekend - powiedziała Esther. - Powiedz mi, czym się zajmujesz?

- Czym się zajmuję?

- Czym się zajmujesz. Chodzi mi o to, co lubisz robić. Jesteś pisarką? Reżyserem? Czy chciałabyś zostać producentem? Czy kiedyś już coś wyprodukowałaś? Ten biznes jest pełen ludzi, którzy lubią strefy pośrednie, i oboje z Henrym

szcycimy się tym, że próbujemy dokładnie zrozumieć aspiracje pracowników. To także pomocne dla ciebie. Jeżeli na przykład chcesz zostać scenarzystką, możemy ci w tym pomóc, jeśli będziesz dla na pracować - przerwała. - Lubimy wiedzieć, jakie ludzie mają predylekcje, zanim do nas dołączą.

Josie była pewna, że Esther traktuje ją z góry, czując, że są rywalkami o względy Henry'ego. Josie nie da się sprowokować. Uśmiechnęła się z udawanym luzem.

- Zajmuję się wszystkim.

Esther przez chwilę gapiła się na nią w milczeniu. - Tak, oczywiście, że tak. - Odwróciła się i wyjęła z szafki na ścianie trzy scenariusze. - Może napiszesz mi recenzje tych trzech na jutro i zobaczymy co dalej.

Josie wzięła scenariusze. Policzyła do dziesięciu. Wzięła głęboki oddech, a potem bardzo dobitnie wyraziła swoje uczucia na temat pisania recenzji.

- Esther, nie chcę być niegrzeczna, ale ja już przekroczyłam etap pisania recenzji.

Gdyby Esther nie była z natury uprzejma, pewnie by ziewnęła. Pozy Josie nudziły ją.

- Jeżeli chcesz mnie sprawdzić, proszę bardzo, napiszę jedną - ciągnęła Josie. - Ale nie jestem dziewczyną od rozwoju scenariuszy, przykro mi.

Esther słyszała od samego Wallace'a Pickeringa, że Josie nie była dziewczyną od rozwoju głównie dlatego, że odmawiała uznania „rozwoju”, to znaczy procesu opracowania scenariusza, za ważny.

- Tak jak powiedziałam - ciągnęła Josie. - Napiszę recenzję tym razem. Ale nie jestem kimś, komu sprawia satysfakcję napisanie dobrego wypracowania o książce.

- Dla nas recenzja scenariusza jest być może najważniejszym elementem procesu.

- Nie żartuj. - Josie przewróciła oczami. - Jestem tu nie od dzisiaj.

- Co wolałabyś robić zamiast pisania recenzji?

- Wszystko jedno. Cokolwiek, co ma znaczenie. Produkcja, spotkania dotyczące scenariusza, casting...

- No tak. Rozumiem - powiedziała Esther z uśmiechem.

Josie czuła ukrytą kpinę i też uśmiechnęła się w odpowiedzi. Było jej żal Esther, takiej niskiej, takiej zwyczajnej, tak oddanej nudnemu światu scenariuszy i „rozwoju”, że nie dostrzegała (albo nie chciała dostrzec), iż w Hollywood liczy się produkcja filmu, spotkania, kontakty, przyjęcia. Cała reszta to pozbawiona znaczenia gra o grosiki dla nieśmiałych i grzecznych kobiet.

- Proszę - powiedziała Josie, wręczając Esther scenariusz *Misia*. - Pisarz jest w siódmym niebie. Kiedy wymieniłam nazwisko Henry'ego, prawie podskoczył z radości.

To też było kłamstwo, ponieważ antena Josie wyczuła niebezpieczeństwo i ostrzegła ją, że lepiej nie wspominać o Henrym. Joshua rzucił się w wir nocnego życia Hollywoodu. Przeprowadził się do byle jakiego, ale modnego bloku Le Deluxe w Hancock Park, gdzie mieszkało co najmniej dwóch drugorzędnych aktorów. Teraz jednak zastanawiała się nad użyciem Henry'ego jako przynęty, żeby go zmusić do podpisania kontraktów.

- Dziękuję - powiedziała Esther. - Z przyjemnością przeczytam.

Josie rozejrzała się po pokoju, w którym stały. Przypominał jej stary zagracony gabinet Mike'a. - Gdzie będę siedzieć?

- Chodzi ci o biurko?

- Tak.

Esther wskazała fotel przy kanapie Shabby Chic. - Może tam?

- Gdzie? - Josie spojrzała w kierunku wskazanym przez Esther.

- Przez pierwszy miesiąc możesz siedzieć, gdzie chcesz. Inni pracownicy mają przydzielone „biura”, ale wybrali je

po dwumiesięcznym okresie aklimatyzacji, kiedy przekonali się, gdzie im jest najwygodniej.

- A co z telefonami? Faksami? Komputerem, internetem?

- Są wszędzie. - Esther pokazała gestem. - Używamy wszystkiego wspólnie.

- Wspólnie?

- Tak.

- No tak - powiedziała Josie i zaczęła się przechadzać po pokoju. - To dość niekonwencjonalne.

- Tak, twórczość jest niekonwencjonalna.

- No tak. A jaka będzie moja pensja?

- Przepraszam?

- Nie rozmawiałam z Henrym o wynagrodzeniu.

- Ja też nie.

- Z kim powinnam o tym rozmawiać? Z tobą?

- No cóż, przedstawię ci naszą ofertę - powiedziała Esther. - Zazwyczaj każdy zaczyna u nas od czterdziestu pięciu tysięcy dolarów rocznie plus pełne ubezpieczenie zdrowotne.

- Ja tak nie mogę.

- Czego nie możesz?

- Czterdzieści pięć tysięcy rocznie mi nie odpowiada. Tobie też nie będzie odpowiadało, ponieważ chyba mnie nie doceniasz. Uważam, że sto tysięcy byłoby fair.

- No cóż, w takim razie powinnaś znaleźć kogoś, kto ci tyle zapłaci.

- Ja naprawdę nie chcę negocjować. Chcę tylko zacząć pracować.

- To nie są negocjacje. Panuje u nas nieomal komunizm. Każdy zaczyna od czterdziestu pięciu tysięcy, a potem co miesiąc robimy weryfikację. Jeżeli oboje z Henrym zdecydujemy, że ktoś zasługuje na podwyżkę, to ją dajemy. Po roku, jeżeli przyniesiesz do firmy jakąś propozycję, rozmawiamy o odpowiednim podziale ostatecznego zysku.

- Czterdzieści pięć tysięcy? - powiedziała Josie. - W ciągu pierwszego roku w Y & W zarobiłam trzy razy tyle.

- Decyzja należy do ciebie. Zastanów się spokojnie. Josie chodziła w roztertargnieniu po pokoju. Zajrzała za dwoje

drzwi i ujrzała tu i tam różnych ludzi. Niektórych w dżinsach i podkoszulkach, innych w sportowych koszulkach, kobiety w modnych, kosztownych spódnicach. Jeden z mężczyzn wplótł dzwoneczki w gęstą brodę. Była też kobieta z wymyślnym siwym pasemkiem w czarnych włosach nad czołem. Chłopiec, na oko dwunastoletni, grał na komputerze.

Była przerażona, ale nie pokaże tego po sobie. Spodziewała się, że twórczy sabbat Henry'ego będzie odbiciem społeczeństwa, w którym zatriumfował. Jej dawną kancelarię prawną urządzono powściągliwie i na srebrno. Nawet podziemny parking ozdabiała cenione w świecie dzieła sztuki. Biuro firmy Henry'ego było nędzne i specjalnie zostało tak urządzone. Wnętrze zdawało się zaniedbane i ludzie wyglądali, jakby pracowali dla Microsoftu, nie NJTF.

Usiadła i spojrzała na stojącą w progu Esther. Oszacowała jej levisy 501, mały biały podkoszulek, cienki skórzany pasek, sandały od JP Tod. Wyglądała sztywnie, zgodnie z panującymi w Los Angeles standardami, ale i to nie zgadzało się z oczekiwaniami Josie. Widywała dyrektorów, a raczej d y - r e k t o r k i największych firm produkcyjnych. Esther Rodriguez Rabinowitz, znana i ceniona przez takich ludzi, jak Seth Levin, mentor Josie, w niczym ich nie przypominała.

Lecz Henry Antonelli to zawsze jednak Henry Antonelli. A ona nie miała pracy. Podeszła do Esther.

- Zgadza się - powiedziała.

Esther skrzywiła się. Miała nadzieję, że pensja zniechęci Josie do przyjęcia oferty Henry'ego, ale on sam musiał być zbyt wielkim magnesem i Esther nie mogła go przebić. Zauważyła, że Josie nie ma na palcu obrączki. - Henry mówił, że twój mąż jest chory.

- Och - Josie przerwała. - Tak, jest chory. Dzięki, że pytasz.

Esther chciała zobaczyć, czy Josie podzieli się z nią dodatkowymi informacjami, ale Josie milczała. Podeszła do krzesła z szerokim oparciem i usiadła. Na stoliku obok leżał komputer PowerBook G4. Josie zerknęła na Esther, która jej się przyglądała.

- Słuchaj, Esther...

- Tak?

- Czy mogłabyś mi załatwić dwa bilety na premierę Henry'ego? Słyszałam, że film osiągnął świetne wyniki w sondażach i Henry jest w nim po prostu bajeczny.

Esther nie zdziwiła prośba Josie. Zaskoczyło ją jedynie, że tak przedsiębiorcza kobieta jeszcze nie zdobyła biletów.

- Zobaczę, co da się zrobić - odpowiedziała, już planując, że załatwi bilety w tyle sali, obok miejsc promocyjnych rozprowadzanych przez stacje radiowe i jako nagrody w losowaniach. Wiedziała, że dla kobiety typu Josie jedyną rzeczą gorszą od nieotrzymania zaproszenia na wielką premierę było pójście i odkrycie, że ma najgorsze miejsca na sali.

Josie nie zastanawiała się teraz nad miejscami, a nad swoją przyszłością. Wszystko się tak idealnie układało: NJTF, Henry, *Miś*. Szczyt jej osobistego Everestu był tak bliski, a powietrze na nim tak doskonałe, że już czuła jego zapach. Trzeba tylko trochę więcej czasu i trochę więcej wysiłku. Ale wszystko było w zasięgu ręki.

Rozdział osiemnasty

Bo szczerze mówiąc, telefon do ciebie nie był pierwszą i najważniejszą rzeczą, jaką się zająłem po dopięciu milionowego interesu - wrzeszczał Gerry Simpson w swoim gabinecie w Firmie Pijawka. - Nie myślałem sobie: niech no tylko załatwię milionowy kontrakt ze stacją telewizyjną, a potem od razu biorę notes i dzwonię do najmniej ważnej osoby.

Carla słyszała, co mówi, i wzdrygnęła się nerwowo, gdy rzucił słuchawkę. W zeszły piątek, pierwszego dnia w pracy, powitał ją upomnieniem: „Pamiętaj, że jesteś tu najniżej postawioną osobą. Liczysz się mniej niż asystentki, niż recepcjonistka”. Od tego czasu unikała go, kiedy tylko mogła, choć jego gabinet znajdował się o półtora metra od jej boksu. Zainstalowała się w niewielkiej przestrzeni naprzeciw pokoju Nadine. Miała komputer, telefon i tyle scenariuszy, ile była w stanie przeczytać i zrecenzować. W pierwszym tygodniu podobno pobiła jakiś rekord, przeczytawszy trzydzieści siedem. Na końcu każdego raportu było miejsce na komentarz i tam, o ile czuła, że scenariusz na to zasługuje, mogła dać upust swoim tendencjom krytycznym, mieszając go z błotem (niestety większość na to zasługiwała, łącznie ze scenariuszem zatytułowanym *Życie to nie pizza* autorstwa niejkiej Casey Cortellessy). W biurze Firmy Pijawka lub FP, jak nazywano ją w biznesie, dziewczyny od rozwoju, jak Carla, siedziały przed gabinetami pracowników w otwartych boksach. Na stolikach do kawy mieniły się kolorami kompozycje kwiatowe, obok

„Gotham” i „L.A. Magazine” leżały otwarte „Variety” i „The Hollywood Reporter”. Wnętrze udekorowano w srebrze i czerni, tylko gdzieś na szarych ścianach widniała nieregularna fioletowa smuga. Wszystkie asystentki miały po dwadzieścia parę lat i nosiły identyczne słuchawki na włosach w atrakcyjnym nieładzie. Nadine dostała własny gabinet, ponieważ zapytała Rolanda, czy mogłaby zająć pewien niewykorzystany pokój. Gerry dostał szału i twierdził, że ktoś, kto dopiero zaczyna, nie zasługuje na własny gabinet, lecz Nadine obstawała przy swoim i Roland przychylił się do jej prośby. Walka między Nadine a Gerrym nie ustawała i na oczach Carli przeradzała się w zażartą nienawiść.

- Pan S. zarządził zebranie - warknął głos w interkomie Carli. - Sala konferencyjna za dziesięć minut.

Była to recepcjonistka imieniem Magda, z którą, jak głosiły plotki, Roland romansował pod nieobecność żony. Jej głos brzmiał jak głos Jamesa Earla Jonesa w roli Dartha Vadera i mimo jej seksownego wyglądu, za każdym razem kiedy się odzywała, Carla miała wrażenie, że Magda namawia ją do zostania klientką firmy telefonicznej Verizon.

Carla dołączyła do innych siedzących już wokół kasztanowobrzązowego owalnego stołu lśniącego w świetle lampy. Szybko znalazła wolne krzesło, chcąc koniecznie ukryć pod stołem buty, zanim zauważy je Magda i inne recepcjonistki. Młodsze kobiety prawie się do niej nie odzywały, a kiedy coś mówiły, zazwyczaj były to sugestie na temat tego, gdzie powinna kupować ubrania.

Gerry Simpson wszedł do pokoju z Rolandem Starrem ubranym w niebieską koszulę z tak sztywnej bawełny, że dałaby się chyba postawić. Wsunął ją starannie w sportowe spodnie od Armaniego. Był wysoki i niezbyt dobrze zbudowany. Ciemne włosy przyglądał na bok. Wąskie ramiona sprawiały wrażenie słabych, choć Roland bardzo się starał wyglądać arystokratycznie.

- Mówię to z całą powagą. - powiedział - Efekty waszej pracy ostatnio przynoszą nam wstyd.

Wszyscy zamilkli. Magda odsunęła krzesło od stołu, Carla pochyliła głowę i zaczęła coś bazgrać w notesie. Zawsze robiła rysunki konferencyjne.

- Przynoszą wstyd - ciągnął Roland złowieszczo i cicho.

- Gdyby nie niezmordowany Gerry, wątpię, czy w ogóle pracowalibyśmy nad jakimś projektem.

Odwrócił się do Nadine. - Nadine, ty niedawno awansowałaś. Czy dostaliśmy scenariusz od Shepa Adamsa?

Roland mówił o scenariuszu thrillera, który został niedawno złożony w głównych firmach produkcyjnych i studiach w mieście. Był to tak zwany film drogi: fabuła wiodła z Houston w Teksasie do pustyń Nowego Meksyku i w jednej ze scen szereg szkieletów strzelał z uzi do transseksual-nych potworów i szukającego celu studenta.

- Dostaliśmy - odparła Nadine. - Ale ja chcę go odrzucić.

- Wszystkie studia o niego walczą - powiedział Roland.

- Gerry mówi, że to mógłby być dobry film dla nas. Nadine spojrzała na Gerry'ego. - To niedobry scenariusz.

- Pomysł jest świetny - odpowiedział Gerry. - Podziękujemy scenarzystom i zatrudnimy innych, którzy go przerobią.

- Nie pamiętam dokładnie, ale zdaje mi się, że w tym jednym scenariuszu zostaje zabitych czterysta dwanaście osób i trzy psy - odparła Nadine.

- Humor jest trochę zwariowany - powiedział Gerry

- i ma surrealistyczny wydźwięk, więc te śmierci nie robią wielkiego wrażenia.

- Mamy go czy nie? - zapytał Roland.

- Tak - odparła Nadine. - Chcesz złożyć ofertę?

- Owszem. Ale poproszę o to Gerry'ego. Zdaje się, że ty nie jesteś do tego przekonana. Jemu może się uda go zdobyć.

Roland wstał i zaczął powoli obchodzić stół. - Wszyscy jesteście wyjątkowi. Każde z was. Jestem przekonany, że

przyjdzie dzień, kiedy ja będę pracował dla was.- Przerwał, a po chwili ciągnął dalej władczym tonem: - Ale jeżeli nie będziemy się rzucać na nowy materiał krążący po mieście i jeżeli nie uda nam się poszerzyć naszych twórczych parametrów, w celu powiększenia skali naszych przedsięwzięć, i jeżeli nie będziemy realizować projektów z prędkością dźwięku i światła, rozlecimy się na kawałki w kataklizmotrofalny sposób.

- Masz absolutną rację - powiedział Gerry.

Carla i Nadine spojrzały na siebie przez stół. Carla bezgłośnie powtórzyła: „kataklizmotrofalny”?

- Jesteśmy firmą produkcyjną. Robimy filmy. Jesteśmy inni. Jesteśmy lepsi - mówił Roland, a jego głos stawał się coraz bardziej piskliwy. - Jesteśmy twórczy i dumni. Patrzymy tygrysowi prosto w oczy i jesteśmy gotowi na wyzwania. Wszyscy w mieście pragną naszej śmierci. Musimy ich podbić, musimy zwyciężyć - uśmiechnął się anielsko.

- Musimy szybko znajdować scenariusze, zdobywać je dla firmy i zmieniać w doskonałe filmy, z których słyniemy.

Nikt nie wspomniał o fakcie, że jak dotąd FP zrobiła jeden film, będący przeróbką komedii z lat siedemdziesiątych.

- Ale to nie wszystko - ciągnął Roland. - Mam dla was przykład do przemyślenia. - Przeszedł za plecami Nadine.

- W ten weekend wejdzie na ekrany film *Ostatni obrońca* i przewiduje się, że odniesie ogromny sukces. - Skrzyżował ręce na piersi i uśmiechnął się ironicznie. - Mieliśmy ten scenariusz. Mieliśmy go w rękach. Prowadziliśmy negocjacje ze studiem, byliśmy gotowi do produkcji filmu, ale potem z powodu Henry'ego Antonellego, Esther Rodriguez Rabinowitz i agenta Antonellego, Eddiego Clevelanda, nagle wypadliśmy z konkurencji.

Położył ręce na ramionach osoby, która akurat siedziała przed nim. Była to Carla. Instynktownie zasłoniła sobie usta dłonią, żeby nie powiedzieć czegoś niepotrzebnego.

- Wypadliśmy z konkurencji - powtórzył, zdjął ręce z ramion Carli i znów ruszył dookoła pokoju. Carla wyprostowała się z ulgą.

- Coś takiego nie może się nigdy więcej zdarzyć. Będziemy konkurować z innymi energicznie i dominacyjnie o każdy wartościowy scenariusz. - Roland wrócił do szczytu stołu. Jego głos przerodził się w cichy pomruk przypominający hipnotyczne mamrotanie przywódcy kultu. - Powtarzajcie za mną. Jesteśmy twórczy. Jesteśmy inni. Jesteśmy - wyciągnął przed siebie ręce, jak ksiądz dochodzący do końca kazania - jesteśmy lepsi.

Carla i Nadine wymieniły spojrzenia. Tylko one dwie nie skandowały wraz ze wszystkimi.

Roland przestał mówić i spojrzał na podłogę. - Proszę, zastanówmy się przez chwilę nad tym, że to, co robimy, nie bójmy się użyć tych słów, wpływa na to miasto, ale także, być może to zbyt śmiałe przypuszczenie, ale być może także na całą Kalifornię.

W milczeniu wyszedł z pokoju.

- Czy mówił poważnie? - wyszeptała Carla do osoby siedzącej obok. Była to kobieta, która po przeprowadzeniu się do Kalifornii z Baltimore zmieniła imię na Rilke. Spojrzała na Carlę jadownicie.

- Co właściwie chcesz przez to powiedzieć? - zapytała groźnie. Carla wycofała się. - Nic, po prostu pytam, czy zawsze jest taki poważny.

- No cóż, kiedy sprawiamy zawód komuś takiemu jak Roland, powinniśmy to potraktować poważnie.

Nadine podeszła do Carli. - To był żart, prawda? - zapytała Carla.

- On z tego słynie - odpowiedziała Nadine. Gerry przepychał się za nimi.

- Nie mogę w to uwierzyć. Czy tacy ludzie naprawdę wierzą w to, co mówią?

- Tak. Ma za sobą gwiazdę w postaci Kirka, więc jest nietykalny. Na razie - powiedziała Nadine. - Ale jest pewien problem. Roland myśli, że jest kreatywny. A nie jest. To skąpy sukinsyn, któremu zależy jedynie na robieniu pieniędzy bez względu na to, ile gładzi o twórczej współpracy. Nie jest w stanie poznać się na dobrym scenariuszu, choćby miał go przed nosem. To żałosne.

W pokoju nie było nikogo poza nimi dwiema. - Muszę się wiele nauczyć - powiedziała Carla. Nie mogła się doczekać, kiedy opowie Phillipowi o dniu spędzonym w pracy. Od jej pierwszego dnia w FP Phillip wypytywał, chcąc się więcej dowiedzieć o firmie. Do tej pory, z niewielkim wyjątkiem telefonów Gerry'ego, nie miała dla niego żadnych interesujących opowieści.

- No i znalazłaś kogoś, z kim pójdziesz na premierę *Ostatniego obrońcy*? - zapytała Nadine.

Carla skinęła głową. - Davida Stegnera.

Nadine odchyliła głowę, jakby nie wierzyła własnym uszom. - Chodzi ci o tego samego Davida Stegnera, na którym ci zależało jeszcze w czasach, kiedy mieszkałam w Nowym Jorku?

- Tak. - Carla nie mogła powstrzymać uśmiechu. - Tak.

- Och, Carla, przez tyle lat! Baw się dobrze. Gwarantuję ci, że jeżeli spotkasz tam Rolanda albo Gerry'ego, na pewno przykleją się do Antonellego i Esther, powtarzając, jacy są świetni, choć gardzą nimi z całego serca.

- Powiedz mi poważnie: czy Roland naprawdę porusza się tu w najwyższych sferach? - zapytała Carla. - Naprawdę? To nie żart?

- Absolutna prawda. Jego partner w firmie zarabia trzydzieści milionów za film.

- Trzydzieści? Myślałam, że dwadzieścia pięć jest granicą. Nadine podeszła do drzwi. - Ktoś się naczytał prasy o przemyśle filmowym.

Carla poszła za nią. Zaczęła codziennie czytać prasę hollywoodzką od deski do deski. Czytała też strony plotkarskie w brukowcach z Los Angeles i nowojorskich. Wczoraj zamówiła prenumeratę „Entertainment Weekly”. Liczyła minuty do premiery nie tylko z powodu Davida Stegnera. Chciała zobaczyć biznes w akcji, pragnęła przyjrzeć się ludziom, którym wszyscy zazdrościli i których wybory twórcze miały taki wpływ na przemysł filmowy.

- Muszę się wiele nauczyć - powtórzyła Carla. - A ja zawsze byłam bardzo dobrą studentką.

Rozdział dziewiętnasty

Ku swojemu zdziwieniu Esther była zachwycona *Misiem*, który uratował *Boże Narodzenie*. Henry także był zachwycony. Chcieli podjąć się zrobienia filmu. Produkcją zajęłoby się NJTF, a Henry zagrałby główną rolę. Zamierzali dziś rano powiedzieć o tym Josie i być może iść prosto do Studia X, z którym mieli kontrakt, żeby rozpocząć załatwianie koniecznych formalności.

Josie na razie nic nie wiedziała. Siedziała z podwiniętymi nogami na pokrytej miękkim materiałem kanapie w „miejscu spotkań” - jeszcze jednym przytulnym pokoju bez pretensji do hierarchii. Położyła sobie na kolanach poduszkę, chcąc ukryć zdenerwowanie. Nie wiedziała, dlaczego Henry i Esther ją wezwali. Okresy zatrudnienia skracały się i wydłużały w Hollywood jak wyjątkowo elastyczna gumka. Nie widziała Henry'ego od kolacji w Ivy i wiedziała, że doskonale udało jej się zniechęcić do siebie Esther.

Otworzyły się drzwi.

- Josie - powiedział Henry. - Gratulacje!

Josie odsunęła poduszkę i usiadła prosto. - Dzięki. A za co?

- Za twój scenariusz. Jesteśmy zachwyceni. - Esther weszła do pokoju za Henrym. - Najwyraźniej masz nosa do dobrego materiału.

- Naprawdę? - uśmiechnęła się radośnie Josie. Czowała, że rozpiera ją duma, ale była to duma uzasadniona. A potem równie szybko poczuła mdłości. Joshua King ciągle nie sprzedał jej praw do scenariusza.

- Chcieliśmy porozmawiać o tym co dalej - powiedział Henry.
- Co dalej?
- Jak się spotkać z autorem, jak załatwić dokumenty. Mamy kontrakt ze studiem X i nasz prawnik musi się w to włączyć.
- Dobrze - powiedziała Josie. - Rewelacyjnie.
- Czy myślisz, że mógłby zrobić poprawki?
- Co?
- W zależności od tego, jaki masz z nim kontrakt, moglibyśmy go zatrudnić do poprawienia scenariusza albo znaleźć kogoś, kto naszym zdaniem robi to lepiej. To dobry scenariusz, ale trzeba nad nim popracować.
- Josie usłyszała w myślach słowa Joshui: „Moim zdaniem scenariusz jest super, nie trzeba nic zmieniać”.
- Myślę, że najlepiej byłoby najpierw dać Joshui możliwość poprawienia. Dalibyśmy mu nasze uwagi i zobaczylibyśmy, jak sobie z nimi poradzi.
- A jaki będzie mój udział? - zapytała Josie.
- O czym ty mówisz? - odpowiedziała pytaniem Esther.
- O moim udziale - powtórzyła Josie. Henry rzucił Esther ojcowski uśmiech.
- Oczywiście, nie pozwolimy cię skrzywdzić - powiedział Henry.
- Wcale w to nie wątpię, ale myślę, że wszyscy poczujemy się lepiej, jeżeli teraz to omówimy.
- Dobrze - rzekła Esther. - Jak to sobie wyobrażasz?
- Nazwisko w napisach początkowych i pieniądze, do tego sprowadza się większość kontraktów, prawda? Mam prawnika, Setha Levina, i jemu chcę zlecić wszystkie negocjacje, ale chciałam się tylko upewnić w jednej kwestii.
- W jakiej? - zapytał Henry.
- Że będę producentem. Nie koproducentem, nie drugim producentem, drugim asystentem producenta. Producentem.
- Producentem - zawtórował Henry.

- Ja jestem właścicielką scenariusza - oświadczyła Josie, która już wierzyła w swoje kłamstwo. - Chodzi mi o to...

- Wiem, o co ci chodzi - przerwała jej Esther. - Nie pozwolimy cię skrzywdzić.

Zgodnie z jej nadal niepodpisanym kontraktem z Joshuą, miała mu zapłacić sto tysięcy dolarów, jeżeli jakieś studio kupi od niej scenariusz. Ona będzie miała kontrolę nad materiałem i ustali cenę sprzedaży dla studia. Josie zaczęła się uśmiechać. Henry Antonelli był bardzo bogaty. Studio X było megakorporacją. Wynegocjuje, że film zostanie wyprodukowany przez nią i NJTF, a studio X wszystko sfinansuje. Zastrzyk pieniędzy powinien być pokaźny, a do tego - kupi sobie porsche.

Ale najlepsze ze wszystkiego było to, że zostanie producentem filmu z Henrym Antonellim oznaczało nie tylko otwarcie sobie przysłowiowych drzwi do biznesu, ale wręcz ich wyważenie, strącenie z zawiasów i niespieszne wejście do środka, jak przystało na właściciela.

Musiała jednak zmusić Joshuę do złożenia podpisu.

- To twój scenariusz i twój film - oświadczy! Henry, przerywając jej tok myśli.

- No, będziemy go produkować razem z tobą - powiedziała Esther, patrząc na niego gniewnie - ponieważ jak być może pamiętasz, nigdy jeszcze niczego nie wyprodukowałaś.

Esther miała przez chwilę nadzieję, że Josie przyzna się, że potrzebuje pomocy, lecz Josie tylko się roześmiała.

- Daj spokój, Esther. Produkowanie to część hollywoodzkiej gry - powiedziała z uśmiechem, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu pomadki ochronnej. - To nie ja wymyśliłam zasady. Ja po prostu ich przestrzegam. Do robienia filmów się kogoś wynajmuje.

Ostatnio Josie była na przyjęciu, gdzie poznała członków „ekipy” produkcyjnej, mężczyzn i kobiety, którzy zakładali

film do kamery, podłączali przewody do generatorów, robili makijaż aktorom i kręcili im włosy. Wiedziała, że to oni „robiją” filmy - składają kawałki w całość tak samo, jak pracownicy linii produkcyjnych w Detroit „robiją” fordys taurusy albo dzieci w Tajlandii „robiją” buty Nike. I choć czasami któreś z nich wywierało na Josie wrażenie - być może z powodu różowego pasma włosów lub doskonale znajomości francuskiego - ona i tak relegowała ich do „tamtej” strony robienia filmu, strony, która jej nie interesowała, strony, która nie rozmawiała w tej chwili z Henrym Antonellim i jego partnerką.

- Niektórzy producenci lubią się włączać w produkcję

- powiedział Henry. - Może ci się to spodobać. Uśmiechnął się do Josie, a Esther spuściła wzrok, mając

ochotę dać mu w łeb za taką oczywistą męską głupotę. - Zadzwoń do ciebie prawnik ze studia - powiedziała Esther.

- Nazywa się Phillip Giberson. Powinnaś mu wysłać wszystkie dokumenty. A my bardzo chcielibyśmy poznać autora

- Esther spojrzała na scenariusz - Joshuę Kinga.

- Jest studentem prawa z Miami.

- No teraz jest już scenarzystą - dorzucił Henry.

- Do końca przyszłego tygodnia dam ci zestaw uwag do scenariusza - ciągnęła Esther. - Zorganizujemy spotkanie z Joshuą, żeby mu je przekazać.

- Świetnie - powiedziała Josie. - Doskonale.

Myślała już o tym, co ukaże się w „Variety”. Zażądałaby ostatecznej autoryzacji artykułu. A może powinna wynająć Catherine, przyjaciółkę zajmującą się reklamą, żeby dla niej też załatwiła ogłoszenie reklamowe na całą stronę w „Vo-gue'u” albo „Harper's Bazaar”? Josephine O'Leary to kobieta o wielu talentach, która z równym zapałem znajduje scenariusze i uprawia jogę. Henry Antonelli mówi, że nie wie, jak sobie radził przed pojawieniem się Josie...

- Josie? - zaczął Henry. - Nie chciałbym poruszać bolesnego tematu, ale jak się czuje twój mąż?

Mike. Według najnowszych informacji od Rebecki Mike czuł się o wiele lepiej i zaczął nawet chodzić z „wyjątkową osobą”. Josie była przekonana, że Mike zmusił Rebeccę do przekazania tej informacji, chcąc wywołać zazdrość żony. Nie była, oczywiście, zazdrosna - w końcu to ona pierwsza chciała rozwodu - ale na myśl o Mike'u ogarniało ją wzburzenie, co pozwoliło jej na doskonale odegranie następnej sceny.

Wzruszyła ramionami, mając nadzieję, że gest ten wyrażał, iż niezbyt chętnie odpowiada na to pytanie. Czas wymagany na odpowiednie wyrażenie głębi przeżyć z powodu choroby męża, który był teraz zdrowy i zadowolony i chodził na randki z kim innym, wynosił około minuty i szesnastu sekund. Josie czekała, skupiwszy się na plamie - odcisku palca - na szklanym stole. Potem podniosła głowę i z takim uczuciem, na jakie ją było stać, odparła: - Lekarze powiedzieli mi, że czuje się bardzo dobrze.

- Rozumiem.

Josie wstała z kanapy, przeszła parę kroków, upewniając się, że spódnica odpowiednio się układa, i mszyła w stronę drzwi.

- Poczekaj... - zawołała Esther. - Byłabym zapomniała. Odwracając się, Josie rozważała wszystkie złowieszcze

możliwości, o których mogła wspomnieć Esther, mogące obrócić ten triumf w tragedię.

- Proszę - powiedziała, wręczając Josie kopertę, na której widniało jej imię. W środku, wydrukowane ozdobną czcionką wybraną przez jakiegoś projektanta graficznego z Los Angeles, znajdowały się dwa zaproszenia na premierę *Ostatniego obrońcy*.

- Dziękuję - powiedziała Josie, wsuwając je z powrotem do koperty. Może Esther oczekiwała jakichś wylewnych podziękowań, lecz gdyby Josie się do nich zniżyła, musiałyby zawsze potem być przypochlebnie wdzięczna za takie uboczne korzyści, które i tak jej się należały. Nie powiedziała więc ani słowa więcej.

Zaraz po wyjściu z biura zadzwoniła z komórki do Joshui.

- Joshua? Tu Josie. Musisz przyjść do mnie do biura. Dziś. Teraz. Nie zawracaj sobie głowy dzwonieniem. Po prostu przyjdź.

Do tej pory nie dała mu poznać, jaka jest wściekła, że dotąd nie podpisał kontraktu. Zamiast tego zostali „przyjaciółmi” i tylko przyjaciółmi, ponieważ nie ukrywał przed nią, że wdał się w romans z Casey, jej sąsiadką, autorką scenariusza pod tytułem *Życie to nie pizza*. Był zawsze czarujący, bardzo zabawny i dowcipny. A także wykretny. Nie miał wątpliwości, że tak czy inaczej odniesie sukces w Hollywood - z pomocą Josephine O'Leary albo bez.

Josie nalała sobie kawy i poszła do swego pokoju. Zamiast usiąść przy biurku, wybrała miękki fotel, w którym lubiła czytać scenariusze. Podeszła do niej asystentka z wiadomością od Phillipa Gibersona, prawnika studia. Josie zaczęła drgać powieka.

- Hej - odezwał się chrapliwy kobiecy głos. Josie podniosła wzrok i zobaczyła Heather Kavakos będącą największym sprzymierzeńcem Josie w NJTF, choć jej długi nos i małe niebieskie oczy, które zdawały się umieszczone na skroniach, przywodziły na myśl wyjątkowo wrednego gołębia.

Heather była bystra, lecz nie miała szacunku dla całego procesu twórczego, w istocie rzeczy nie miała szacunku dla nikogo z wyjątkiem siebie i jubilera, Harry'ego Winstona. Heather nie bała się poprosić asystentki o nakarmienie psa albo oczyszczenie skudłaconego swetra, nie bała się wrzeszczeć na autorów, którym zabrakło chwilowo weny, że terminy upływają, a imponujący pierścionek zaręczynowy nie powstrzymywał jej przed spaniem z najbardziej agresywnymi agentami, jeżeli w rezultacie dostawała najnowsze, najbardziej poszukiwane scenariusze.

- Idziemy z Sophie na kolację do Ago. Chcesz się przyłączyć? - zapytała Heather.

Sophie Bendix, agentka literacka w jednej z trzech największych agencji, nachalna, nieatrakcyjna i nieszczerza, ruda kobieta z Maine była najlepszą przyjaciółką Heather.

- Dziś wieczór nie mogę - powiedziała Josie. - Czekam na kogoś.

- Na kogóż to?

- Na pewnego pisarza - odpowiedziała. - Autora scenariusza, który Henry...

- Henry będzie robił film z twojego scenariusza? Niech to szlag trafi! Kiedy ci o tym powiedział?

- Z godzinę temu.

- Ale z ciebie szczęściara! Pieprzony... poczekaj tylko, aż powiem Cohenowi. Szlag go trafi, krew go zaleje.

- Josie?

Kobiety odwróciły się. Stał za nimi Joshua King, wielki i szeroki jak jedno z młodych drzew walczących o miejsce na ukorzenie się w okolicach Santa Monica.

Heather łypnęła na niego chytrze. - To ty jesteś tym pisarzem?

- Jestem też reżyserem.

- Oczywiście, że tak, przystojniaku - powiedziała Heather, odchodząc i puszczając oko do Josie.

- Gdzie ty się podziewasz?

- Hej, hej, nie gorączkuj się. O co chodzi, słoneczko? - patrzył na nią. - Przyjechałem prosto tutaj. Na twoje szczęście byłem w Santa Monica.

- Na moje szczęście.

- Hej, czy on tu jest? Gruba ryba? Albo ta kobieta, ta producentka, Esther? Słyszałem, że jest niezła.

Josie skrzywiła się.

- Och, daj spokój - ciągnął. - Po prostu chciałem ją poznać. Wszyscy tak się nad nią rozplývają.

- Wszyscy tutaj się nad wszystkimi rozplývają. To się nazywa fikcja.

- Jesteś taka cyniczna - powiedział, siadając naprzeciw niej na jednej z miękkich kanap. - Co za przyjemne miejsce! Musisz być nie byle kim, że ci dali taki pokój.

Josie skinęła głową, nie chcąc wyjawić prawdy na temat zdecydowanie demokratycznego rozmieszczenia stanowisk pracy w firmie Henry'ego i Esther.

- No to co się dzieje?

- Nic się nie dzieje. - Wyjęła z torebki kontrakty. - Proszę. Podpisz.

- Co, gdzieś się pali?

- Podpisz - powtórzyła.

Joshua wziął od niej dokumenty i przejrzał je z poważną miną.

- Czyja mogę tylko?...

- Nie.

- Nie rób tego - powiedział i Josie zauważyła, że jest zmęczony. - Jeżeli nie podpiszę, będziesz miała kłopot. Oboje o tym wiemy. Więc posłuchaj mnie przez chwilę.

- Dobrze. Słucham.

- Nie lubię podpisywać dokumentów. Z zasady.

Josie uśmiechnęła się tak słodko, jak tylko mogła, jednocześnie wyobrażając sobie, jak rekiny rozrywają Joshuę na strzępy.

- Życie jest pełne niespodzianek, prawda? I jak mogą słowa, same słowa zawrzeć wszystko, czego człowiek pragnie? Wszystko, czego potrzebuje? Tepe narzędzie prawa... jak ono może cię naprawdę ochronić? - Położył rękę na kolanie Josie. - Powinienem być ci wcześniej powiedzieć. Ale nie martw się. Ufam ci. Zostawmy wszystko tak, jak jest.

- Dobrze - zgodziła się. - W takim razie to znaczy, że nie chcesz ze mną iść?

- Dokąd?

Josie podniosła kopertę, którą dała jej Esther. - Mam dwa bilety od Henry'ego na premierę jutro wieczorem. Myślałam, że będziesz chciał ze mną pójść.

- Chcę! - uśmiechnął się Joshua. - Bardzo bym chciał z tobą pójść. Jestem zaszczycony.

Otworzyła kopertę. - Tu są - powiedziała. - Tu są dwa bilety, dwie przepustki na przyjęcie dla VIP-ów, dwie przepustki, które wprowadzają wszędzie - spojrzała na niego.

- Nie ma sprawy. Znajdę kogoś innego.

- Josie, powiedziałem, że pójde.

- Wiem - odłożyła bilety. - Ale ja cię nie zabiorę, jeżeli nie podpiszesz tego kontraktu.

Joshua zrobił krok do tyłu, w jego oczach widać było zaskoczenie.

- To szantaż - powiedział bez gniewu.

- Nie - odparła Josie. - Zgodziliśmy się co do każdego punktu. A dziś mi mówisz, że z zasady nie podpisujesz kontraktów.

- Powiedziałem, że nie lubię podpisywać. Nie powiedziałem, że nigdy nie podpisuję.

Josie ponownie podała mu dokumenty. - To zależy od ciebie. Chciałabym iść z tobą. Taka wersja najbardziej by mi odpowiadała.

Wyrzała przez okno i w myślach liczyła. Nie mogła się odezwać. Jeżeli Joshua nie podpisze, będzie musiała przyznać przed Philipem Gibersonem, Esther i Henrym, że skłamała. Wiedziała, że piątkowa premiera była najważniejszym wydarzeniem w mieście, ale Joshua może z niej zrezygnować, chcąc zachować niezależność. Jedyna rzecz, która była w Joshui niezmienna, to jego ciągła zmienność.

- O co chodzi, Josie? - zapytał Joshua. - Skąd ten pośpiech?

Josie zastanowiła się szybko, czy powiedzieć mu, że Henry bardzo zainteresował się scenariuszem.

- Nie ma pośpiechu - skłamała, postanowiwszy nie dawać mu żadnej dodatkowej amunicji do niepodpisywania.

- Albo łączy nas umowa, albo nie.

Trzymała kopertę z biletami. Czekala. Twarz Joshui byla spięta. Josie nie wiedziala, czy sie uda.

- Wygralas, Josie.

Podszedl do niej i wzial dlugopis. Podpisal sie na kazdej z czterech kopii umowy. Zwroutil jej dokumenty. Biorac je, Josie czula sie spokojona jak ocean po burzy.

- Dziękuje - powiedziala szczerze, z pewnoscia kogos, kto lubi byc zyczliwy, kiedy wszystko idzie po jego myslu.

Nagle przyszlo jej do glowy, ze Henry moglyby juz dzis, dzis wieczorem albo na premierze oglosic prasie, ze bedzie gral w jej filmie. Będa tam przedstawiciele wszystkich wazniejszych publikacji, w tym „Access Hollywood”, Eonline i „Enterntainment Tonight”, oraz wszystkie czasopisma i gazety... czy miala jakies swoje zdjecie?

- Josie?

Josie wyrwala sie ze swiata fantazji.

- Dziękuje za zaproszenie - powiedzial Joshua.

- Dziękuje za to, ze zawarles ze mna kontrakt - odparla.

- Nie ma sprawy.

Ruszył spokojnie do drzwi, raczej student niz pisarz. Gdy otworzył drzwi i byl juz za progiem, nagle odwroutil sie i wszedl znów do pokoju.

- Zapomnialem...

- Czego?

- Czy ja nie dostaje kopii? - zapytal, wskazujac kontrakty, ktore Josie ciagle przyciskala do piersi.

- Och, oczywiscie, oczywiscie, ze dostajesz - odpowiedziala, wręczajac mu jeden zestaw. - Proszę.

Joshua zdjal z ramienia plecak, odsunal zamek najwiekszej kieszeni i wepchnal do niej papiery, przy okazji je mnac. - Dzięki, Josie, dzięki, ze dotrzymlas slowa. Czy nie jestes dumna, ze idziesz na film Henry'ego Antonellego z autorem następnego filmu Henry'ego Antonellego? Kimś, kogo czeka wielka obiecujaca kariera?

- Skąd wiesz? - Josie była zaszokowana.

- Co wiem? - zapytał Joshua. - Z jakiego innego powodu tak bardzo by ci zależało, żebym podpisał kontrakty? Na pewno chcesz, żeby Henry brał w tym udział, prawda? - Przyjrzał jej się z bliska. Chyba nie wiedział, że Henry już bierze udział, a jedynie, że jej na tym zależy.

- Właśnie - powiedziała. - Właśnie tak.

Ich oczy się spotkały i przez chwilę Josie obawiała się, że dojdzie do konfrontacji. Lecz Joshua rzucił: „To na razie”, i wyszedł powoli, z plecakiem na ramieniu i z lekko przechyloną głową.

Josie podbiegła do drzwi i zamknęła je. Podeszła do biurka i wzięła do ręki podpisane dokumenty. Znalazła wyraźny i pełen zawijasów podpis i wypełniła ją ulga tak wielka, aż zastanawiała się zaniepokojona, czy jej nie uniesie jak tornado w *Czarodzieju z Oz*.

Wezwała przez interkom asystentkę imieniem Anna. - Połącz mnie z Phillipem Gibersonem - warknęła. Cicho podniosła słuchawkę i rozjaśniła się, kiedy usłyszała, jak Anna mówi do asystentki Phillipa: - Josephine O'Leary do Phillipa?

Wstrzymała oddech.

- Łączę z Phillipem Gibersonem - odpowiedziała tamta. Josie milczała.

- Mówi Phillip Giberson.

- Łączę z Josephine O'Leary - powiedziała Anna. Poczuła dreszcz na szyi, kiedy Niewidzialna Ręka podniosła ją i postawiła na piedestale.

- Dzień dobry - rzekła, w myślach wywijając koziołki i salta. Nie tylko miała podpisane dokumenty i prawa do scenariusza, nie tylko miała z kim iść na premierę, nie tylko robiła film z Henrym Antonellim, ale parę sekund temu przebiła Phillipa Gibersona w hollywoodzkiej Grze Telefonicznej, każąc mu czekać, aż podejdzie do telefonu.

Rozdział dwudziesty

Premiera *Ostatniego obrońcy* odbywała się w Chińskim Teatrze Graumana¹ na rogu bulwaru Hollywood i Highland Avenue, w starej części Hollywood. Reflektory oświetlały fasadę budynku. W ich świetle jeszcze bardziej lśnił trzydziestometrowy zielonobrazowy dach. Chiński Teatr z charakterystycznymi czerwonymi kolumnami ozdobionymi kamiennymi posągami psów Fu, które ponoć skutecznie chronią od złych duchów (a może złych krytyków, ponieważ tak wiele filmów miało tu premiery), jest od 1927 roku jedną z imponujących atrakcji Hollywood. Prawdopodobnie i tak stałby się słynny ze względu na swoją architekturę, nawet gdyby aktorka Norma Talmadge niechcący (a może specjalnie) nie stanęła na świeżym cemencie przed teatrem, zostawiając na zawsze ślad swej stopy i dając początek kolekcji cementowych odcisków stóp i dłoni najsłynniejszych gwiazd.

Dla Paulette Giberson pochodzącej z Wilmington w Delaware, a potem przebywającej w Nowym Jorku, Paryżu, Londynie, Warszawie, Wiedniu, Leningradzie, Kairze, Bejrucie, Belfaście, Dar es-Salaam, Akrze, Madrycie, na Szeszelach i w Santiago, cała ta impreza była przesadna i nużąca. Paulette spędziła godzinę w Ivy w Beverly Hills przy bulwarze North Robertson, czekając na Henry'ego Antonellego i jego żonę, Cecilie Rosenberg, znosząc słodkie spojrzenia kelnerek. Nie pojawili się i kiedy w końcu zadzwoniła do swego

¹Teatr znany jest raczej jako Chiński Teatr Manna, od nazwiska ostatniego właściciela.

hotelu, przekazano jej wiadomość od Henry'ego, że czekał na nią w Ivy w Santa Monica, ale musi już wyjść, żeby zdążyć na premierę. Miał nadzieję zobaczyć ją na premierze, na którą zarezerwował jej bilet w sektorze dla VIP-ów.

Pamiętała, że zawsze był nieodpowiedzialny.

Tymczasem w limuzynie wynajętej za pieniądze Mike'a Josie z Joshua czekali, aż Catherine, przyjaciółka Josie zajmująca się reklamą, da im znak, że mogą wysiąść. Joshua pojawił się ubrany w stylu hollywoodzkiego luzu - niebieska koszula z długimi rękawami podkreślająca kolor oczu i luźne spodnie z wieloma kieszeniami. Josie nagle uświadomiła sobie po raz kolejny, że jest bardzo atrakcyjnym mężczyzną, a ona od dawna z nikim nie spała.

- Nie cierpię takich okazji - powiedział. - Naprawdę nie cierpię.

- Wcale się nie dziwię - odparła. - Ja też nie cierpię. Ale musimy iść, to jest cena, jaką się płaci za pracę w tym biznesie.

Joshua skinął głową i poprawił w lusterku fryzurę. Stojąca na zewnątrz Catherine dała sygnał i szofer otworzył drzwi samochodu. Josie wystawiła jedną z opalonych, wydepilowanych nóg. Poczula na plecach rękę Joshui i lekko zadrżała w ekstazie.

W tej samej chwili Carla omawiała nadchodzący wieczór z Christopherem, swoim bratankiem.

- Jak ci się podoba? - zapytała, odwracając się do niego.

- Co?

- Ta szminka.

Pomalowała usta jasnoczerwoną pomadką, która jej zdaniem rozświetlała twarz.

- Wyglądasz jak clown.

Odwróciła się z powrotem do lustra. Miał rację. Starła szminkę chusteczką jednorazową.

- A co w włosami?

Christopher przyjrzał się dokładnie. - Hm... - powiedział, mierząc je wzrokiem. - Myślę, że powinnaś zapuścić.

- Zapuścić. Dobra. - Carla cofnęła się o krok. - Czy cokolwiek wygląda dobrze?

- Jesteś piękna - oświadczył szczerze. - I podobają mi się buty.

- Chodź tu, mój ty czarasiu. - Carla przytuliła go. Wywinął się i akurat wtedy rozległ się dzwonek. Carla natychmiast poczuła zdenerwowanie. Otworzyła drzwi i w świetle lampy nad drzwiami zobaczyła Davida Stegnera z bukietem świeżego bzu.

- Znam go - stwierdził Christopher.

- Jestem znajomym twojego ojca - powiedział David.

- Wiem. - Christopher wyciągnął do niego drobną rączkę. Uścisnęli sobie dłonie.

- Oj, paniczu, ja też panicza pokornie witam.

Christopher odwrócił się do matki z zaskoczeniem na buzi. Samantha pokazała mu gestem, że ma się odwrócić z powrotem do gościa.

- W której jesteś klasie, Christopher? - David wymawiał wyraźnie każdą sylabę, jakby chłopiec nie rozumiał po angielsku.

- W trzeciej.

- W trzeciej? A jaki przedmiot najbardziej lubisz?

- Przerwę. I przyrodę.

David uśmiechnął się z uznaniem. - No, jeżeli przykładasz się do nauki, to dobrze, że lubisz przerwę. Przynajmniej nie oglądasz telewizji.

Na to nawet Carla odwróciła się do Samantha, która wzruszyła ramionami.

- Uwielbia matematykę i przyrodę. I mapy. Phillip zawsze nazywa go naszym małym Magellanem.

Samantha zwróciła się do syna: - David często pracuje z naukowcami, w elektrowni.

Christopher ćwiczył ostatnio otwieranie szeroko i mrużenie oczu. Chciał pokazać kolegom, że potrafi wytrzeszczyć je tak, że gałki oczne nieomal wypadają.

- Może zabiorę panicza kiedyś do elektrowni? - zapytał David.

- Dobrze - powiedział chłopiec.

- A może pomógłbyś mu z referatem na temat energii? - zapytała Samantha. - Poziom trzeciej klasy, ale mógłbyś zaoferować opinię eksperta.

- Mógłbyś mi pomóc? - Christopher momentalnie podniósł wzrok, bo pojmował już umysłem trzecioklasisty, że za dobry stopień dostanie nową PlayStation.

- Mógłbym i pomogę.

David spojrział na Carłę. - Idziemy?

- Na pewno nie chcecie jechać z nami? - zapytała Samantha. - Phillip wróci za chwilę.

- Spotkamy się na miejscu - powiedział David. - Potrzebuję trochę czasu, żeby odnowić znajomość z Carłą Trousse. Ledwo ją poznałem. - Spojrział Carli w oczy, a ona poczuła, że świat do niej należy.

- No to chodźmy. Do zobaczenia - rzekła.

David otworzył jej drzwi samochodu i ruszył dopiero, kiedy zapięła pas. Carla czuła się spięta i nagle zabrakło jej tematu do rozmowy. Był inny, niż go pamiętała. Zaskoczył ją jego skrzywiony nos, małe jak rodzyнки oczy wydawały się jeszcze mniejsze pod wydatnym czołem i brwiami.

- Nie przywiązujesz wagi do samochodów, prawda? - zapytała, patrząc na poobijany lakier szarej hondy.

- Pomyśl, o ile byłoby lepiej, gdyby wszyscy jeździli rowerami. Ludzie byłiby bardziej wysportowani, zmniejszyłoby się zanieczyszczenie środowiska i cały świat stałby się lepszy.

- Ale nie możesz przecież dostać się rowerem z Santa Monica do starej części Hollywood?

- No, mógłbym, ale to na pewno bardzo ograniczyłoby długość i skalę randek - uśmiechnął się, a ona wyjęła z ust paznokiec, który obgryzała.

- Jesteś gotowa? - zapytał.

- Tak. David ruszył.

W tym samym momencie Henry przygotowywał się do wyjścia z limuzyny, którą przyjechał w towarzystwie Cecylia, Esther i Arama, jej męża. Cecilia wyglądała przepięknie i Henry cieszył się, że minęło uczucie niepokoju, które dręczyło go na początku lata. Teraz znów był pewien siebie. Postawił stopę na krawężniku. Wybuchły okrzyki. Robił to wielokrotnie, ale za każdym razem, kiedy przechodził między dziennikarzami i kierował się do drzwi kina, przepełniały go radość i strach.

- Wszyscy gotowi? - zapytał. Przytaknęli. - No to dobra - powiedział i wysiadł. - Czas na show - dodał, kiedy zaczęły błyskać flesze.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Strasznie mi się podobał - powiedziała Carla. - Naprawdę.

Tłum przed kinem przemieścił się zbitą i hałaśliwą masą w stronę przyjęcia odbywającego się w sali wielkości stadionu piłkarskiego, do której ludzie wciskali się wszystkimi możliwymi szparami. Kelnerzy w smokingach roznosili drinki i jedzenie.

Kiedy ukazały się napisy końcowe, Carla siedziała zupełnie oczarowana filmem - historią starego prawnika, który prowadzi ostatnią sprawę przed emeryturą. - Nieprzegadany, dramatyczny, romantyczny; nie wiedziałam, że Henry robi takie filmy.

- A myślałaś, że jakie robi? - zapytała Paulette.

- Akcja, zabili go i uciekł, no wiesz.

- Nie wiem.

Carla spojrzała w oczy Paulette i przez chwilę zastanawiała się, czy podjąć wyzwanie, ale zamiast tego pochyliła się i pocałowała ją w policzek. - Pewnego dnia powiem ci, jaka jestem ci wdzięczna - odwróciła się - ale nie teraz.

David stał niepewnie na środku sali. Spostrzegła go wśród tłumu i było jej wstyd z powodu jego niezręczności. Po drodze wrzeszczał na kierowców wyprzedzających go na autostradzie albo jadących zbyt blisko i dzięki temu Carla zorientowała się, że rozsadza go egocentryzm. Co najmniej dwa razy zawołał: - Ja ci pokażę, idioto! - lecz otwierał dla niej wszystkie drzwi i nawet komplementował ją, że nie jest na tyle feministką, żeby pogardzać dobrymi starymi obyczajami. Uśmiechnęła się wtedy radośnie.

Podeszła do niego. - Jak leci?

- Dobrze - odpowiedział, prostując się. - Twoja ciotka to niezły orzech do zgryzienia.

- Nie musisz mi tego mówić.

- Chcesz drinka?

- Bardzo chętnie.

David przywołał kelnera roznoszącego szampana.

- Czy przeszedłeś już na ciemną stronę Mocy? - zapytała Carla.

- Na ciemną stronę Mocy?

- Bo pijesz. Pamiętasz, powiedziałeś mi kiedyś, że nigdy nie byłeś pijany.

- Nigdy nie byłem. I nigdy nie paliłem trawki.

- Grzeczny chłopiec.

David poklepał się po brzuchu. - Wszystko tu chodzi jak w maszynie.

Carla odwróciła się. Widziała wszystkich: wymyślnie ubranych ludzi, kelnerki, sektor VIP-ów, mężczyzn w garniturach, innych w czapkach baseballowych, tych zawsze noszących sandały i tych wiecznie opalonych. Czuła podniecenie zadowolonego tłumu, który będzie miał prawo się przechwalać przez następny tydzień.

Dopiła szampana i poprosiła o następny kieliszek. Czuła się jak kobieta, która siedziała zamknięta w domu przez dwadzieścia lat. Miała zamiar wykorzystać okazję i świetnie się zabawić na tym przyjęciu.

Po drugiej stronie sali do Josie podeszła Esther razem z Phillipem.

- Josie, to ktoś, kogo powinnaś poznać - powiedziała, wskazując za sobą łysiejącego mężczyznę o szerokiej, jasnej twarzy i dużych piwnych oczach patrzących przez okulary w cienkich złotych oprawkach. Miał na sobie beżowe spodnie i koszulę, ale nie emanowało od niego zdenerwowanie, które czuło się u wielu osób na sali. Wyglądał na inteligentnego i pewnego siebie. Josie wyciągnęła rękę.

- Phillip Giberson - powiedział.

- Josephine O'Leary - uśmiechnęła się szeroko. - Dostałeś dokumenty?

- Tak. Dziś, późnym popołudniem.

- Ach, te asystentki - powiedziała Josie, jakby znużona ich powszechnie znaną niekompetencją.

- Kogo masz na myśli? - zapytała Esther. Josie zapomniała o jej obecności.

- Nie, nie, tak ogólnie mówię - wycofała się. - Przepadam za swoją asystentką.

- Miło się poznać - powiedział Phillip. - O pracy będziemy mieli okazję porozmawiać kiedy indziej - uśmiechnął się i odszedł w inną część sali. Joshua dotknął ramienia Esther. - Pani Rabinowitz?

- Tak.

- Być może Josie o mnie wspominała. Jestem Joshua King.

- Joshua! - Esther rozpromieniła się. - Niezmiernie mi miło. Mów mi po imieniu. Oczywiście, że Josie o tobie mówiła. Bardzo się cieszymy, że będziemy razem pracować! Imponujący scenariusz.

Joshua podrapał się w głowę i Josie zrozumiała, że jej los jest w jego rękach. Prosty rzut do Esther oznaczałby koniec Josie.

- Dzięki. Cieszę się, że tak uważasz. Będziemy w kontakcie.

Odwrócił się i chwycił Josie za ramię.

- Au! - wykrzyknęła Josie, kiedy ją odciągnął. - Przestań.

- O czym ona mówiła? Tylko nie kłam.

- Miałam ci o tym powiedzieć. Henry oświadczył dziś, że chciałby grać główną rolę.

Joshua nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Potem na jego twarzy pojawił się pełen uznania ironiczny uśmiech. - Jesteś niesamowita, Josie. Nie da się ukryć. Jesteś niesamowita.

- Zakładam, że to komplement, więc dziękuję. Joshua nie odpowiedział.

- Co? - zapytała. - Nie bądź wściekły. Masz Antonellego w swoim filmie.

- A co ty dostaniesz?

- Jak to, co ja dostanę? Dostanę to, na co zasługuję.

- Czyli co?

- To co zawsze. Nazwisko w napisach i pieniądze.

- Nazwisko w napisach jako kto? I ile pieniędzy?

- Jako producent, oczywiście. A pieniądze to nie twój interes.

- Nie? Bez mojego materiału nie będzie filmu.

- Joshua? Przystojniaku? - Ujęła go za łokieć i spojrzała mu w oczy. - Czy musimy teraz o tym rozmawiać? Powinniśmy świętować.

Odwrócił głowę.

- Nie bądź taki - upomniała go.

- Wszystko w porządku - powiedział, patrząc na nią z góry. - Nie martw się, ślicznotko. Wszystko w porządku.

- To dobrze - odparła Josie, śledząc wzrokiem przechodzącą przez salę Juliet Eckhardt, kobietę, która nie zaprosiła jej na przyjęcie urodzinowe.

- Josie! - wybuchnęła Juliet. - Tak dawnośmy się nie widziały!

Akurat wtedy Henry'emu, Cecilii i Paulette udało się w końcu dostać do stolika w sektorze VIP-ów po drugiej stronie sali. Paulette w kaszmirowym szalu uściskała Henry'ego.

- Doskonale wyglądasz, Henry. Naprawdę doskonale.

- Dziękuję.

- Jesteś teraz bardzo sławny, prawda? Nie tak jak w czasach, kiedy razem galopowaliśmy.

- Nadal jeżdżę tam co jakiś czas.

- Kiedy ci się to udaje? Ten styl życia wydaje się wypełniać każdą chwilę.

Cecilia i Henry wymienili spojrzenia, a Paulette ciągnęła dalej. - Człowiek oczywiście do wszystkiego się przyzwyczaja. Ale nie mogę się oprzeć przekonaniu, że można by lepiej wydać te wszystkie pieniądze.

- Niewątpliwie tak - powiedział Henry.

- A więc. - Paulette otworzyła torebkę. - Mam ci coś do powiedzenia.

- Henry Antonelli! - rozległ się męski głos. Reflektor wyłowił go z mroku. Wybuchła burza oklasków. Henry wstał. - Muszę jeszcze odpowiedzieć na kilka pytań. - Pochylił się, dotykając ramienia Cecylii. - Później porozmawiamy, dobrze, Paulette?

Odszedł, zanim zdążyła zareagować. Tymczasem Carla dopiła czwartą lampkę szampana. Oparty o bar David oganiał się od dymu papierosowego.

- Zmieniłaś się - powiedział, patrząc na kobietę kręcącą się w podnieceni obok niego. - Nie pamiętałem, że piłaś.

Zdawał się nadmiernie ponury. Z kolei Carla nie pamiętała tej skłonności.

- Nie piję. Tylko dzisiejszy wieczór to moja hollywoodzka premiera...

- Rób, jak uważasz.

- Dobrze się bawisz?

David przyjrzał się pogardliwie tłumowi.

- Och, przestań! To przecież film. Nie bawi cię to? - Spojrzała na niego z nieudawanym zdziwieniem, nie mogąc uwierzyć, że komuś nie podobałoby się oglądanie spektaklu hollywoodzkiej premiery.

- Nie - odpowiedział. - Kilka elementów wieczoru nie daje mi spokoju. Skłamałbym, gdybym się do tego nie przyznał.

Carla, która podeszła bliżej, żeby go dosłyszeć wśród panującego hałasu, teraz cofnęła się o krok. - Co? - zapytała zaskoczona.

- Słyszałaś, co powiedziałem.

- Przecież to tylko film - odparła. - Czy tak trudno jest się dobrze bawić?

- Może mam inny sposób myślenia - odpowiedział. W głębi serca David Stegner był na siebie wściekły. Zgodził się na tę randkę z Carłą Trousse, mając nadzieję znaleźć kobietę równie dojrzałą i wyrafinowaną, jak on. Eve Mar-vell, jego była nijaka dziewczyna, zerwała z nim dwa tygodnie temu. Akurat, kiedy pozbywał się rzeczy z nią związanych, zadzwoniła Carla. Robił sobie na dzisiejszy wieczór wielkie nadzieje, które rozwiewały się, gdy patrzył na tę kobietę olśnioną bandą idiotów.

- Będę się stąd przyglądał - powiedział.

Carla nie mogła nic wyczytać z jego twarzy. Zdawał się uśmiechać, ale mógł to też być grymas. Kręciła się wokół niego, a on strzelał oczami to tu, to tam. - Jesteś naprawdę zdenerwowany? - zapytała. - A czego się tu spodziewałeś? Czekał... ja go znam. - Zauważyła kogoś przy barze. - Zaraz wracam.

David wzruszył ramionami. - Rób, co chcesz.

Carla podbiegła do Jimmy'ego Stigwooda, znajomego z Uniwersytetu w Nowym Jorku. Wzrost średni, tweedowa marynarka i włosy koloru dojrzałego pomidora. - Jimmy! - zawołała. - To ja, Carla. Carla Trousse.

Mężczyzna podniósł brwi. - Teraz jestem James, James Stigwood - powiedział i przyjrzał się Carli. - Prawie cię nie poznałem. - A potem dodał ściszym głosem: - Nie jestem już Jimmy.

- Przed chwilą myślałam, że powiesz: James, James Bond.

- Jesteś niesłychanie dowcipna.

- Słuchaj, ja tu teraz mieszkam. Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś?

- Wiesz - odpowiedział, patrząc na coś nad jej prawym ramieniem - nie obraż się, ale - spojrzał nad jej lewym

ramieniem - muszę porozmawiać z tym łysym facetem. Miło było cię zobaczyć. Odszedł.

- Ale... - powiedziała Carla do siebie. Odwróciła się zaciekawiona. Dużo lepiej zostać zlekceważoną, gdy jest się lekko wstawioną.

Dumnie pomaszerowała do stolika, przy którym siedziała samotnie Paulette.

- Więc - zaczęła. - Paulette...

- Cześć, Carla.

- Dobra. Proszę, wal. Stoję tu przed tobą z całą moją nieźrównaną bezkompromisowością. Co chciałaś mi powiedzieć?

- To nie jest odpowiednia chwila. Jutro.

- Nie, ja myślę, że to jest odpowiednia chwila. Nie uważasz? I tak nie jesteśmy sobie specjalnie bliskie, więc nie musimy udawać. Podaj mi przykład odpowiedniejszej chwili. Choćby jeden.

- Jutro, Carla.

- Nie - powiedziała Carla, przybierając ten sam ton. - Czekam na to od bardzo dawna. Co to może być?

- Jesteś pijana.

- Nie, po prostu trochę wypiałam. Jest różnica. Powiem ci, kiedy będę pijana.

- To nie jest śmieszne.

- Dla mnie jest.

- Carla, proponuję, żebyś znalazła kogoś, kto ci da trochę kawy.

- Paulette, proszę się - powiedziała Carla, podnosząc głos. - Czy mogłabyś coś dla mnie zrobić, raz w życiu coś dla mnie zrobić? Czy mogłabyś choć raz, teraz, zrobić to, o co cię proszę, po prostu dlatego, że cię proszę? Chcę wiedzieć, o czym chciałaś ze mną rozmawiać. Powiedz mi!

Paulette siedziała niewzruszona.

- Powiedz mi! - teraz Carla już krzyczała.

- Dobrze. - W oczach Paulette błysnął gniew. Mówiła spokojnie i dobitnie. - Jestem twoją matką. Henry Antonelli jest twoim prawdziwym ojcem.

Carla gapiła się na Paulette.

- Powtarzam: jestem twoją matką. Henry Antonelli jest twoim ojcem. Candace jest twoją ciotką. Kiedy zaszłam w ciążę, nie byłam gotowa do wychowywania dziecka i obie z Candace postanowiłyśmy tak to rozwiązać. Candace nie mogła mieć dzieci. To właśnie chciałam ci powiedzieć.

- Ha! - parsknęła Carla z niedowierzaniem, potem lekko pokręciła głową, przechyliła ją na lewo, następnie na prawo, do przodu i w tył. Odwróciła się w stronę tłumu i zauważyła Davida, który siedział ponuro sam przy stoliku.

- Słyszałaś? - Paulette mówiła szorstko.

- Co ci odbiło? - zapytała Carla, gapiąc się na Paulette. - Skąd ci przyszła do głowy taka historia?

- To nie jest historia. To prawda.

- Paulette, mnie się teraz wszystko dobrze układa. Dlaczego chcesz to zniszczyć?

- Wypraszam sobie. Ja niczego nie niszczę. Mówię ci prawdę, żebyś już nie musiała narzekać, że życie cię źle traktuje.

- Uhm. I twierdzisz, że Henry Antonelli jest moim ojcem.

- Tak. Jest twoim ojcem.

Ani Paulette, ani Carla nie znały nikogo z hollywoodzkiego środowiska ludzi od reklamy, reporterów i felietonistów, toteż nie rozpoznały Neli McKnight, przyjaciółki Josie O'Leary, obrotnej reporterki świata rozrywki, która stała za nimi i nie uroniła ani słowa.

Zanotowała wszystko, a potem podbiegła do Josie.

- Josie - wyszeptała. - O Boże, ale się zdziwisz, jak ci powiem.

Josie odwróciła się i zobaczyła swoją chudą jak patyk koleżankę, nachylającą się do jej ucha.

- Już się dowiedziałas?

Josie myślała, że Neli usłyszała od kogoś z NJTF, że Henry zgodził się zagrać w jej filmie.

- Dowiedziałam o czym?

- To ty mi powiedz.

- Ta kobieta tam, ta pulchna w czerwonych okularach... to córka Henry'ego.

Josie zerknęła na drugą stronę sali. Neli wskazała kobietę w czerwonych okularach i o ciemnobrązowych włosach, ubraną w intensywnie niebieską koszulę i pomarańczową spódnicę.

- Odbija ci.

- Sama słyszałam. - Pokręciła głową Neli. - Nie jestem pewna, ale czuję, że to prawda.

- Słyszałaś bezpośrednio od Henry'ego?

- Nie, słyszałam, jak ta druga kobieta rozmawia z tą ofiarą mody.

- Och, nie żartuj, Neli. Tak nisko upadłaś? Moje rozmowy też podsłuchujesz?

- Oczywiście. Możesz mi nie wierzyć, ale ja zadzwonię do paru źródeł. Ta kobieta mówiła bardzo wyraźnie i ja to wszystko zapisałam. Jeżeli to prawda, roztrąbię ją po całym mieście. Nie zapomnij, że cię uprzedziłam.

Neli odbiegła z komórką przyciśniętą do ucha. Josie jeszcze raz spojrzała na pulchną kobietę. Była ubrana jak dworski błazen, brakowało jej tylko butów z wywiniętymi do góry noskami. Josie odwróciła się.

Przechodząc przez hol, Neli zderzyła się z Henrym Anto-nellim. Wolałaby poczekać na potwierdzenie, ale nie mogła przepuścić takiej okazji.

- Henry - powiedziała, kiedy przeprosił, że na nią wpadł. - Właśnie usłyszałam bombową wiadomość.

Potrząsnął przecząco głową. - Skończyłem na dziś z wywiadami. Możesz się umówić na jakiś termin z moim człowiekiem od reklamy.

- Czy masz córkę?

- Co? - Henry zniecierpliwił się. - Nie.

- To kto to jest? - zapytała Neli, wskazując Carlę.

- Nie mam pojęcia.

- Naprawdę? Bo ta kobieta obok właśnie jej powiedziała, że jesteś jej ojcem.

Henry zmrużył oczy, próbując dostrzec stolik, który wskazywała Neli. Kobieta w czerwonych okularach rozmawiała z Paulette.

Paulette.

- Przepraszam - powiedział Henry, odchodząc z niezmiennym wyrazem twarzy, lecz Neli wyczuła, że jest na właściwym tropie. Znalazła Josie przy barze. - Patrz, Josie, patrz. Popatrz na Henry'ego. Rozmawia z nią. To może być prawda.

- Niemożliwe... - Teraz Josie też gapiła się na stolik. Henry stał pochylony pomiędzy dwiema kobietami. Kiedy się wyprostował, wyglądał na wzburzonego.

- Muszę to potwierdzić, ale uprzedzam cię, że będzie z tego ogromna afera.

Neli odbiegła, lecz Josie nie spuszczała z oczu Henry'ego, Paulette i Carli, którzy siedzieli w odległości dziesięciu metrów od niej. - Teraz rozumiem - powiedziała nie wiadomo do kogo. Zaczęła się przeciskać między ludźmi, chcąc podejść bliżej.

- To śmieszne - mówiła Carla.

- Śmieszne jest to forum - odparła Paulette. - Ja nie chciałam ci tutaj tego mówić. Sama się domagałaś.

- Żartujesz, Paulette? Mówisz mi teraz? Teraz? Czterdzieści jeden lat później? - Henry podniósł głos na tyle, że zwrócił na siebie uwagę.

Josie przysunęła się bliżej.

- Musimy wyjść - powiedział Henry. - Musimy to omówić. Cecilia, chodź - rozkazał. Paulette i Carla też wstały. Carla trzymała się oparcia krzesła. Rozejrzała się, szukając Davida, lecz nie mogła go znaleźć. Phillipa też nie było

w zasięgu wzroku. Zaczęła się skupiać na szczegółach: tkanina obrusa, kwiat we włosach młodej aktoreczki. Wlepiwszy wzrok w drzwi w oddali, ruszyła za Paulette, która podążała śladem Henry'ego i Cecylii. Szły szybko za Henrym, jedna za drugą, jak zaczarowane.

Carla zmusiła się do patrzenia na napis „Wyjście” w rogu sali. Szła niepewna na końcu, ale potknęła się przed samymi drzwiami. Straciła równowagę i upadła. Jakieś chude ramiona pomogły jej wstać, ale nie wiedziała, do kogo należą, ponieważ twarz przesłaniały blond włosy. Kobieta odgarnęła je, kiedy Carla wstała. To była ta straszna jędza z Ivy, poprzednia szefowa Nadine.

- Jestem Josie - powiedziała. - Czy to prawda?

Carla spojrzała jej w oczy, nagle zupełnie trzeźwa i pełna zwykłej złośliwości.

- Już się kiedyś poznałyśmy - warknęła. - Zejdź mi z drogi.

Część trzecia

Rozdział dwudziesty drugi

Carla badała swoją twarz w lustrze u Phillipa, tak jak zwykła to robić w Nowym Jorku. Opalenizna, która dodawała jej odwagi podczas pierwszych sześciu tygodni spędzonych w Kalifornii, zaczęła blednąć podczas trzech tygodni kwarantanny w pokoju, na którą się skazała. Wróciła bladość Wschodniego Wybrzeża, co dziwnie dodało jej otuchy.

Ciężkie lustro w jej kalifornijskim pokoju było zawieszane poziomo, więc nawet kiedy się cofnęła, widziała się tylko od pasa w dół, przecięta na pół, jak asystentka prestidigitatora. Włosy miała jeszcze mokre po prysznicu. Podeszła bliżej do lustra i ujęła grzebień. Kiedy nie przesuwiał się gładko między splątanymi włosami, szarpała coraz mocniej, aż wyrwała ich cały kłęb. Spojrzała na ten skołtuniony węzeł i poczuła się dziwnie zadowolona. Nie przeglądała się już więcej. Rzuciła włosy w kąt, wciągnęła na siebie spodnie od dresu i bardzo obszerny podkoszulek, siadła na łóżku i zabrała się do jedzenia ciasteczek Oreo, jednego po drugim, aż zjadła prawie pół pudełka.

- Carla? - odezwał się Christopher z za zamkniętych drzwi. - Carla?

- Hasło?

- Bilbo.

Carla zamierzała na siłę wcisnąć w Christophera *Hobbita*, czy mu się to podobało, czy nie.

- Wejdz - powiedziała.

Christopher wszedł z papierową torbą w rękę.

- Przyniosłeś?

Skinął potakująco głową. Wzięła od niego torbę i wyjęła półlitrowy pojemnik lodów firmy Ben & Jerry o smaku chrupkiego batona waniliowego Heath.

- I? - spytała wyczekująco.

Wyjął łyżeczkę z kieszeni spodenek. - Mama powiedziała, że mam ci to dać. - Wręczył jej kartkę.

Telefony:

„The Times” (New York i Los Angeles), Associated Press, „The Sun” (brytyjski), „The Guardian” (brytyjski) i wszystkie gazety z Delaware.

Dzwonią osoby prowadzące talk show - nawet Oprah zostawiła wiadomość (zachowałam ją).

James Stigwood (ta świnia).

Clive z Nowego Jorku???

Gerry Simpson, twierdzi, że z Tobą pracuje.

Henry po raz tysięczny.

Tęsknimy za Tobą. Całuję, Samantha.

Carla zmięła kartkę. - Czas na *SpongeBob* - powiedziała.

- Nie mogę - odparł Christopher. - Mam lekcję pianina.

- No to wróć, jak będą to później nadawać.

- Mam tenisa. A potem idę na noc do Danny'ego.

- To idź. Opuść mnie.

- Co?

- Nic. Idź sobie.

Christopher nie ruszał się z miejsca.

- Idź sobie - powtórzyła.

- Wrócę tu. Może jutro obejrzymy *SpongeBob*?

- Może - odparła. - Hej, poczekaj. Co sądzisz o moich włosach? - podniosła z podłogi kłębek. - Wyrwałam je.

- Dlaczego?

- Miałam ochotę.

- Mama mogła ci pomóc.

- Nie potrzebuję pomocy.

Wzruszył ramionami. - Dobra. Cześć. - Wyszedł.

- Hej! Poczekaj! - zawołała Carla. Christopher wsadził głowę do pokoju.

- Wiesz, że cię kocham.

- Tak.

- Ja po prostu... jakby bawię się ze światem w chowanego i dlatego jestem w złym humorze.

- Wiem. Nie ma sprawy.

- Czy naprawdę trudno teraz ze mną wytrzymać? Christopher wzruszył ramionami. - Tak.

- Chcesz lody? - podała mu pojemnik. - Nie powiem twojej mamie.

Uśmiechnął się szeroko. Wziął od niej łyżeczkę i zatopił głęboko w lodach.

- Jesteś moim obrońcą? - zapytała Carla. Radośnie skinął głową, dalej pałaszując lody.

- Dobra. Zostaw mnie tu tonącą w smutku, idź na lekcję pianina.

- Mama mówi, że wkrótce będziesz normalna. Nie martw się.

Christopher mówił z przekonaniem niewinności. Carla poczuła, jak serce w niej rośnie, i pozwoliła mu się pocieszyć.

- Dziękuję, kochanie - powiedziała, a on wręczył jej pojemnik z lodami i wyszedł z pokoju.

Znów sama, Carla przelatowała pilotem po kanałach. Nie oglądała wiadomości, odmawiała czytania gazet i tygodników. Patrzyła, jak za oknem chmury tworzą się i rozwiewają. Widziała wspaniałe letnie niebo i bujne kwiaty rozpościerające się kolorowymi łanami wokół wszystkich domów. Ale nie wychodziła z pokoju. Była za bardzo wściekła i bezradna.

Christopher stanowił jej jedyną pociechę. Nadal nie wiedziała, co począć.

Oczywiście winiła za wszystko Paulette. Swoją matkę. Swoją prawdziwą matkę. Candace, jej „poprzednia” matka (jak kaže się teraz do siebie zwracać?), zadzwoniła po tym, jak wszystko wyszło na jaw.

- Mamo... to znaczy Candace... nie wyobrażasz sobie... - jąkała się Carla.

- Och, Carla, proszę cię, nie rób z tego tragedii - powiedziała przez szumy na linii telefonicznej ciągnącej się po dnie oceanu. - Czy to w ogóle ma jakieś znaczenie? Paulette jest moją siostrą. Czy tak bardzo się od siebie różnimy?

Carla rozłączyła się oszołomiona faktem, że Candace jest przekonana o własnej słuszności i nie potrafi się przyznać do błędu.

Z drugiej strony Paulette specjalizowała się tylko w wielkich wydarzeniach: szokujących oświadczeniach i nagłówkach na pierwszych stronach gazet.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia - oznajmiła Carli, Henry'emu, Phillipowi i Cecilii zaraz po premierze. - Uważałam, że powinniście wiedzieć, co was łączy. To nie jest żadna wielka życiowa zmiana. Jesteś tym, kim siebie uczynisz, Carla, a nie tym, kim są twoi rodzice. Pomyślałam, że ta informacja pomoże ci przezwyciężyć wieloletnią tendencję do pobłażania sobie. Nie muszę przeproszać, że cię nie wychowałam. Byłaś bezpieczna, zdrowa i otoczona opieką.

- A co ze mną? - warknął zirytowany Henry. - Czy przyszło ci w ogóle kiedyś do głowy, żeby mi powiedzieć?

- Nie - odparła Paulette. - Ani razu. Miałaś dwadzieścia jeden lat. Chodziliśmy tylko na randki. To nie miało z tobą nic wspólnego.

Henry wściekał się, Cecilia złapała się za głowę, Phillip zerwał się z krzesła.

- Mamo, czy zdajesz sobie sprawę, co zrobiłaś?

- O co ci chodzi?

- O prasę? Czy ty nie rozumiesz, jakim sławnym człowiekiem jest Henry?

Paulette spojrzała na Phillipa buntowniczo. - Możesz pozwolić na to, żeby ten biznes rządził twoim życiem, ale ja odmawiam zwracania uwagi na najmniejszy wspólny mianownik tego kraju, zgodnie z którym ludzie wolą się gapić na aktorów, niż koncentrować na biedzie i chorobach unicestwiających całe narody. Myślałam, że pomogę tym Carli i pozwolę sobie zauważyć, że to ona nalegała, żebym jej udzieliła informacji na premierze. Nie miałam wyboru.

Carla obgryzła jeden po drugim wszystkie paznokcie

- skórki wokół nich i opuszki. Siedzieli w salonie w domu Phillipa, a na dworze czekały limuzyny z włączonymi silnikami. Carla przyjęła informację Paulette tak, jak przyjmuje się wiadomość o głodzie w Etiopii. Mogła się nad tym zastanowić kiedyś w przyszłości i zamierzała to zrobić, ale teraz myślała o Davidzie Stegnerze, który opuścił ją nagle, gdy stała się obiektem ataków paparazzi.

- Carla - zwrócił się do niej Henry. - Co chcesz teraz zrobić? Carla odwróciła się do niego. - Pamiętasz naszą rozmowę?

- Co?

- W Ivy. Podeszłam do ciebie i powiedziałam, że znam Paulette.

- Rzeczywiście - odparł, przypominając sobie. - Rzeczywiście. Co za niesamowity zbieg okoliczności... - Przerwał.

- Czy zachowałem się grzecznie?

- Tak - powiedziała Carla. - Bardzo.

- Czy już skończyliśmy? - zapytała Paulette, patrząc niecierpliwie na zegarek.

- Czy skończyliśmy? Nie, nie skończyliśmy - powiedział Henry. - Carla mi nie odpowiedziała. Jej życie się zmieni bez względu na to, czy chcesz to przyznać, czy nie. Nie jestem

osobą prywatną. A teraz dzięki twojemu wybuchowi dowiedziała się o tym cała prasa.

- Za tydzień zapomną.

- Nie całkiem - rzekła Samantha.

- Chyba zadzwonię do mojej koleżanki LK - powiedział Phillip. - Świetnie zna się na reklamie... będzie wiedziała, jak dalej postąpić...

- Ja też mógłbym zadzwonić - dodał Henry.

- Co? - przerwała Carla. - Do ludzi od reklamy?

- Jeżeli nie umrze żadna stara gwiazda filmowa, nie będzie ataku terrorystycznego i nie pojawi się seryjny morderca, ty będziesz w wiadomościach - powiedział Phillip. - Taka jest prawda.

- To dowodzi, że mam rację - powiedziała Paulette. - Ludzie są głupi. Nie musisz się zniżać do tego poziomu, Carla.

- Carla - odezwała się Cecilia, która do tej pory milczała. - Czego ty byś chciała? Ciebie to najbardziej dotyczy.

Carla zamknęła oczy. Chciała iść do Firmy Pijawka, czytać scenariusze i porozmawiać z Nadine. Chciała iść na prawdziwą randkę z Davidem Stegnerem - randkę, na której byłby zrelaksowany i czarujący. Nie mogła znieść myśli, że być może zmarnowała te wszystkie lata, żyjąc w przekonaniu, że wspomnienia o Davidzie odpowiadały rzeczywistości: naprawdę jest seksownym Einsteinem, a nie sztywnym Mussolinim, którego przypominał na premierze. Miała nadzieję, że się myli.

- Nie wiem - powiedziała. - Idę spać.

Wyszła z salonu i poszła na górę do swojego pokoju. Spuściła żaluzje, zamknęła drzwi na klucz i położyła się na łóżku. Nie spała całą noc, próbując sobie przypomnieć Johna Trousse'a, który umarł, gdy miała trzy lata. Kiedy była dzieckiem, Candace powiedziała jej, że ma szczęście, mając choć jedno z rodziców, bo na świecie jest tyle niekochanych sierot. Przez cały ten czas wiedziała o Henrym. Carli wydawało się to nieomal niewyobrażalne, lecz taka była prawda.

W poniedziałek rano wmówiła sobie, że jest w stanie na nowo podjąć zwykłe życie. Jak zawsze wzięła prysznic i zeszła na dół, lecz Samantha kazała jej iść do sutereny, w której nie było okien.

- Są na trawniku przed domem. I z tyłu. Może nie powinnaś dziś wychodzić?

- Nie - nie ustępowała Carla. - Nie ma siły. Chcę iść do pracy.

Phillip zbiegł z hałasem po schodach. - Carla, myślę, że naprawdę powinnaś zostać w domu.

Carla spojrzała na niego błagalnie. - Proszę. Proszę cię. Muszę zrobić coś normalnego.

Phillip ustąpił, ale kiedy tylko wyszła na dwór, zaroilo się od reporterów i wsiadła do samochodu z trudem łapiąc oddech.

- Możemy zawrócić - powiedział Phillip. - Zadzwoń do firmy ochroniarskiej.

Jechał powoli. - Wiesz... proszę cię, nie zrozum mnie źle, ...ale Henry mówi, że możesz się przeprowadzić do niego. Tam miałabyś pewnie więcej prywatności.

- Chcesz, żebym się wyniosła? - Carla wiedziała, że zabrzmiało to, jakby była dotknięta.

- Nie, nie - zaprzeczył Phillip. - Możesz u nas zostać tak długo, jak zechcesz. Tak długo, jak zechcesz. Ja po prostu... denerwują mnie ci wszyscy ludzie. Henry pewnie ma ogrodzenie i zamykaną bramę. Nie musiałabyś tego wszystkiego znosić.

Carla odwróciła głowę w stronę okna. Jechali na wschód autostradą numer 10. - Dam sobie radę. Proszę, pozwól mi zostać.

- Oczywiście - odpowiedział Phillip. - Wszystko będzie, tak jak chcesz. Ale kiedyś będziesz musiała z nim porozmawiać - dodał. - Może nie dziś, nie jutro, ale...

- Wiem.

- To dobrze - powiedział Phillip, wjeżdżając przez bramę na teren Studia X, gdzie mieściło się jego biuro oraz Firma Pijawka.

Carla weszła do firmy i Magda rzuciła się, żeby ją uściskać.

- Och, Carla! - wykrzyknęła swym barytonem.

- Co ty robisz? - Carla wysunęła się z uścisku.

- Gratulacje!

- Słucham?

- Że jesteś córką Antonellego! Ależ z ciebie szczęściara! Carla gapiła się na nią.

- Założę się, że teraz na pewno będziesz mogła zagrać w jego filmach. Założę się o milion dolarów.

Palkę, dziewczyna z Baltimore, pojawiła się w zwieńczonych łukiem drzwiach. - To wszystko jest takie zabawne

- zauważyła.

- Można to różnie określić - powiedziała Carla - ale nie jestem pewna, czy „zabawne” jest odpowiednim słowem.

- Wiesz, o co mi chodzi. To było do przewidzenia.

- To, że jestem córką Henry'ego, było do przewidzenia?

- Nie, po prostu to, że ze wszystkich ludzi tutaj właśnie ty okazujesz się sławna.

Carla pobladła.

- Nie denerwuj się - ciągnęła Rilke. - Chodzi po prostu o to, że teraz jesteś sławna i nie musiałaś nic robić. W tym jest coś nie fair. - Przechodząc obok, zacięła wargi. - My wszyscy tak ciężko pracujemy, a ty...

- Co się dzieje? - do holu wpadł Gerry Simpson. - Carla. Cieszę się, że przysłaś. Dobrze. Prawdziwy zuch. - Położył jej rękę na plecach i popychał w stronę swojego gabinetu.

- Usiądźmy, dobrze? Musimy rozmawiać, porozumiewać się, to najważniejsze.

- Ja chcę po prostu iść do swojego biurka...

- Tak, tak, oczywiście. Ale najpierw porozmawiajmy.

- Odwrócił się do Magdy. - Nie łącz mnie z nikim.

Wskazał Carli fioletowy fotel przy swoim biurku. - Myślałem o tym całą noc. Wiem, że możemy to odpowiednio naświetlić. Rozmawiałem ze znajomymi, reporterami... Naprawdę uważam, że powinniśmy się zdecydować na „The Reporter”; „Variety” jest takie, no takie oczywiście, a poza tym obiecałem, że dam im wyłączność. Więc myślę, że robimy tak: puszczamy pogłoskę, że jesteś u nas szefową od rozwoju, pewnie damy ci stanowisko Nadine, a potem prosimy Henry'ego o wypowiedź na temat tego, jak się cieszy, że jesteś jego córką. Powiedziałem Rolandowi, że Henry z Kirkiem Gordonem w sekundę przepchną ten film o nomadach. W sekundę.

Carla słuchała Gerry'ego i rozglądała się po pokoju. Było tam zdjęcie jego żony i dzieci - wszyscy tak samo chudzi i z kręconymi włosami. Były też fotografie Gerry'ego z różnymi sławnymi osobami. Gerry podszedł do kominka.

- Możemy się umówić ze specjalistami od tworzenia trendów. I musimy ci znaleźć trenera. Nie obraż się, ale może powinnaś się zastanowić nad zrzuceniem paru kilogramów. Musimy zredagować jakieś oświadczenie dla prasy - Gerry mówił bez przerwy, bojowo wykrzykiwał swoje pomysły.

Carla wstała.

- Co robisz?

- Idę do swojego biurka.

- Daj spokój, Carla, nie żartuj. Nie pracujesz już w tym boksie. One są dla dziewczyn od rozwoju, nie dla ciebie.

- Wyrzucasz mnie z pracy?

- Co za pomysł! Teraz możemy cię wykorzystać, dlaczego miałbym cię wyrzucać?

- Teraz? - Carla podeszła do drzwi. - A przedtem nie mogliście?

- Przedtem byłaś w rozwoju - powiedział pogardliwie. - Teraz weszłaś do pierwszej ligi.

Wróciła do boksu i zaskoczył ją widok bukietów pokrywających wszystkie możliwe powierzchnie. Wzięła do ręki

kilka bilecików: „od przyjaciół w Studiu X” głosił jeden, a inny „Zadzwoń proszę, mogę ci pomóc. Jimmy Stigwood”.

- No, no - odezwała się za jej plecami Nadine. Carla odwróciła się. - Masz niemało na głowie.

- To wariactwo - powiedziała Carla.

- To Hollywood - odparła Nadine. - Co ty tu robisz?

- Chciałam przyjść do pracy.

- No to powinnaś chcieć iść prosto do domu. Twoja praca tutaj praktycznie się skończyła. - Nadine podniosła tulipana, który wypadł z jakiegoś bukietu. - Czy Gerry próbował cię zakontraktować?

- Zakontraktować? Do czego?

- Będzie chciał się zająć twoją reklamą, przekaże to jednemu z kolegów, przynajmniej na tak długo, jak będziesz sławna.

- Nie jestem sławna.

- Carla, ja nie żartuję. Obudź się! Henry Antonelli jest twoim ojcem. Nie jesteś już zwykłym człowiekiem.

- Jestem dokładnie taka sama - powiedziała Carla z uporem. Skrzyżowała ramiona na piersi. - Po prostu chcę przepracować dzień i iść do domu. Tego właśnie chcę.

- Przykro mi - odparła Nadine - ale to niemożliwe. To nie zależy od ciebie. Kiedyś to się skończy i przestanie ludzi obchodzić. Wtedy będziesz mogła robić, co będziesz chciała. Teraz nawet nie próbuj.

Carla zamrugła oczami. Czowała pod powiekami łzy, lecz postanowiła, że nikt, nawet Nadine, nie zobaczy jej płaczącej.

- No chodź - powiedziała Nadine. - Chodźmy do mojego pokoju.

Carla poszła za nią. Rilke, Magda i Gerry stali w kącie jednego z boksów, na pozór rozmawiając o scenariuszu. Carla czuła na sobie ich spojrzenia, tak jakby stali tuż obok niej. Znów zamknęła oczy, zła, że nie może powstrzymać drżenia.

Nadine zamknęła za nimi drzwi. - Carla, przykro mi. Naprawdę. Ale...

- Ale co? - rzuciła Carla. - Ale co?

- Ale może to nie będzie takie złe.

- Takie złe?! Takie złe? - Carla nie mogła się dłużej powstrzymać i rozpłakała się, skrzyżowawszy ramiona na piersi. - Powiedz im, żeby mi dali spokój.

- Nie dadzą. - Nadine podała jej pudełko chusteczek.

- Dla nich jesteś największą szczęściarą na świecie. Teraz każdy tylko czeka, aż zaczniesz stawiać żądania finansowe.

- Myślę, że poproszę Henry'ego o pieniądze? - zapytała Carla z niedowierzaniem.

- No tak - odparła Nadine. - Niektórzy nawet myślą, że mogłaś to sama zaplanować, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Nigdy nie słyszałam nic równie idiotycznego. - Carla przestała płakać. - To szaleństwo. Kto by zrobił coś takiego? Kto z własnej woli ściągnąłby na siebie tego typu uwagę?

- To się tu zdarza nagminnie - powiedziała Nadine.

- Każdy chce być sławny. Ale ludzie naprawdę będą uważali, że chodzi o pieniądze. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Co masz zamiar zrobić?

- Co mam zamiar zrobić? - powtórzyła Carla. - Oto jest pytanie. Co człowiek robi, kiedy mu się zdarza coś takiego? Czy jest jakiś precedens?

- A co mówi Henry?

- Henry? Nie wiem. Nie rozmawiałam z nim.

- Dzwonił do ciebie? Carla przytaknęła.

- No to dlaczego z nim nie rozmawiałaś?

- W weekend za dużo się działo. A dziś wyjechała Paulette.

- Paulette wyjechała?

- Tak.

- Zostawiła cię? - Na twarzy Nadine pojawił się niepokój.

- Naprawdę wyjechała?

- Tak.
- Nie mogła zaczekać i zobaczyć, jak to się skończy?
- Powiedziała, że ona mogłaby zaczekać, ale ludzie w Indonezji nie mogą.
- Ahhha - wyjąkała Nadine. - Oczywiście.
- Odezwał się firmowy interkom. Nadine podniosła słuchawkę. - Halo?
- a po chwili: - Dobrze, powiem jej. - I się rozłączyła.
- Roland chce się z tobą zobaczyć - powiedziała. - Natychmiast.
- Nigdy przedtem nawet się do mnie nie odezwał.
- Przyjmę zakład, że ślini się na myśl o Kirku Gordonie pracującym z Henrym.
- Dlaczego wszyscy uważają, że mogę Henry'emu powiedzieć, co ma robić?
- Bo wszystko się opiera na dojsciach. - Nadine pokręciła głową. - A tym masz dojscie zapewnione. Dojscie. Dzięki niemu możesz w tym mieście robić, co chcesz.
- To śmieszne. Ja go ledwo znam.
- Jesteś jego córką.
- Słowa. Semantyka. Biologia. Wcale go nie znam.
- Carla...
- Co?
- Od ciebie zależy, co będzie dalej.
- Tak.
- To przycichnie.
- Wiem.
- Tutaj ludzie pozabijaliby się o taki związek z gwiazdą filmową. Będą uważali, że możesz mu powiedzieć, co ma robić, że będzie cię słuchał. A prawda jest taka, że to wcale niewykluczone. Kto wie? Może się do siebie zbliżycie. Nie będziesz już nigdy musiała pisać recenzji scenariuszy.
- Właśnie o to chodzi. Może to dziwnie zabrzmie, ale ja lubię pisać recenzje.

Po wyjściu Carli Nadine zadzwoniła do Erniego, żeby mu przekazać najnowsze wiadomości. - Ona chce dalej pisać recenzje! Jak myślisz? Może mogłaby mi załatwić pracę w NJTF?

Spotkanie Carli z Rolandem było krótkie, ponieważ zakończyła je tak szybko, jak tylko to było możliwe. Wyszła, mówiąc, że potrzebuje czasu na przemyślenie wszystkiego.

Wychodząc z Firmy Pijawka, musiała obejść wózek golfowy z zapalonym silnikiem.

- Panna Trousse? - zawołał kierowca spod plastikowego daszka. Był to chłopak około dwudziestopięcioletni, w czerwonej koszuli, z blond włosami postawionymi na sztorc za pomocą żelu.

- Tak?

- Przyjechałem po panią. Dowiedziałem się, że pani tu jest, i pomyślałem, że ktoś będzie panią musiał podwieźć do samochodu. Jestem Damien. Kocham Henry'ego. Jest bombowy, wie pani, bombowy.

- Daj mi spokój - powiedziała ze złością. Włożyła okulary słoneczne i pomaszerowała do biura Phillipa, które znajdowało się na drugim piętrze w jednym ze starszych budynków studia. Przypomniała sobie wchodzenie po schodach do nowojorskiego mieszkania. Poczowała chwilowy przyływ pewności siebie.

Lecz u Phillipa znowu opadła z sił. W poczekalni, zanim zaprowadzono ją do jego gabinetu, było to samo. Szmer szeptów, trącania się łokciami, zarzucono ją serią: „Jak się masz?“, „Co za szokująca wiadomość!“ i „Co masz zamiar teraz zrobić?“. Poczowała się słaba i zdenerwowana. Phillip zawiózł ją bez słowa do domu. Tym razem wysiadła z samochodu i przedarła się między reporterami z łokciami wystawionymi na boki.

Lecz zatrzymała się, widząc, kto stoi na schodkach przed drzwiami.

- Carla! - powiedział reporter z ponurym wyrazem na twarzy i małym kołonotatnikiem w ręku. - Wiem, że na pewno jesteś oszołomiona i nie masz najmniejszej ochoty na rozmowę z reporterem, ale jesteśmy starymi przyjaciółmi. Pomyślałem, że może właśnie ze mną porozmawiasz. Oczywiście jest, że będą o tobie pisać i powinnaś mieć kogoś po swojej stronie.

Carla wpatrywała się w Jimmy'ego Stigwooda, w jego wyprasowane szare spodnie, mokasyny od Gucciego, białą koszulę i jasnorude włosy. Tak strasznie przypominał kukielkę Howdy Doody*.

Spojrzała ponad jego ramieniem, dokładnie tak jak on postąpił na premierze. Poczowała, jak wzmaga się jej gniew - niewyspana i bez możliwości wyładowania się, czuła, że za chwilę może wybuchnąć.

- Nigdy nie udzielię ci wywiadu - krzyknęła. - Czy myślisz, że nie pamiętam, jak mnie potraktowałeś?

- To stara historia, Carla. Do niczego nie dojdiesz, jeśli będziesz chować urazy. Posłuchaj, jestem ci potrzebny. Nie masz innego wyjścia. Napiszę o tobie artykuł, tak czy inaczej.

- Tego właśnie się po tobie spodziewałam - szydziła Carla. - Ty powierzchowny gów... wiesz, nie obraź się, James, ale muszę wejść do domu. Nie potrzebuję cię.

Minęła go, weszła i zatrzasnęła za sobą drzwi, jak mogła najgłośniejsze.

Poczowała się chwilowo oczyszczona, ale tylko do czasu przeczytania artykułu Jimmy'ego o sobie w szanowanym tygodniku literackim. Był to początek jej edukacji na temat działania mediów. Artykuł okazał się nieprawdopodobnie zjadliwy: potępiający pozornymi pochwałami, wielkoduszny na temat jej „skłonnej do dominacji” osobowości i pogardzający jej ambicjami literackimi.

Howdy Doody - kukielka, bohater programu telewizyjnego dla dzieci z lat pięćdziesiątych.

Nawet Carli nie spodobała się Carla sportretowana przez Jimmy'ego.

Od tego czasu przestała wychodzić z pokoju. Jadła. Oglądała telewizję. Czytała powieści - klasykę i współczesne, na przykład najnowszą książkę E.R. Robin, *Sekrety moich przyjaciół*. Chwyła długopis i próbowała pisać dziennik, ale to nie pomogło. Jej wena twórcza też gdzieś znikła, nie mogła się zmusić do włączenia komputera.

Codziennie na nowo czytała artykuł Jimmy'ego. Zawierał jedną niepodważalną prawdę, a mianowicie twierdzenie, że dostała się do prasy dzięki dawnemu stosunkowi płciowemu, który mógł być miłosny, ale praktycznie poszedł w niepamięć. Paulette ruszyła ratować świat, a osiągnięcia Henry'ego były ogólnie znane. W międzyczasie Carla wiodła nędzne życie w Nowym Jorku do czasu, gdy zawalony dach zmusił ją do przyjazdu na to wybrzeże, gdzie zaczęła żyć normalniej aż do tego wydarzenia.

Czuła gorycz, ale nie z powodu rewelacji Paulette, lecz dlatego, że jedną z przyczyn, dla których Los Angeles dodało jej tyle energii, był fakt, że wymyśliła, jak być produktywną. Wszystko, co teraz robi, zostanie przypisane sławie Henry'ego.

Nie miała o to do niego pretensji. Stanowił dla niej zagadkę i nie była pewna, czy będzie zdolna do - albo czy w ogóle zapragnie - jakiegoś związku z nim. Nie był jej potrzebny, prawda?

Czy nieprawda?

Nagle poczuła, że chce zderzyć z siebie skórę i kompletnie się zmienić, od stóp do głów. Musi być twardsza, bardziej pewna siebie, musi jakoś nauczyć się przebojowości jak ta reporterka Neli albo ta jedza Josie. Do tej pory unikała takich kobiet, pewna, że - przynajmniej pod względem etycznym - jest od nich lepsza.

Ale oto siedzi tu, mając czterdzieści jeden lat, nieprzygotowana na nic, a już na pewno nie na budowanie związku

z nowo odkrytym ojcem i wkraczanie na nową drogę zawodową.

I wtedy wpadła na pomysł. Usiadła na łóżku. Wyrzała przez okno. Pomysł nabierał kształtu, drżał, trzepotał się w głowie jak jakiś ptaszek, aż nabrała odwagi, żeby pozwolić mu się skryształizować.

- Ciociu? - Christopher otworzył drzwi.

- Myślałam, że cię nie ma.

- Jeśli chcesz, to z tobą posiedzę.

- Dzięki, kochanie - powiedziała. - Chodź tutaj. Christopher podszedł, a ona go uściskała. - A teraz idź, pograj na pianinie. Zrób mamusi przyjemność.

- Ona chce, żebyś zeszła na dół.

Carla spojrzała na telewizor, lody Ben & Jerry, otwartą książkę. Odwróciła się do bratanka, który czekał na odpowiedź.

- Dobra - powiedziała. - Zejdę.

Christopher zamknął drzwi. Carla usłyszała, jak krzyczy: - Mamusiu! - i poczuła wdzięczność za bezinteresowną, bezkrytyczną miłość ośmiolatka. - Ona wstaje!

Rozdział dwudziesty trzeci

Josie siedziała w miękkim, bezkształtnym fotelu w NTFJ, uważnie przeglądając umowy, które właśnie otrzymała ze Studia X.

A. FILM

MIS, KTÓRY URATOWAŁ BOŻE NARODZENIE

B. PRODUCENCI

HENRY ANTONELLI, ESTHER RODRIGUEZ RABINOWTTZ i JOSEPHINE O'LEARY (Antonelli, Rodriguez Rabinowitz i O'Leary są dalej indywidualnie i łącznie zwani „Producentem”).

C. WYNAGRODZENIE

Stała kwota \$ 1 000 000 do podziału po połowie pomiędzy Antonellim/Rodriguez Rabinowitz i O'Leary.

D. NAZWISKA PRODUCENTÓW

Studio może wskazać trzy osoby, których nazwiska pojawią się na ekranie po słowie „Produkcja” w napisach początkowych, jeżeli takowe zostaną użyte. Dwoma z tych trzech osób będą Antonelli i Rodriguez Rabinowitz; nazwisko Antonelli pojawi się jako pierwsze, Rodriguez Rabinowitz jako drugie.

Pięćset tysięcy dolarów. Pięćset tysięcy dolarów. Przyprawiało ją to niemal o zawrót głowy. Podniosła słuchawkę telefonu.

Instynktownie chciała zadzwonić do Mike'a. Odłożyła słuchawkę. Oparła się na bezkształtnym fotelu, jednym z wielu poustawianych tu i tam przez Esther, i jeszcze raz przejrzała dokumenty. Dotarła do punktu D dotyczącego nazwisk producentów i przerwała czytanie. Tym razem wykręciła numer, gwałtownie uderzając w klawisze.

- Muszę rozmawiać z Sethem Levinem, natychmiast - warknęła.

- Cześć, Josie - powiedziała asystentka, niewzruszona jej tonem. - Zobaczą, czy mi się uda z nim połączyć.

Josie spojrzała na zegarek. Jeżeli Seth każe jej czekać ponad dwie minuty, odłoży słuchawkę.

- Hej - odezwał się Seth.

- Słuchaj, przeglądam właśnie dokumenty dotyczące *Misia* i widzę, że moja rola producenta nie jest zagwarantowana.

- Josie...

- Chcę, żeby moje nazwisko pojawiło się jako drugie. Drugie. Powinnam być przed Esther, to ja znalazłam scenariusz.

- Prawdę mówiąc, Josie, to ja znalazłem scenariusz. I nawet jeżeli jesteś na tyle głupia, żeby chcieć sobie zrujnować karierę, ja nie pójdę do nich wyklócać się o to, na której pozycji będzie twoje nazwisko, bo masz szczęście, że w ogóle się tam pojawi. Henry i Esther są partnerami i to dzięki nim powstaje film.

- Jeżeli powstanie.

- Właśnie.

- Poczekaj... - wyobraziła sobie, że dzwoni do niej Tess Johnson i mówi, że projekt został zawieszony. - Ja żartowałam. Wiesz coś na ten temat? Czy studio nie zamierza robić tego filmu?

- Nie wpadaj w paranoję - powiedział Seth. - Henry ma teraz inne rzeczy na głowie.

- Minęły już cztery tygodnie od premiery.

- Cztery tygodnie to niedużo, kiedy człowiek się dowiaduje, że ma czterdziestoletnią córkę. Pewnie jest trochę oszołomiony.

- Co to ma znaczyć? - w głosie Josie zabrzmiało napięcie.

- Nic. Słuchaj, umowy są w porządku. Masz szczęście. Nie zrobiłaś nic i dostajesz pół miliona. Myślę, że powinnaś część mi przekazać.

- Przekazuję. Pięć procent.

- Josie, nie bądź męcząca - powiedział Seth. - Mówię ci to jako twój prawnik, któremu zależy, żebyś zrobiła dużo dobrych filmów. Nie zniechęcaj do siebie dobrych ludzi. Mam rozmowę na drugiej linii.

Seth rozłączył się bez pożegnania.

Josie czuła, że do gniewu dołączyła się teraz irytacja z powodu Seta. Nie zniechęcaj do siebie dobrych ludzi. Dlaczego jej prawnik pozwala na to, żeby ją wykiwano?

- Josie - odezwała się asystentka przez interkom. - Esther cię prosi.

Esther unikała Josie od premiery *Ostatniego obrońcy*, lecz dziś przekazała jej umowy, co dowodziło, że nie jest już o nią zazdrosna. Być może były także przyczyną tego nagłego wezwania? Josie poszła do gabinetu Esther.

- Chciałabym zorganizować spotkanie na temat poprawek do scenariusza z Joshua Kingiem - powiedziała Esther. - W przyszłym tygodniu. Umów się z nim, proszę.

- Co?

- Jego umowa jest nieomal gotowa. I chciałabym zacząć pracować na tym filmem. Uważam, że scenariusz wymaga gruntownych przeróbek i Joshua powinien się już tym zająć. Czy przygotowałaś swoje uwagi?

- Tak - skłamała Josie. - Muszę je tylko do końca zredagować.

- Dobrze, daj mi znać, jak się z nim umówisz.

- Czy Henry będzie obecny?

- Tak.

Gabinet Esther - dawna biblioteka z głębokim kominkiem otoczonym drewnianymi belkami i wypełniona książkami - był najbardziej zagraconym pomieszczeniem w budynku.

- Esther - Josie miała zamiar przycisnąć Esther do muru na temat kolejności nazwisk producentów. To ona zasługiwała na drugie miejsce, nie Esther.

- Co?

- Myśle... - Josie była gotowa się wyklócać, ale wyraz twarzy Esther był mało zachęcający, toteż postanowiła poczekać. Najwyraźniej coś innego zaprzętało jej uwagę.

- Nic. Dam ci znać, kiedy się z nim umówię.

- Dzięki. Na razie, Josie. - Esther skierowała wzrok na biurko.

Josie wyszła z gabinetu i rzuciła się na miękką kanapę w salonie na parterze. Po jej prawej stronie Heather Kava-kos rozmawiała przez telefon. Pokazała Josie gestem, żeby zaczekała, aż skończy rozmowę.

- Buzi, buzi - powiedziała do słuchawki. - Kocham cię! - rozłączyła się. - Czasami zachowuje się jak idiota - wymamrotała.

- Kto?

- Andreas.

Andreas był duńskim narzeczonym Heather. - Posłuchaj, kotku, czy wiesz, że twój przyjaciel Joshua właśnie podpisał umowę z Shepem Adamsem?

Ucisk w żołądku, który dopiero co zaczął znikać po rozmowie z Sethem, wrócił. Josie zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech. - Z Shepem? - Grała na zwłokę. - No, mówił mi, że się polubili i Shepowi strasznie zależy na tym, żeby go zatrudnił, ale nie wiedziałam... - przerwała, czując jak ogarniają ją gniew i strach z powodu zdrady Joshui. Każdy wie, że kiedy podpisze się umowę z agentem, mówi się o tym

producentowi. A Josie była producentem Joshui, bo to ona doprowadziła do rozpoczęcia projektu.

- Nie wiedziałaś, prawda?

- Nie wiedziałam na pewno.

Josie miała ochotę natychmiast zadzwonić do Joshui, ale nie chciała pokazać po sobie, jak bardzo ją ta wiadomość zdenerwowała. Agenci potrafili popsuć umowy, nawet tak dobre jak ta, którą Josie zawarła z Henrym. A agent typu Shepa - notoryczny dwulicowiec i agresywny głupiec - był wyjątkowo niebezpieczny. Bóg jeden wie, czego zażąda w imieniu Joshui. Josie zmusiła się do ciepłego uśmiechu w stronę Heather, tak jakby pokazanie pokrytych plastikiem zębów mogło pokryć jej zdenerwowanie. Shep mógł wszystko zepsuć.

Heather wyciągnęła przed siebie nogi. - Jak uważasz?

- Wskazała opaleniznę.

- Piękna. Naturalna?

- Nie - uśmiechnęła się Heather. - Z kabiny opalającej.

- Heather wstała. - Na twoim miejscu, kotku, zadzwoniłabym natychmiast do Shepa Adamsa. Nawiązała kontakt. Na pewno nic złego się nie zdarzy, ale wiesz, ja nie życzylabym Shepa najgorszemu wrogowi.

Josie zostawiła Joshui pięć wiadomości i zadzwoniła do trzech różnych osób, żeby się czegoś dowiedzieć o Shepie Adamsie, a potem postanowiła pójść za przykładem Joshui i zaatakować bezpośrednio.

Na szczęście wiedziała, gdzie można go znaleźć. Armond Fellman urządzał cotygodniowy „wieczorek” w swoim domu w Hollywood Hills. Joshua był regularnym bywalcem. Nie wypadało jej tak za nim latać, ale z drugiej strony już od dawna nie uprawiała życia towarzyskiego. Armond zarobił górę pieniędzy na produkcji niezależnego filmu, który nieoczekiwanie stał się hitem. Wykorzystał to w pertraktacjach ze studiem i został zatrudniony za pół miliona rocznie na pokrycie kosztów. Josie słyszała od Joshui, że Armond nie

ma nawet biura. Brał pieniądze i co pewien czas składał w studio jakiś scenariusz napisany przez jednego z przyjaciół. Kupił dom od starego aktora filmowego, u którego ostatnio rozpoznano chorobę Alzheimera. Przyjęcia Armonda stanowiły coś w rodzaju hollywoodzkiego salonu towarzyskiego. Dobrze jej robi, jeżeli się ubierze i poczuje seksownie. Była piękną, wolną kobietą w mieście najatrakcyjniejszych ludzi na świecie. Najwyższy czas, żeby wreszcie zajęła się sobą.

Przed domem Armonda Fellmana stało osiem samochodów. Mieszkał przy jednej z małych uliczek w kanionie, gdzie domy stoją prawie jeden na drugim, wznoszą się nad podjazdami i zdają się tak niepewne, że mogą stanowić metaforę dla całego Los Angeles - zbudowane na najcenniejszych prawdach i kłamstwach najbardziej twórczych mieszkańców i mogące się całkowicie zawalić z powodu nagłego kaprysu natury (lub w przenośni - rynku).

Drzwi były otwarte, muzyka głośna. Przed oczami Josie przesuwali się nieznajomi ludzie, wszyscy młodzi, ubrani w jasne kolory i błyskający zębami w uśmiechach. Kiedy weszła, zatrzymał ją mężczyzna z kręconymi, ciemnymi włosami. - Czy ja cię znam? Czy mógłbym cię poznać?

Josie przewróciła oczami i minęła go.

Od razu dostrzegła Joshuę na kanapie obok rewelacyjnej Murzynki. Podeszła i stanęła przed nimi.

- Josie! Co za niespodzianka!

Josie rzuciła kobiecie wymuszony uśmiech, a ona zerknęła na Josie, rejestrując jej strój, fryzurę, buty, a potem, najwyraźniej zdecydowawszy, że Josie nie zasługuje nawet na taką odrobinę uwagi, położyła rękę na kolanie Joshui.

- To jest Karen - przedstawił kobietę Joshua.

- Tylko nie mów, że jesteś aktorką - powiedziała Josie.

- Prawdę mówiąc, zajmuję się inżynierią kosmiczną. Joshua napotkał wzrok Josie i uśmiechnął się.

- To prawda - powiedział. - Właśnie wróciła z Barcelony, gdzie pracowała nad jakimś ogromniastym teleskopem. Nie rozumiem połowy tego, co mówi, ale brzmi to bardzo inteligentnie.

Karen przycisnęła długie paznokcie do jego kolana.

- Tylko nie mów, że pracujesz w tym biznesie - powiedziała, patrząc na Josie.

- To o niej ci wspominałem - powiedział Joshua. - Właśnie z nią pracuję nad *Misiem*.

Twarz Karen złagodniała. - Pracujesz z Henrym Antonellim?

- Tak.

- Masz szczęście. I do tego pracujesz z Joshua. - Przesunęła palcem po jego policzku, a on spojrzał na Josie rozanielony.

- Przyciągam szczęście jak prawdziwy magnes - powiedziała Josie. Uśmiechnęła się słodko do Karen. - Karen, czy miałabyś coś przeciwko temu, żebym porozmawiała przez chwilę z Joshua?

Karen spojrzała na Joshuę, który wzruszył ramionami.

- Proszę bardzo - powiedziała i wstała, obciągając niebieską ażurową sukienkę.

- Mogłaby być modelką - stwierdziła Josie.

- Była. Ale myślę, że jest chyba jedynym inżynierem kosmicznym na świecie, który tak wygląda.

Odwrócił się do Josie i zmierzył ją wzrokiem. - A ty jesteś chyba jedynym producentem w tym mieście, który tak wygląda. - Spojrzał na jej blond włosy. - Słońce musi być bardzo mocne w Beverly Hills. Masz coraz jaśniejsze włosy.

- Tak jak wszyscy. W tym pokoju nie ma ani jednej naturalnej blondynki - powiedziała, siadając na miejscu Karen.

- Prawdę mówiąc, w całym mieście nie ma ani jednej naturalnej osoby - powiedziała, patrząc na przechodzącą kobietę w białej koszuli związanej w pasie, która miała sztuczne piersi, żółte włosy i była po operacji plastycznej nosa.

- Natura jest przereklamowana.

- Dlaczego do mnie nie dzwonicz? Co robisz z Shepem Adamsem? - zapytała Josie.

- Nie znam takiego - zażartował Joshua. - O czym ty mówisz?

- Nie bawmy się w takie gierki. Ja się na to nie nabiorę. Podpisałeś umowę z Shepem?

- To mój przyjaciel - powiedział Joshua.

- Od kiedy?

- Od przyjazdu tutaj.

- Czyli od trzech miesięcy? Szybko się zaprzyjaźniasz.

- To jedna z moich większych zalet. Chcesz przez to powiedzieć, że nie mogę podpisać umowy z agentem?

- Nie - powiedziała Josie, wyczuwając zmianę tonu. - Nie - ciągnęła - oczywiście, że możesz mieć agenta. Ale Shepa Adamsa? On na ciebie nie zasługuje.

- Wiem - odparł Joshua zwięźle. - Na razie wystarczy. Czuję, że mnie to przerasta, i on zaproponował, że pomoże. Uważa, że jestem bardzo utalentowany.

- Ja też uważam, że jesteś bardzo utalentowany - powiedziała Josie. - I koniecznie musisz mieć agenta - wiedziała, że wkracza na teren ustępstw i musiała być ostrożna. - Ale czasami agenci lubią się w coś wtrącić, tylko po to, żeby mogli potem powiedzieć, że dobrze pracują.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że Shep może pójść do studia i wszystko schrzanić. Tobie - podniosła na niego wzrok - i mnie.

- Tego się boisz? Że nie będę mógł zapanować nad swoim agentem?

- Nie... po prostu... ja widziałam... słuchaj, ja nie lubię Shepa, on nie lubi mnie i będę całkowicie szczerą: myślę, że będzie próbował mnie wyrolować z tego projektu - przerwała. - Co nie znaczy, że to jest możliwe, oczywiście.

- Żartujesz? Myślisz, że zrobiłbym ci coś takiego? Za kogo mnie uważasz? - Joshua pokręcił głową i Josie poczuła ulgę. Pochylił się i dotknął jej ramienia. - Nie martw się.

- Więc Shep nie będzie się tego czepiał? Joshua skinął głową. - Nie, nie będzie.

Przesunął się na kanapie, zbliżając się nieco do Josie. - Na jakim to jest obecnie etapie w Studio X?

- Esther chce zorganizować spotkanie w przyszłym tygodniu. Będą na nim Henry i Tess Johnson, jedna z dyrektorów ze Studia. Dostaniesz uwagi do scenariusza, żebyś mógł wnieść poprawki.

- Tess? Ja ją znam. - Joshua rozejrzał się po pokoju, odganiając dłonią dym papierosowy. - Nie ma sprawy. Poprawię. Nie ma sprawy. - Położył ramię na oparciu kanapy.

- A o co chodzi z tą córką?

- Z córką?

- Z córką Henry'ego. Tą grubą.

- Nic nie słyszałam.

- Pewnie po prostu chce pieniędzy.

- Tak... - Josie chciała uzyskać od Joshui obietnicę, że nie narobi jej żadnych kłopotów, i w ułamku sekundy zdała sobie sprawę, że stała się już producentem, ponieważ

- zdaniem Seta - prawdziwy producent wyczuwał każde możliwe niebezpieczeństwo, prawdziwe czy potencjalne.

- Więc...

- Wiesz, zdaje mi się, że wszystko dzieje się, tak jak powinno - powiedział Joshua. - Mam wielkie szczęście, że mu to w ogóle dałaś. Zdaję sobie z tego sprawę.

Kobieta z błyszczącym cieniem na powiekach podeszła do Joshui. - Cześć, przystojniaku - powiedziała. Wyciągnęła rękę, którą Joshua pocałował. Kobieta mrugnęła do Josie i podeszła do mężczyzny czekającego przy kominku.

- Co to za dziwne miejsce? - zapytała Josie. Kominek był elektryczny, a tapeta składała się ze stron komiksów.

W pokoju były dwa psy: kudłaty, czekoladowobrazowy kundel i mały biały piesek, przypominający szczura, do którego od razu poczuła niechęć. Mężczyźni nosili koszule rozpięte prawie do pasa, odsłaniając zarośnięte piersi. Większość miała włosy ogolone wysoko na szyi.

- Cieszę się, że przyszedłaś - oznajmił Joshua. Odwróciła się do niego, a on zdjął rękę z jej ramienia i położył sobie na kolanie. Podniósł się. - Chodź. - Josie także wstała. W niektórych pomieszczeniach w domu Armonda ściany nie biegły w prostych liniach; na przykład kuchnia i jadalnia były nieomal okrągłe, a inne pokoje, jak ten, do którego zmierzali, otaczały proste, wysokie płaszczyzny.

- Spójrz na to - powiedział, wciągając ją do pokoju o kształcie trójkąta. - Dotknij tapety.

Josie przycisnęła palce do ściany. Była miękka, jak siedzenie w samochodzie. - Podoba ci się? - zapytał.

Josie spojrzała na adamaszkowy fioletowy materiał. - Co to jest?

- Nie mam pojęcia - odparł Joshua. - Tu mieszkałem zaraz po przyjeździe.

Afrykańskie rzeźby, świece i plakat z filmu *Spider-Man* leżały tu i tam w mniejszym lub większym nieładzie. Joshua zapalił świecę.

- Co to jest? - zapytała Josie.

- Scena uwodzenia - odparł.

Josie wahała się. Nie była pewna, czy pragnie się wdawać w fizyczny związek z Joshuą.

- Nie jestem w nastroju na uwodzenie.

Joshua nie odpowiedział. Podeszedł do wieży stereo i nastawił płytę z muzyką afrykańską. Śpiewano po francusku. Joshua zaczął tańczyć po pokoju.

- A teraz co robisz?

- Próbowałem uwodzenia, teraz tańczę - powiedział. - No chodź - przyciągnął ją do siebie.

- Nie umiem tańczyć - odparła Josie, ale roześmiała się. Pozwoliła mu się przyciągnąć i zdziwiło ją, że krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach.

- Widzisz, umiesz - powiedział.

- Nadal uwodzisz.

- Myśl sobie, co chcesz. Ja tańczę.

Otworzyły się drzwi i wszedł mężczyzna z kręconymi włosami, który przywitał Josie w drzwiach. - Wiedziałem - zawołał.

- Armond - zawołał Joshua. - Przyjacielu, to jest Josephine.

- Josefiend!2 - zawołał Armond.

- Mówiłem ci o niej.

- Wiem wszystko o słodkiej Josephine. Przepraszam, że przeszkodziłem.

Zamknął za sobą drzwi.

Josie podeszła do okna i usiadła. Było już ciemno i wydawało jej się, że dostrzega kontury palm w ogrodzie Armonda.

- Co się stało? - zapytał Joshua. Usiadł przy niej. Poczuela, że ma nad nim władzę. Joshua patrzył na nią czule. Podobał jej się. Od początku jej się podobał. Zniknęła obawa, że będzie wobec niej niełojalny. Był dokładnie taki jak ona: ambitny, co nie oznaczało, że nic nie czuje w stosunku do ludzi, na których mu zależy.

- Po prostu tak się o wszystko niepokoję.

- Wiem - powiedział i dotknął jej włosów. - Podobają mi się twoje włosy.

- Dzięki - wyszeptała. - Ale Josh...

- Co, dziecinko? - Pociągnął ją lekko za włosy i odwrócił ku sobie.

Już tak dawno nikt jej nie dotykał.

- Ja się po prostu martwię...

- Wszystko jest w porządku, Josie, zrelaksuj się - otoczył ją ramionami, obejmując w pasie. - Ciiiiii...

Josie wiedziała, co teraz powie: że od bardzo dawna o niej myśli.

- Ciągle o tobie myślę - wyszeptał jej do ucha - o każdej godzinie, każdego dnia.

Przeciagnał rękami po jej ciele, opalonym, wysportowanym, idealnym ciele.

- Josh... może mógłbyś...

- Mógłbym co, dziecinko? - zapytał, całując jej szyję, ramię, ściągając z ramion bluzkę.

- Mógłbyś... - Josie zastanawiała się nad wszystkimi możliwymi sposobami poproszenia, żeby się pozbył Shepa, bez powiedzenia tego wprost. - Mógłbyś...

- Mógłbym co? - powtórzył, całując ją, a potem wziął na ręce i zaniósł do łóżka. Rozpiął jej bluzkę. Odchylił koldrę i przykrył ich oboje. Jakoś w ciągu sekundy pozbył się koszuli.

- Mógłbyś po prostu powiedzieć Shepowi...

Joshua spojrział na nią. W tym przyciemnionym świetle był wspaniały, jego uśmiech prawdziwy i jasny jak kalifornijskie słońce.

- Josie, jeżeli Shep stworzy jakieś problemy, porozmawiam z nim. Naprawdę. Ale czy mogłabyś się przez chwilę skupić na mnie? - Przeciagnał ręką po jej brzuchu. - Czy naprawdę chcesz to przerwać? - Pocałował ją, kładąc się na niej. - W tej sekundzie? Żeby mówić o pracy?

Josie zastanawiała się nad tymi pytaniami, kiedy całował jej brzuch. Wiedziała, co się stanie. Będą się wili i dotykali swoich ciał, jakby każda pieśczęta oznaczała coś prostego, lecz głębokiego.

I może będzie oznaczała.

Joshua znowu dotknął jej włosów. Odwrócił ją ku sobie. - Na pewno tego chcesz? - wyszeptał. - Ja miałem na to ochotę od chwili, kiedy się poznaliśmy.

- Ja też - powiedziała równie łagodnie. - Ja też.

Rozdział dwudziesty czwarty

Dasz mi pracę?

Należący do Henry'ego czarny mercedes ML 55 AMG był zaparkowany w miejscu dla VIP-ów w Getty Center, niezwykłym muzeum w górach Santa Monica zaprojektowanym przez Richarda Meiera. Henry był jednym z członków zarządu i miał dostęp do budynków zamkniętych dla publiczności. Carla, jego córka, siedziała na miejscu dla pasażera.

- Dasz mi pracę? - powtórzyła.

Po czterech tygodniach nieodpowiadania na telefony Henry'ego Carla zadzwoniła do niego niespodziewanie i zaproponowała spotkanie w Muzeum Getty'ego.

- Chcę cię prosić o przysługę - powiedziała wtedy.

- Nie ma sprawy - odparł Henry.

- Ale ja... ja chcę... może się spotkamy?

- Ja... - Henry był zaskoczony. - Dobrze, w porządku. Wiem, że czujesz się niezręcznie, ja tak samo...

- W Getty Center.

- Co w Getty Center?

- Możemy się tam spotkać. Pojadę autobusem.

- Mogę po ciebie przyjechać. Albo przysłać samochód.

- Nie - odparła natychmiast. - Spotkamy się na miejscu. A teraz siedziała obok niego źle ubrana, ale ładniejsza, niż pamiętał.

- Dobrze - powiedział.

Nie chciała iść do muzeum. Zauważył, że jest podenerwowana, obgryzała paznokcie i wierciła się na siedzeniu.

On też czuł się niepewny, co go zaskoczyło. Przeciwiczyli to spotkanie z Cecilią, próbując zgadnąć, jakie mogą być żądania osoby, która właśnie dowiedziała się, że jej ojciec jest multimilionerem.

- Może chce dom w Telluride?

- A może we Włoszech?

- Nie mamy domu we Włoszech.

- Wiem.

- Może nie chce pieniędzy? Może chce zagrać w filmie?

- Phillip mówi, że nie interesuje jej praca po tamtej stronie kamery.

Podobno jest inteligentna, bystra i zdenerwowana.

- Ty byś nie był?

- Byłbym.

Toteż Henry wyjechał z domu w Malibu z nadzieją nawiązania jakiejś nici porozumienia z Carlą. Nici, która mogłaby się przerodzić w bardziej znaczący związek w przyszłości.

Nie spodziewał się, że poprosi o pracę.

- Już pracujesz w tym biznesie, prawda? - zapytał.

- Dla Rolanda Starra. W FP.

- Aha.

- Nie jest tak źle.

- Kiedyś sprzedawał krawaty w Barneys.

- Kto?

- Roland Starr, dawniej Ralph Sitkowsky z Roslyn. Spik-nął się z Kirkiem, a resztę już znamy.

- Żartujesz! - Carla gapiała się na Henry'ego. Spojrzała mu w oczy i teraz już wiedziała, skąd się wzięły jej własne. Ani Candace, ani John Trousse nie mieli niebieskich oczu. Wszyscy zakładali, że oczy Carli wyewoluowały z jakiegoś utajonego recesywnego genu, który ujawnił się po latach z dawno zapomnianej przeszłości.

Jak się okazało, nie tak bardzo zapomnianej, ponieważ nawet „The New York Times” w każdym artykule o Henrym wspominał o jego „zaskakująco błękitnych oczach”. Carla

cieszyła się, że ma oczy Henr'ego, i zastanawiała się, o ile lepsze byłoby jej życie, gdyby odziedziczyła także jego intuicję i czar.

- Mogę ci opowiedzieć różne rzeczy. Jestem tu od bardzo dawna.

Carla zanurzyła się głębiej w dżinsową kurtkę. Twarz osłaniały jej włosy, ale po tym, jak poruszała rękami, splatając i rozplatając palce, poznał, że ciągle jest niepewna.

- Naprawdę jesteś włoskiego pochodzenia?

- Uhm.

- Z mafii?

Henry parsknął śmiechem. - Tym nie mogę się pochwalić. Za to wujek był sędzią i wsadził wielu bandziorów za kratki. Włochów i nie tylko, ale nie wiem, czy to zwiększy moje szanse u ciebie.

- Aha - odparła Carla. Odgarnęła włosy z oczu. - To znaczy, że jestem Włoszką.

- Uhm.

Oboje milczeli przez dłuższą chwilę. - Oczywiście, że dam ci pracę - powiedział w końcu Henry.

- W NJTF.

- W NJTF - zgodził się.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy. Nic prostszego.

Carla potrząsnęła głową, odrzucając w tył włosy. - Jest jeszcze coś - powiedziała.

- Dobrze. - Henry głośno przełknął ślinę. Rozejrzał się po samochodzie. Czy poprosi o pieniądze? O coś...

- Chcę pracować z Josie O'Leary. Henry odwrócił się ku niej gwałtownie.

- Co?

- Chcę pracować z Josie O'Leary. Chcę się od niej uczyć.

- Josie O'Leary - powtórzył Henry, parskając śmiechem. - Znasz ją?

- Poznałyśmy się - odparła Carla.

- Bardzo się od siebie różnicie - oświadczył Henry, przypominając sobie, kiedy pierwszy raz zobaczył Josie u Wallace'a.

- Właśnie - powiedziała Carla szybko. - Właśnie o to chodzi.

Carla uznała, że jest całkowicie nieprzygotowana na swe nowe życie. Była za mało bezczelna, za mało czarująca, za mało przemyślna, za mało przebiegła. Nie wiedziała, jak się bronić przed Jimmymi Stigwoodami, Gerrymi Simpsonami i ciągle nie mogła rozszyfrować języka grubych ryb Hollywoodu.

Josie wydawała się idealną osobą do naśladowania. Nadine powiedziała jej, że Josie pracuje w NJTF mniej więcej od miesiąca i już znalazła jakiś świetny scenariusz, który jest realizowany w przyspieszonym tempie. Spotkanie w Ivy wywarło na Carli głębokie wrażenie. Nadal nie wiedziała, jak się zachować, kiedy ktoś jest bez powodu tak nieuprzejmy.

Ale ostatecznym katalizatorem przy podjęciu decyzji stał się łagodny, pojednawczy ton jej głosu, kiedy pomogła Carli wstać na premierze. Chyba w ogóle nie wzięła pod uwagę, że Carla może pamiętać, jak ją zlekceważyła. Ta cecha charakteru wzbudzała w Carli nieomal niemy podziw. Tutaj ludzie nie chwyтали dnia - chwyтали sekundy.

- Nie mam nic przeciwko temu - powiedział Henry. - I Josie też nie będzie miała.

- Tego nie jestem pewna - zauważyła Carla. Uśmiechnęła się. - Nie sądzę, że nie będzie miała nic przeciwko temu, ale ze względu na ciebie będzie musiała udawać.

- Doskonale sobie tu poradzisz - odparł. - Jeżeli zostaniesz.

Po ukazaniu się artykułu Stigwooda Carla rozważała powrót do Nowego Jorku, lecz coś kazało jej oprzeć się temu impulsowi.

- Zostaję - powiedziała. - Jak na razie.

Na jej twarzy odmalował się niepokój. - Nie zapytasz, co będę robiła?

- Robiła? Gdzie?

- W twojej firmie. Gdybym nie była twoją... gdybym nie była twoją... krewną, chciałbyś wiedzieć, czym się zajmuję.

- Rozumiem, że jesteś bardzo inteligentna. Moja matka jest z ciebie bardzo dumna. Zebrałaś tyle stopni naukowych, których mnie się nigdy nie chciało zdobywać.

Carla nie pomyślała wcześniej o tym, że uznanie Hen-ry'ego za ojca oznaczało także pojawienie się całej chmary dodatkowych krewnych, jak ta matka - jej babcia - o której właśnie wspomniał.

- Można by o tym dyskutować. W ciągu czterdziestu jeden lat życia bynajmniej nie zbawiłam świata. Nie czytałeś tego artykułu Jimmy'ego Stigwooda?

- Tak, ale nie uwierzyłem. Co lubisz robić?

- Co lubię? - Carla uśmiechnęła się. - Lubiłam być złośliwa i krytyczna w stosunku do każdego, kto mi nie pomagał.

- Ja tych ludzi nazywam krytykami filmowymi.

- Przepadam za czytaniem scenariuszy. Lubię pisać. To chciałabym u ciebie robić... to robiłam w FP.

- A co tam się działo?

- Chodzi ci o to, co się działo, jak przeczytali o mnie w gazecie? Roland mówił, że między tobą a Kirkiem powstanie taka synergia, jakby zderzyły się dwie gwiazdy supernowe.

- Tak mówił?

- Coś w tym rodzaju. Przestałam rozumieć po tym, jak powiedział „galaktystycznie” - przerwała. - Ale potem chyba mnie zwolnił.

- Chyba? Czy na pewno?

- Prawdę mówiąc nie wiem, czy mnie zwolnił. Tak czy inaczej, najwyraźniej z twojego powodu nie nadaję się już do pisania recenzji. Myślę, że pozwoliłby mi prowadzić firmę, mimo, że nie wiem absolutnie nic o produkcji filmów. To zdaje się nie miało znaczenia. Wynika z tego, że moja przydatność wzrosła do którejś tam potęgi, ponieważ mogę do ciebie zadzwonić, natomiast moja wartość jako kogoś,

kto potrafi krytycznie analizować scenariusze i powiedzieć mu, z którego zrobić film, jest równa zero - przerwała. - Ironia losu.

- Jedno nie wyklucza drugiego. Związek z kimś i dobra ocena materiału.

- Myślę, że ich przeceniasz.

- Wiem, że polubisz Esther, zobaczysz. Ona prowadzi moją firmę. Jest kapitalna.

- Czy jest podobna do Josie?

Henry pokręcił głową. - Nie. Różnią się jak dzień i noc. Byłaby przerażona, gdyby ktoś uznał je za podobne do siebie.

Zabębnił palcami po kierownicy. - Właściwie może wy jesteście do siebie podobne. Ona ciągle czyta.

- Chcę pracować z Josie. - Carla wolała się upewnić, że jest to zupełnie jasne.

- Dobrze.

Siedzieli w milczeniu na szczycie wzgórza. Muzeum ich przyzywało: faliste ściany, szklane powierzchnie, blask słońca obiecujący skarby wewnątrz. Carla oparła się tej sile przyciągania. Teraz po raz pierwszy rozmawiała z Henrym. Był spokojniejszy, niż się spodziewała. Zwyczajny.

- Lubisz grać?

Henry właśnie puścił wodze fantazji, wyobrażając sobie, życie z dzieckiem, z małą dziewczynką.

- Co?

- Grać. Czy lubisz grać?

- Tak - odpowiedział natychmiast. - Lubię. Lubię i jestem w tym dobry.

Carla zauważyła, z jaką pewnością siebie powiedział, że jest w tym dobry. - Od zawsze to wiedziałeś?

- Tak.

- Czy robisz coś poza tym?

- Co masz na myśli?

- No, tylko grasz? Czy także reżyserujesz? Nie wiem, co tam jeszcze można robić. Jesteś bogaty, prawda?

- Tak. Bardzo bogaty - wzruszył ramionami. - Lubię reżyserować. I naprawdę sprawia mi przyjemność produkowanie filmów.

- W których grasz?

- Niekoniecznie, chociaż na początku zawsze musiałem w nich grać. Ale założyłem firmę, która bardzo dobrze prosperuje, odpukać. - Postukał w deskę rozdzielczą. - Znalezienie własnego miejsca w życiu to błogosławieństwo. Co nie znaczy, że nie mógłbym być szczęśliwy, robiąc coś innego. Lecz to okazało się dla mnie dobre... i mam nadzieję, że ja też okazałem się dobry... to znaczy, mam nadzieję, że wywarłem na coś wpływ. Co ty... pewnie masz już dosyć tych pytań, ale czego byś chciała prócz pracy w NJTF?

- Czego bym chciała?

- Chodzi mi o twój ogólny światopogląd. Czego pragniesz?

- Nie wiem. - Zacisnęła wargi, była zirytowana. - Nie wiem nie wiem nie wiem. Czy jest gdzieś jakiś podręcznik?

- Podręcznik do czego?

- Co robić, kiedy mając czterdzieści jeden lat, znajduje się ojca, którego się nie szukało.

- Co prawda nie to miałem na myśli, ale sądzę, że podręcznik istnieje. Myślę, że zgodnie z nim powinnaś zażądać ode mnie pieniędzy.

Carla odwróciła się do okna. - Nie myśl, że nie zauważam, jak mnie czarujesz. Jesteś aktorem. Tym się zajmujesz. Grasz. Udajesz czarującego, żebym zrobiła to, czego pragniesz.

- Nie wiem, czego pragnę.

- Naprawdę? - jej głos złagodniał.

- Naprawdę.

- Dlaczego nie miałeś dzieci?

- Cholera wie. Pech. Chciałem dziecka. Cecilia też. Nie mogła zająć w ciążę. Oboje byliśmy zajęci, mój zawód nie bardzo pozwala na dzieci, więc podjęliśmy decyzję, że dzieci nie będzie, i wmówiliśmy sobie, że tak będzie najlepiej.

- A teraz ja się pojawiłam.

- Właśnie.

- Namieszaleś mi w życiu - powiedziała Carla. - Nie chcę się nad tym rozwodzić, lecz radziłam sobie w Los Angeles zupełnie nieźle. Może nie z twojego punktu widzenia. Ale radziłam sobie... dobrze.

- Nie może być aż tak źle. Znasz mnie dopiero od około pięciu tygodni.

- Mylisz się. Znałam cię przez całe życie, tak jak reszta Ameryki.

Henry wyciągnął zza wstecznego lusterka stary bilet parkingowy. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili: - Z mojego punktu widzenia wygląda to tak: mam pieniądze, sławę i całą tę resztę, o której wiesz. Możesz z tym robić, co chcesz. Bez zobowiązań. Nie zależy mi, jestem na to za stary i nie... no, tak po prostu jest. Cecilia się zgadza. Chcesz pieniędzy, proszę bardzo. Chcesz korzyści wynikających ze sławy - prywatnego zwiedzania muzeów, przyjęć po rozdaniu Oscarów, sam nie wiem, domu na Ibizie - proszę bardzo. Ale ja chcę czegoś więcej.

- Nigdy nie byłam na Ibizie.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Chcesz związku.

- Tak.

- To skomplikowane.

- Tak. - Henry poprawił się na siedzeniu. Zaczynał się pocić z gorąca.

- Wiesz, to nie musi być takie zawikłane. Wiele kobiet pewnie chciałoby być moimi córkami.

- Te wyrachowane, już mówiłeś.

- Jestem bardzo bogaty.

- Zawsze chciałam mieć fundusz powierniczy.

Rozmawiali żartobliwie, grzecznie, ale Henry chciał czegoś więcej. Chciał jej coś powiedzieć, coś stosownie doniosłego. Lata czytania słów innych dostosowanych do najbardziej krytycznych sytuacji (nieuchronne zniszczenie świata

przez asteroid, wybuchająca łódź podwodna, źli naziści, gangsterzy, Rosjanie, Arabowie) doprowadziły do tego, że podświadomie wierzył w istnienie jakiegoś sposobu - wizualnego i werbalnego - trafienia w samo sedno.

Ale teraz nic mu nie przychodziło do głowy. Zamiast tego przywołał na myśl Josie O'Leary i roześmiał się.

- Co? - zapytała Carla.

- Pomyślałem sobie o tobie i Josie - powiedział.

- I co w tym takiego śmiesznego?

- Tak jak ci mówiłem: jesteście po prostu różne. Ale - choć może to nie moja sprawa - chyba wiem, do czego zmierzasz. Istnieje pewna odmiana ludzi w Hollywood i Josie do niej należy. Szczerze mówiąc, mnie też zawsze fascynują.

- Nie sądzę, żeby chodziło o to samo - odparowała Carla, myśląc o idealnym ciele Josie i o wrażeniu, jakie wywierało na mężczyznach.

Henry poczuł się, jakby Carla przyłapała go na jego dawnych lubieżnych myślach o Josie, więc milczał. Carla też się nie odzywała, toteż Henry ruszył spod Muzeum Getty'ego w stronę autostrady.

- Odwiozę cię, dobrze? - zapytał. Miał nadzieję, że Carla nie uprze się wracać do Santa Monica autobusem. Ta kobieta, jego córka, była zamknięta w sobie, lecz Phillip miał rację. Coś w sobie miała. Coś, co chciał odgadnąć.

- Dobrze - powiedziała Carla. - Dziękuję bardzo.

Nie uśmiechnęła się do niego, czując, że to zniszczyłoby powagę i prawdę tej chwili. Prócz prawdziwych wyzwań, które ich czekają, niewątpliwie będzie też wiele okazji do popadnięcia w nieznośny, z gruntu fałszywy sentymentalizm. Carla wiedziała, że musi się zmienić i dopiero wtedy będzie gotowa na jakiś rodzaj związku z Henrym. Do tego czasu trzeba było się posuwać maleńkimi krokami.

Rozdział dwudziesty piąty

Była jedenasta i zrelaksowana atmosfera NJTF przeczyła spokojnej produktywności firmy. Danny Cohen czarował przez telefon jakiegoś dyrektora, Heather lakierowała paznokcie, czytając scenariusz, Esther poprawiała swoją najnowszą książkę, a Josie nie było nigdzie widać.

Carla Trousse przysła piechotą z domu Phillipa. Specjalnie ubrała się skromnie na to pierwsze spotkanie, nie wiedząc, co Henry powiedział Esther o celu jej przybycia.

Drzwi nie były zamknięte. Carla weszła i natychmiast zauważyła na ścianie Zasady Esther. Na kanapie siedziała młoda kobieta, czytając scenariusz.

- Czym mogę służyć?

- Chciałabym się zobaczyć z Esther.

Kobieta zmrużyła oczy, przyglądając się jej. - Och, musisz być...

- Tak.

- Chodź - poprowadziła Carle korytarzem do pokoju w głębi budynku.

- To tutaj.

- Dalej sobie poradzę - powiedziała Carla pewnym głosem, pomimo rosnącego zdenerwowania.

- To świetnie. Na razie.

Zanim zapukała, przez chwilę rozglądała się po pomieszczeniu. Panowała tu cisza i jedynie spod drzwi Esther dobiegały tony muzyki klasycznej, jak w domu, w którym nie ma telewizora.

Zapukała. - Proszę - zawołała Esther. Carla otworzyła drzwi.

- Dzień dobry?

Esther podniosła głowę. - Carla - powiedziała, uśmiechając się ciepło i wkładając okulary. - Carla. Witaj. Henry mówił, że dziś przyjdiesz.

Z przyzwyczajenia Esther najpierw porządnie złożyła strony maszynopisu, a dopiero potem wstała, żeby się przywitać. Henry powiedział jej wczoraj wieczorem o prośbie Carli i Esther czekała zaintrygowana.

- Cześć. - Carla usiadła na krześle naprzeciw Esther. - Bardzo tu przyjemnie.

- Dziękuję.

Carla miała na sobie czerwony sweter i granatowe dżinsy, a na nosie czerwone okulary. Wyglądała inaczej niż na zdjęciach, bardziej sympatycznie.

- Pracowałam przedtem w Firmie Pijawka.

- Wiem.

- Zupełnie inna atmosfera. Zupełnie inna.

- Bardzo się cieszę - uśmiechnęła się Esther.

- Czy pracowałeś kiedyś gdzie indziej? - zapytała Carla.

Esther potrząsnęła głową. - Nie wiedziałam... Kiedy byłam w Nowym Jorku, nie zdawałam sobie sprawy... a może raczej, nie wierzyłam, że mogę się stać częścią świata, który naprawdę robi filmy i seriale telewizyjne. Zakładałam, że to jakaś inna planeta, na której żyją i pracują Spielberg i Tom Hanks, podczas gry reszta z nas mozoli się na próżno.

Carla rozglądała się ciągle, patrząc na rozgardiasz w pokoju. - Dużo książek - powiedziała. Esther przytaknęła. - Studiowałaś literaturę, prawda?

- Tak.

- Masz doktorat?

- Nie - Carla wydeła wargi. - Nie. Jeszcze nie skończyłam pisać pracy. Nie jestem pewna, czy w ogóle kiedyś skończę - przerwała. - Teraz nie jestem już pewna.

- Ale i tak to robi wrażenie - powiedziała cicho Esther. Chciała postępować z tą kobietą delikatnie. Od kiedy wyszło na jaw, że Henry ma córkę, czterdziestojednoletnią intelektualistkę, która od niedawna pisze recenzje dla FP, Esther martwiła się o NJTF. Zmiany zawsze wyprowadzały ją z równowagi, nawet jeżeli wiedziała, że niekoniecznie oznaczają pogorszenie sytuacji.

Esther przeczytała wszystko, co mogła, na temat Carli, szczególnie złośliwy artykuł Jimmy'ego Stigwooda. Odbyła też długą rozmowę z Phillipem, kuzynem czy też raczej bratem Carli. Nadal jednak nie była pewna, czego ta kobieta pragnie. Phillip powiedział, że przeobraża się z kogoś, kogo znał całe życie, w zupełnie inną osobę i on trzyma za nią kciuki. Jak dotąd, idzie jej bardzo dobrze.

- Chcę tu pracować - oświadczyła Carla. - Czy Henry ci mówił?

- Tak. Powiedział.

Pamiętała o złotej zasadzie biznesmenów, którzy odnosili sukcesy. Nie odzywaj się. Esther nie przeszkadzało, że Carla miała pracować w NJTF, ale zastanawiało ją, dlaczego chce pracować z Josie.

- Jestem dobra w pisaniu recenzji - powiedziała Carla. - Zobaczysz.

- Nie musisz mnie przekonywać.

- Lepiej byłoby, gdybym musiała.

- Naprawdę? Dlaczego?

Carla wpatrywała się w Esther. Spodziewała się po niej lepszej intuicji. - Nie lubię dostawać nic za darmo. Brzmi to idiotycznie, biorąc pod uwagę, jak się tu znalazłam, prawda? Ale nie mam już pracy w FP, a chcę dalej robić to, co robiłam. To oczywiście dość niezwykła sytuacja, ale czy naprawdę myślę, że mogę... że jestem dobra... mogę recenzować scenariusze. Naprawdę. Nie tylko i wyłącznie z powodu Henry'ego.

- Oczywiście. - Esther rozumiała, że Carli trudno jest opisywać swoje umiejętności. Starła się udowodnić, że ma kwalifikacje do pracy, którą już dostała dzięki nepotyzmowi. Esther bardzo się to spodobało.

- Ale dlaczego chcesz pracować z Josie? - Esther nie widziała potrzeby owijania niczego w bawełnę. - Dlaczego z nią?

- Jest koszmarna, prawda?

- Bez komentarza. - Esther próbowała powstrzymać się od uśmiechu.

- Wiem, że to dziwaczne, ale... myślę, że mogę się od niej czegoś nauczyć.

- Przecież... - Esther zamierzała powiedzieć, że Carla nie powinna pod żadnym pozorem uczyć się czegokolwiek od Josie. Że Josie jest ucieleśnieniem Złego Hollywood, jednym z rekinów. - Josie nie jest najlepszym wzorem do naśladowania...

- Henry powiedział, że nie będzie z tym problemu - Carla wspomniała o Henrym jakby ostrzegawczo. Nie chciała, żeby Esther przeszkodziła w realizacji jej życzeń.

- Nie będzie - powiedziała Esther. - Nie będzie problemu.

- Czy Josie tu jest?

- Nie wiem. Chodźmy zobaczyć.

Poprowadziła Carlę do pokoju na dole, w którym Josie urządziła sobie gabinet.

- Wygląda na to, że jeszcze jej nie ma - powiedziała Esther, otwierając drzwi do pustego pokoju.

- Poczekam.

- Chcesz poznać innych pracowników?

- Nie - powiedziała Carla cicho. - Po prostu tu posiedzę.

Weszła do pokoju. Był nieskazitelnie czysty, bez śladu osobowości Josie, za wyjątkiem podpisanej fotografii, na której stała z Georgem Clooneyem.

- Chcesz coś do czytania?

- Mam książkę - powiedziała Carla, wyciągając z torby powieść. Były to *Sekrety moich przyjaciół*.

Esther cofnęła się o krok, zaskoczona.

- Co? Czytałaś to? - zapytała Carla.

- Tak... - wymamrotała Esther. - Czytałam.

- Strasznie mi się podoba. Czytałam wszystkie jej książki. - Uśmiechnęła się. - A może jego. Ale jestem prawie pewna, że to kobieta.

- Ja też - powiedziała Esther. Zawsze czuła się niezręcznie, kiedy widziała, że ktoś czyta jej książkę.

- No to poczekam tu sobie.

- Dobrze. Jeżeli będziesz czegoś potrzebowała, będę u siebie. - Wskazała swój gabinet. Carla spojrzała przez zwieńczone łukiem przejście na pomieszczenie z dużymi oknami, w którym słońce rzucało światło na kanapy i na siedzących na nich ludzi.

Potem odwróciła się i omiotła wzrokiem pokój Josie. Idealna kompozycja kwiatowa, zamknięty komputer Apple PowerBook G4. Prócz dwóch czarnych wiecznych piór, stosu wizytówek i zdjęcia z George'em nie było żadnego śladu, że ktoś tu pracuje.

Carla zapadła się w głęboki fotel z książką w rękę, ale zauważyła na niskim stoliku stos scenariuszy i sięgnęła po jeden. *Miś, który uratował Boże Narodzenie*, Joshua King. Własność NJTF. Carla spojrzała na zegarek. Było pół do dwunastej. Otworzyła scenariusz na pierwszej stronie. Poczyta do przybycia Josie.

W tej samej chwili Josephine O'Leary kończyła brać prysznic w swoim mieszkaniu. Wyszła od Armonda koło ósmej. Joshua jeszcze spał i Josie pozwoliła sobie poleżeć w jego objęciach o całe dziesięć minut dłużej, niż planowała. Rozkoszowała się tym uściskiem. Podobały jej się jego silne ramiona, poczucie bezpieczeństwa, jakiego doznała, to, że spał z głową zaraz przy jej uchu. Wspaniałe było także uczu-

cie spokoju, przekonanie, że ich związek jest naturalny, że - tak jak powiedział Joshua - wszystko jest tak, jak miało być.

Nie obawiając się Shepa Adamsa, wiedząc, że studio będzie realizowało *Misia* i mając drogocenną umowę na pięćset tysięcy dolarów wynagrodzenia, Josie kipiała podnieceniem i czuła się pełna brawury.

Zaczął to wszystko Henry Antonelli, zostawiając jej kartkę pod wycieraczką. A może Joshua, pisząc dawno temu scenariusz w Miami? Albo duchy wszystkich szefów studiów, łaskawie rozpraszających stające wszystkim na drodze szare chmury biznesu, aby Josie mogła łatwo między nimi przejść.

Zacząła w myślach kompletować obsadę *Misia*. Henry będzie facetem z Wall Street. Być może uda się przekonać Warrena Beatty, żeby zagrał jakiś epizod. A główną rolę kobietą musi zagrać J.Lo... albo Renee Zellweger.

Dotarła do NJTF dopiero koło południa. Przyjechała swym saabem z podniesionym dachem, zgodnie z zaleceniami dermatologa, żeby nie wystawiać głowy na działanie słońca, ale i tak czuła się jak jedna z tych kalifornijskich dziewczyn z piosenek Beach Boysów.

Wjechała na parking, zamknęła samochód i różnym krokiem ruszyła do NJTF. Powiedziała dzień dobry dziewczynom siedzącym w salonie. Jedną ręką grzebała w torebce, upewniając się, że ma ze sobą komórkę, a drugą zdejmowała okulary słoneczne, więc otworzyła drzwi do swego pokoju nogą.

- Cześć - odezwał się ktoś. Josie upuściła okulary.

- Co... - Wtedy zobaczyła, kto to jest. Carla Trousse, córka Henry'ego siedziała w fotelu pod ścianą. Na kolanach miała scenariusz i zdawała się wyjątkowo opanowana.

Carla słyszała, jak Josie wchodzi do budynku i zmusiła się do tego, żeby nie wstać z fotela. Przygotowywała się do

tego spotkania całą noc, przypominając sobie bardzo szczegółowo poprzednie spotkania - czy może raczej zderzenia - z Josie.

- Pewnie mnie pamiętasz - zaczęła Carla życzliwym głosem. - Carla Trousse.

- Pamiętam - powiedziała Josie natychmiast, przybierając miły wyraz twarzy, podczas gdy w głowie szumiały jej tysiące pytań. - Oczywiście, że pamiętam.

Rozdział dwudziesty szósty

Co za niespodzianka! - powiedziała Josie, dalej stojąc w drzwiach. Wyciągnęła rękę do Carli. - Witaj.

- Dzięki.

Carla nie wstała z fotela. Josie pochyliła się, podniosła okulary. Powoli podeszła do biurka i zauważyła, że jej zdjęcie z Georgem Clooneyem stoi krzywo, więc wyprostowała je, a potem przeszła na drugą stronę biurka i usiadła.

- A więc - powiedziała uprzejmie - czym mogę ci służyć? Otworzyła szufladę i wyjęła mały słoik suszonych fig.

- Może figę?

- Nie. - Carla pokręciła głową. - Mówiąc bez ogródek, poprosiłam o pracę tutaj i o to, żeby pracować z tobą.

- Co... przepraszam?

- W ciągu ostatnich kilku tygodni wszyscy pytali, co chcę robić. Dużo o tym myślałam i zdecydowałam, że chcę pracować tutaj - przerwała. - Nadine Dillenberger powiedziała mi kiedyś - ty chyba też przy tym byłaś - że NJTF to rewelacyjne miejsce pracy.

Carla przyglądała się Josie, żeby zobaczyć, czy pokaże po sobie, że pamięta owo spotkanie w Ivy, ale z twarzy Josie nie zniknął uśmiech.

- To prawda. Jest rewelacyjne. Wszyscy są tacy wspaniali i mądrzy. No i oczywiście jest Henry. To znaczy, właśnie dzięki niemu istniejemy, prawda? Bez Henry'ego, nie byłoby... nie chcę pominąć Esther, ona też jest wspaniała, ale to miasto opiera się na talencie, prawda?

- Zgadzam się z tobą - powiedziała Carla. - Muszę się jeszcze wiele nauczyć, ale co do tego się z tobą zgadzam.

- No dobrze. - Josie postukała palcem w stół.

- Tak?

- Będziesz tu pracować. Zakładam, że cię przyjęli - parsknęła śmiechem Josie.

- Tak - odpowiedziała uśmiechem Carla. - Nic dziwnego, prawda? Zdaje się, że Henry'emu bardzo zależy na tym, żeby utrzymywać ze mną stosunki.

Josie uniosła brwi i Carla była zadowolona, że wspomnienie mimochodem o Henrym odniosło pożądany efekt. - Moje życie się oczywiście zmieniło, więc i ja muszę się zmienić. Powiedziałam Henry'emu, że chcę tu pracować i że chcę pracować z tobą.

- Uhm.

- Uhm.

- Dlaczego ze mną?

- Szczerze?

- Tak. - Twarz Josie rozjaśnił uśmiech. - To znaczy, czuję się zaszczycona. Ale także zaintrygowana.

Carla odczekała chwilę, przed złożeniem oświadczenia, które ćwiczyła przez cały ranek w swoim pokoju. - Bo jesteś chyba najgorsza ze wszystkich ludzi, których spotkałam w L.A.

- Ja? - Uśmiech Josie pogłębił się.

- Tak. Przyznaję, że nie poznałam jeszcze zbyt wielu osób, więc może są ludzie okropniejsi nawet od ciebie. - Carla znów uśmiechnęła się promiennie.

- Co się składa na „okropność”? - Josie zachowywała spokój. Cała sytuacja była idiotyczna.

- Pamiętasz, jak się poznałyśmy? W Ivy?

Josie potrząsnęła głową. - Chyba mylisz mnie z kimś.

- Nie - powiedziała Carla. - Byłam z Nadine Dillenger, a ty byłaś umówiona na kolację z Henrym.

Nagle przez głowę Josie przemknęło wspomnienie czegoś czerwonego. Spojrzała na szkarłatne okulary Carli i przypomniała sobie. - Myślę, że się mylisz - nie ustępowała.

- Nie. Ale widzisz, właśnie potwierdzasz to, co powiedziałam. Pamiętasz mnie, a jednak kłamiesz bez żadnego wysiłku i na mnie to robi wrażenie. Zlekceważyłaś mnie, specjalnie mnie ignorowałaś i choć tego nie powiedziałaś, zapewne uznałaś, że ktoś tak gruby, niezdarny i źle ubrany jak ja nie może ci się do niczego przydać. - Podniosła wzrok i spojrzała w oczy Josie. - Nie myślę się, prawda?

- Bardzo się mylisz.

Josie przyglądała się tej grubej, niezdarnej, źle ubranej kobiecie, którą miała przed sobą. - Ale w tym mieście kwitnie wyobraźnia.

- A teraz musisz się ze mną zadawać, ponieważ jestem córką Henry'ego, a nie chcesz stracić tej pracy i - wskazała scenariusz *Misia* - tego filmu.

- O co ci chodzi z filmem?

- Co?

- Przed chwilą wspomniałaś, że „nie chcę stracić tego filmu”. Co do realizacji tego filmu nie ma żadnych wątpliwości.

- Aha.

- Nie ma.

- Oczywiście, że nie.

- No. - Josie położyła ręce na biurku. - To nieco niespodziewane. Przykro mi, że masz o mnie taką złą opinię.

- Szczerze mówiąc, jestem raczej pełna podziwu.

- Naprawdę?

- Twoje postępowanie wprawia mnie w osłupienie. Zwykle tak nie postępuję, ale wyjątkowe okoliczności wymagają wyjątkowego zachowania. Chcę cię obserwować, chcę się nauczyć zachowywać jak ty.

- Po co?

- Żeby móc tu przetrwać.

- Nie potrzebujesz mnie. Masz Henry'ego.

- To fakt. Ale poradzę sobie jeszcze lepiej, jeżeli zdobędę niektóre z twoich... twoich umiejętności.

- Dobrze - powiedziała Josie. Była coraz bardziej zirytowana. Urwała główkę gerbery z kompozycji kwiatowej stojącej na rogu biurka. - Jaki jest plan?

- Ty mi to powiedz. Jesteś moją nauczycielką.

Josie i Carla wpatrywały się w siebie, zbierając informacje do przyszłych rozgrywek.

Josie o Carli: brzydkie ciuchy, brzydkie okulary, brzydkie nogi, brzydka, brzydka, brzydka.

Carla o Josie: sztuczny nos, sztuczne wargi, sztuczne włosy, sztuczna, sztuczna, sztuczna.

- A więc - powiedziała Josie.

- A więc - zawtórowała Carla.

- Czy masz jakieś pytania?

- Na razie nie. Tylko się przyglądam.

- No więc dobrze.

Nie miała pojęcia, czego Carla od niej chce. Gdyby ktoś ją zapytał, powiedziałyby, że jedyną szansą Carli na upodobnienie się do niej byłaby reinkarnacja.

Zadzwoił telefon na biurku. Josie podniosła słuchawkę i przytknęła do ucha. - Nie. Później zadzwonię - rozłączyła się. - Mam gdzieś tu słuchawki.

- Jak Ernestine?*

- Kto?

- Nieważne.

Telefon znów zadzwonił i Josie jeszcze raz powiedziała, że oddzwoni później. Spojrzała na Carłę, uśmiechnęła się swoim jakby kwadratowym uśmiechem i miłym tonem powie -

*Ernestine - telefonistka z telewizyjnego programu rozrywkowego ..Saturday Night Live" grana przez Uly Tomlin.

działa - Autorzy. Muszą się nauczyć, że jeśli do nich nie dzwonicz, to znaczy, że nie chcesz z nimi rozmawiać.

- Aha. A dlaczego dzwonią?

- Żeby się dowiedzieć o materiał, który złożyli.

- Przeczytałaś go?

- Nie.

- To dlaczego im tego nie powiesz?

- Właściwie mogłabym. Ale to nie ich sprawa. Jeżeli autor z własnej woli składa scenariusz, mnie nie obowiązuje żaden termin.

- Czy ja mogłabym?

- Czy mogłabyś co?

- Czy mogłabym przeczytać?

Josie lekko pokręciła głową i wzruszyła ramionami z niedowierzaniem. - Mogłabyś, ale po co? Carla tak samo wzruszyła ramionami. - Bo lubię czytać.

- No cóż - uśmiechnęła się radośnie Josie. - Nic nie stoi na przeszkodzie.

Zadzwoił telefon i Josie po raz trzeci powiedziała, że potem oddzwoni.

- Jeszcze jeden autor? Josie skinęła głową.

- Dlaczego z nimi nie rozmawiasz?

- A jednak mogę cię czegoś nauczyć. - Josie odchyliła się na krześle i jej uśmiech nieco złagodniał. - W Hollywood telefon jako taki stanowi broń. Nie mam obowiązku do kogoś oddzwaniać, tylko dlatego, że ktoś zadzwonił do mnie. Zastanów się nad tym. Nie masz obowiązku zmieniać wiary, tylko dlatego, że przyszedł do ciebie świadek Jehowy, prawda?

Carla nie odpowiedziała.

- Czy zastanawiałaś się nad zrobieniem sobie operacji korygującej krótkowzroczność? - zapytała Josie. Była to najsympatyczniejsza rzecz, jaką mogła Carli w tych okolicznościach powiedzieć.

- Myślałam o tym - powiedziała Carla. - Ale oczy... ma się tylko jedno. Pamiętasz Reganę i księcia Gloucester „wyskocz, marna galareto” i tak dalej?

Josie spojrzała na nią nieprzytomnie.

- *Z Króla Leara?* - powiedziała Carla zrezygnowana.

- Aha - Josie znów się uśmiechnęła. - Czytałam to tak dawno temu. Słuchaj, jeżeli kiedyś zmienisz zdanie, znam dobrego okulistę. To wcale nie jest taka straszna operacja. Heather z naszego biura miała ją w zeszłym roku. Zastanawia się nawet nad zmianą koloru na fioletowy. Podobno teraz umieją to robić.

- Niedługo będzie można wejść na salę operacyjną wyglądając jak ja, a wychodząc wyglądać jak Julia Roberts.

- Wątpię. Bardzo w to wątpię. Carle zamurowało.

- Chodzi mi o to, że przecież nikt nie chciałby wyglądać tak jak ona. Starzeje się.

- Wszyscy się starzejemy.

- Tak, starzejemy się - zgodziła się Josie. - No to...

- No to zadzwoń do kogoś, zrób coś.

- To się tak nie odbywa. Nasz biznes działa inaczej. Prawda była taka, że Josie nie lubiła rozmawiać przez

telefon w obecności innych, ale przecież nie mogła poprosić Carli, żeby wyszła.

- Oczywiście, że tak się odbywa - powiedziała Carla. - Wszystkie biznesy są podobne. Pracowałam w wielu. W wielu - przerwała. - Jedna osoba dzwoni, druga odpowiada, sprawa zostaje załatwiona.

- W jakiego rodzaju biznesach?

- W żadnym tak ważnym jak twój. To znaczy, kiedyś pisałam recenzje książek dla pisma literackiego na Manhattanie. Musiałam rozmawiać z autorami i wydawnictwami...

- Poczekaj. - Josie wyprostowała się na krześle. - Może jedna z tych książek by się nadawała? Zawsze szukamy no-

wego materiału. Może czytałaś coś, na co jeszcze nikt nie wpadł, o czym nikt tutaj nie słyszał? Tak właśnie uda ci się tu zrobić karierę, dzięki powiązaniom w wydawnictwach. - Nagle Josie popukała się w głowę. - Mówię tak, jakbyś ty potrzebowała „robić karierę”. Córka Antonellego.

- No tak - powiedziała Carla. - Nie masz wyboru, prawda?

- Jakiego wyboru?

- Musisz mnie znosić.

- Nie. Mam wybór, oczywiście, że mam wybór - powiedziała Josie, jednocześnie myśląc: Nie, ty gruba krowo, nie mam wyboru. Chcę, żeby mój film został zrobiony, i dlatego tkwię tu z tobą i znoszę twoje sadystyczne gierki. Zacisnęła nerwowo dłonie.

- Naprawdę interesuje mnie, co to znaczy być producentem - powiedziała Carla. - Na czym to konkretnie polega? Co ty robisz?

- Co robię? - powtórzyła Josie. Miała ochotę zrobić jedno, a mianowicie powiedzieć Carli, że jest żalostną kobietą, która przez czterdzieści lat nie zrobiła nic wartościowego i Josie zmusza się do rozmowy z nią tylko dlatego, że Henry jest jej potrzebny do zrealizowania filmu.

- Słuchaj, powiedz mi, co chciałabyś robić? Mogłabyś dalej pisać recenzje scenariuszy.

- Czy ty je piszesz?

- Nie.

- To ja też nie będę.

Kolejny impas. Przytulny pokój wypełniało napięcie.

- Carla. - Josie traciła cierpliwość. - Ten biznes... oto pewna mądrość... Robię to od lat. Ten biznes opiera się na układach. Ty... ty masz najlepszy układ pod słońcem, z takim ojcem... Czy mówisz do niego tato? Zastanawiałam się nad tym. Mniejsza o to. Nie mogę tak po prostu usiąść i do kogoś zadzwonić. Chodzi mi o to, że mogę, mogę zadzwonić do agenta...

- To zadzwoń.

- Daj mi skończyć. Mogę zadzwonić do agenta i poprosić o materiał, który ktoś tutaj może przeczytać, albo mogę zadzwonić do menedżera i umówić się na spotkania, ale nic nie dzieje się bez planu. Ty... ty nie musisz tego robić.

- O tym już wiem. Chcę się dowiedzieć czegoś o tobie. Jaki masz plan dnia?

- Mój plan... to bardziej skomplikowana sprawa. I każdy postępuje inaczej. Ale najważniejsze jest to: wszystko, co tu robimy, jest dla Henry'ego.

- Henry nie gra we wszystkich filmach, prawda?

- Nie, ale bez niego bylibyśmy niczym. Nawet Esther, bez względu na to, co sobie wyobraża.

- Nie lubisz Esther?

- Tego nie powiedziałam.

- Powiedz mi o *Misiu*. Właśnie go czytałam.

- O *Misiu*? - Twarz Josie pojaśniała. - Jest rewelacyjny, nie uważasz?

- Jeszcze nie skończyłam.

- To właśnie powinnaś zrobić. Skończyć czytać scenariusz. Wiesz, że już został zatwierdzony do produkcji?

- Przez Studio X?

- Tak. W przyszłym tygodniu mamy pierwsze spotkanie z Joshuą na temat poprawek do scenariusza.

- Z Joshuą?

- Autorem. Joshuą Kingiem.

- Aha.

Josie czekała, aż Carla podejmie czytanie.

- Nie chcesz go skończyć?

- Nie - powiedziała Carla. - Mówiłam ci, że chcę zobaczyć, jak pracujesz.

- Dobra. Nie ma sprawy.

Starając się zyskać na czasie, przekartkowała spis telefonów. - Ale ja teraz sama zajmę się przeczytaniem *Misia* na nowo. Muszę zrobić notatki.

- Notatki do?...

- Sugestie poprawek. Żeby je dać autorowi. Chociaż uważam, że scenariusz jest całkiem niezły, nie sądzisz?

- Jeszcze nie skończyłam. Ale jeżeli zostanie zrealizowany...

- Kiedy zostanie zrealizowany...

- Na czym będzie polegała twoja praca?

- Jestem producentem, co do tego nie ma wątpliwości.

- Ale co robisz?

- Za każdym razem co innego, ale w tym wypadku znalazłam scenariusz, dałam go odpowiednim osobom i załatwiałam sprawy z autorem.

Carla skinęła głową beznamiętnie.

- Czy będziesz tak siedziała i patrzyła na mnie? - zapytała Josie z niezadowolaniem. Nagle poczuła się jak niańka. - Teraz będę czytać.

- Ja też - powiedziała Carla i wróciła do scenariusza. Josie nie widziała, że za jej opadającymi na twarz włosami pojawił się szeroki uśmiech. Martwiła się o tę pierwszą rozmowę, lecz teraz czuła, że odniosła zwycięstwo.

- Idę do łazienki - powiedziała Josie.

- Dobra - wymruczała Carla, ciągle się uśmiechając. Josie stanęła na korytarzu i oparła się o ścianę. Danny

Cohen mijał ją w pośpiechu.

- Jak idzie z następczynią tronu?

- Skąd wiesz?

- Wiadomości szybko się rozchodzą.

- Cudownie.

- Tak, na pewno. Możesz nabrać wiele osób, kochana Josie, ale nie mnie. Nie wierzę ci ani trochę.

- Nie mów nikomu - wyszeptała Josie, rozglądając się, czy nie ma w pobliżu innych pracowników - ale myślę, że ona jest trochę, no wiesz, psychiczna, świrnięta. - Josie popukała się w czoło.

- Bądź cierpliwa. Trafia ci się taka okazja, nie możesz jej marnować. Musisz zmądrzeć.

- Wiem.

- Poza tym na pewno nie jest taka zła. Pomyśl, co ją spotkało. Najgorszemu wrogowi bym tego nie życzył.

- Tak, to takie straszne być córką Henry'ego. Czysta tragedia. Daj spokój, Danny, nic nie rozumiesz.

- Żebyś się nie zdziwiła. Jestem mądrzejszy niż na to wyglądam.

Poklepał ją po ramieniu i pobiegł dalej, zawsze w-ruchu, zawsze w pośpiechu, najlepszy sprzedawca w mieście. Josie stała na korytarzu, nie mając ochoty wracać do swego pokoju. Carla Trousse chciała być taka jak ona, najgorsza kobieta w L.A. No, dobrze, pomyślała. Pokaże Carli, co to znaczy być okropną. Nauczy ją wszystkiego, co sama wie, a potem poczeka, aż stąd ucieknie i zacznie żyć za pieniądze Henry'ego. Josie nie miała wątpliwości, że Carla jest za miękka do tego biznesu.

Rozdział dwudziesty siódmy

Spotkanie w sprawie poprawek do scenariusza nie zaczęło się najlepiej.

- Rozumiem, rozumiem - mówił Joshua King w czapce baseballowej drużyny Floryda Marlins nałożonej tyłem na przód. - Ale tak jak powiedziałem, uważam, że trzeci akt jest raczej niezły.

Siedzące obok siebie Esther i Tess Johnson, jedna z dyrektorek ze Studia, wymieniły spojrzenia. Carla siedziała z boku, robiąc notatki, ale nie odzywała się. Henry postukał długopisem w stół. Josie poczuła się w obowiązku zainterweniować.

- Oczywiście, że jest raczej niezły, Josh, ale Esther chce, żeby był jeszcze lepszy, prawda, Esther?

- Tak, dziękuję ci, Josie - potwierdziła Esther z leciutką nutą sarkazmu. - Chcę, żeby był jeszcze lepszy.

- Nie ma sprawy - powiedział Joshua.

- Może powinieneś coś sobie zanotować? - zapytała Tess. Joshua postukał się w czoło. - Nie martw się. Wszystko mam tu.

Spojrzał na Esther. - Chciałem też z wami porozmawiać o czymś innym. Nie wiem, czy Shep do was dzwonił, ale mam dla was propozycję. To zajmie tylko sekundę.

- Rozmawiamy o *Misiu* - powiedział Henry.

- Tak jak mówię, to zajmie tylko sekundę.

- Później wysłucham twojej propozycji, Josh - powiedziała Josie przymilnie. - A może teraz pozwolisz Esther i Tess zreferować resztę uwag?

- Ja praktycznie skończyłam - powiedziała Esther z niechęcią. Jej instynktowna reakcja na Joshuę była zdecydowanie negatywna. Ani razu nie otworzył notesu. Być może się myliła, ale przypuszczała, że Joshua spędzi nad „poprawkami” najwyżej dwie godziny. Najwyraźniej uważa, że „wszystko mu się należy”, i Esther miała wielką ochotę ściągnąć tę czapkę i dać mu nią po głowie.

- No dobrze - powiedział Joshua, odsuwając krzesło - w takim razie chyba już...

- Ja mam coś do powiedzenia.

Wszyscy odwrócili się w stronę Carli, która odezwała się po raz pierwszy. Pracowała w NJTF od tygodnia i zaczęła wyglądać nieco lepiej. Josie przypisywała to wpływowi swojego znakomitego wyczucia mody.

- Co? - zapytała Josie.

- Musi być wyraźnie wyjaśnione, w jaki sposób protago-niście udaje się uratować Boże Narodzenie - oświadczyła Carla. Jej głos nabierał pewności. Planowała to wystąpienie od chwili, kiedy Esther zaproponowała jej wzięcie udziału w zebraniu na temat poprawek. - Chodzi mi o to, że zasadniczo jest to historia Adama w Raju. Bardzo dobrze to obmyśliłeś. Główny bohater, Carrington Clark III, ma pieniądze na zabawki dla dzieci ulokowane w bezpiecznych obligacjach państwowych. Ale czuje też, że mógłby na pewno zarobić na giełdzie. Mógłby zrobić miliony, biliony na kupno zabawek i oczywiście jeszcze zostałoby coś dla niego. Więc co robi ten Pan i Władca? - Carla rozejrzała się po pokoju. Wszyscy słuchali. - Oczywiście inwestuje wszystkie pieniądze na giełdzie - dokładnie ten sam paradygmat co Adam zjadający jabłko. I wtedy co? Wszystko traci.

Są tu wszystkie elementy. Jest facet, który mimo wielu przeciwności znajduje w sobie dobro, a jednocześnie na nowo rozkręca przedsiębiorstwo Świętego Mikołaja. Ale potrzebne są konkrety. Jak on to robi?

Joshua patrzył na nią bez wyrazu. - To wszystko tam jest, no nie?

- Nie - odparła Carla rezolutnie. - Przykro mi. Nie ma trzeciego aktu, jedynie jego imitacja.

Henry i Esther wymienili spojrzenia, zaskoczeni i pełni podziwu.

- Nie chodzi ci o „nie ma” w znaczeniu „w ogóle nie ma”, prawda? - zapytała Josie. Czy Carla uprawia sabotaż?

- Szczerze mówiąc, tak.

- No to - powiedziała Josie - może studio rzuci na to światło? Tess Johnson przyglądała się od dwudziestu minut Joshui

Kingowi, przypominając sobie, jak się z nim przespała dwa miesiące temu. Nie był aż tak oszłamiający, jak sam sobie wyobrażał, ale przez krótki czas bawiła się dobrze.

- Carla trafiła w samo sedno.

Joshua wlepił wzrok w Tess. - Wiedziałem, że to powiesz.

Tess odpowiedziała mu spojrzeniem. - Tak?

Josie poczuła się niezręcznie. Joshua wspomniał, że zna Tess, ale skąd? I jak dobrze? Od wizyty u Armonda widział się z Josie tylko raz. Powiedział, że jest zajęty pracą nad nową propozycją, którą chciał sprzedać NJTF podczas tego spotkania. Będzie wściekły, że nie przygotowała gruntu pod tę jego propozycję. Ale myślała, że jest bardziej bystry. Czy nie widział, że wszyscy w pokoju zwracają się przeciwko niemu?

- Joshua - zaczęła Josie. - Myślę, że spiszę wszystkie notatki z tego spotkania i wyślemy ci. Musisz zwrócić uwagę na trzeci akt. Dostaniemy scenariusz z powrotem za, powiedzmy...

- W kontrakcie napisano cztery tygodnie - powiedziała Esther.

- No to za cztery tygodnie.

- Mogę to zrobić w ciągu dwóch - odpowiedział Joshua. - Nie martw się. Masz rację, Carla. Doskonale rozumiem, co masz na myśli. - Puścił do niej oko.

Carla zamknęła notatnik. Co za idiota.

Josie spojrzała na Joshuę. Co za podrywacz.

Esther zbierała swoje rzeczy. Co za gówniarz.

Tess uśmiechnęła się. Doprowadzę do tego, że go wywalą.

- Dziękujemy, że się dziś fatygowałeś - powiedział Henry

- i jesteśmy bardzo ciekawi, na jaki wpadniesz pomysł.

- Trzeci akt - powiedział Joshua. - Rozumiem. Tak jak powiedziałem, mam to wszystko obmyślane - zawahał się.

- Jesteś pewny, że nie masz czasu na wysłuchanie mojej propozycji?

- Tak - powiedział Henry stanowczo. - Nie mam.

- Ja go odprowadzę do drzwi - powiedziała Josie, popychając Joshuę do wyjścia. Na schodach ze złością wyszeptwała: - Czy chciałeś, żeby wszyscy cię tam znienawidzili? Czy tylko ja?

- Nie było tak źle.

- Esther wyglądała, jakby miała ochotę czymś w ciebie rzucić.

- Nie pozwolę, żeby jakaś dyrektorka od rozwoju zepsuła mi scenariusz.

- Co?

- Daj spokój, Josie, wiesz lepiej niż ja, jak to działa. Każdy przynudza o swoich uwagach, chcąc wtrącić swoje trzy grosze do scenariusza. Oboje wiemy, że scenariusz nie wymaga żadnych zmian. Ale i tak spędzimy długie godziny na tych spotkaniach, żeby każdy sobie ulżył. To głupota. - Joshua zbiegł po ostatnich trzech schodkach.

- Nie zamierzasz nic zmienić?

- Trochę zmienię, tak żeby każdy zasłużył na swoją pensję. - Pociągnął Josie na dwór. - Wyjdź ze mną na chwilę.

Josie wyszła na zewnątrz. - Co? - uśmiechnęła się wyczekująco, spodziewając się, że ją pocałuje.

- Posłuchaj, nie możesz mnie tak zawodzić.

- Słucham?

- Mówiłem ci, że chciałem dziś przedstawić tę nową propozycję.
- Czy ty... co takiego?!
- Byłem gotów do przestawienia swojej drugiej propozycji.
- Ale...
- Jesteś po mojej stronie czy nie?
- Oczywiście...
- No to oczekuję, że następnym razem zrobisz to, co obiecałaś, dobra?
- Chwyił ją za ramiona, pochylił się i szybko pocałował w usta.
Josie poczerwieniała. - Tylko dzięki mnie w ogóle robisz karierę.
Joshua zszedł na chodnik. - Mam wrażenie, że jest na odwrót, kochanie - powiedział, odchodząc.
- Ojej - odezwała się Carla, stojąca na schodkach za Josie. - O co mu chodziło?
- O nic - warknęła Josie. - Podśluchiwałaś?
- Co? Nie. Idę sobie kupić kawę. Ty też chcesz?
- Nie. Dziękuję. - Josie odwróciła się i pomaszerowała z powrotem do NJTF, nie mogąc ukryć złości.
- Carla podeszła do samochodu. Oczywiście, że podśluchiwała. Podśluchiwała całą rozmowę na schodach, przy drzwiach i na ulicy. Uczyła się od Josie bezpośrednio, ale wiedziała, że pośrednie metody zdobywania informacji bywały równie ważne.
- Teraz potwierdziły się jej podejrzenia, że Joshua i Josie są ze sobą związani. Wiedziała, że Joshua jest pismakiem, aczkolwiek obdarzonym charyzmą. Wiedziała też, że może sama poprawić scenariusz *Misia*, mając pewność, że jej praca nie pójdzie na marne. Zacznie dziś wieczorem po kolacji z rodziną Phillipa, Henrym i Cecilią. Utrzyma to w sekrecie, aż przyjdzie odpowiednia chwila. Najważniejszą z lekcji, których się dotychczas nauczyła, było to, że trzeba wiedzieć, kiedy nie należy się odzywać.

Rozdział dwudziesty ósmy

Przez następne dwa tygodnie Carla miała dwa etaty: w ciągu dnia w NJTF i poprawianie *Misia* nocami. Nikomu nie powiedziała, że się tym zajmuje.

W dniu spotkania z Joshuą usiadła wieczorem w swoim pokoju przy dzieciennym biurczku w kącie i pisała do drugiej nad ranem. Pracowała bardzo sumiennie, co ją samą dziwiło. Od czasów studenckich nie była w stanie zdobyć się na naukę do późna w nocy. Teraz zaś trudno jej było usnąć, bo nowe pomysły wyganiały ją z łóżka i popychały z powrotem do laptopa.

Zadanie nie było łatwe. Scenariusz miał swój oryginalny styl i Carla nie chciała go przytłumić. Istniał zbiór reguł dotyczących struktury scenariuszy, których musiała się nauczyć. Część przyswoiła sobie, czytając inne scenariusze, ale ślęczała też nad wszystkimi podręcznikami dla scenarzystów znalezionymi w bibliotece NJTF. Pomysły napływały jeden po drugim i cieszyła się, że nie musi ich dusić w zarodku. Nie dlatego, że Henry czy praca w NJTF dodały jej pewności siebie - po prostu podobało jej się to, co robi. Nie wiedziała, czego się spodziewa po zakończeniu pracy - prawdopodobnie da scenariusz do przeczytania Henry'emu i Esther, żeby zobaczyć, czy w ogóle się do czegokolwiek nadaje - ale na razie czuła przypływ energii, ponieważ koncentrowała się na czymś innym poza sobą i swoją nową tożsamością.

O dziwo, jedynie Josie zorientowała się, że Carla nad czymś pracuje.

- Och, powiedz mi - namawiała ją. - Już ja cię znam.

- Nie sądzę - rzuciła Carla.

- Masz te wielkie cienie pod oczami, czytasz podręczniki dla scenarzystów. Albo piszesz, albo chodzisz z autorem.

- To drugie. Ale mam szczęście.

- Masz trzy stopnie naukowe. Powinnaś pisać. Wiem, że jestem najgorsza z ludzi, których poznałaś w Los Angeles, ale czy jestem tego warta? Mogłabyś teraz kończyć pisanie wielkiej amerykańskiej powieści zamiast męczyć się ze mną.

- Zaryzykuję. Mówiłam ci, że muszę poznać ten biznes od podszewki.

- Niczego się nie uczysz, jeżeli jeszcze nie wiesz, że to się nie nazywa „podszewka”. To się nazywa rzeczywistość.

Carłę kusilo, żeby powiedzieć Josie o poprawkach. Wiedziała, że dawna Carla już by wszystko wypaplała, ale nowa Carla nauczyła się doceniać wartość zachowywania tajemnic, szczególnie tych dotyczących jej samej. W dodatku Josie była jeszcze prawdopodobnie w bliskich stosunkach z Joshua i niewątpliwie by mu doniosła.

- Hej - odezwała się Josie. - Chcesz iść ze mną na przyjęcie dziś wieczorem?

Carla spojrzała na nią zaskoczona. Josie nigdy jej nigdzie nie zapraszała.

- Ja?

- Tak. Nie ma tu nikogo innego.

- Iść na co?

- To przyjęcie z okazji wydania książki tej pisarki, którą lubisz, E.R. Robin. W hotelu Mondrian.

- Ale przecież nikt jej nigdy nie widział?

- Dlatego właśnie urządzą te przyjęcia. Jest czymś w rodzaju kultowej pisarki, prawda?

- Nic nie wiesz o E.R. Robin?

- Nie. Tylko to, co przeczytałam w „L.A. Times”.

- A po co ludzie przychodzą?

- Bo to przyjęcie. I zawsze mają nadzieję, że Robin się pojawi. Ludzie biją się o zaproszenia. Chcą za wszelką cenę udowodnić, że są jednocześnie VIP-ami i intelektualistami - Josie przerwała. - Mniej więcej tak jak ty.

- To najsympatyczniejsza rzecz, jaką mi do tej pory powiedziałaś. Zastanowię się.

- Nie zastanawiaj się za długo - ostrzegła Josie. - Ludzie biją się o zaproszenia.

- Po prostu postępuję zgodnie z twoją zasadą: „Nigdy nie zachowuj się tak, jakby ci zależało, żeby gdzieś pójść. Ludzie uznają cię za beznadziejną”.

- Ja tak powiedziałam? - zapytała Josie. - Czasami sama siebie zadziwiam.

- Masz. - Carla otworzyła torebkę i wyciągnęła *Sekrety moich przyjaciół*. - Przeczytaj.

- O rany, Carla, nie mogę. Niektórzy z nas muszą pracować...

- Spróbuj. Obiecuję, że pójde z tobą na przyjęcie, jeżeli przeczytasz przynajmniej jeden rozdział.

Carla położyła książkę na biurku Josie i wyszła.

- Wcale mi nie zależy na tym, żebyś poszła - zawołała za nią Josie.

Zapadła się w fotel z książką w ręce i otworzyła na pierwszej stronie. Nie miała dziś rano nic pilnego do roboty. Nie zaszkodzi przeczytać jeden rozdział. Miała ochotę sama się przekonać, czy E. R. Robin zasługuje na ten wielki rozgłos.

Sześć godzin później nadal siedziała w fotelu. Po raz pierwszy od przeczytania na studiach *Custom of the Country* Edith Wharton czuła taką satysfakcję z lektury. Przegapiła nawet telefon od Joshui, który zostawił wiadomość, że będzie pracował przez cały wieczór, żeby do piątku skończyć poprawki. Kiedy Carla przyszła jej powiedzieć, że czas iść na przyjęcie, przeczytała już trzy czwarte.

- Dobra książka - powiedziała, odkładając ją.

Podjechały pod hotel Mondrian, przypominający bryłę lodu prostokątny biały budynek przy bulwarze Sunset, i dały kluczyki parkingowemu, który odprowadził gdzieś samochód. Carla podała nazwisko modnie odzianemu odźwiernemu, została odznaczona na liście i skierowana do SkyBar po prawej. Wkroczyła pewnie przez szklane drzwi - dostęp do niedostępnych wydarzeń naprawdę dodawał pewności siebie. Wyszły z Josie nad basen, próbując znaleźć kogoś znajomego.

Pierwszą znajomą osobą okazała się Esther.

- Kto by pomyślał! - zawołała Carla.

- Nie spodziewałam się ciebie tu spotkać - powiedziała Josie. Esther stała przed wielką glinianą donicą z ogromną palmą, z których sływał SkyBar. Wydawała się jeszcze drobniejsza niż zwykle. Hollywoodzka Calineczka.

- Czasami udaje mi się wyjść z domu - odpowiedziała Esther. - Choć niezbyt często. - Spojrzała na Josie. - Nie wiedziałam, że czytasz Robina.

- Do dzisiaj nie czytałam.

- Zaskakujesz mnie.

- Umieję czytać - burknęła Josie.

Esther wybuchnęła śmiechem i po chwili, nie mogąc się powstrzymać, dołączyła do niej Carla.

- Nie wiem, co w tym śmiesznego.

- Przepraszam, Josie. To moja wina. Przez cały wieczór się śmieję. O, Josie, Carla, poznajcie Lee - powiedziała Esther. - To moja stara przyjaciółka. I agentka E.R. Robina.

- To znaczy, że znasz ją osobiście... - powiedziała Carla.

- Lee! - Zbliżyło się do nich dwóch najpopularniejszych agentów literackich w mieście. Josie nie wiedziała, jak się nazywają, ale słyszała, że słyną z umiejętności sprzedawania studiom za miliony nawet wyjątkowo niezrozumiałych powieści.

- Lee, słuchaj, my najlepiej pomożemy tej książce - namawiał jeden z nich. - Dostarczymy ją Rudinowi, ludziom, którzy potraktują Robina lepiej niż J.K. Rowling!

- Ja jednak myślę, że to kobieta - powiedział drugi agent, w okularach w rogowej oprawie.

- Czy nie możesz nam przynajmniej tego zdradzić? - zapytał pierwszy.

- Przykro mi - odparła Lee. - Nie mogę zdradzać swoich klientów. Żałuję, że nie mogę - spojrzała na Esther. - Co by się stało z moim udziałem w zyskach? - odwróciła się do agentów. - Znacie Esther?

- Oczywiście - powiedział ten bez okularów. - Jak się ma Henry? Czy możesz go namówić, żeby nas zatrudnił?

Josie pociągnęła Carlę na stronę. W rękę miała margaritę. - Na książkach się nie zarabia - oświadczyła, wskazując ludzi, których uważała za ważnych: Eddiego Clevelanda i Gordona Kelly, agentów pracujących dla talentów, młodą aktoreczkę z nowego filmu Aronofsky'ego, Marcusa Hernandeza i aktora-scenarzystę-reżysera-producenta, który wszystko postawił na epicki film o Wyspie Wielkanocnej.

- Nie mogę uwierzyć, że jej tu nie ma. Gdybym ja napisała powieść, byłabym w samym środku wszystkich przyjęć organizowanych z powodu wydania książek - powiedziała Carla.

- Gdybyś napisała powieść, ja stałabym przy drzwiach, upewniając się, że nie zaprosiłaś wszystkich ubogich z całego miasta.

- Może książka byłaby o ubogich.

- Wtedy zaprosiłybyśmy ich po to, żeby zrobić zdjęcia i żeby wszyscy uprzywilejowani mogli się na nich pogapić. To nie moja wina. Nie ja ustalam zasady.

- Josie? - Carla pociągnęła ją za łokieć. - Patrz, czy to Joshua?

Josie odwróciła się we wskazanym kierunku. Tam, w tym samym podkoszulku, w tych samych beżowych szortach gó-

rował nad innymi Joshua, potwór o głowie wielkości szpilki. Ale to osoba stojąca obok niego była przyczyną, że Josie zamknęła oczy i ponownie je otworzyła przekonana, że wzrok musi ją mylić.

Priscilla Pickering. Kobieta, która wyrzuciła ją z pracy.

Josie poczuła, że żołądek ma ściśnięty zazdrością pomieszaną z gniewem. Wiadomość telefoniczna nie pozostawiała żadnych wątpliwości, tak jakby Joshua powiedział to, patrząc jej prosto w oczy: będę pracował w domu.

- Znasz ją? - zapytała Carla.

- Tak - odparła Josie. - Poznałyśmy się kiedyś.

Josie patrzyła na nich. Joshua miał p i s a ć. Był zajęty. To...

- On jest takim... - przerwała, patrząc na Carłę, która zdawała się czekać na jej reakcję. Nie chciała dać Carli poznać, że jest zdenerwowana. Uśmiechnęła się wesoło. - Miejmy nadzieję, że skończył poprawki...

- Nie musisz udawać - powiedziała Carla. Wiedziała, że Josie jest dumna, ale była także świadkiem pocałunku przed NJTF. Fakt, że Joshua był tu z inną kobietą, musiał zdenerwować Josie.

- O czym ty mówisz?

- Ja nie próbuję... och, daj spokój, Josie, nie bądź taka. Po prostu...

- Co? Mam mówić prawdę jak ty? - Oczy Josie pały. Dopięła drinka i chwyciła lampkę szampana z tacy przechodzącego kelnera. - Zostaw mnie w spokoju.

- Dobrze - powiedziała Carla. - Ale to ty mnie tu przyprowadziłaś. Moim zdaniem to śmieszne, żeby dorosła kobieta nie mogła się zdobyć na szczerłość na temat...

- Carla?

Carla odwróciła się. Stała za nią Nadine Dillenberger z pełnym zadowolenia uśmiechem. -1 Josie. No, no. - Skinęła głową z aprobatą. - Gdybym się o to założyła, dużo bym przegrała.

- Ona pracuje dla... to znaczy pracuje ze mną - powiedziała Josie.
- Wiem o wszystkim - powiedziała Nadine. - Miło, że zadzwoniłaś - powiedziała do Carli.
- Miałam zamiar... byłam naprawdę zajęta. Naprawdę zajęta. Nie wyobrażasz sobie...
- Na pewno nie. Tego jednego jestem pewna: nie wyobrażam sobie.
- Co słyszeć w FP?
- To co zwykle. Roland do idiota, a Gerry to skurwysyn. Jeszcze ciągle są wściekli o *Ostatniego obrońcę*. Zdaje się, że Henry i Esther sprzątnęli im go sprzed nosa, a teraz film zarobił dla was coś około stu milionów dolarów. Szkoda, że nie słyszałyście, co mówią o Henrym i Esther. Nie przepadają za nimi, co do tego nie ma wątpliwości.
- A skąd wy się znacie? - zapytała Josie.
- Nadine była moją asystentką w Nowym Jorku - powiedziała Carla. - A potem ja jej w L.A.
- Nadine była moją asystentką w L.A.! - wykrzyknęła Josie.
- No to teraz twoja kolej, Josie - oświadczyła Nadine.
- Musisz zostać moją asystentką w FP!
- Wszystko możliwe - powiedziała Josie. - Ledwo się trzymam w NJTF. Nie wiem, dlaczego Esther tak mnie nienawidzi.
- Nie nienawidzi cię - odparła Carla.
- Pewnie, że nie - powiedziała Josie do Nadine. - Obie
- wskazała Carle, a potem Esther po drugiej tronie sali - nie mogły się powstrzymać od śmiechu, kiedy usłyszały, że przeczytałam jedną z książek E.R. Robin.
- Przeczytałaś? - Nadine wytrzeszczyła oczy.
- O co wam wszystkim chodzi?! - krzyknęła Josie.
- Skończyłam studia prawnicze, czytam.
- Dobrze, dobrze - powiedziała Nadine. - To świetnie. Ja nigdy nie czytałam E.R. Robin, nie martw się.

- Nie martwię się. O Jezu! Zaraz wrócę.
- Dokąd idziesz? - zapytała Carla.
- Jestem już dużą dziewczynką - odpowiedziała Josie. Dramatycznym ruchem dopiła szampana i odeszła.
- Ona jest niesamowita - powiedziała Carla do Nadine.
- Ten facet tam, ten wysoki, to on napisał *Misia*. Przypadkiem dowiedziałam się, że mieli niewielki romansik.
Nadine spojrzała na drugą stronę sali. - Jest tu z Priscillą?
- Znasz ją?
- Pracowałam z Josie, pamiętasz? Priscillą była jej szefową. Nienawidzi jej. Jak na duże miasto L.A. jest bardzo małe.
Nadine przyjrzała się uważnie Carli.
- Co? - zapytała Carla. - O co chodzi?
- Po prostu cieszę się, że się pozbyłaś tego pomarańczowego swetra.
Podszedł do nich kelner z szampanem na tacy i obie wzięły po lampce.
- To przyjęcie jest głupie - powiedziała Carla.
- Na tym polega urok tego miasta - odparła Nadine.
- Pewnie lepiej, że E.R. Robin nie przychodzi.
Rozległ się dźwięk kieliszków uderzających o beton. Carla i Nadine obejrzały się i zobaczyły kelnera w przepaszającej pozie koło Josie, która ignorowała go, stojąc przed Joshua. Widziała z daleka, jak z każdym ruchem drży jej minispódniczka Burberry. Nagle zapadła cisza i wszyscy usłyszeli koniec wypowiedzi Josie: - ...ty kłamliwy, pozbawiony talentu sukinsynu!
- Ojej - powiedziała Carla.
- Lepiej zabierz swoją szefową - zasugerowała Nadine
- zanim zajmie się nią ochrona.
Carla podeszła do Josie. Widziała, jak Joshua chwyta Priscillę za ramię i wychodzą z patio, kierując się w stronę superszykownej restauracji kuchni fusion o nazwie Asia de Cuba. Josie odprowadzała ich wzrokiem.

- Josie?...

- Chodźmy stąd - odpowiedziała Josie, nie odwracając się do Carli.

- Dobry pomysł.

Wyszły. Pracownik parkingu przyprowadził samochód Josie, ale Carla podeszła do drzwi kierowcy. - Wsiadaj - powiedziała do Josie. - Zawiozę cię do domu.

- A jak wrócisz?

- Zadzwonię po taksówkę. Jestem córką Henry'ego, za-pomiałaś? Mogę nawet wezwać limuzynę.

- Jesteś największą szczęściarą, jaką znam. - Josie chwyciła się pasa, kiedy Carla, która nie przywykła do dziwnego zachowania samochodów bez automatycznej skrzyni biegów, z wizgiem opon ruszyła spod restauracji.

- Nawet po pijaku poprowadziłabym lepiej niż ty.

- Nigdy się o tym nie przekonamy - odparła Carla. - Dokąd?

Josie podała jej adres mieszkania. Było niedaleko Burton Way, u podnóża wzgórz w Beverly Hills.

- No, co się tam działo?

Josie otworzyła okno. - Dziwnie jest siedzieć na siedzeniu pasażera we własnym samochodzie. Wiesz, o co mi chodzi. Pamiętam, jak pierwszy raz kupiłam samochód... to znaczy Mike mi kupił. Ale pamiętam, jak...

- Kto to jest Mike?

- Co?

- Kto to jest Mike?

- Skręć tutaj - rozkazała Josie. - Tu mieszkam. - Wskazała blok z gipsową fasadą. Carla wjechała na podziemny parking.

- Chyba będziesz musiała wejść na górę, żeby wezwać taksówkę.

- Nie martw się - odpowiedziała Carla szorstko. - Mogę stąd zadzwonić.

- Nie bądź taka obrażalska. Żartowałam.

Carla wyciągnęła z torebki komórkę. Był to prezent od Phillipa. Kiedy ją otworzyła, przypomniała sobie, że jeszcze nie załatwiła sobie numeru. Zamknęła telefon i spojrzała na Josie. - Dobra, idę na górę.

Mieszkanie Josie było urządzone identycznie jak sypialnia w „Elle Decor”, bo Josie zobaczyła ją w tym piśmie i odtworzyła kawałek po kawałku. Oprawiła nawet zdjęcie i powiesiła na ścianie, żeby móc pokazać znajomym, skąd zaczerpnęła inspirację.

Carla weszła i od razu zadzwoniła po taksówkę.

- Chcesz coś do picia? - zapytała Josie.

- Tylko wodę.

Josie wróciła po chwili z dwiema szklankami wody, w których pływały plasterki cytryny. - Nie należy nigdy ufać Joshui Kingowi. Zapamiętaj to sobie.

Carla wypięła trochę, czekając na dalszy ciąg.

- Kto to jest Mike? - zapytała ponownie.

Josie spojrzała na Carlę naburmuszona. Po raz pierwszy od czasu, kiedy się poznały, Josie wydała się Carli wynędzniała, nieatrakcyjna. Spuściła głowę, nadal milczała.

- Słuchaj, Josie, jestem o wiele starsza od ciebie. Wiem, że to nie moja sprawa, ale...

- Tylko bez kazań, Carla. Mówiłam ci.

- To się nazywa współczucie.

- Nie, to się nazywa protekcjonalność. Nie potrzebuję tego. Naprawdę nie. Nie wszyscy mamy chrestną matkę wróżkę. O proszę, oto mój tata, słynny gwiazdor filmowy! Nie możemy sobie pozwolić na uczuciowość. Musimy pracować.

- No tak, pracować. Ty naprawdę pracujesz. Josie pracuje przez cały czas. Zastanówmy się. Przeglądasz „Variety”, żeby zobaczyć, o kim napisali. Czytasz „Vanity Fair” i złościsz się, że nie ma nic o tobie. Sprawdzasz e-mail, żeby się upewnić, że nikt sobie nie radzi lepiej od ciebie. Tyle pracy, a do tego jeszcze masz ciągłą paranoję, że wszyscy są przeciwko

tobie. To dopiero praca. Zadziwiająca, że masz w ogóle czas na cokolwiek innego.

Josie położyła głowę na stole. - Odkryłaś moją tajemnicę. Istny z ciebie Sherlock Holmes.

- Moim zdaniem musi być jakiś sposób na to, żebyś ciągle nie była taka zaniepokojona, pełna obaw.

Josie podniosła głowę i spojrzała na Carlę. - Nie jestem ciągle zaniepokojona. Jestem świadoma, że biorę udział w grze tak jak ty, jak wszyscy inni, bez względu na to, czy się do tego przyznasz, czy nie. Tu wszędzie są chciwe skurwysyny, wszędzie, nawet twój święty Henry, nawet Esther Wspaniała. Nie można stracić czujności. Wiem, że chciałaś ze mną pracować w celu przeprowadzenia jakiegoś eksperymentu socjologicznego, ale ja próbowałam ci coś pokazać, bo widzę, że nie masz o niczym pojęcia. Co? Nie gap się tak na mnie. Śmietana zbiera się na powierzchni. Dobrzy ludzie zawsze wygrywają. Mam dla ciebie wiadomość, Carla

- wcale tak nie jest. Henry sobie poradził, bo ma szczęście. Ale jest w tym mieście milion ludzi, którzy chętnie rozszarpaliby go na kawałki. Ludzie są skąpi, spanikowani, zdesperowani i chcą zrobić pieniądze. Dużo pieniędzy. Ja też chcę zrobić pieniądze. I chcę, żeby moje nazwisko pojawiało się na ekranie wielkimi literami. I dlatego właśnie Joshua King jest takim wielkim, wielkim, wielkim skurwysynem.

Klimatyzacja w mieszkaniu Josie nawiewała powietrze tak przesycone substancjami chłodzącymi, że Carli zdawało się trujące.

- No? - zapytała wyzywająco Josie. - Znudził ci się już eksperyment? Lepiej było jej nie prowokować. Carla nie odpowiedziała.

- Odezwij się do mnie!

- Nie musisz mnie przekonywać - zaproponowała Carla.

- Już wcześniej wiedziałam, że Joshua King to skurwysyn.

- Skąd?

- To proste - powiedziała Carla, wyglądając przez okno od frontu. Samochód już po nią przyjechał. - Miał adidas do kostki.

- Ty nosisz adidas za kostkę.

- Tak, ale nie jestem dwudziestopięcioletnim facetem. Czapka baseballowa tyłem na przód tylko pogarsza sprawę. Na czole ma wypisane „skurwysyn”.

Carla podeszła do wyjścia. - Przykro mi z powodu tego, co się dziś stało.

Josie nie ruszyła się z kanapy. - Nie ma sprawy - powiedziała cicho. - Popełniłam błąd. To się zdarza. Zwykle umiem się opanować. Wiem, jak się w to gra.

- Do jutra?

- Uhm.

Widząc ją tak na kanapie otoczoną idealnie rozmieszczonym poduszkami i grubym kudłatym kocem, Carla nagle ujrzała wizję Josie jako starej kobiety, chudej, samotnej i po zbyt wielu operacjach plastycznych.

- Do jutra - wymamrotała Josie, słysząc, że Carla wychodzi. Położyła głowę na poduszce i zamknęła oczy.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Następnego ranka Josie obudziła się o piątej. Wstała szybko i od razu poszła pobiegać: w górę Doheny Drive, do bulwaru Sunset i dalej do kanionu Runyon. Przez półtorej godziny zmuszała się do dużego wysiłku, biegnąc w górę po krętym szlaku, nie przejmując się stromiznami. Mijała kobiety w podkoszulkach bez rękawów na spacerach z psami. Musiała wstrzyknąć trochę adrenaliny do swego świata, musiała zmusić Niewidzialną Rękę do powrotu i zwrócenia na siebie uwagi.

Kiedy wróciła do mieszkania, Casey Cortelessa właśnie wychodziła.

- Casey! - zawołała Josie. - Casey? Co słychać? Myślałam ostatnio o tobie.

Nie kłamała. Przez całą noc chciała porozmawiać z Casey o tym, co zaszło między nią a Joshua.

Casey osłoniła dłonią oczy od słońca. Zmrużyła oczy. Kiedy zobaczyła, że to Josie, potrząsnęła głową z rozbawieniem.

- Co? - zapytała Josie.

Casey zarzuciła torebkę na ramię i minęła Josie bez słowa.

- Co?! - zawołała Josie. - Dlaczego nie możesz ze mną porozmawiać?

Lecz Casey była już na parkingu. Całe to bieganie poszło na marne. Josie znów była zirytowana. Weszła do mieszkania i zadzwoniła do Rebecki.

- Zapomniałam, kiedy jest przyjęcie urodzinowe Romana.

- W sobotę. Przyjdiesz?

- Nie wiem. Mam kupę roboty, ale pomyślałam...

- Mike przyjdzie. Ze swoją dziewczyną.

- Dziewczyną? „Ktoś specjalny” stał się już dziewczyną?

- Tak. Eve Jakaśtam. Jest scenografem filmowym - odparła Rebecca. -

Podobno pracowała przy różnych słynnych filmach.

Potem Josie musiała znieść dziesięć minut słuchania o tym, jaka cudowna jest Eve, jaka miła, jaka śliczna i jacy są z Mikiem szczęśliwi.

- To ci nie przeszkadza, prawda, Josie? - zapytała Rebecca.

- Oczywiście, że nie.

Powstrzymała się od przypomnienia Rebecce, że to ona odeszła od Mike'a, a nie on od niej.

- Słuchaj, czy nie chciałabyś pojechać z nami na narty?

- Kiedy?

- W lutym. Ale już teraz to planujemy.

- Może.

- Na pewno nie pojedziesz - powiedziała Rebecca - tylko nie mów potem, że cię nie zapraszałam.

Josie zakończyła rozmowę jak gdyby nigdy nic, lecz po odłożeniu słuchawki doznała niezwykłego uczucia, że zaraz się rozplacze.

Wiedziała, że każdy miewa trudne okresy, że po wyskokach Joshui były dość typowe i nie powinny jej nawet dziwić. Co więcej, nigdy tak naprawdę nie była nim zainteresowana. Przedtem była długo sama, więc to normalne, że uległa jego zalotom. Każda kobieta by tak zrobiła.

O wiele bardziej denerwowało ją to, że Mike ma dziewczynę, „wspaniałą” dziewczynę, taką „cudowną” i „miłą”. Nie przypuszczała, że tak szybko dojdzie do siebie.

Przyszła pora na środek ostateczny. Zrobiła to, co zawsze robiła, kiedy nikt inny nie był w stanie jej pocieszyć. Zadzwoiła do ojca.

- Tatusiu? - zawołała żałośnie.

- Nie martw się, królewno - powiedział doktor Paul Hib-berd, jak na zamówienie. - Postępujesz dokładnie tak, jak trzeba. Niczym się nie martw.

Lecz później, w drodze do pracy, Josie była jeszcze ciągle zdenerwowana - rozmowa z ojcem wcale jej nie uspokoiła. Fundamenty, na których opierało się jej życie, zaczęły się rozsuwać jak płyty tektoniczne. Czuła, że dryfuje, nieomal traci kontrolę nad sytuacją.

W tym samym czasie w Santa Monica Carla się spieszyła. Była spóźniona - a przynajmniej spóźniona do pracy na czas, który sama sobie wyznaczyła. Nikogo nie obchodziło, kiedy kto przychodzi do firmy. Taka była polityka Esther. Lecz Carla lubiła być w pracy na dziesiątą. Kiedy w końcu tam dotarła, NJTF zdawało się puste.

- Dzień dobry?

- Cześć, Carla - zawołał Danny Cohen. - Jesteśmy na górze. Twój tata tu jest. Spotkanie pracowników.

- Teraz?

- Dopiero się zaczęło.

Carla wbiegła po kamiennych schodach i pospieszyła do dawnej jadalni. Wszyscy już siedzieli, wśród nich Josie, która ledwo podniosła głowę na widok wchodzącej do pokoju Carli. Carla wcisnęła się na krzesło obok niej. Henry stał u szczytu stołu.

- Dzień dobry, Carla - powiedział. - Nie martwcie się, nie będę dużo mówił - zaczął. Wyciągnął ręce przed siebie i lekko poruszał nimi po stole. Esther siedziała po jego prawej stronie, a przed nimi reszta pracowników, niepewnych i niemogących spokojnie usiedzieć. - Podjąłem decyzję - powiedział. - To może być dla was szok, ale zapewniam was, że długo nad tym myślałem - rozejrzał się po pokoju. - Chodzi o to, że postanowiłem się na pewien czas wycofać.

W powietrzu dało się wyczuć poruszenie. Od wszystkich emanowały wibracje tak wyraźne, jakby Henry uderzył

w struny łączące go z pracownikami. Danny Cohen poprawił się na krześle, Josie, nieomal w transie, położyła prawą dłoń na brodzie.

- Esther będzie dalej kierowała firmą i zawiadamiała mnie o tym, co się dzieje. Ale od tej chwili przestaję pełnić swoje zwykłe obowiązki.

Teraz wszyscy usiedli prosto z łokciami na stole, zmarszczonymi brwiami i spoglądali wokół stołu, spodziewając się, że może ktoś im to jakoś wytłumaczy.

- O czym my tu mówimy? - Danny Cohen uderzył się w czoło dużą dłonią. - Henry, nie mów tego, nie żartuj, mamy szesnaście rozpoczętych projektów, pracuję jak wół, studio na mnie naciska i praktycznie zagwarantowałem im, że zagrasz w tym więziennym dramacie.

- Zrozumiem - odpowiedział Henry.

- Ale... czy to jest na dobre... ty chyba nie... okay, okay, okay - ciągnął Danny - oczywiście możesz robić, co chcesz, oczywiście, ale to jest jak rzucenie nam kłody pod nogi.

- Czy jesteś pewien, że studio nie obetnie nam funduszy? - zapytała Heather. - Czy mamy szukać innej pracy? - mówiła spokojnie. Czowała się bezpieczna dzięki nieomal nieograniczonemu bogactwu, które zapewniały jej fundusze powiernicze stworzone przez ojca.

- Oczywiście - powiedział Henry. - Nie będzie mnie tylko przez pewien czas, nie likwiduję firmy.

Kiedy rano Henry powiedział jej o swojej decyzji, Esther poczuła nagle, że grunt pod nogami jest w rzeczywistości latającym dywanem, mogącym w każdej chwili wyslizgnąć się spod jej stóp. Lecz bardzo szybko przypomniała sobie, że Henry nigdy przedtem nie wziął urlopu i że należy mu się bardziej niż wszystkim innym. Zawsze lubiła w nim to, że był przyzwoitym człowiekiem, umiał oddzielić świat fikcji od realnego życia osobistego. Był artystą, a nie pozerem i właśnie dzięki temu był dobrym człowiekiem, który

jednocześnie odnosił sukcesy. Dowiedział się nieoczekiwanie czegoś bardzo ważnego. Oczywiście, że powinien mieć czas na to, żeby to spokojnie przemyśleć.

- A co z *Misiem*?

Esther podniosła głowę, żeby zobaczyć, kto się odezwał.

- Słucham? - Henry odwrócił głowę.

- Co z *Misiem*, który uratował Boże Narodzenie?

Josie mówiła spokojnie, ale trzymała długopis tak kurczowo, jakby chciała wycisnąć z niego tusz.

- Tak jak powiedziałem, na pewien czas się wycofuję

- powiedział Henry pogodnie. - Cieszę się na długie, przyjemne wakacje...

- To tylko wymówka - oświadczyła Josie. - To wymówka.

- Co? - zapytał Henry. Wszyscy w pokoju odwrócili się do Josie i gapili się na nią. Nikt nigdy nie postawił się tak Henry'emu.

- Josie - wyszeptała Carla - może powinnaś...

- Po prostu uważam, że autor bardzo ciężko nad tym scenariuszem pracuje - przerwała jej gwałtownie Josie - i to nie fair zostawiać go na lodzie.

- Autor? Joshua King? To dobre, Josie, bardzo śmieszne

- roześmiał się Danny. - Żaden autor, który jest cokolwiek wart, nie spodziewa się, że jego scenariusz zostanie zrealizowany. A jeżeli się spodziewa, to jest beznadziejnym półgłówkiem - Danny przerwał. - A Joshua King nie pracuje „ciężko” na tym projekcie, chyba że uznać imprezowanie w Laurel Canyon w każdy weekend za „ciężką” pracę. Nikogo nie oskarżam, ale nie odbywało się tam żadne pisanie.

- Bardzo dowcipne - warknęła Josie. Wiedziała, że posuwa się za daleko, ale oświadczenie Henry'ego zaskoczyło ją i coś w niej pękło. - Dlaczego ten urlop nie może być po *Misiu*?

- Skoro tak, to musiałby też być po moim filmie - dołączył się Danny.

- Josie. - Carla spojrziała na nią badawczo. - Czy ty wiesz, co mówisz?
- Przepraszam wszystkich. Na razie będzie tak, jak postanowiłem. To nie ma wpływu na waszą pracę. Znajdźcie dobre scenariusze i doprowadźcie do ich realizacji - powiedział Henry.

- Właśnie to zrobiliśmy - oświadczyła głośno Josie, ignorując Carłę. - Wszyscy wiemy, o co tu chodzi. Masz córkę. Wszyscy już o tym wiemy. Wielu aktorów ma dzieci, większość z nich, ale nie przestają pracować.

- To nie jest z mojego powodu! - krzyknęła Carla.

- Oczywiście, że tak.

- Zachowujesz się zupełnie niestosownie - warknął Henry do Josie. - Nie muszę ci się z niczego tłumaczyć. Carli, Esther - tak, ale wobec ciebie nie mam żadnych zobowiązań. - Henry oddychał głęboko, próbując zachować spokój.

Josie pochyliła głowę. Wiedziała, że posunęła się za daleko.

- Przepraszam - powiedziała. - Ja się... nie zastanowiłam.

- Esther - powiedział Henry, ignorując Josie. - Czy jesteśmy właścicielami scenariusza?

- Studio jest - odparła Esther. - My jesteśmy producentem.

- Zapłaciliśmy Josie?

- To, co jej się do tej pory należało.

- Josie - Henry mówił powoli. - Nigdy jeszcze nikogo stąd nie wyrzuciłem. Nigdy nie musieliśmy. - Rzucił szybkie spojrzenie Esther, która skinęła głową. - Jeżeli chcesz odejść, masz teraz okazję. Jeśli chcesz zostać, proponuję, żebyś siedziała cicho. Wszyscy mamy dość na głowie. Nie potrzebujemy, ja nie potrzebuję, teraz twojego pieprzenia przekonanego o własnej słuszności.

Josie gapiła się na stół.

- Zrozumiałas? - zapytał Henry.

- Tak.

- To dobrze.

Henry rozejrzał się po siedzących. Milczał przez chwilę, chcąc się uspokoić. Nigdy już nie oczaruje go kobieta podobna do Josie O'Leary.

- Będę z wami w kontakcie. - Ruszył w stronę drzwi. - Carla?

Carla gwałtownie podniosła głowę.

- Pozwól na chwilę, dobrze?

Carla zebrała swoje rzeczy i wstała. Zdawała sobie sprawę, że wszyscy już i tak koncentrują na niej uwagę z powodu wybuchu Josie i wychodząc z pokoju, miała wrażenie, że czuje w plecach sztylety spojrzeń.

Henry czekał na korytarzu.

- To było dość nieoczekiwane - powiedziała.

- Nie chciałem ci wcześniej mówić, bo pomyślałem, że może cię to postawić w dziwnej sytuacji. Ale słuchaj, nie chcę, żebyś się czuła zobowiązana.

- Zobowiązana? Ja się nie czuję...

- Możesz tu dalej pracować. Albo nie. Mają rację, że chcę... moje plany nigdy przedtem nie były tak nastawione na rodzinę. Ale ty nie musisz zmieniać swojego życia. Po raz kolejny.

Carla skrzyżowała ramiona na piersi, przebiegając myślą wydarzenia ostatnich kilku minut. - Zrobiłeś to z mojego powodu?

- Nie tylko. Chcę wziąć urlop. Spędzić czas z Cecilią, z matką. I tak, mam nadzieję, że z tobą.

- Słuchaj, ja chcę... myślę, że Josie powinna...

- Tylko z twojego powodu z miejsca jej nie wywaliłem.

- Zrobisz, co zechcesz - powiedziała Carla. - Ale nie ma powodu się jej pozbywać. Ona jest dobra w... to znaczy naprawdę zależy jej na tej pracy. Po prostu chce, żeby jej film został zrobiony. I myślę... wiem, że ma ciężki dzień.

Henry oparł się o ścianę i podniósł brwi tak wysoko, że ukazały się ponad okularami do czytania.

- Nie różni się od innych ludzi tutaj - ciągnęła Carla. - Ona tylko... ja się ciągle uczę, naprawdę, choć ona może o tym nie wiedzieć.

- W porządku.

- Posłuchaj, Henry. Nie musisz się ze mną obchodzić jak z jajkiem. Szczerze mówiąc, wolałbym, żebyś tego nie robił.

- Tak. Rozumiem.

- Nie mam pretensji... chcę tylko być fair. W stosunku do wszystkich.

- Rozumiem - powtórzył łagodnie.

Spojrzeni na siebie i po raz pierwszy od czasu, kiedy się spotkali, Carla miała wrażenie, że Henry za chwilę ją uściska. Instynktownie odsunęła się o krok. Nie była jeszcze gotowa na taką poufałość. Na razie zmienił się z obcego w szefa. Minie jeszcze trochę czasu, zanim stanie się ojcem.

- Dzień dobry! - ktoś wszedł do budynku i wołał z dołu. Henry podszedł do szczytu schodów, żeby zobaczyć, kto to jest.

- Tak?

- Cześć, Henry, to ja, Joshua.

Henry spojrzał na Carłę, która natychmiast podbiegła do schodów. - Nie dopuścimy go do Josie, dobrze?

- Do Josie?

- To długa historia.

Carla zbiegła po schodach. Joshua czekał na dole. - Jak się pani ma, panno Trousse?

- Wyjdź ze mną na zewnątrz - rozkazała Carla. Podeszła do drzwi frontowych i otworzyła. Blask słoneczny poraził jej oczy. Musiała je mrużyć, żeby zobaczyć Joshuę.

- Czego chcesz?

- Więc Josie ci powiedziała.

Carla nie udzieliła odpowiedzi. Nagle poczuła, że niczego się nie nauczyła od Josie, choć spędziła z nią tak dużo czasu. Że nie jest przygotowana do radzenia sobie z kimś tak przebiegłym jak Joshua.

- Jaką masz sprawę?

Joshua wręczył jej dużą kopertę. - Proszę. Dzień przed terminem.

- Poprawiony scenariusz?

- Tak, w samej rzeczy.

- Świetnie. Dziękuję.

- Hej, czy jest Josie?

Carla spojrzała na niego z niedowierzaniem. - Tak. Joshua podszedł do drzwi. - Chciałem jej po prostu wytłumaczyć...

- Odejdź od drzwi.

- Co?

- Jeżeli wejdiesz do środka, postaram się... żebyś nigdy już dla nas nie pracował.

Na twarzy Joshui pojawił się nieprzyjemny grymas. Zaczął się śmiać.

- Teraz mi grozisz? Jak szybko się zmieniamy.

- Nie grożę. Apeluję do twojego... po prostu nie wchodzi. Po co?

- Josie jest twarda. Nie martwię się o nią.

- Nie - powtórzyła Carla, wchodząc po schodkach ku drzwiom. - Nie możesz wejść.

Przycisnęła kopertę do piersi. - Wszyscy dostaną po kopii, obiecuję.

- Nie możesz mi zabronić wejścia.

Joshua obrócił czapkę, żeby osłonić oczy od słońca. Wyglądał przez to młodziej, łagodniej.

- Mogę - powiedziała Carla. Joshua zmierzył ją wzrokiem.

- No to dobra. W miłości jak na wojnie. Wszystko uchodzi. Do zobaczenia, panno Trousse.

Odwrócił się i nieśpiesznie odszedł chodnikiem.

Carla czekała na schodkach, aż zobaczyła, jak wchodzi na parking. Potem odwróciła się i weszła do budynku. Skierowała się prosto do jednego z wolnych pokoiów do czytania i zamknęła za sobą drzwi. Da wszystkim po kopii scenariusza Joshui, ale najpierw sama go przeczyta.

Rozdział trzydziesty

Po wyjściu Henry'ego i Carli Esther złożyła własne oświadczenie dotyczące zmian w firmie.

- Uważam to za dobrą okazję. Możemy w końcu wszystkim udowodnić, że nie jesteśmy firmą opartą wyłącznie na sławie gwiazdy, że potrafimy rozwijać i wprowadzać do produkcji scenariusze, w których nie ma ról dla Henry'ego Antonellego. Robiliśmy to już, a teraz zrobimy ich jeszcze więcej, więcej dla wszystkich mediów.

Musimy być ostrożni z rozpowszechnianiem wiadomości o urlopie Henry'ego. Henry spotka się w tym tygodniu z człowiekiem od reklamy, żeby ustalić szczegóły. W międzyczasie proszę o zachowanie dyskrecji. Tak jak i wielu ludzi, studia potrafią działać impulsywnie. Mogą się dowiedzieć, że Henry się wycofał, i zatrzymać realizację naszych projektów. Na tym nikomu z nas nie zależy. Czy są jakieś pytania?

Josie siedziała przygarbiona, zastanawiając się, czy zostanie zwolniona.

- Po raz ostatni pytam, czy są jakieś pytania? - powiedziała Esther.

Nikt się nie odezwał.

- Jeżeli ktoś z was chce na ten temat porozmawiać, będę przez cały dzień u siebie - powiedziała, wychodząc. Josie dopiero wtedy się poruszyła. Wiedziała, że choć większość ludzi w Hollywood uznałaby jej atak na Henry'ego za zwykłe potknięcie, Esther uważa go za skandaliczne naruszenie zasad zachowania. Ale czy to naprawdę było takie złe? Czy

nie miała prawa walczyć o swój film? Chyba to właśnie robią producenci?

Zeszła na dół, mając nadzieję znaleźć Carlę. Chciała, żeby ktoś jej powiedział, że to, co zrobiła, jest wybaczone, zapewnił, że nikt jej nie wyrzuci. Ale Carli nigdzie nie było. Josie poszła do swego biura i zamknęła drzwi. Wzięła do ręki scenariusz Mina. Esther miała rację. Brak gwiazdy oznaczał prawdopodobnie, że studio zrezygnuje z projektu. Przepadnie tyle pieniędzy, bo Henry Anto-nelli chce spędzać czas z Carłą Trousse. Było to nieomal śmieszne.

Wyszła z pokoju i skierowała się do kuchni. Przechodząc przez próg, usłyszała, że Esther rozmawia przez telefon w sąsiednim pokoju.

- Słuchaj, Tess, uważam, że trochę przesadzasz. Josie zapewnia mnie, że scenariusz będzie w porządku. Naprawdę. Spodziewamy się go z Henrym w każdej chwili. Wtedy możemy porozmawiać o tym, czyje nazwiska pojawią się na ekranie. Co? Nie, Josie jest w sumie niegroźna. Nie robi nic drastycznego.

Josie odwróciła się na pięcie i pospieszyła do swego pokoju. Tess z Esther degradowały ją, próbowały umniejszyć jej zasługi, odsunąć ją od filmu. Nie pozwoli na to. To był jej projekt. Musi...

Nagle przypomniała sobie, co Nadine powiedziała w Mondrian. Roland to idiota, a Gerry to skurwysyn. Jeszcze ciągle są wściekli o *Ostatniego obrońcę*...

Kirk Gordon był partnerem w FP. On nadawałby się idealnie do głównej roli. Był nawet może odpowiedniejszy od Henry'ego.

W jednej chwili wyciągnęła komórkę. - Halo? - wyszeptała. - Halo? Muszę się porozumieć z Rolandem Starrem. Mówi Josie O'Leary z NJTF...

W dwie godziny później otwierała przeszklone drzwi prowadzące do FP przy bulwarze Pico. Już było jej lżej na sercu. To normalna firma. Nie próbuje być jakąś komuną iiber-pi-sarzy. To firma składająca się z profesjonalistów.

- Cześć, Josie - powitał ją Gerry Simpson. - Miło cię widzieć. Dziękujemy za telefon.

Josie przebiegła wzrokiem biuro w poszukiwaniu Nadine Dillenberger. Przez telefon ostrzegła Rolanda o powiązaniach Nadine z NJTF. Zapewnił ją, że sobie z Nadine poradzą.

Jak dotąd bardzo dobrze. Nigdzie nie było jej widać.

Geny wprowadził ją do sali konferencyjnej - wielkiego, pomalowanego w kolorze akwamaryny pomieszczenia z wąskim owalnym stołem z czarnego onyksu. Wszędzie było widać najnowsze urządzenia elektroniczne, a na ścianie dumnie wisiał oryginalny obraz Georgii O'Keefe. W następnej chwili do pokoju wpadł Roland i podbiegi do niej dwoma wielkimi susami. Otworzył szeroko ramiona. - Josie - zawołał męskim, ojcowskim tonem i Josie poczuła, że ktoś jej pomaga, otacza opieką.

- Josie - powtórzył - Trafiłaś we właściwe miejsce.

- Jesteśmy bardzo podekscytowani... - zaczął Gerry.

- Nie masz pojęcia, jak dalekosiężne są nasze plany dotyczące tego projektu. Są... - przerwał mu Roland. - Najbardziej zależy nam na treści. Po pierwsze i przede wszystkim. Jesteśmy twórczą społecznością i chcemy, żeby kwitła tu kreatywność, a to jest możliwe tylko przy wyjątkowych projektach. Jak ten.

- Czy sądzisz, że uda się namówić Vina Diesela do zagrania drugiej głównej roli? - zagadnął Gerry.

- Pamiętam, kiedy po raz pierwszy o tobie usłyszałem - ciągnął Roland. - Obserwowałem. Wiedziałem, co u nich robisz. Powiedziałem do Gerry'ego: pewnego dnia będę z nią pracował.

Josie skinęła głową i czekała, aż jeden z nich poprosi o scenariusz, który miała w torebce.

- Może Catherine Zeta-Jones zagra główną rolę żeńską? Jest jakaś główna rola żeńska, prawda? W dzisiejszych czasach potrzebna jest laska, jakiś romans. Nie można tego uniknąć. Może jest ktoś tańszy. Muszę pomyśleć.

- Zajmujemy się tu wszystkim: fabułą i rozwojem, produkcją, reklamą i marketingiem - wtrącił się Roland. - Jak na pewno wiesz. Kirk jest po prostu zachwycony. Strasznie się cieszy. Euforystycznie. Jeszcze mu oczywiście nie mówiliśmy, ale na pewno tak będzie. Ogromny sukces kasowy.

- Ogromny sukces kasowy - powtórzył Gerry. - Doskonale to załatwiłaś, Josie. Jeszcze raz ci dziękujemy.

- Czego sobie życzysz? - zapytał Roland. Położył jej rękę na plecach. - Czym możemy ci służyć? Co dobrze wpłynie na twoje samopoczucie?

- Może szklanka wody?

- Szklanka wody! Ha! - wykrzyknął Gerry. - Chodziło mi o to, żebyś czuła się dobrze z nami. Jesteśmy organizacją wykonującą usługi. Nie będziemy jedną z tych firm, w których siedzi się beczynnienie, waląc konia. Tutaj się działa.

Josie gapiła się na niego w osłupieniu.

- Po prostu chcemy, żebyś się dobrze czuła. Inaczej będziemy tu mieli niezadowoloną osobę, a to nikomu nie będzie odpowiadało.

- Więc - zaczęła Josie - myślałam, że może będziecie chcieli...

- Twoje nazwisko w napisach przed tytułem?

- Nie - odparła Josie. - Chodziło mi o scenariusz.

- Scenariusz, scenariusz - powiedział Roland. - Właśnie. Jest cudowny. Mówiłaś, że Henry był zachwycony?

- Tak - odpowiedziała. - Zdecydowanie tak.

- Nie kłamiesz, prawda? Mówisz prawdę?

- Oczywiście.

- No to w czym tkwi problem? - zapytał Gerry. - Dlaczego nagle jest na sprzedaż?

Nareszcie obaj zamilkli, pozwalając Josie dojść do głosu.

- Scenariusz jest na sprzedaż, bo... to znaczy, jeszcze nie jest, ale będzie, bo... i proszę was, trochę się waham, czy to ujawnić, ale... - Josie przerwała. Roland znów położył jej rękę na plecach.

- Możesz nam ufać.

- Ani słowo nie wyjdzie poza ten pokój.

Josie przerwała, zdając sobie sprawę, że ma ujawnić informację, na którą rzuci się całe Hollywood. - Henry odchodzi z NJTF. Wycofuje się z filmu.

Roland podskoczył na krześle, a Gerry pokiwał głową z podziwem.

- Jesteś dziewczyna z jajami, Josie. Z wielkimi jajami. . Odwrócił się do Rolanda.

- To, kurwa, rewelacja. Niesamowita, kurwa, rewelacja.

- Henry odchodzi? - powtórzył Roland. - A dlaczego?

- Z powodu córki - powiedziała Josie. - Pojawiła się jego córka...

- Wiemy, wiemy - rzucił Gerry. - Pracowała u nas.

- Pracowała u was?

- Nie wiedziałaś? - Wlepili w nią wzrok.

- Och, wiedziałam. Po prostu zapomniałam w tym całym... zamieszaniu. Po tym jak Henry się zdecydował... w końcu nie można mieć do niego pretensji. Przecież chce nawiązać jakieś stosunki z córką... przyszło mi do głowy, że może u was znajdzie się miejsce dla takiego projektu.

- Josie - powiedział Roland. - Mądra z siebie kobieta. Przynosisz zaszczyt przedstawicielkom swojej płci na całym świecie.

- Dziękuję. Jesteś bardzo uprzejmy.

- Uprzejmy? Dajesz nam możliwość zrobienia filmu na wysokim poziomie z gwiazdami pierwszej wody, który na pewno zrobi wrażenie na młodszych widzach.

Przerwał i wymienił spojrzenia z Gerrym.

- Tak - podjął Gerry. - Czy mogłabyś nam - w bardzo ogólnym zarysie - powiedzieć, o co w tym chodzi?

Josie sięgnęła do torebki i wyjęła *Misia*. - Streszczę wam, ale tu mam scenariusz.

Gerry wziął go od niej i wcisnął guzik interkomu. - Laura? Mogłabyś tu przyjść?

Spojrzał na Josie. - Za godzinę będziemy mieli recenzję. Góra za dwie. Ale Henry i Esther uważali, że jest dobry, zgadza się?

- Tak uważali.

Laura zapukała do drzwi. Weszła do pokoju, a Gerry wręczył jej scenariusz.

- Zrób kilkanaście kopii, dobrze?

- Proszę was... - przerwała Josie. - Nikt nie może się dowiedzieć, że to tu jest. Jeszcze nikt nie wie o Henrym.

- Przepraszam - powiedział Gerry. - Zrób dwie kopie i zostaw je razem z oryginałem na moim biurku.

- Nie ma sprawy - powiedziała Laura i wyszła.

- No to teraz - zaczął Roland - opowiedz nam o sobie. Jak cię traktowano w NJTF? Czy mają tam jakieś inne projekty warte uwagi?

Kiedy Josie siadała wygodnie na skórzanym krześle, asystentka Laura była już w sektorze dziewczyn od rozwoju i podawała scenariusz Nadine Dillenberger, która, kryjąc się przed Josie, kucnęła skulona za boksem przy sali konferencyjnej.

- „Jeszcze nikt nie wie o Henrym” - powtórzyła Nadine. - Pewna jesteś, że dokładnie tak powiedziała?

Laura przytaknęła. - Tak. I jeszcze powiedziała, że nikt nie może się dowiedzieć, że scenariusz jest tutaj.

Nadine obejrzała scenariusz. *Miś, który uratował Boże Narodzenie*, Joshua King. Własność NJTF Films.

- A myślałam, że już nic mnie nie zdziwi - powiedziała Nadine. - Dzięki, Laura. Mam u ciebie dług.

Wstała, rozprostowała nogi i pobiegła do swego pokoju. Wyciągnąwszy komórkę, wybrała numer.

- Cześć. Mówi Nadine, poproszę z Carłą. Nie szkodzi. Poczekam.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Kiedy zadzwoniła Nadine, Carla właśnie kończyła czytanie poprawionego scenariusza. Joshua zmienił w przybliżeniu sześć słów, w tym słowo „ten” na stronie czterdziestej siódmej. Przed tym telefonem Carla spodziewała się, że punktem kulminacyjnym dnia będzie moment, kiedy wszyscy przyznają, że jej poprawiona wersja scenariusza *Misia* jest lepsza niż wersja Joshui. Ale sytuacja się zmieniła.

Był to dzień rozrachunków. Carla posiadała teraz informację. Josie próbowała sprzedać scenariusz bez wiedzy NJTF. Carla już się nauczyła, że informacja daje władzę.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytała Nadine.

- Nic. Na razie nic.

Carla zamierzała sprawować kontrolę nad przepływem tej informacji. Przez wiele tygodni tylko słuchała, znosiła idiotyzm FP, podłość Gerry'ego, machinacje Josie. Jej życie miało aspekt twórczy - pisanie w domu - ale był w nim również aspekt bardziej intrygujący, bardziej namacalny. Uwielbiała pisać, lecz było to pustelnicze, samotne zajęcie. Natomiast znalezienie się w samym sercu przemysłu filmowego, posiadanie informacji, z którą mogła postąpić szlachetnie albo rozgłosić na prawo i lewo, przyprawiało o zawrót głowy. Nie zdawała sobie sprawy, że od dawna czeka na okazję zademonstrowania swych nowych umiejętności.

- Hej, Kopciuszku - zawołał Danny Cohen. Carla nie zareagowała, nie będąc pewną, czy Danny zwraca się do niej. - Hej, do ciebie mówię.

- Mało mam chyba z Kopciuszka?

- Nie byłbym taki pewien. Henry jest co najmniej jednym z królów tego obskurnego królestwa. To znaczy, że ty jesteś królową.

- Być może rozbawi cię fakt, że nikt nigdy nie nazwał mnie królową.

- No to lepiej do tego przywyknij. Jesteś krewną Henry'ego, bez względu na to, czy on tu jest, czy nie. Ciesz się tym.

Carla wymamrotała: - Cieszę się - lecz Danny mijał ją w pośpiechu i nie dosłyszał. - Cieszę się - powtórzyła sama do siebie.

Kiedy Josie wróciła godzinę później, Carla siedziała jeszcze w salonie naprzeciw wejścia. Josie nie zdjęła okularów słonecznych i Carla czekała, aż się odezwie.

- Co? - Josie rzuciła jej wściekłe spojrzenie.

- Nic.

- Coś się stało, kiedy mnie nie było?

- Nie. A tobie coś się stało?

- Nie. Po prostu poszłam na kawę, żeby sobie przewietrzyć głowę.

- Ja też byłam na kawie. W kawiarni Starbucks przy Montana Avenue.

Ty też tam byłaś?

- Nie.

Carla uprawiała teraz jedną ze swoich małostkowych gier, do których się nie przyznawała, ale Josie była zbyt zirytowana, żeby jej to wytknąć. Nie potrzebowała już Antonellego. Znów panowała nad sytuacją.

Poszła do swego pokoju. Załedwie zdążyła zdjąć okulary i usiąść przy biurku, gdy otworzyły się drzwi. Carla weszła i usiadła w fotelu.

- Czego chcesz? - burknęła Josie. - Może zauważyłaś, że nie jestem dziś w dobrym humorze.

- Przykro mi.

- Po prostu powiedz, co masz do powiedzenia, i zostaw mnie w spokoju.

- A co ty masz do powiedzenia?

- Co ja mam do powiedzenia? - Josie poczuła jak zaczyna jej się mącić w głowie, co prawie zawsze przynosiło katastrofalne skutki. Musiała zachować spokój, nie mogła zrazić do siebie Carli Trousse.

- Carla - zaczęła jeszcze raz. - Byłaś ze mną wczoraj wieczorem. Wiesz, co się stało. Przyznaję, że publiczne poniżenie przez Joshuę Kinga nie było przyjemne. Wstydzę się swojego zachowania. Wstydzę się tego, jak się zachowałam dziś rano. Więc w sumie chciałabym posiedzieć sobie spokojnie w biurze, aż przyjdzie czas na pójście do domu.

- No to proszę. - Carla wstała i podeszła do biurka Josie. Wręczyła jej poprawiony scenariusz Joshui.

- Kiedy to przyszło?

- Dziś rano, kiedy byłaś na kawie.

- Czy jest lepszy?

- No cóż... powinnaś sama przeczytać.

- No to dobrze - powiedziała Josie. Carla podeszła do drzwi.

- Słuchaj, Josie.

- Tak?

- Idę dziś na drinka z Nadine - zablefowała Carla.

- Chcesz iść z nami? - przyglądała się Josie, szukając w jej twarzy śladu niepokoju na dźwięk imienia Nadine. Ale Josie była profesjonalistką. Nie zdradziła się, zamiast tego zakryła usta dłonią i dramatycznie ziewnęła.

- Bardzo bym chciała, naprawdę, ale nie mogę. Po prostu nie mogę. Dziś pójdę prosto do łóżka i może jutro znów będę czarująca jak zwykle. - Podniosła scenariusz Joshui.

- Mam nadzieję, że jest dobry. Nie wyobrażasz sobie, jak na to liczę. Prawie się boję czytać.

- Nie martw się - powiedziała Carla. - To tylko film.

Carla poszła do domu plażą, tak jak zwykła chadzać rano po przyjeździe do Kaliforni. Wybetonowana ścieżka pełna ludzi jeżdżących na rolkach lub uprawiających jogging była o tej porze bardziej zatłoczona niż rano. Powyżej na moło rybacy zwieszali swe niewidoczne żyłki, czekając, aż ryby zwrócą na nich uwagę. Carla czytała, idąc. Był to dawny nawyk, który doprowadziła do perfekcji w Nowym Jorku, zrećnie unikając schodków i trzymających się za ręce przechodniów. Czytała jeszcze raz swoją wersję *Misia* i w myślach porównywała ją do wersji Joshui.

W końcu dotarła do domu Phillipa i zobaczyła na podjeździe toyotę corollę.

- Cześć - powiedziała, wchodząc.

W salonie Christopher grał w Scrabble z Henrym i Cecilią.

- Nie możesz użyć tego słowa - mówiła Cecilia. - To nazwa własna. Wiem, że jest z *Władcy Pierścieni*, ale nie licz się.

- Liczy się - upierał się Christopher. - Cześć, Carla. Gdzie byłaś? Czekamy na ciebie.

- Wróciłam piechotą - powiedziała. - Dlaczego czekacie? Christopher wymienił spojrzenia z Henrym i Cecilią. - To niespodzianka.

- Nie chcę więcej niespodzianek. Dzisiaj już było dosyć, prawda? - spojrzała na Henry'ego.

- Ale ta...

- To dla ciebie! Są twoje urodziny!

- Moje urodziny są w przyszłym tygodniu.

- Ale Henry i Cecilia muszą wyjechać... zapomniałem, dokąd wy jedziecie?

- Do Massachusetts. Więc mama zrobiła ci tort. Czekoladowy z masłem orzechowym.

- Ty to zorganizowałaś? - zapytała Henry'ego.

- My - odparł, wskazując Cecilię. - Kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że nie będzie nas na twoje prawdziwe urodziny. W poniedziałek wyjeżdżamy na Martha's Vineyard.

- W poniedziałek?
- Uhm.
- No dobrze - powiedziała Carla. - Hej, Christopher!
- Odwróciła się do bratanka. - Jeżeli to moje urodziny, to gdzie jest prezent?
- Nie wiem - odparł.
- Tutaj - powiedział Phillip, wchodząc do pokoju. Wręczył jej małe pudełeczko z czerwoną kokardą. - To od nas wszystkich.
- Co?... - Carla usiadła.
- Zaniemówiła - powiedziała Samantha. - Nie sądziłam, że tego dożyję.
Carla otworzyła pudełeczko. W środku był breloczek z dwoma złożonymi kluczami. - Nie rozumiem.
- Dalej, przy tej ulicy jest mieszkanie.
Carla przyglądała się rodzinie. Wszystkie twarze były radosne, wyczekujące. - Mieszkanie...
- Mama znalazła ci mieszkanie. Tylko przecznicę dalej. Nie martw się - pocieszył ją Christopher. - Wstawiła też łóżko dla mnie. I PlayStation.
- Nie kupiliście go...
- Nie - powiedział Phillip. - Jest wynajęte. Jeśli chcesz, możesz je sama kupić.
- Co ty miałeś z tym wspólnego? - zapytała Henry'ego.
- Niewiele, prawdę mówiąc. Wniosłem tylko wkład w postaci... hm... pamiątek rodzinnych. Zdjęć, tego typu rzeczy. Zobaczysz.
- Słyszeliśmy o zawalonym dachu - powiedziała Cecilia.
- To mieszkanie ma mocne belki, sprawdziliśmy.
- Nie wolno ci się nie zgodzić - powiedział Phillip. - Wyrzucamy cię.
Carla rozglądała się po pokoju kompletnie zaskoczona. - Ja nie wiem, co... chodzi mi o to, że... to jest po prostu nieoczekiwane. Bardzo... dziękuję. Bardzo wam dziękuję. Przyjmuje.

Odwróciła się i podniosła scenariusz, który położyła na stoliku w holu.

- Mam dla ciebie prezent - powiedziała do Henry'ego, wręczając mu scenariusz. Henry spojrzał na stronę tytułową. Phillip wyjął mu go z rąk.

- To tym się zajmowałaś - powiedział, pokazując Samancie.

- Wiedziałem, że nigdy się od tego nie uwolnię - powiedział Henry, ale uśmiechnął się. - Ten scenariusz będzie mnie prześladował do końca życia.

- Nie, nie będzie - powiedziała Carla. - Dużo wcześniej powstanie z niego film. Jestem tego pewna.

Rozdział trzydziesty drugi

Josie nie mogła spać.

Spędziła całą noc patrząc, jak zmieniają się cyfry wyświetlone na budziku, gapiąc się w nicość, starając się powstrzymać od myślenia.

Bała się, że zaczyna przeżywać załamanie nerwowe. Nie miała pojęcia, co w rzeczywistości oznaczało „załamanie nerwowe”. Czy trzeba było dostać ataku, piana na ustach, dławić się własnym językiem? Czy było to po prostu przyspieszone bicie serca i mdłości?

Joshua nie zmienił ani słowa w oryginalnym scenariuszu. Carla musiała o tym wiedzieć, kiedy jej go dawała. Josie wmawiała sobie, że pójście do FP było dopuszczalne, ponieważ bez Henry'ego i z beznadziejnymi poprawkami projekt na pewno zostanie wycofany. Joshua kompletnie zraził do siebie NJTF i Studio X. Nie trzeba było geniusza, żeby zauważyć, jak reagują na niego Esther i Tess. W FP Josie mogła zacząć cały projekt od nowa. Mogłaby sama znaleźć scenarzystę, być może mogłaby też zaangażować reżysera, który sam spróbowałby zrobić poprawki.

Zastanowiła się, co się stanie, kiedy NJTF i Studio X odkryją, że zawiodła ich zaufanie. Josie wiedziała, że w Hollywood jest to normalne, ale zdawała sobie też sprawę, że gdy tylko wszyscy się dowiedzą, spali za sobą mosty.

Usiadła w łóżku i oparła się o przymocowane do ściany poduszki, które zainstalowała za radą architekta wnętrz. Wiedziała, spodziewała się, że wróci jej pewność siebie

i optymizm, że uda jej się wtłoczyć uczucia niepokoju do specjalnych szufladek, tak by znowu cieszyć się dynamiką gry. Po prostu nie stać jej na to w tej chwili.

Musi z kimś porozmawiać, a ojciec i Rebecca na pewno śpią.

Miała ochotę porozmawiać z Mikiem. Zaczęła go wspominać. Nie chciał się przeprowadzić do Hollywood. Był szczęśliwy w San Francisco. Ona nalegała i ustąpił. To było dawno temu. Miała wrażenie, że tamta dziewczyna z jej wspomnień była dawną znajomą, koleżanką ze studiów, nieuformowa-nym, miękkim kłębkim impulsów.

Mignął jej przed oczami obraz Mike'a trzymającego jej dłoń, tamto uczucie, że brak jej tchu, że utonie, jeśli mu nie powie, że go kocha.

Potrząsnęła głową, odpychając wspomnienie. Musiała być twarda, a nie rozklejać się z powodu małżeństwa, z którego sama się chętnie, z własnej woli wycofała.

Czy to przypadkiem nie był błąd?

Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Nigdy w życiu nie czuła się taka roztrzęsiona, nigdy nie wątpiła w każde swoje posunięcie. To nie do przyjęcia.

Nie będziemy jedną z tych firm, w których siedzi się beczynnje, waląc konia. Czy Gerry naprawdę tak powiedział? Czy chciała pracować z ludźmi, którzy tak mówią?

Tak. Przykazała sobie nie spuszczać celu z oczu. Musiała doprowadzić do zrobienia filmu. Nad tym pracowała przez cały ten czas, prawda? Teraz po prostu przechodzi pewną fazę. Nie ma prawa krytykować tego, jak mówi Gerry Simpson.

Przechyliła się na łóżku i sięgnęła po telefon. Czuła, jak wali jej serce i wybierając numer, wiedziała, że przegrywa ze swym wewnętrznym demonem, który zmusza ją do kwestionowania niepodważalnych przekonań.

- Carla? - wyszeptała. - Muszę z tobą porozmawiać.

Rozdział trzydziesty trzeci

Carla spojrzała w lustro i zastanowiła się nad zmianą stroju. Miała na sobie szare spodnie od dresu, kaptcie L.L. Bean, okulary i podkoszulek z wizerunkiem Gumby'ego*. Komputer był włączony i właśnie łamała sobie głowę nad poprawnym użyciem słowa „zachcianka”. Czy było zbyt pretensjonalne, żeby go użyć w jej nowym scenariuszu?

Przekreśliła „zachciankę” i usłyszała, że Josie wjeżdża na podjazd. Przez telefon wydawało się, że jest w stanie paniki. Carla powiedziała, że może przyjechać, ale będzie musiała się cicho zachowywać.

Mimo to wcale jej nie zdziwiło, że Josie nie tylko zadzwoniła do drzwi, ale uruchomiła przy tym system alarmowy.

- Czy ona jest nienormalna, do jasnej cholery? - Phillip rzucił Carli wściekle spojrzenie.

- Po prostu taka jest - odparła Carla. - Mówiłam jej, że musi się cicho zachowywać.

- Słyszę was - powiedziała Josie z kuchni. - Powiedziałam, że przepraszam. Czego jeszcze chcecie?

Telefon Josie wyrwał Carłę z głębokiego snu. Przed pójściem spać napisała plan postępowania z Josie. Sprowadzał się do następującej alternatywy:

- 1) Josie musi zadzwonić do FP i odebrać scenariusz albo
- 2) Josie musi powiedzieć Esther i Henry'emu, co zrobiła.

Gumby - zielony stworek, bohater programu dla dzieci z lat siedemdziesiątych.

Lecz wtedy Josie zadzwoniła. Mówiła, z trudem chwytając powietrze, wydawała się zdesperowana. Carla nie była przyzwyczajona do posiadania przyjaciółek i kiedy Josie zaczęła się wyżalać, miała niejasne uczucie, że musi istnieć jakaś magiczna formuła, która by ją uciszyła.

Josie bezładnie gadała o swoim ojcu i Joshui, aż w końcu Carla powiedziała jej, żeby przyjechała.

Przypuszczała, że Josie chce błagać o przebaczenie, ponieważ dowiedziała się, że Nadine wszystko Carli powiedziała.

Usiadły w gabinecie Phillipa przy wielkim, przeszklonym wykuszu, który wychodził na ogród Samantha, i pierwsze słowa Josie zaskoczyły Carle.

- Mike to mój mąż, z którym się rozstałam.

- Co?

- Mike O'Leary. Były sportowiec, bankier inwestycyjny, ofiara raka i pod każdym względem świetny facet. Mój mąż, z którym się rozstałam.

Carla słuchała.

- Ma dziewczynę. „Cudowną” dziewczynę. „Cudowną, rewelacyjną, piękną dziewczynę”. Moja najlepsza przyjaciółka powiedziała mi o niej dziś rano.

Carla opadła na oparcie fotela, próbując ukryć zdziwienie. Wyglądało na to, że Josie nie przyszła w sprawie *Misia*. Przyszła, ponieważ była samotna.

- Opuściłam go, kiedy miał raka. Wróciłam do domu tego dnia po przeczytaniu scenariusza Joshui, tego samego dnia, on tam był i ja mu pozwoliłam odejść. Miał raka. I tęsknię za nim, ale nie żałuję. Wcale nie. Postąpiłam słusznie. Możesz mi nie wierzyć, ale tak jest. - Zauważyła, że Carla się na nią gapi. - Będziesz tylko tak na mnie patrzyła?

- Ja, no co ty... czy ty naprawdę? - jąkała się Carla. - Opuściłaś go?

- Mam szczerą nadzieję, że piszesz lepiej, niż mówisz, bo w tej chwili mówisz zupełnie od rzeczy.

- Jestem zdziwiona. To zaskakujące.

- Nie wiem, dlaczego ci o tym wszystkim mówię. A, przypomniałam sobie. Zapytałaś o Mike'a, więc ci mówię. Wzięliśmy ślub cztery lata temu. A w styczniu będziemy po rozwodzie.

Przerwała i zwróciła się do Carli: - A ty z kimś chodzisz?

- Ja? Nie.

- Dlaczego nie?

- Gdybym wiedziała, to bym... ostatni facet, z którym chodziłam... w każdym razie zawsze ta sama, nudna historia. Źli mężczyźni. Przestałam się tym martwić. Mówię sobie, że tak jak wszyscy mam mocne i słabe strony. Mężczyźni to moja słaba strona. Teraz próbuję się skoncentrować na mocnych stronach.

- Jak na przykład?

- Jak na przykład nie wiem. Próbuję to ustalić.

- Więc jesteś sama?

- Jak banknot jednodolarowy.

Carla wypila łyk herbaty z kubka. Josie potarła oczy.

- Nie mogę uwierzyć, że do ciebie zadzwoniłam. To było bardzo miłe z twojej strony. Jestem twoją dłużniczką.

Wstała, podniosła ramiona. Podkoszulek podjechał do góry i ukazał się szczupły, opalony brzuch.

- Lepiej już pójdę.

- Nie możesz iść. Jeszcze nie - rzuciła Carla bez namysłu. Nie mogła pozwolić Josie odejść. Nawet nie zaczęły omawiać najważniejszej sprawy.

- Dlaczego nie mogę?

- Ponieważ... - Carla szukała odpowiednich słów. - Ponieważ jeszcze nie skończyłyśmy.

Josie znów usiadła. Patrzyła chłodno na Carlę. - Niczego nie będę cię dziś wieczorem uczyć. Zobaczymy się w pracy w poniedziałek.

Carla poczuła, jak robi jej się gorąco. Szyja ją paliła i czuła, że się rumieni. Wstała, w zamyśleniu podeszła wolno do kominka i przeciągnęła palcami po gzymsie.

- Przyszedł, żeby porozmawiać ze mną o mężczyznach? O związkach?
- Nie, właściwie nie. Ja po prostu...
- Ty... ja wiem, co zrobiłaś.
- Co zrobiłam?
- Co dziś zrobiłaś.
- Dziś? Kiedy straciłam panowanie nad sobą przy Hen-rym?
- Nie, nie o to chodzi. Rozmawiałam z Nadine. Wiem o wszystkim - przerwała. - Ja znam tych facetów. Co ci odbiło?
- To nie twoja sprawa.
- To jest moja sprawa. Jak najbardziej moja sprawa.
- To nie takie proste: czarne albo białe. Tess próbowała mnie wykorzystać, wiem o tym. Słyszałam, jak Esther z nią rozmawiała. Muszę bronić swojego filmu.
- Przy pomocy Firmy Pijawka?
- Podoba im się scenariusz.
- Nie umieją nawet czytać.
- Carla, możesz sobie pozwolić na święte oburzenie. Jesteś córką Henry'ego. Reszta z nas musi się miotać, uwijać, żeby zrealizowano nasze filmy.
- Carla potrząsnęła głową. - To nieprawda. To po prostu nieprawda.
- Nie masz racji.
- Josie także wstała. Pewnie i z gracją przeszła za fotel. - Nie rozumiesz, jak to się odbywa. - Wzięła torebkę. - Idę.
- W poniedziałek musisz powiedzieć Esther, co zrobiłaś. Inaczej ja jej powiem.
- Zabiję Nadine.
- Tylko tym się przejmujesz?
- Wcale się nie zajmuję. No i co na to powiesz? Wcale się nie zajmuję, że możesz powiedzieć Esther.
- W porządku. A jeżeli powiem Henry'emu?

Carla zobaczyła na twarzy Josie efekt wywołany imieniem Henry'ego. Nie obchodziła ją już słuszność jej argumentów. Josie musi po prostu przyznać, że się myli, a Carla ma rację.

- Powiem Henry'mu. Zrobisz, co ci każe, albo mu powiem.

Twarz Josie stężała. - Nic nie rozumiesz, Carla. Wydaje ci się, że rozumiesz, ale się mylisz. Nienawidzisz ambitnych kobiet. Nie możesz znieść tego, że jestem ładna. Nienawidzisz mnie, ponieważ twoim jedynym osiągnięciem życiowym pozostanie fakt, że jesteś córką sławnego człowieka.

- Nie mogę znieść tego, że jesteś inteligentna, a nie dostrzegasz czegoś tak oczywistego. Chcesz pieniędzy? Chcesz, żeby twoje nazwisko pojawiło się na ekranie dużymi literami? Chcesz być wielkim hollywoodzkim potworem? A nie możesz zrozumieć jednej rzeczy: ludzie odnoszący największe sukcesy - i potwory i nie-potwory - cenią materiał. Czytają książki, scenariusze i zależy im na tym, co robią. Inni ludzie w ostatecznym rozrachunku się nie liczą. I to właśnie jest smutne. Będziesz jedną z nich.

- Jak zwykle mówisz nie na temat.

- Dowiedz się, czy ci faceci przynajmniej przeczytali scenariusz. Po prostu ich zapytaj. A potem powiedz mi, co zamierzasz zrobić.

Stały, patrząc na siebie.

- Dzięki za herbatę - powiedziała Josie i wyszła.

Rozdział trzydziesty czwarty

Carla spodziewała się, że będzie do poniedziałku zdenerwowana ultimatum postawionym Josie, ale okazało się, że łatwo udało jej się zająć czymś innym. W sobotę urządziły sobie z Samanthą „dzień luksusu”, a wieczorem zgodziła się iść do kina z Dannym Cohenem i jego znajomymi. Było to nieoczekiwane zaproszenie, ale wszyscy dobrze się bawili - miły, wesoły i niepozostający na długo w pamięci wieczór. W niedzielę rano zobaczyła po raz pierwszy swoje nowe mieszkanie. A wieczorem Henry z Cecilią zaprosili Carłę i Gibersonów do spędzenia z nimi ostatniego wieczoru przed wyjazdem z Kalifornii. Antoinetta nauczyła Carłę robić kanapki z kielbasą i papryką: „rozprasuj kielbasę między dwoma warstwami papieru woskowego, usmaż na odrobinie oliwy z oliwek, pokrój paprykę w paseczki i połącz wszystko razem”. Henry zjadł dwie i pół kanapki. Później Christopher usnął na kanapie, a Antoinetta wróciła do swojego pokoju. Reszta rodziny zebrała się na wychodzącym na Pacyfik tarasie otoczonym doniczkami z białymi różami i czerwonymi malwami.

- Czy potem się z tobą skontaktował? - zapytała Cecilia. Zadała Carli pytanie o jej związki z przeszłości, a ta powiedziała jej o Davidzie Stegnerze. Po premierze zostawiła mu trzy wiadomości. Nigdy nie oddzwonił.

- Nie - odparła Carla.

- Ze mną się skontaktował - powiedziała Samanthą.

- Co?

- Miałam od niego wiadomości. E-mailem.

- Nie zaczynaj kolejnej sesji wieszania psów na Davidzic - ostrzegł Phillip

- Kto to jest David? - zapytał Henry.

Phillip spojrział na Carłę, a ona, rozbawiona, na podłogę.

- Był moją bratnią duszą. A przynajmniej tak myślałam. Co napisał?

- Pamiętasz, że obiecał pomóc Christopherowi z letnią pracą domową na temat energii? - zapytała Samantha.

- Tak.

- No więc wysłałam mu maila z pytaniami. Naprawdę trudnymi. - Pokręciła głową. - Pytania brzmiały: - ja wcale nie żartuję - kto odkrył elektryczność? Jak się nazywa energia spalana w naszych ciałach - kalorie, gdyby ktoś nie wiedział. I na czym polega parowanie?

Ten człowiek pracuje w komisji do spraw e n e r g i i. Odpisał, że odpowiadanie na te pytania pochłonęłoby za dużo czasu, i zasugerował, żebym poszukała w internecie na stronie Kalifornijskiej Komisji do Spraw Energii.

- Żartujesz - powiedziała Carla.

- Co począć z facetem, który jest zazdrosny o ośmiolatka?

- stwierdził Phillip. - Nic. Zostawić go w spokoju.

- Po prostu nie byłaś gotowa do angażowania się w związek - zasugerowała Cecilia.

- Jane Austen nigdy nie wyszła za mąż - powiedziała Carla.

- Umarła mając czterdzieści lat - dodał Phillip.

- Gloria Steinem wzięła ślub w wieku sześćdziesięciu

- dorzucił Henry. Założył dłonie za głowę i odchylił się na krześle. - No więc, Carla, nauczyłaś się od Josie tego, czego chciałaś?

- Od tej kobiety, która przyszła w nocy parę dni temu? A czego ty miałabyś się od niej uczyć? - zapytała Samantha.

- Celem było dowiedzenie się czegoś na temat ludzi typu Josie - odrzekła Carla. - Skoro miałam tu zostać, musiałam

się tego nauczyć. No i teraz, kiedy mam klucze, zdaje się, że zostaje - pomachała kluczami. - Muszę przyznać, że bardzo podobają mi się możliwości, jakie daje twoja sława - powiedziała, patrząc na Henry'ego.

- Bardzo się cieszę - odparł. - Ktoś powinien z nich korzystać.

Wychodząc, Carla uściskała na pożegnanie Henry'ego i Cecilie. Phillip to zauważył, ale Carla rzuciła mu takie ostrzegawcze spojrzenie, że nikt nawet o tym nie wspomniał w drodze powrotnej do Santa Monica.

Później Henry poszedł na długi samotny spacer po plaży. Patrzył na morze i wspominał dawne noce spędzone z Paillette - młodą dziewczyną, niezwykle zrównoważoną i zdeterminowaną, co go jednocześnie pociągało i odstręczało.

Carla w niczym nie przypominała Paulette. Miała jego oczy i gdy przebiegł myślami po wszystkich krewnych, nabrał nieomal pewności, że Carla jest wierną kopią ciotki Frances, twardej, mądrej, kochającej kobiety, która niedawno zmarła po ciężkiej chorobie.

Czuł, że Carla ma przed sobą przyszłość. Wyobrażał sobie nową konfigurację rodziny o wiele bardziej optymistycznie niż przedtem. Wpatrywał się w czarną noc, gwiazdy i bryzgi fal. Ogarnął go smutek, kiedy boleśnie uświadomił sobie własną śmiertelność. Zdał sobie sprawę, że nie tylko zostało mu niewiele czasu do spędzenia z jedynym dzieckiem, ale że pewnie nie będzie też miał wnuków. Przed pojawieniem się Carli przestał o tym myśleć, lecz teraz, biorąc pod uwagę jej wiek, zdał sobie sprawę, że musiał przedtem karmić się jakąś niejasną nadzieją.

Za to miał nową rodzinę z Phillipem i Samanthą, i jak dobrze pójdzie, uda mu się oczarować Christophera i wślizgnąć się do jego życia. Posiadanie własnego dziecka było nowym doświadczeniem. Nie lepszym, nie gorszym, ale niewątpliwie, zdecydowanie nowym. Jeżeli w czasie, który im

jeszcze pozostał, nie uda mu się zrozumieć zawilego charakteru córki, będzie to wyłącznie jego winą. No i co wy na to w magazynie „People”? Mógł być jednym z największych gwiazdorów filmowych na świecie, ale i on musi się postarać, żeby mieć szczęśliwą rodzinę.

Zacznie od przeczytania scenariusza Carli. Jeżeli jest dobra, będzie ją mógł ustawić na całe życie.

Rozdział trzydziesty piąty

Josie umówiła się na ósmą na spotkanie z Firmą Pijawka. Myślała o tym przez cały weekend. Święte oburzenie Carlr doprowadzało ją do szału. Zrobi to, co będzie chciała. To, co uzna za najlepsze, a nie to, czego domaga się Carla.

Ale za nim cokolwiek zrobi, musi zawrzeć porozumienie z FP.

Spotkali się we troje - Josie, Roland i Gerry - na śniadaniu w Chateau Marmont.

- Chciałabym, żeby warunki kontraktu były jasne. Gerry wymienił spojrzenia z Rolandem.

- Myślę, że powinniśmy poczekać - powiedział Gerry.

- Dlaczego...

- Bo ja tak chcę - przerwała Josie.

- Zdaje się, że to jest pytanie dotyczące strefy komfortu

- zasugerował Roland. - Co możemy zrobić, żebyś poczuła się bardziej komfortowo?

- Możecie podpisać ten dokument, zgodnie z którym bez względu na wszystko otrzymuję, co następuje: pięćset tysięcy dolarów plus zostaje wymieniona jako pierwszy producent we wszystkich głównych napisach i reklamach, możliwie największą czcionką.

Roland i Gerry oparli się na krzesłach. Gerry milczał, co było u niego niezwykle. Roland przez dłuższą chwilę siorbał zieloną herbatę.

- Josie - powiedział. - Josie, Josie, Josie. - Pooągnął jeszcze jeden łyk.

- Pomówmy o tym, co się za tym kryje.

- Nie. Tu jest długopis.

- Na pewno zrozumiesz. Posłuchaj. Ja pamiętam, jak to było. Przyjeżdża człowiek do Los Angeles i wszystkich się obawia. Nie musisz się tak czuć w stosunku do nas.

Geny patrzył na swoją filiżankę espresso.

- Różnimy się od innych firm. My słuchamy. My...

- Z całym szacunkiem wysłucham wszystkiego, kiedy to podpiszecie i będę wiedziała, że negocjujecie w dobrej wierze.

- Czy oskarżasz nas o to, że tego nie robimy? - zapytał Roland ostrzegawczo.

- Nie oskarżam, tylko proszę. To bardzo prosty dokument. Kiedy obaj podpiszecie, będziemy rozmawiać, o czym będziecie chcieli.

- Dlaczego mówimy o napisach? Dlaczego nie mówimy o filmie? - zapytał Roland. - Publiczności nie obchodzą napisy. Obchodzi ich tylko, czy się dobrze bawili i czy są zadowoleni.

Zapadła długa cisza.

- Okay. Pomówmy o filmie. Przeczytaliście scenariusz? - zapytała Josie.

Roland spojrział na Gerry'ego. - Ja mam zamiar w weekend.

- Ja też - powiedział Gerry. - Po prostu byłem cholernie zajęty. Wiesz, jak to jest.

Josie zamrugała oczami. Potem spojrziała na leżący na kolanach dokument.

- Nie rozumiem waszego wahania - podjęła. - Powiedziałam wam, jakie są moje warunki, kiedy u was byłam w zeszłym tygodniu.

Roland starannie złożył serwetkę na kolanach. Bawił się węzłem krawata.

- Och, Josie - westchnął. Odwrócił się do Gerry'ego. - Okay. Możesz jej powiedzieć. - Oparł się na krzesło.

Gerry spojrział umowę i odłożył na stół.

- Josie, chyba ci, kurwa, odbiło, jeżeli myślisz, że się zgodzimy na to gówno.

Odwrócił się do Rolanda. - Dobrze mówię, nie? Roland przytaknął.

- Nazwisko na pierwszym miejscu? Największą czczeniem? Nie chcę się wyrażać, ale nie ma, kurwa, siły. Nie ma, kurwa, siły. Będziesz miała szczęście, jak się dostaniesz na listę ludzi w końcowych napisach. Asystentka, współpracowniczka, kogo to, kurwa, obchodzi. To nie jest zabawa, teraz masz do czynienia z dużymi chłopcami. Nie zwracaj dupy.

Gerry musiał zdjąć okulary, ponieważ mu zaparowały. Roland uśmiechnął się.

- Słuchaj, Josie, Gerry jest zawsze trochę zbyt agresywny, ale rozumiesz, o co chodzi, prawda? Zostaw negocjacje nam, a my obiecujemy, że załatwimy ci najlepsze z możliwych miejsce dla twego nazwiska w napisach i honorarium, na jaki zasługuje ktoś o twoim statusie.

Słuchając go, Josie zamknęła oczy. Niestety nie była zdziwiona. Wszystkie jej obawy się spełniły. Ta firma ją wyroluje. Wszyscy chcieli ją wyrolować. Tak działał ten biznes.

Wstała, nie zwracając uwagi na serwetkę, która spadła jej z kolan na podłogę, i wyszła z restauracji.

Jechała szybko w stronę Santa Monica, manewrowała między samochodami i przejeżdżała na żółtym świetle. Nie koncentrowała się na żadnej z myśli, które przelatowały jej przez głowę. Powiedziała sobie, że jej jedynym celem jest teraz dotarcie do NJTF jak najszybciej.

Wpadła do swego pokoju. - Carla... - przerwała, widząc, że w pokoju nikogo nie ma. Nagle zrobiło jej się słabo. Nogi się pod nią ugięły i padła na fotel, chwytając się za głowę.

- Josie? - Carla stanęła w drzwiach. - Zdawało mi się, że cię usłyszałam. Słuchaj...

- Wygrałaś. - Josie nie otwierała oczu. - Wygrałaś.

- Dobrze się czujesz? - Carla podeszła do Josie.
 - Chwileczkę, poczekaj chwilę - wymamrotała Josie.
 - Zdaje się, że za szybko jechałam.
 - Masz atak paniki z powodu zbyt szybkiej jazdy samochodem?
 - To nie jest atak paniki.
- Carla stała obok fotela. - Słuchaj, Josie. Muszę ci powiedzieć...
- Miałaś rację. Słuchałam dziś, co mówią, i pomyślałam, Jezus, Josephine, o co tu chodzi? A potem doszłam do wniosku, że chyba jednak jestem słaba. Myślałam, że jestem twarda. Ale nic z tego. Jestem po prostu słaba. Nie przejmuję się tym. Naprawdę nie.
 - Ale posłuchaj...
 - Nawet nie przeczytali scenariusza - powiedziała Josie, zamykając oczy i zaciskając powieki.
 - Wszystko w porządku? - zapytał męski głos z korytarza. Carla odwróciła się, Josie otworzyła oczy. Był to Henry.
 - Co ty tu robisz? - zapytała Josie.
 - Zostaję. Robię *Misia*.
 - Ale ja myślałam... nie jedziesz na wakacje? - zapytała Josie.
 - Martha's Vineyard nie ucieknie.
 - Nie rozumiem. Nie mam pojęcia, o czym wszyscy mówią. Joshua nie uwzględnił żadnych uwag. Niczego nie poprawił.
 - Masz rację, Joshua nic nie zrobił - powiedział Henry.
 - Ale wersja Carli jest świetna.
 - Carli? - Josie odwróciła się do Carli, lecz zanim ta zdążyła odpowiedzieć, do pokoju weszła Esther.
 - Rozumiem, że już wszyscy wiecie? To już oficjalne. Właśnie rozmawiałam z Tess. Film idzie do produkcji. Gratulacje, Josie. I Carla.
 - Ale... - Josie spojrzała na Carlę pytająco.

- Wszystkim się zajęłam. Taka jest między nami różnica. Ty się doprowadzasz do choroby, sądząc, że wszystko kręci się wokół ciebie, a ja muszę odwalać całą robotę.

Josie otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale zrezygnowała. - Na pewno jest tak, jak mówisz, Carla. Na pewno masz rację.

Rozdział trzydziesty szósty

We wtorkowym wydaniu „Variety” znalazła się informacja, że Studio X przystąpiło do natychmiastowej produkcji *Misia*. Artykuł poprzedzał wielki nagłówek: HENRY RATUJE BOŻE NARODZENIE, scenariusz firmy Antonellego idzie natychmiast do produkcji. W grudniu na ekranach kin.

Cytowano wypowiedź Tess Johnson, że Henry Antonelli jest jedynym człowiekiem mogącym właściwie oddać skomplikowany charakter Carringtona Clarka III, wspaniałego głównego bohatera scenariusza Joshui Kinga.

W tym samym artykule przytoczono też słowa Esther Rodriguez Rabinowitz, że firma zapaliła się do projektu, gdy Josie O'Leary, dyrektor kreatywny, przyniosła im scenariusz.

Josie O'Leary po raz pierwszy zobaczyła swoje nazwisko w „Variety” i z rozbawionym uśmiechem przeczytała potwierdzenie Esther, że to jej zasługą było znalezienie projektu.

Carla Trousse, która, jak powszechnie wiedziano w NJTF i Studiu X, napisała poprawioną wersję scenariusza, dostała zamówienie na następny. Zatyłowała go *Clive*.

W kilka tygodni po ukazaniu się tej informacji Josie zawiozła Carłę na operację korygowania krótkowzroczności. Do przyjazdu Josie Carla zdążyła połknąć dwie tabletki uspokajające. Kiedy doktor Richard Reynolds prowadził ją do stołu operacyjnego, z trudem walczyła ze snem.

- Jest przerażona - powiedziała Josie do lekarza.
- Wiem. Wszyscy są. Nie ma się czym martwić.

Carla leżała na sali operacyjnej z otwartymi powiekami, które przytrzymano plastrem przyklejonym do czoła. Laser znajdował się dokładnie nad jej okiem.

- Zrobimy najpierw jedno oko, potem drugie i będę wszystko w trakcie wyjaśniał - powiedział doktor. Carla wpatrywała się krótkowzrocznymi oczami w przypominającą biały punkcik wiązkę promieni wydobywającą się z lasera.

- Robi mi się niedobrze - odezwała Josie, patrząc z boku, jak doktor Reynolds przecina rogówkę Carli.

- Ale ja nic nie czuję... - powiedziała Carla.

- Proszę patrzeć na światło. Najpierw zrobimy prawe oko. Gotowa?

- Chyba już za późno, żeby zrezygnować...

- Trzydzieści, dwadzieścia, dziesięć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden - mówił doktor, odliczając sekundy, a potem zatrzymał laser. Szybko przesunął go ku lewemu oku i przeprowadził ten sam zabieg.

- Koniec. Już po wszystkim.

- Często pedicure trwa dłużej niż to - powiedziała Josie. Doktor Reynolds rzucił jej znużone spojrzenie. - Na tym koniec. Może ją pani zabrać do domu.

Josie doprowadziła Carlę z czarnymi kłapkami na oczach do saaba.

- Myślisz, że wytrzymasz jazdę z podniesionym dachem? - zapytała Josie.

- Pewnie. I tak nic nie widzę.

Więc pomknęły autostradą otwartym samochodem. Carla spojrziała w górę i choć nic nie widziała przez osłaniające oczy kłapki, wyobrażała sobie jasny wrześnieowy dzień, bezchmurny i beztroski. Najgłośniej jak mogła zawołała do Josie: - Dziękuję!

Rozdział trzydziesty siódmy

Kiedy pod koniec stycznia *Miś, który uratował Boże Narodzenie* wszedł we wstępny etap produkcji, Związek Pisarzy przeprowadził arbitraż w sprawie Joshui Kinga. Joshua przystąpił do Związku w sierpniu za namową swego agenta, Shepa Adamsa, i dzięki temu Związek dbał o jego interesy i zdecydował, że Carla Trousse nie zostanie uznana za autorkę poprawionej wersji scenariusza. Studio X i NJTF nie mogły walczyć w jej obronie, ponieważ same zobowiązały się respektować decyzje Związku. Joshua King miał pozostać jedynym autorem scenariusza.

Carla była zdenerwowana, ale nie miała się do kogo odwołać, więc sama przystąpiła do Związku. Ułagodził ją fakt, że jej agent, Eddie Cleveland, złożył nowy scenariusz, *Clive*, w wielu firmach. Krążyły pogłoski, że jest to najbardziej poszukiwany scenariusz na rynku od czasu *Misia*.

- Mam mnóstwo pomysłów - powiedziała później Carla do Josie. - Gdyby cała moja kariera miała się ograniczyć do tego jednego poprawionego scenariusza, zrezygnowałabym.

Esther Rodriguez Rabinowitz była bliska wyjawienia Henry'emu i Carli swojego alter ego, kiedy jej najnowsza powieść przerodziła się w tysiącstronicową sagę o rodzinie włoskich farmerów i po raz pierwszy stres życia rodzinnego, produkcji filmów i sekretnego życia jako pisarki stał się nieomal nie do zniesienia. Ale kryzys minął i kiedy rozpoczęły się właściwe zdjęcia do *Misia*, Esther wesoło pracowała

w ukryciu nad kolejną powieścią, a oficjalnie zajmowała się produkcją filmu.

Nadine Dillenberger przeszła z FP do NJTF, zabierając ze sobą swoją asystentkę, Laure. Ernie, jej chłopak, napisał scenariusz i wyreżyserował według niego film zrealizowany techniką cyfrową, który został zakwalifikowany na Festiwal Filmowy w Sundance. Carla, Danny Cohen i Nadine wybierali się tam.

Heather Kavakos wyszła w grudniu za Andreasa i przeniosła się do Gstaad, by tam pracować jako instruktor narciarstwa.

Tess Johnson była pewna, że Joshua King nie ma pojęcia, dlaczego tak trudno mu znaleźć pracę. Ale wspomnienie, jak patrzył na jej dobrze zachowane trzydziestosześcioletnie ciało i myślał, że robi jej przysługę, pozostało bardzo żywe.

Nikommu - szczególnie komuś, kto tak całkowicie mylnie rozumiał przemysł filmowy jak Joshua King - nie wolno spać z Tess i uważać tego za przysługę. Obsmarowała go w całym mieście i sprawiło jej to dużą przyjemność.

Gerry Simpson oszedł z FP i założył swoją własną firmę menedżerską o nazwie SFC, co jak twierdził, było skrótem od Studio Friendly Cinema, lecz ludzie z branży znali prawdę: firma Gerry'ego była to Star Fucker Company i Gerry był z tego dumny.

Roland Starr pozostał przy sterze FP głównie dlatego, że Kirk Gordon był zbyt zajęty, żeby zatrudnić kogoś innego.

Henry Antonelli obiecał swojej żonie, Cecilii, że po zakończeniu zdjęć do *Misia* weźmie prawdziwy urlop. Cecilia nawet nie udawała, że załatwia jakiś wyjazd. Była zbyt zajęta chodzeniem na wszystkie mecze tenisowe, recitale pianistyczne, mecze piłki nożnej i Dni Babć Christophera.

Phillip i Samantha Giberson obeszli dziesiątą rocznicę ślubu, spędzając dziesięć dni w Portofino, we Włoszech. Na

czas nieobecności rodziców Christopher wprowadził się do nowego mieszkania Carli.

Mike O'Leary i Eve Marvell po sześciu miesiącach znajomości ogłosili w styczniu zaręczyny. Mike oświadczył się w Cambridge w stanie Massachusetts, rodzinnym mieście Eve. Padł na kolana w trakcie joggingu wokół Fresh Pond. Sam zadzwonił do Josie, żeby ją o tym zawiadomić.

Część czwarta

Rozdział trzydziesty ósmy

A może spróbujesz terapii? - zasugerowała Carla. - Mnie pomogła.

- Pomógł ci Fred Segals³ - powiedziała Josie, patrząc na swą byłą uczennicę w ciuchach od Marca Jacobsa i sandałach od Jimmy'ego Choo. Nie była bynajmniej chuda, ale zdrowa i bardzo, bardzo szykowna. Carla stała się teraz zapaloną sportsmenką i z pomocą Samantha znalazła stylistę, który pomagał jej się ubierać. - Na terapię chodzi się w Nowym Jorku - ciągnęła Josie. - Ja nie jestem spanikowana, po prostu czuję się zmęczona.

Po machinacjach we wrześniu zeszłego roku Josie oddała się pracy w NJTF ze wzmożoną energią. Nie odmawiała już pisania recenzji i stała się pionierką wyszukiwania studentów literatury w okolicznych college'ach, w celu znalezienia nowych talentów dla NJTF. Ale robiła to zawzięcie, a nie z pasją. Na zebraniach dotyczących *Misia* czuła się szczególnie obco. Carla wymyśliła pomysłowy trik do trzeciego aktu. Carrington Clark III zainwestował w nową firmę, która wynalazła lek na męskie łysienie, co przyniosło miliardy dolarów potrzebne do uratowania przedsiębiorstwa Świętego Mikołaja. Wszyscy byli zachwyceni i chwalili Carlę za pomysłowość. Josie też się cieszyła ze względu na Carlę i film, lecz męczyło ją, że siedzi poza boiskiem, wyzuta z twórczych

³Fred Segals - znany sklep, mający filie w Hollywood i Santa Monica, w którym robi zakupy wicie gwiazd.

pomysłów, niezdolna wnieść cokolwiek do zebrań, na których wszyscy byli pewni siebie i włączali się w burzę mózgów.

Po zatwierdzeniu scenariusza Tess, Esther i Henry spędzili wspólnie wiele godzin, omawiając najważniejsze sprawy: kostiumy, obsadę i kto znajdzie scenografów. Josie brała udział we wszystkich zebraniach i nawet dowiedziała się, jaka jest różnica między operatorem, kierownikiem obsługi technicznej a dźwiękowcem. Jej życie towarzyskie sprowadzało się do krótkich spotkań z Rebeccą i jej rodziną dwa razy w tygodniu albo z Carlą i jej nową rodziną. Dawni znajomi dzwonili, lecz Josie odpowiadała wszystkim z tak małym entuzjazmem, że w końcu zrezygnowali z prób kontaktów. Wiedziała, że coś jest nie tak, kiedy przeczytała w piśmie filmowym, że Priscilla Pickering została złapana na kradzieży scenariusza młodego autora, a Josie nawet to nie obeszło.

- Wybierasz się w poniedziałek? - zapytała Carla. Był to ostatni dzień wstępnego etapu produkcji. Zdjęcia miały się zacząć w poniedziałek od zebrania ekipy o szóstej rano. - Dostanę własne krzesło. Tak próbują mi wynagrodzić fakt, że nie jestem oficjalnie autorką scenariusza.

- Możesz zatrzymać krzesło na zawsze - zasugerowała Josie.

- Przecież jedno nie zastąpi drugiego. Ale nie szkodzi. Następnym razem.

Oprócz nowego wyglądu, który niezaprzeczalnie bardziej pasował do ogólnie przyjętych norm, Carla zdecydowanie nabrała też pewności siebie.

- Znasz Jonathana Sachsa? - zapytała. - Ciągle mi opowiada o jakimś scenariuszu. Powtarzam mu, że ma zadzwonić do Eddiego i że po to są agenci. Teraz twierdzi, że powinnam z nim bezpośrednio rozmawiać, bo jest twoim znajomym.

- Nie dzwoń do niego.

- Ja nie jestem taka jak ty, Josie. Oddzwaniem do wszystkich tego samego dnia. Dzięki temu ludzie poważnie mnie traktują.

- Idealnie się nadajesz do tego biznesu. Talent i niesamowity instynkt, połączenie nie do przebiccia.

- Już dawno to zrozumiałam - odparła Carla. - Oczywiście, przy twojej pomocy. W pełni ci to zawdzięczam. Ale co z tobą?

- O mnie się nie martw. Wszystko w porządku. Po prostu próbuję różne rzeczy zrozumieć.

Przez resztę dnia Josie załatwiała ostatnie sprawy dotyczące filmu: przedyskutowała ostateczny budżet na scenografię i to, czy powinni użyć sztucznego śniegu na scenie dźwiękowej w San Fernando Valley, czy też przenieść produkcję na trzy dni na Manhattan (i zaryzykować, że naprawdę będzie zawieja śnieżna). Omawiała z dyrektorem castingu strategię, mającą prowadzić do zachęcenia Renee Zellweger do zagrania epizodu i zatwierdziła zatrudnienie księgowego. Ostatnie spotkanie było z projektantem kostiumów, któremu powiedziała, że jego pojęcie o szyku Wall Street jest całkowicie błędne.

Wychodząc wieczorem z biura produkcyjnego, specjalnie z nikim się nie pożegnała. Nie zrobiła tego częściowo z powodu obawy, że nawet najbardziej prozaiczne pożegnanie wywoła lawinę emocji, które ostatnio kazały jej się rzucać na kanapę i łkać albo leżeć bezsennie i patrzeć w okno na suficie.

Drugi powód był taki, że w poniedziałek po południu, kiedy wszyscy na planie będą mieli przerwę na lunch, Josie będzie w samolocie z Rebeccą w drodze w góry Adirondacks w stanie Nowy Jork.

- Tak, wiem, co robię - powiedziała przyjaciółce. – Chcę jechać.

Rebeccę zatkało. - Żartujesz, prawda?

- Nie. Tylko obiecaj mi, że Amelia zachowa swoje wydzieliny dla siebie.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Carla, Henry, Cecilia, Antoinetta, Phillip, Samantha i Christopher obchodzili zakończenie pierwszego dnia zdjęć, urządzając piknik przy domu Henry'ego.

Byli tam siostrzeńcy i siostrzenice Cecylii oraz bliższa i dalsza rodzina Henry'ego. Antoinetta wszystko przyrządziła, nie chcąc oddać niczego w ręce kalifornijskiej firmy cateringowej, która przekonywała ją, że makaron powinien być zrobiony z soi.

Stukano się kieliszkami, goniono za psami, rzucono latającymi talerzami. Carla siedziała na ręczniku, patrząc na Pacyfik i wspominała, jak rok temu w Nowym Jorku marzyła o plaży. Chęć oczyszczenia przez nadmorskie bryzy i uderzenia fal popchnęła ją do tej podróży.

Nie mogłaby chyba być szczęśliwsza niż teraz. Nie wiedziała, nigdy się nie domyślała, że takie szczęście jest w ogóle możliwe.

- Å propos - powiedział Henry. - Kto to jest Clive?

Po drugiej stronie Ameryki Josie jechała na nartach biegowych za Rebeccą i jej rodziną w lasach North Creek. Była niezdarna, zmarznięta i spocona. Była też wściekła na Romana, który powtarzał: - To łatwe. Po prostu złóż kolana i pochyl się!

Doliczyła się jak na razie szesnastu upadków. Uparła się, żeby jechali przodem, a ona ich dogoni.

Ale zabłądziła. Wokół panowała absolutna cisza, a drzewa pokryły się tym specjalnym szronem - mieszanką śniegu i zamarznętej wody - dzięki któremu szare gałęzie bezlistnego lasu wyglądały jak polukrowane.

Brnęła przed siebie przez gęsty, zbity śnieg. Uśmiechnęła się na wspomnienie tego, co zrobiła w poniedziałek rano, przed odlotem. Poszła do Studia X z dokumentami, które oficjalnie przekazywały prawo Josie do tytułu producenta na rzecz Carli. Podjęła tę decyzję w weekend, podpisała papiery w obecności Setha i Phillipa i kazała im obiecać, że nie powiedzą Carli do jej wyjazdu.

- Jesteś pewna, Josie? - zapytał Seth. - Nie chcesz być w żadnych napisach?

- Jestem pewna. Podpisała i wyszła.

Teraz zabłądziła w lesie gdzieś w stanie Nowy Jork i była zupełnie sama. Zdawało jej się, że idzie jakimś szlakiem, i brnęła dalej, lecz przez cały czas martwiła się, że może powinna zawrócić.

Nagle las się przerzedził i po kilku pchnięciach kijkami znalazła się na pokrytym śniegiem zamarznętym jeziorze, otoczona cichymi górami Adirondacks.

Odpychając się kijkami, wjechała na jezioro, przecinając nieskazitelną powierzchnię śniegu. Nie miała pojęcia, co myśleć o tym miejscu - śniegu, ciszy, samotności - ale czuła, że tutaj mogłaby iść dalej, nikt by jej nie powstrzymał, nie osądzał, nie popychał. Nawet ona sama.

Zatrzymała się i podniosła wzrok na szare, zimne niebo. Zdawało jej się, że słyszy płacz dziecka, ale się myliła. To tylko wiatr. Znów spojrzała na jezioro pełna zachwytu, a wtedy poczuła, że jej umysł zwalnia, przestaje chodzić na wysokich obrotach. Zaczepnęła głęboko zimnego świeżego powietrza.

Zupełnie nowa, zupełnie sama.

W piątek późno wieczorem Esther pracowała w Santa Monica nad swoją powieścią, wiedząc, że nikt jej nie przeszkodzi, ponieważ wszyscy są na planie, a Aram zajmuje się bliźniaczkami. Zadzwoił telefon.

- NJTF. Esther przy telefonie.

- Halo? - odezwał się głos starego człowieka. - Kto mówi?

- Przepraszam - powiedziała Esther. - To firma produkcji filmowej w Los Angeles. Do kogo pan dzwoni?

- Mówi Mark Alloway. Jestem prawnikiem z Florydy.

- Czy mogę panu w czymś pomóc?

- Czy to wy pracujecie nad filmem *Miś, który uratował Boże Narodzenie*?

- Tak.

- No to niech pani posłucha. Siedzę teraz u siebie w domu w Boca, czytam o tym w gazecie, widzę nazwisko Joshua King i prawie...

- Proszę pana? Przepraszam, ale w jakiej sprawie pan dzwoni?

- To ja napisałem ten scenariusz! Całą historię o maklerze z Wall Street, przedsiębiorstwie Świętego Mikołaja, wie pani, o co mi chodzi. Zarejestrowałem go w Związku Pisarzy w Nowym Jorku. Oni się z wami skontaktują. Ten cholerny dzieciak zabrał mi go z biurka w Boca, jak przyprowadził psy ze spaceru! Mówię pani, czterdzieści pięć lat jestem prawnikiem, teraz mam siedemdziesiąt dwa i nigdy nie widziałem takiej sztuczki. Podam go do sądu, obedrę ze skóry! Nie pozbiera się!

Esther westchnęła, wyglądając przez okno w stronę niewidocznego oceanu. Odłożyła powieść i wyciągnęła firmowy notatnik. Wzięła do ręki długopis.

- Panie Alloway? Zacznijmy od początku...